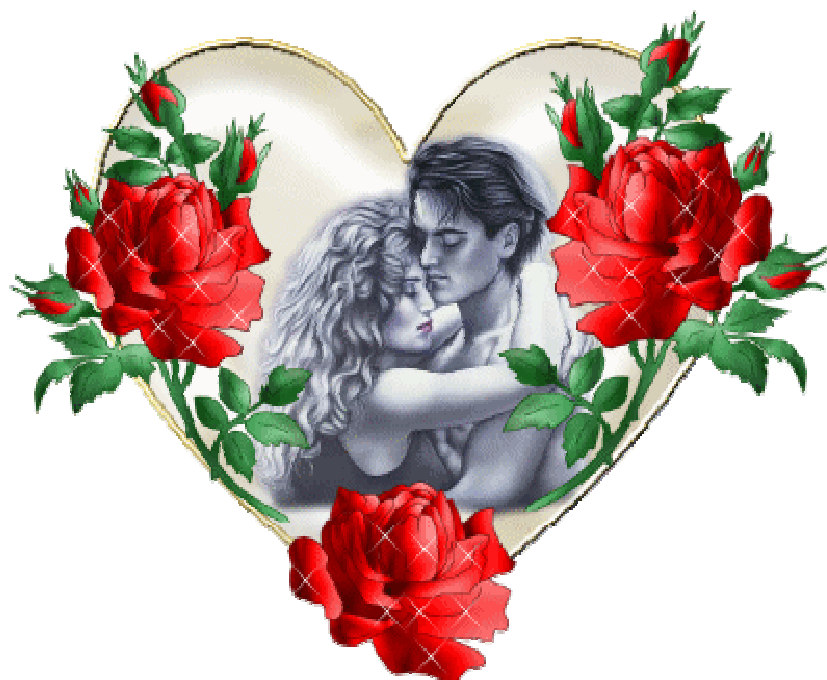




CHRIS MANBY

SZUKAM MĘŻA
SZUKAM ŻONY



Przekład Irena Kołodziej

Ta książka jest dla Harrisona Arnolda. Wiesz, Harry, dawno temu, przed laty twoja ciocia była całkiem do rzeczy!

Prolog

nteligentni, atrakcyjni i nie wiadomo dlaczego wciąż bez pary. Troje przyjaciół z Londynu marzy, by znaleźć tego lata prawdziwą miłość...

Czy ja kiedykolwiek będę czymś Niezgrabiaszkiem?

To pytanie tliło się w głowie Ruby Taylor, gdy patrzyła, jak świeżo upieczona pani Foreman pakuje swemu nowiutkiemu małżonkowi do ust kawał czekoladowego weselnego tortu. Jeśli to prawda, myślała Ruby, że na każdego gdzieś tam czeka jego połówka jabłka, to jej koleżanka ze studiów, Zuzanna (czule zwana przez męża Niezgrabiaszkiem) i Winky (zwany przez wszystkich Winkym - naprawdę tak się nazywał) niewątpliwie byli tego dowodem.

Ruby uciekłyby z wrzaskiem od faceta, który nawet w najgorszy mróz miał na koszuli plamy potu i uważał, że wspomnianie w weselnym przemówieniu o pomrukach, jakie wydaje w łóżku jego dopiero co poślubiona małżonka, jest zabawne. No, ale dla Zuzanny, która nawet w sukni prosto od Jimmy'ego Choosa człapała wzdłuż nawy tak, jakby miała na nogach gumowce, Winky Foreman był ideałem. Niczym jang dlajing. Sól dla pieprzu. Śmierdziuszek dla Niezgrabiaszka. Najwyraźniej.

To, jak dotąd, czwarte wesele, w którym Ruby brała w tym roku udział, a przecież nie był to jeszcze nawet czerwiec. Najpierw

Jane i Ian. Kościół anglikański i kanapki w Gloucestershire. Potem Mark i Jacqui. Urząd Stanu Cywilnego i pizza w South Ken. Potem Peter i Katherine. Elegancja w Rutland. A teraz Winky i Zuzanna. Pełno objawowy zespół prostactwa rodem z wyższych sfer w Shropshire. Fraki, różowa markiza, pompowanie żołądków o świcie.

Lou Capshaw i Martin Ashcroft, którzy często wydawali się Ruby jedynymi istotami bez pary na całym bożym świecie, siedzieli wraz z nią przy stole „dla gości różnych”. Na każdym weselu jest taki stół - zazwyczaj upchnięty gdzieś przy drzwiach kuchennych - przewidziany dla singłów, wdowców, znajomych z wakacji i upierdliwych ciocibabć ze strony panny młodej. Zabijali czas, grając w weselne disco bingo (wypisuje się tytuły dziesięciu piosenek, które człowiek spodziewa się usłyszeć na weselnym przyjęciu, a potem odfajkowuje kolejne pozycje, jeśli dana melodia zostanie zagrana).

Martin prowadził. Zuzanna i Winky zaczęli tańczyć w rytm Damy w czerwieni, dzięki czemu jednym rzutem wyszedł na czoło. Potem zagrano

Piosenkę ptaszka (dla maluchów), Splamioną miłość (dla zgorzkniałych) i Głowa cło góry, nie jest tak źle (przede wszystkim dla panny młodej).

- No dobra. To która strona zacznie walkę na żywność? - spytała leniwie Lou.

Już teraz Zuzanna miała na twarzy więcej tortu niż makijażu.

- Panny młodej - zdecydował Martin.

- Pana młodego - powiedziała Lou. I miała rację. Niemal w tej samej chwili od stołu typków grających z Winkym w tym samym klubie rugby, nadleciał pocisk w postaci nadziewanej babeczki. Chłopcy już dawno temu zmienili swoje stare, pamiętające szkolne czasy krawaty w bandanki i wyglądali niczym Indianie, a teraz przypuszczali szturm na drużyny w brutalnej inscenizacji Ostatniej bitwy generała Custer.

- Idziemy do toalety? - zwróciła się Ruby do Lou. Zuzanna mogła się nie przejmować lukrem na swojej markowej jedwabnej sukni ślubnej, ale Ruby troszczyła się nieco bardziej o swoją jedyną prawdziwą Donnę Karan.

- Czy oni nie pasują do siebie po prostu idealnie? - wybełkotała dziewczyna w kolejce do przenośnej kabiny, która spełniała tego popołudnia rolę damskiej toalety.

- Idealnie - zgodziła się Lou. Dzięki Bogu, nie usiłowała kolejny raz przedstawić swojej teorii na temat wspólnej prababki państwa młodych ze strony ojców. Ruby miała tego dość.

- No - powiedziała dziewczyna, poprawiając szminkę na wargach trochę na chybił trafił. - To dosyć zabawne, biorąc pod uwagę, jak się poznali.

- A jak się poznali? - spytała głośno Ruby. Oczyma duszy ujrzała szkocką zabawę ludową, na której podczas dziarskiego tańca Winky „wykręca” Zuzannę ze źle ześcibolonej balowej sukni, a następnie oferuje swoją pomoc we włożeniu jej na powrót.

- Przez ogłoszenie matrymonialne! Możesz w to uwierzyć? Zuzanna dała ogłoszenie w „Telegraph”. Napisała, że szuka PPPH.

- Posiadacza pierwszorzędnego poczucia humoru? - rozszyfrowała skrót Ruby.

- Chyba raczej pierwszorzędnie posuwającego posiadacza helikoptera - odparła Dziewczyna ze Szminką. - Niezłego męża złapała, co?

- Ja bym go raczej cisnęła z powrotem - mruknęła Lou. Właśnie w tym momencie obok kolejki do kibelka pojawiła się panna młoda.

- Z drogi, dziewczyny - powiedziała. - Wjeżdża wielka paka! - Jej wielowarstwowa spódnica z trudnością mieściła się w drzwiach kabiny.

- Och, Zuza - westchnęła Dziewczyna ze Szminką. - Czy ty możesz uwierzyć, że w końcu udało ci się upolować chłopa?

- Troszkę jestem, kurde, zaskoczona - przyznała Zuzanna. - Może lepiej zabiorę go w podróż poślubną, zanim narkoza przestanie działać! Cha, cha, cha!!!

Ruby i Lou wymieniły zdumione spojrzenia.

- Louisa! - ryknęła Zuzanna. - I Ruby! Dzięki, że przyszłyście, dziewczyny. Przyuważyłyście już jakichś fajnych facetów? Jest tu cała gromada rugbyistów z klubu Winky'ego. Siedząco tam, koło parkietu. Większość jest wolna albo w trakcie rozwodu. Zajmijcie się nimi, zanim Finty Chambers zaliczy wszystkich co do jednego!

- Ja już zaliczyłam wszystkich co do jednego! - krzyknęła Finty, wyłaniając się w końcu z kabiny, pod którą wszystkie czekały. - I żaden nie znalazł się w mojej pierwszej piętnastce. Cha, cha, cha!

- Niech mi ktoś potrzyzyma spódnicę - poprosiła Zuzanna, siadając na toalecie. Ruby zamknęła za nią drzwi. - O kurczę! - wrzasnęła panna młoda. - Halka mi wpadła do miski klozetowej!

- Ogłoszenie matrymonialne... - powiedziała w zadumie Ruby, kiedy Zuzanna nie mogła jej słyszeć. - Nie pisnęła o tym ani słówka.

- A ty byś pisnęła? - zaśmiała się Lou. - Pierwszorzędnie posuwający posiadacz helikoptera? Akurat... Wygląda na to, że wystarczyła jej para horrendalnie przeciętnych portek.

- Ale są szczęśliwi - stwierdziła Ruby. - Bardziej niż ty, ja i Martin.

W pół godziny później narodził się nowy Klub Samotnych Serc.

Pomysł był fantastycznie prosty. Wszyscy troje byli singlami. Wszyscy szukali partnerów. (Niektórzy bardziej aktywnie niż inni, westchnęła Ruby). Żadne nie miało ochoty spędzać całego lata w pojedynkę, patrząc na obściskujące się na każdym kawałku trawnika pary i dostając oparzeń słonecznych na tej części pleców, której nie sposób posmarować własnoręcznie olejkiem. Lou zaproponowała, żeby zamieścili ogłoszenia w dowolnie wybranej gazecie i zobaczyli, a nuż uda im się znaleźć w ten sposób swoich Winkych. A jeszcze lepiej - dopracowała pomysł Lou - żeby każde z nich zamieściło ogłoszenie dla innego.

Lou miałyby zatem napisać anons dla Martina, Martin dla Ruby, a Ruby dla Lou. W ten sposób wykluczyliby fałszywą skromność ogłaszeniodawcy. Nie byłoby beznadziejnego zaniżania własnej wartości rynkowej.

- Ani przesady, zasługującej na oskarżenie przed sądem z tytułu pogwałcenia prawa handlowego - dodała Ruby, wskazując głową Martina.

Kiedy nadejdzie stos odpowiedzi - gdyż, rzecz jasna, będą ich całe stosy - wówczas każdy członek trio wybierze spośród kandydatów przypuszczalnego

partnera dla osoby, której dotyczyło dane ogłoszenie. Kulminacją eksperymentu stanie się wielka randka w ciemno w miejscu obfitującym w stosowne schowki, skąd będą mogli dyskretnie delektować się swoim sukcesem w wyborze partnera dla koleżanki czy kolegi. Gdyż będzie to sukces.

- Każde z nas zna dwoje pozostałych lepiej niż siebie samego - podkreśliła Lou - nie ma więc powodu, żeby się nie powiodło.

- Ale to tak jakby swatanie! - Martin był przerażony, kiedy Lou naszkicowała mu swój plan, gdy znów znaleźli się we trójkę przy stole „dla gości różnych”.

- Skąd mogę wiedzieć, czy on nie wybierze mi jakiegoś koszmarnego typu, żeby się ze mnie nabijać? - spytała Ruby, kiedy stało się jasne, że to Martin miałby napisać jej ogłoszenie.

- Nie masz do mnie zaufania? - spytał Martin.

- Martin - powiedziała Ruby - powierzyłabym ci bez wahania własne życie. Ale czy powierzyłabym ci moje życie osobiste, tego nie jestem aż tak pewna.

RS

ROZDZIAŁ 1

Parę dni wcześniej Ruby stała w oknie swojego biurowego pokoju i patrząc na popołudniową mżawkę, dołowała się matrymonialną arytmetyką.

Siedem milionów ludzi w Londynie. Z czego pięćdziesiąt jeden procent to kobiety. To daje, z grubsza licząc, trzy miliony czterysta tysięcy mężczyzn. Z czego ze dwadzieścia procent ma poniżej osiemnastki, co momentalnie redukuje obszar poszukiwań do dwóch milionów siedmiuset tysięcy. Z czego co najmniej trzydzieści procent będzie powyżej pięćdziesiątki, co zawęży liczbę mężczyzn, których Ruby mogłaby brać pod uwagę, bazując jedynie na kryterium odpowiedniego wieku, do miliona dziewięciuset tysięcy.

Odejmijmy od tego miliona dziewięciuset tysięcy, około dziesięć procent przypuszczalnych gejów. Zostaje milion siedemset tysięcy. Mniej więcej pięćdziesiąt procent to żonaci. Osiemset pięćdziesiąt tysięcy. Z tego pięćdziesiąt procent to na poważnie z kimś związani, co zmniejsza liczbę facetów do wzięcia w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu lat do czterystu dwudziestu pięciu tysięcy.

Odejmijmy od tego więźniów z długoletnim wyrokiem. Dwadzieścia pięć tysięcy? Chyba trochę więcej. Mieszkających z matką. Pewnie kolejne dwadzieścia tysięcy? Podzielmy to przez procent mężczyzn, którzy naprawdę mogliby wpaść Ruby w oko (sądząc na podstawie oceny jej znajomych, gdzie proporcja ta wynosi jeden na trzydziestu trzech, inaczej trzy procent). Tak więc nawet jeśli nie brać pod uwagę kwestii religii, przekonań politycznych oraz faktu, że dziewięciu na dziesięciu facetów woli bezmyślne, ale seksowne nastoletnie kociaki niż światowe kobiety powyżej trzydziestki, liczba wolnych mężczyzn w Londynie, co do których Ruby mogłaby mieć uzasadnioną nadzieję na trwały związek, zmniejsza się z prawie trzech i pół miliona do niespełna stu tysięcy. O których, jak szacowała (stosując całkowicie odmienną metodę niż ta, którą posłużyła się przy stopniowej redukcji liczby potencjalnych partnerów), konkuruje wraz z nią co najmniej dwa miliony dziewczyn, a wszystkie, co do jednej, są ładniejsze, bardziej zabawne i mają lepszą pozycję zawodową niż ona. To pewne jak dwa razy dwa.

No właśnie.

Ruby nie cierpiała statystyk. Zwłaszcza tych, z których wynikało, że najbardziej prawdopodobne miejsce do znalezienia partnera to miejsce pracy. Prawdę tę piastowała głęboko w sercu, gdy jako absolwentka-stażystka podjęła swoją pierwszą pracę w Hollingworth Public Relation i musiała zabrać się do nauki, jak przekonywać dziennikarzy, by zamieścili artykuł na temat

wszystkiego - od prasowanej stali do wkładek higienicznych - gdy tak naprawdę czekała na przyobiecany biurowy romans.

Niestety, szybko zdała sobie sprawę, że jedną z najbardziej charakterystycznych cech public relations jest to, że pełno tam bab. A większość z nich to blondynki, rajcowne i permanentnie opalone, zupełnie jakby każdy wolny weekend spędzały na narciarskim stoku. Słowem, tyle było w imperium Hollingworth

Public Relations wspaniałych niezajętych dziewczyn, że nawet główny księgowy, Frank Clark, ksywa Pięć Brzuchów, mógł na pewniaka liczyć na małe barabara podczas firmowych konferencji. Nawet jeśli miał opryszczkę na wardze (Ruby Taylor, Bournemouth International Centre, listopad 1999)...

Kiedy po raz n-ty przeczytała w którymś z kolorowych magazynów, w rubryce z serduszkami, jak jakiś nieszczęsny facet zaklina się, że nie może znaleźć dziewczyny, zastanawiała się, dlaczego pani redaktor od porad nie powie mu: „Podejmij pracę w public relation”, zamiast: „Zapisz się do klubu”. Ruby ze swej strony mogłaby równie dobrze wstąpić do klasztoru.

Dla Emlyna Cruickshanka, ksywa Pantera, przeszklone pokoje Hollingworth były jednak jak pełen łososi strumień dla wygłodzonego niedźwiedzia. Emlyn pracował jako handlowiec i miał kanciapkę po sąsiedzku z Ruby. Lubił myśleć, że przydomek Pantera zawdzięcza swojej gładkiej ciemnej urodzie i umiejętności rzucania się na klienta, zanim jakikolwiek inny handlowiec w mieście wypowie słowo „lunch”. W rzeczywistości dziewczyny nazwały go Panterą, ponieważ był nieposkromionym zbereźnikiem. Oznaczało to, że przespanie się z Panterą stało się praktycznie rytuałem inicjacyjnym dla każdej nowej w firmie. W królestwie ślepców jednooki itd.

Ruby miała szczęście, że Pantera nastał w Hollingworth po niej. Właściwie to na początku był jej asystentem. Jeśli kiedykolwiek czuła do niego choćby najłżejszą miętę, przeszło jej, jak ręką odjął, kiedy pewnego dnia podczas lunchu wyjawiał, że jest dumnym posiadaczem najcięższego przypadku grzybicy stóp, jaki kiedykolwiek oglądał na oczy jego lekarz. To wystarczyło, by Ruby odechciało się niskokalorycznej kanapki z jajkiem i majonezem. Kiedy jednak Emlyn przeszedł do szczegółów i zaczął opowiadać o płątach naskórka, jakie sypią mu się ze skarpetek za każdym razem, ilekroć je zmienia, Ruby zwątpiła, czy w ogóle jeszcze kiedykolwiek będzie coś jadła. Od tej pory, jak wyjaśniła Lou i Martinowi, stała się dziwnie odporna na jego uroki.

Wyleczywszy się z krótkiej historii z Emlynem, Ruby z rezygnacją uznała, że jej wielki romans biurowy to mrzonka. Cóż, brak potencjalnego obiektu westchnień w Hollingworth oznaczał przynajmniej, że jeśli tylko nie miała rano

umówionego spotkania, mogła pójść do pracy jak stoi, nie zwracając sobie głowy tym, by maznąć twarz jakimś makijażem (czy choćby ją umyć, bo akurat wstała później niż powinna). I wtedy, rzecz jasna, zgodnie z prawem Soda, w jej życie wkroczył John Flett.

Jonathan Flett. Odpowiednik Michaela Douglasa w świecie techniki. (Chciałby nim być, mówiła potem Lou). John Flett pełnił funkcję dyrektora wykonawczego w fabryce łożysk kulkowych Barringtona.

Prawdę mówiąc, Ruby czuła się trochę rozczarowana, kiedy szef wybrał ją na kierownika zespołu, który miał znów skierować światła reflektorów na te małe srebrzyste kuleczki (bardziej interesowałaby ją wtedy praca na rzecz Two-Faced Cosmetics). Kiedy jednak zobaczyła Jonathana Fletta na ich pierwszym zebraniu poświęconym omówieniu strategii, zrekompensował aż nadto rozczarowanie Ruby, że nie będzie miała nieograniczonego dostępu do darmowych szminek, niebieskiej maskary i opalizujących purpurowych cieni do powiek.

Kurczę... Był rewelacyjny. Ruby spodziewała się najgorszego, kiedy dotarła do betonowego bunkra w słonecznym South Croydon, gdzie mieściła się centrala Barringtona. W pół godziny później pluła sobie w brodę, że nie włożyła swojego najlepszego stanika marki Wonderbra, nie umalowała się choć trochę, w ogóle nie zrobiła czegokolwiek, dzięki czemu mogłaby mu zapaść w pamięć nieco bardziej niż dzięki bezpłatnym sugestiom co do kampanii, która miała sprawić, że firma Barrington stanie się liderem w dziedzinie łożysk kulkowych. W fantastycznie skrojonym włoskim garniturze, Flett wydawałby się na miejscu nawet w zespole marketingowym Gucciego, spokojnie... Kiedy spytał Ruby o opinię na temat nowego, fascynującego logo Barringtona, jedynie z najwyższym wysiłkiem udało się jej nie zemdleć.

Podczas lunchu w jedynej przyzwoitej restauracji w okolicy Ruby szybko odkryła, że Flett jest równie interesujący, jak przystojny. Miała do czynienia nie ze zwykłym inżynierem od łożysk kulkowych, ale z najwyższej klasy specjalistą, zatrudnionym przez nowego amerykańskiego właściciela firmy Barrington, żeby rozkręcił ją na nowo. Skończył czterdzieści dwa lata i od niedawna był w separacji z żoną. Lubił squasha, operę i mnóstwo innych rzeczy, które Ruby miała na swojej liście sposobów spędzania soboty. Co nie znaczy, że mu o tym powiedziała. Kiwała jedynie głową, gdy rozwodził się nad urokami Wagnera, i zanim doszli do kawy, Flett powiedział, że cieszy się, iż tyle ich łączy, gdyż odtąd będą bardzo ściśle współpracować.

Poszli do łóżka już w następnym tygodniu, kiedy towarzyszyła Flettowi na konferencji na temat łożysk kulkowych w Leeds, na której miała uzyskać pewną użyteczną wiedzę na temat konkurencji Barringtona. (Nie trzeba dodawać, że

jedyną wiedzą, jaką zdobyła, była wiedza o tym, jaki Flett jest w łóżku). W pół roku później jednak kampania Barringtona niemal się zakończyła, tak samo jak ich szalony romans.

- Co ja ci mówiłam? - prawiała jej kazania Lou, kiedy Ruby zadzwoniła z wiadomością, iż Flett niechcący poinformował całe biuro, że puszcza ją w trąbę, i teraz Ruby nie ma innego wyjścia niż rzucić pracę albo umrzeć ze wstydu. - Nie powinno się...

- Mieszać interesów z przyjemnością? Wiem... wiem!!! - zawodziła Ruby.

Nikt od niej nie żądał, rzecz jasna, żeby złożyła wypowiedzenie. Nawet sam Flett, choć Ruby podejrzewała, że gdyby wystąpił z podobnym wnioskiem, to niewykluczone, iż zostałby on rozpatrzony pozytywnie. Ale jak mogła inaczej poradzić sobie z tym niemożliwym do udźwignięcia brzemieniem hańby, że dostała kosza za pośrednictwem e-maila, który ten kretyński program Luddite zdołał jakoś przekazać wszystkim w Holingworth PR, włącznie z szefem Ruby? Natychmiast skasowała dwulinijkowy tekst, w którym Flett pisał, że załącza swoje uwagi na temat ostatniego materiału dla prasy oraz że nie przyjdzie tego wieczoru na kolację „ani żadnego innego wieczoru, choćby się waliło i paliło”. Przez cały dzień jednak „życzliwi” w biurze przesyłali jej ten cholerny e-mail z powrotem.

- Muszę odejść z pracy - powiedziała do Lou, załamana.

- A nie możesz oddać do druku nowego katalogu Barringtona z malutką notką na temat rozmiarów jego penisa gdzieś u dołu strony? - podsunęła Lou.

- Ale on ma wielkiego! - jęknęła Ruby.

- Och, na litość boską - westchnęła Lou. - Przecież nie musisz pisać prawdy!

ROZDZIAŁ 2

W przeciwieństwie do Ruby, Lou Capshaw nie pozwalała sobie na to, aby jakikolwiek facet wciskał jej kit.

Zaliczywszy wcześniej serię sercowych katastrof, Lou wytworzyła sobie rodzaj wewnętrznego radaru, dzięki któremu potrafiła dostrzec wady w każdej parze spodni, zanim jeszcze wylądowała z nią w łóżku. Ruby miała rację, że coraz trudniej jest o nowe znajomości, kiedy skończyło się studia, podjęto pracę i rozpoczęło proces eliminowania ze swojego notesu kolejnych ewentualnych kandydatów, w miarę jak znajdowali dziewczyny, żenili się czy zostawali gejami... Ale Lou wiedziała też, że pole poszukiwań nieuchronnie się zawęża, gdy człowiek zaczyna coraz lepiej poznawać samego siebie i decyduje się raczej szukać takiego partnera, który odpowiada mu pod każdym względem, niż zadowolić się kimś, kto ma niezbędną liczbę kończyn.

Wystarczyło, by Lou przypomniawszy sobie któregoś ze swoich beznadziejnych byłych chłopaków i uświadamiała sobie na nowo, że - jak zapewniała Ruby dzień w dzień - pozostawanie singlem ma zdecydowanie wiele dobrych stron. Mogła tylko mieć nadzieję, że Ruby któregoś dnia, patrząc na swoją śmieszna aferę z Johnem Flettem, dojdzie do takich samych wniosków. Kiedy jednak usłyszała przez telefon rozpaczliwy głos Ruby informujący ją na temat tamtego e-maila, wiedziała, że teraz co najmniej przez tydzień będą szczegółowo analizować sprawę, w efekcie czego Ruby najprawdopodobniej przyjmie niewiernego z powrotem.

Lou często żartowała, że skoro już musi dźwigać ciężar miłosnych dylematów Ruby, kiedy pan Wspaniały okazuje się (po raz kolejny) panem Nikczemnym, to powinna też mieć prawo zawetowania każdego nowego zauroczenia, które od początku ma na sobie stempel „skazane na porażkę”, wyrazisty jak litery na duńskiej szynce. Dlaczego Ruby nie widzi, że jej romans z Johnem Flettem też z góry był skazany na niepowodzenie, tak samo jak poprzednia historia ze świeżo rozwiedzionym księgowym imieniem Dave?

John Flett i Dave Evans byli praktycznie tacy sami. Obu niedawno stuknęła czterdziestka i obaj w przystępie kryzysu

wieku średniego puścili kantem swoje wierne żony, ukochane z lat szczenięcych. Madolescencja, mówił o tym zjawisku Martin. Obaj zostawili po dwoje nieletnich dzieci. „Za małe, żeby rozumiały” - zarzekali się. Obaj potrzebowali wsparcia Ruby w pierwszym traumatycznym okresie, kiedy żony wydzwaniały do prawników, żeby podkopać ich wiarę w siebie oraz ich bankowe konta. Następnie, w sześć miesięcy od separacji, z wiarą w siebie,

cudownie przywróconą przez sam fakt, że dymali kogoś urodzonego w latach siedemdziesiątych, bez wahania rzucali zastępczą matkę, Ruby, by w idiotycznych szpanerskich fryzurach i adidasach, „zupełnie takich jak wtedy”, szlajać się po nocnych klubach w poszukiwaniu rocznika 1980, który mieli na uwadze od samego początku.

- Ruby - wzdychała Lou - stajesz się szkołą przetrwania dla świeżo rozwiedzionych facetów. Przytuliskiem między pierwszą a kolejną żoną. Robisz im pyszne obiady, a gdyby nie to, musieliby jeść jajka na twardo w wynajętym pokoju. Wysłuchujesz ich jęków, że alimenty są za wysokie, bo nie mogą sobie przez to pozwolić na kolejny sportowy wóz. Wyciągasz ich ze zjedzonych przez mole przedpotopowych ciuchów, żeby nie wyglądali jak palanty, kiedy się włóczą po klubach. A oni odchodzą w siną dal, żeby poderwać jakąś pinde, wykorzystując w tym celu swoje nowe, lepsze wycucie stylu i niezachwiane zaufanie do swoich erotycznych możliwości, które uzyskali dzięki tobie.

Ruby kiwała głową, że niby wszystko rozumie, ale tak naprawdę Lou wiedziała, że z równym powodzeniem mogłaby tłumaczyć pudłowi zasady chodzenia przy nodze. Choćby nie wiem ile razy szarpnąć smyczą, nic nie mogło powstrzymać Ruby przed rzuceniem się w bok, w pogoni za jakimś nowym interesującym zapachem, który nieuchronnie okazywał się gównem...

Lou rozmyślała nad problemem Ruby, czekając w zgodnej ciszy wraz z dwiema setkami współpasażerów o nieprzytomnych oczach na metro, które miało zawieźć ją do wydawnictwa Piper Publishing, gdzie pracowała jako redaktor.

Kiedy pociąg w końcu się pojawił, Lou wsadziła pod pachę rękopis, nad którym śleczła całą noc, i jęknęła. Czekala od prawie dwudziestu minut i pociąg, który przyjechał, był teraz napakowany ciaśniej niż puszka sardynek. Kiedy drzwi się otworzyły, paru pasażerów wypadło z wagonu tuż obok niej, z trudem łapiąc oddech. Natychmiast jednak rzucili się z powrotem do środka, niczym zawodnicy w japońskim programie telewizyjnym. Ciekawe, co jest bardziej śmieszne, pomyślała Lou - jeść robaki czy z własnej, nieprzymuszonej woli pchać się do metalowej rury, zakopanej siedemdziesiąt metrów pod ziemią, razem z paroma setkami wszelakiej maści Londyńczyków oraz ich wonią?

Zaczerpnąwszy powietrza po raz ostatni, wpakowała się do wagonu. Pasażerowie, którzy już byli w środku, wydali słaby pomruk oburzenia, choć jak Lou przewidywała, nikt nie zadawał sobie trudu, by przejąć się choć trochę napisem umieszczonym na peronie, wzywającym pasażerów, by „przechodzili w głąb wagonu”. Kiedy zdołała się przebić do korytarzyka między dwoma długimi rzędami siedzeń, znalazła nawet wolny uchwyt, na którym mogła zawisnąć.

Parę przystanków dalej pociąg zahamował tak gwałtownie, że nawet Lou, która przyzwyczała się do pozycji zwisowej, dojeżdżając od sześciu lat do pracy tą samą piekielną trasą, nie zdołała utrzymać się na nogach. Wylądowała ciężko na kolanach dość zażywnie wyglądającego jegomościa. Ten rzucił jej gniewne spojrzenie. Lou szybko się podniosła.

- Przepraszam - powiedziała ironicznie. - Przecież nie usiadłam panu na kolanach celowo.

Facet cmoknął tylko z dezaprobatą i ze zniecierpliwieniem rozłożył z powrotem gazetę. „Financial Times”, rzecz jasna. Najwyraźniej jedyne wartości w jego życiu to indeksy giełdowe... A w ogóle z jakiej racji on sobie siedzi, skoro tuż obok, z lewej strony, stoi przygnieciona do szklanej ścianki najwyraźniej ciężarna kobieta? Jako że pan FT ukrył się za gazetą, Lou wykrzywiła się ohydnie w jego kierunku. Byłaby uzupełniła minę o stosowny gest, gdyby nie musiała trzymać się uchwytu. Wiedziała, że zachowuje się dziecinnie, ale poczuła się w ten sposób o wiele lepiej.

Szalenie ubawiło to niezwykle przystojnego pasażera w granatowym garniturze, stojącego tuż obok ciężarnej. Kiedy Lou przestała robić miny, uchwyciła jego spojrzenie znad gazety i załapała się rumieńcem aż po korzonki włosów. Zanim jednak skryła się za rękopisem, który wiozła, spostrzegła, że nieznajomy w garniturze uśmiecha się od ucha do ucha i puszcza do niej oko.

Lou z przerażeniem poczuła, że całe jej ciało przenika nieomylny prąd, tak nagły, że niemal ugięły się pod nią kolana. Kolejka stanęła na stacji King's Cross i nieznajomy wysiadł.

Lou na próżno usiłowała uzyskać lepszą widoczność, kiedy jej nowy znajomy opuścił wagon, ale niespokojny tłum na peronie szybko parł naprzód i zdołała dostrzec tylko bujną blond czuprynę. Patrzyli sobie w oczy dosłownie przez parę sekund, ale jeśli w erze pocisków zdalnie sterowanych Eros nadal używa strzał, to niewątpliwie jedna trafiła ją prosto w serce. Dawno zapomniany mięsień w piersi Lou kurczył się i rozkurczał gwałtownie, zupełnie jakby dopiero co ukończyła bieg maratoński... Musiała być purpurowa jak piwonia z całkowicie niestosownego podniecenia. Przez jedną szaloną sekundę zastanawiała się, czyby nie wysiąść i nie pójść za nim. Ale tylko przez sekundę.

Pociągi City Branch były w godzinach szczytu rzadsze niż przypadki pojawienia się tygrysa syberyjskiego i Lou wiedziała, że jeśli przepuści ten jeden, wówczas nieodwołalnie spóźni się do pracy. A nie mogła się spóźnić tego dnia. Musiała zadzwonić w parę miejsc, odpowiedzieć na e-maile... Lou wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić bijące gwałtownie serce. Nie miała czasu śledzić obcego człowieka na peronie King's Cross. Co za śmieszny pomysł!

Słaba to była wymówka dla braku odwagi, wiedziała. Zagryzła jednak wargi i pozwoliła, by nieznajomy odszedł. A zresztą to tylko mrugnięcie... A nie żadne zaproszenie na kolację czy coś w tym rodzaju. Ją Eros trafił w samo serce, ale jej wyśnionemu kochankowi strzała mogła przelecieć nad głową. W tych okolicznościach było to więcej niż prawdopodobne.

Lou wpatrywała się w czubki własnych butów, zupełnie jakby inni w wagonie mogli odczytać jej galopujące myśli. Albo jakby kogoś one interesowały. Śmieszne... Po prostu śmieszne.

Ale mimo wszystko szlag by to trafił, przyznała w duchu. Już z pięć lat nie zdarzyło się jej coś podobnego. Od dawna nie czuła się taka obnażona pod czyimś spojrzeniem, doprawdy... Powachlowała się dyskretnie dłonią.

Na następnej stacji pan FT też wysiadł. Przechodząc, potknął się o torbę Lou.

- Przepraszam - zawołała za nim. - Proszę - zwróciła się do ciężarnej kobiety, wskazując opuszczone przez niego miejsce - pani jest potrzebne bardziej niż mnie.

- O co pani chodzi? - spytała ze złością kobieta.

Po raz drugi tego dnia Lou schowała się za rękopisem. Zdała sobie sprawę, że kobieta bynajmniej nie jest w ciąży. Była po prostu gruba.

W czasie długich, leniwych niedziel, które Lou spędzała z Ruby i Martinem, rozmowa często schodziła na właściwy rurze potencjał flirtowania. Ogólnie rzecz biorąc, zgadzali się, że w stołecznym metrze możliwości są żadne. W tym sztucznym podziemnym świetle było coś, co sprawiało, że wszyscy wyglądali upiornie blado. A nawet jeśli przypadkiem człowiek dostrzegł kogoś, kto mu się podobał, istniała niewielka nadzieja na uchwycenie jego wzroku. Jest to doskonale udokumentowany fakt, że jeśli ludzie zostaną stłoczeni w zamkniętej przestrzeni ciaśniej niż przeznaczone na rzeź cielęta, wówczas usiłują ochronić swoją prywatność, patrząc gdziekolwiek, byle nie na siebie nawzajem. Wpatrywanie się w rurze w kogoś obcego jest takim samym wykroczeniem przeciw londyńskiej etykietce jak publiczne obnażanie się.

Mimo wszystko szkoda. Ileż to załączków miłosnych historii zginęło od jednego ściągnięcia brwi, pomyślała Lou, gdy dwoje sympatycznych ludzi, którzy w innych okolicznościach chętnie poszliby razem na drinka, przyłapało się nawzajem na ukradkowym popatrywaniu na siebie i każde natychmiast zaszufładowało drugie jako idiotę... Dlaczego ten moment, kiedy napotykasz czyjś wzrok i zdajesz sobie sprawę, że wasze dusze łączy tajemne pokrewieństwo, musi być niewłaściwy tylko z tego powodu, że ma miejsce pod ziemią? W nocnych klubach ludzie przez cały czas nawiązują rozmowy z kompletnie obcymi. Dlaczego osoba, którą spotykasz w pubie, mniej ci zagraża

niż ta, którą spotykasz w drodze do pracy? To nie ma sensu. Nic nie miało tego ranka większego sensu dla Lou. Skoro jednak mowa o pubie...

Dotarłszy szczęśliwie do biura, Lou otworzyła swój Microsoft Outlook i zabrała się do pisania e-maila.

Od: Lou.Capshaw@piperpublishing.com

Do: Ruby.Taylor@Hollingworthpr.co.uk

Martin.Ashcroft@Internationalmagazines.com Temat: Sens życia.

Odpowiedź na to i inne pytania, w tym:

Jaka jest stolica Litwy? Kto zwyciężył w zawodach o puchar FA w 1974 roku? Dziś wieczorem na quizie w pubie Pies i Zając. Dobrze wiecie, że nie macie nic lepszego do roboty. Ja też. Siódma trzydzieści?

RS

ROZDZIAŁ 3

Martin nie miał czasu na czytanie e-maila od Lou, kiedy dopadł biurka. Zasnął - znowu - i dotarł do pracy na parę sekund przed porannym zebraniem zespołu. O Boże, jak nie cierpiał tych środowych porannych zebrań! Kiedy jako dziecko wyobrażał sobie własne życie, w erze, gdy maszynista pociągu wciąż jawił się jako heros, wówczas środowe zebrania zespołu, na których spocony, łysiejący dureń nazwiskiem Barry Parsons wydzierał się na Martina, bo ten nie osiągnął nieosiągalnych docelowych wyników sprzedaży, z pewnością nie były częścią planu. Prawdę mówiąc, w obecnej sytuacji Martina niewiele istniało rzeczy, które pasowałyby do obrazu przyszłości, o jakiej marzył jako dziecko... W którym momencie wszystko zaczęło się psuć?

Jako świeżo upieczony absolwent uniwersytetu z wynikiem 2 : 2 z literatury angielskiej, rozpoczął karierę w dziale sprzedaży International Magazines od pracy dorywczej. Planował wówczas, że zostanie dziennikarzem i sprawi, iż cięte wywiady Willa Selfa, ukazujące się w poważnych gazetach, zaczną w porównaniu z jego tekstami przypominać te publikowane na Amazon.com. Tak w każdym razie powiedział matce, która zaczęła mieć dość tego, że za każdym razem, kiedy wracała z pracy, widziała go w pozycji horyzontalnej na sofie, gapiącego się na Ricky Lake. Niestety, wielkie nowe korporacje oczekiwały od kandydatów nieco większego doświadczenia niż redagowanie na zlecenie tekstów dla nieznanego szerszemu ogółowi magazynu poetyckiego pod tytułem „Pudenda”...

Skoro mamuśka zagroziła mu eksmisją, Martin powiedział sobie, że dorywcza praca w International Magazines będzie pierwszym krokiem do kariery dziennikarskiej sensu stricto. Ale dział sprzedaży i redakcja nie mieściły się nawet w tym samym budynku... Tak więc sześciomiesięczne doświadczenie w sprzedaży powierzchni reklamowej w „New Catering Equipment Digest” nie przybliżyło go do pozycji zagranicznego korespondenta „Timesa” ani o krok bliżej niż poprzednie sześć miesięcy, podczas których pobierał zasiłek dla bezrobotnych i grał w gameboya.

W końcu Martin został szefem działu reklamy w nowym tytule, okręcie flagowym International Magazines, „Satyrze”. Był to magazyn dla mężczyzn - ostra mieszanka reklam, rozebranych znakomitości i sfotografowanych w technikolorze anomalii medycznych. By przyciągnąć uwagę potencjalnych nabywców, na okładce zamieszczano zdjęcia najgłośniejszych totty du jour w okrywających tylko górną część ciała zwierzęcych kostiumach, na podobieństwo półzwierzęcego bożka, od którego imienia pochodził tytuł. Faworytką Martina

była Kylie Minogue przebrana od góry za wiewiórkę w numerze trzecim magazynu.

Martin, składając swój podpis w wykropkowanym miejscu na umowie z International Magazines, wiedział, że mówi w ten sposób do widzenia wszelkim nadziejom, iż sam stanie się kiedyś facetem zasiadającym w skórzanym fotelu, decydującym, czyj tyłek ma uświetnić okładkę „Satyra”. Skupił wobec tego uwagę na kasie, jaką może zarobić, jeśli będzie wykonywał swoją pracę jak należy. Wygrał nawet weekend w San Francisco jako sprzedawca roku... Ku własnemu rozczarowaniu przekonał się, że stłumienie po czymś takim twórczych ambicji jest zaskakująco łatwe. W każdym razie na jakiś czas.

Po czterech latach spędzonych w International Magazines Martin znów zaczął się zastanawiać, czy nie rzuca pereł przed wieprze. Miał talent twórczy. Postanowił, że napisze powieść. Za roczną premię kupił sobie laptopa, który mógł kontrolować lot załogowy na Marsa, i obiecał sobie, że po upływie pięćdziesięciu dwóch weekendów przedstawi zdumionym agentom i łykającym ślinkę wydawcom szkic następnej High Fidelity. Lou zapewniała go, że na rynku wydawniczym istnieje luka.

Zaczęło się dość obiecująco. W czasie pierwszego weekendu napisał rozdział, obsesyjnie sprawdzając po każdym akapicie liczbę słów, ponieważ w drodze złożonej matematycznej dedukcji ustalił, że idealny pierwszy rozdział powinien liczyć ich dokładnie pięć tysięcy. Następny weekend spędził na redagowaniu pierwszego rozdziału i usuwaniu co lepszych kawałków, ponieważ słyszał, że wielcy geniusze literatury twierdzili, iż należy „mordować tych, których kochamy” i pozbywać się fragmentów, które nam się podobają, bo jest niezwykle prawdopodobne, że to bełkot. Podczas kolejnego weekendu ponownie przeczytał wzmiankowany rozdział i uznał, że przez pomyłkę pozostawił bełkot nietknięty, usunął natomiast wszystko z twardego dysku. W tydzień później miał pisarską blokadę. A w czasie następnego weekendu pojechał z Ruby i Lou do Brighton i w ogóle nie włączał laptopa.

W tej chwili czarne hightech wieko laptopa pokrywała oskarżycielska warstwa kurzu. Lou narysowała na niej uśmiechniętą buźkę i uzupełniła ją o napis: Użyj mnie. Martin jednak od siedmiu miesięcy nie posunął się z powieścią ani o krok. Osiągnął stadium, w którym nikt go nawet już o to nie pytał.

Co nie znaczy, że istotnie mógłby użyć laptopa, gdyby tego zapragnął. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy robił pierwsze podejście do tego, by zostać supergwiazdą literatury, spotykał się z dziewczyną imieniem Webecca. Webecca z Wuislip. Nie wymawiała „r”. Głos miała jak Bonnie Langford. (Czy raczej buźkę, jeśli miał być szczerzy). Co on sobie wtedy, na litość boską, myślał?

- Myślałeś sobie o jej biuście, rzecz jasna - powiedziała Lou.

Webecca była doktorantką w Birkbeck. Kiedy na parę dni przed terminem oddania pracy wysiadł jej zasilacz do laptopa, Martin, jako że wciąż był zainteresowany nadzwyczaj obfitymi zasobami, które kryła pod workowatym brązowym swetrem, pożyczył jej swój. Niestety, kabelek padł ofiarą ich zerwania. Webeckę tak wytrąciło z równowagi rozstanie z Martinem, że kiedy ten próbował opuścić jej mieszkanie, złapała go za kolana i nie puściła przez co najmniej ćwierć kilometra. Utrata źródła zasilania i tak leżącego odłogiem komputera wydawała się wówczas niewielką ceną za to, by nigdy więcej nie oglądać szalonej kobiety i nigdy więcej nie jeść jej groszku z curry.

Lou i Ruby w pierwszej chwili rzuciły się, by bronić Webecki. Oskarżały Martina, że jest płytki, bo pozwolił, by wygląd zewnętrzny Webecki (była coraz bardziej owłosiona) przesłonił mu jej piękno wewnętrzne.

Niewątpliwie nie podobał im się następny obiekt jego uczuć... Lea była hostessą. Poznali się na peronie Waterloo Station, gdzie rozdawała próbki nowego batonika z orzechowym nadzieniem, ubrana w czerwone hotpantsy z przytwierdzonym do nich wiewiórczym ogonem. (Martin natychmiast dostrzegł w tym możliwość realizacji swojej długo pielęgnowanej erotycznej fantazji!).

Trudno o kogoś bardziej różniącego się od Webecki niż Lea... Tuż przed ich drugą randką zadzwoniła, żeby powiedzieć: „Nie wiem, czy będę mogła dzisiaj wyjść. Mam okropne włosy”. Jej włosy były długie, czarne, proste. Co mogło być z nimi nie tak? Uroda Lei wymagała więcej starań, zabiegów i pielęgnacji niż pełnej krwi arabski kucyk.

- Tyle że rozumu ma prawdopodobnie mniej niż koń - skomentowała Ruby.

- Ale jest taka wesoła... jak musujące wino - bronił jej Martin.

- Bo ma w głowie wyłącznie bąbelki powietrza. Te zastrzyki z botoksu, które dostawała w czoło, musiały jej przeniknąć do mózgu. Czy ty, na Boga, możesz z nią pogadać o czymś sensownym?

Niespecjalnie mógł, to prawda. Ale Martin nie zamierzał się poddawać. Przekonywał sam siebie, że istotnie zależy mu na tym, aby dowiedzieć się wszystkiego na temat odżywek do włosów, których się nie spłukuje, i kremów do twarzy chroniących przed skutkami grawitacji. Jakie to miało znaczenie, że Lea wyłącznie bredziła, skoro te różowe usteczka poruszały się tak pięknie? Nie miało znaczenia nawet to, że poruszała nimi również wtedy, gdy czytała: „Hello”.

Skończyło się to wszystko źle, rzecz jasna. Martin pojechał wówczas na firmową imprezę do Irlandii, gdzie delektował się myślą o tym, jak to będzie cudownie, kiedy po powrocie do Londynu znów spotka się z Leą. A gdy

zadzwoił, by powiedzieć, że za nią tęskni, usłyszał, że Lea ma dla niego dwie wiadomości, dobrą i złą. Dobra wiadomość była taka, że dostała pracę, o którą się ubiegała.

- A zła wiadomość... - W telefonie coś głośno zatrzeszczało. - Musimy pójść do... - Kolejny trzask. - ... herpes..

- Hermes - zaśmiał się Martin, sądząc, że jego mała zakupoholiczka znów wymawia coś niepoprawnie. W końcu to była dziewczyna, która nosiła ciuchy od „Versasz”, z akcentem na ostatniej sylabie. - Chyba nie masz zamiaru ciągać mnie przez cały weekend po wyprzedazach, co?

Niestety, nie miała takiego zamiaru. Lea wymówiła nazwę swojego ostatniego nabytku absolutnie bezbłędnie. Był to imprezowy prezent od jej poprzedniego chłopaka, Szalonego Mike, handlarza z bazaru, który dał kiedyś Lei torbę od „Guciego” - „z jednym »c«, bo to bardziej ekskluzywnie, no nie?”

Test Martina wypadł negatywnie, chwała Bogu, ale następstwa zdawały się trwać całą wieczność. Lou i Ruby niemal pokładały się ze śmiechu za każdym razem, gdy zobaczyły wytworne logo Hermesa. Ruby kupiła nawet Martinowi krawat Hermesa na gwiazdkę.

Od tamtej rewelacji Lei Martin był zupełnie sam, jeśli nie liczyć paru randek z nieszczęsnymi praktykantkami, które przewinęły się przez International Magazines. Ostatnio jednak nawet myśl o zatrudnionej czasowo kontrolerze, przy której Aniołki Charliego mogłyby zająć się adresowaniem kopert w dusznych pokojach redakcji „Satyra”, wydawała mu się dziwnie mało pociągająca.

- Zmieniam się we własnego ojca - powiedział do siebie któregoś ranka Martin, wpatrując się we własną trzydziestoletnią z hakiem twarz w zaparowanym łazienkowym lustrze. I nie chodziło tylko o włosy w nosie.

A więc to była jego przyszłość? Oglądanie się za ładnymi praktykantkami w poprzedzielanym półściankami biurze? Dryfowanie

od jednej przygody do drugiej, równie mato zadowolającej jak poprzednia? Życie odmierzane przez środowe poranne zebrania zespołu i jeszcze jeden środowy wieczór spędzony przy quizie w pubie Pies i Zając?

ROZDZIAŁ 4

W tę środę Martin był zdecydowany spędzić wieczór inaczej, ale kiedy Lou i Ruby dotarły do Psa i Zająca, już na nie czekał. Był umówiony na „randkę serio” z asystentką działu mody w „Capital Woman”, kolejnym tytule w imperium International Magazines. Ale dziewczyna odwołała spotkanie, narzekając na ogrom pracy. Martin szybko przekwalifikował wieczór, na który tak niecierpliwie czekał, z „randki serio” na „niezobowiązujący wypad”.! wmówił też sobie, że Geri po prostu wyskoczyła z biura, żeby kupić coś do jedzenia - w związku z czekającym ją długim nadprogramowym posiedzeniem - kiedy zobaczył, jak o szóstej, ubrana w płaszcz, opuszcza gmach firmy.

- Nie przejmuj się, Mart - powiedziała Lou. - Możecie pocieszyć się nawzajem z Ruby. Pokaż jej próbkę Johna Fletta.

- Jaką próbkę? - spytała jak głupia Ruby.

Martin zaczął bełkotać z rozwlekłym środkowoatlantyckim akcentem (pomimo że Flett naprawdę pochodził z Tunbridge Wells, a po drugiej stronie Atlantyku spędził raptem trzy miesiące): „Skromne łożysko kulkowe to siła napędowa zachodniej cywilizacji”. Po czym oblizwał wargi niczym wielbłąd, który usiłuje pozbyć się zwisającego mu z nosa gluta.

Lou wybuchnęła śmiechem. Ruby sprawiała wrażenie, jakby miała wybuchnąć płaczem.

- On wcale tak nie robił! - zaprotestowała gorąco.

- Robił - odparli chórem Martin i Lou.

- Nie cieszysz się, że nie musisz z nim więcej spać? - spytała Lou. - Jak ty, na Boga, mogłaś spotykać się z facetem, który miał taki dziwaczny tik?

- On nie miał żadnego tiku - upierała się Ruby. - Nigdy nie widziałam, żeby tak robił.

- Cały czas tak robił - zapewniła ją Lou. - Dla mnie to byłby fatalny defekt.

- Dla mnie też - podchwycił Martin. - To znaczy, pomijając fakt, że jest mężczyzną.

Fatalny defekt. Kiedy nie szykowało się żadne wesele, na którym można by zagrać w weselne disco bingo, Martin, Lou i Ruby mieli parę innych interesujących gier, dzięki którym dało się jakoś zabić czas. Fatalny defekt opierał się na grze zwanej przelecieć albo umrzeć, np.: „Wolałbyś przelecieć panią od geografii z liceum - czy umrzeć?” W fatalnym defekcie jednak potencjalne obiekty do przelecenia były lepsze. W normalnych warunkach nikt w żadnym razie nie wykopałby ich z łóżka. Ale supermodelki i gwiazdy Hollywood oferowane w fatalnym defekcie miały ukryte skazy. Oczywiście, że

przespałabyś się z Bradem Pittem. Która dziewczyna mająca krew w żyłach by się nie przespała? No, ale gdyby nieoczekiwanie dotknęła go ciężka przypadłość gruczołów ślinowych, w związku z czym nie mógłby mówić, nie opluwając cię równocześnie od góry do dołu? Albo gdyby, jak często Lou pytała Martina, Julia Roberts zaproponowała, że obciągnie mu laskę, ale miała w ustach ostre jak szpilki zęby?

Ruby uważała za fatalny defekt nieatrakcyjne palce u stóp. Miała własną teorię, mówiącą, że człowiek nigdy nie jest tak obnażony, jak wówczas, gdy zdejmie skarpetki. Ludzie rzadko mają brzydkie oczy albo ręce. Nawet genitalia są, ogólnie rzecz biorąc, całkiem przyjemne dla oka. No, ale stopy to co innego. Najlepsze, czego możesz się spodziewać, to że twój nowy kochanek będzie miał stopy, które wyglądają normalnie. Nieoczekiwany widok wrastającego paznokcia mógł doprowadzić Ruby do omdlenia.

- To jedyna rzecz, jaka uratowała mnie od przespania się z Panterą - przypomniała teraz Ruby przyjaciółom. - Grzybica stóp. Po prostu nie jestem w stanie zadawać się z kimś, kto ma brzydkie stopy.

- W takim razie mam coś dla ciebie - przerwał Martin. - Russell Crowe z grzybicą stóp. Wolałabyś go przelecieć czy umrzeć?

- Byłabym skazana na staropanieństwo - odparła Ruby.

- A Tom Cruise z odciskiem?

- Przestań - Ruby zatkała sobie uszy. - Na samą myśl zbiera mi się na mdłości. Wiesz, że straciłabym dziewictwo o cały rok wcześniej, gdyby Nick Stevens nie pokazał mi swojego wrastającego paznokcia.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że przestałaś się umawiać z chłopakiem z powodu wrastającego paznokcia - powiedziała Lou.

- A jak, na litość boską, mogłabym z nim spać po czymś takim? A jakby tak przesunął mi stopą po nodze, kiedy bylibyśmy w łóżku?

Teraz Lou dostała odruchu wymiotnego.

- Masz rację. Ja straciłam dziewictwo z facetem, który wyglądał jak żaba Kermit, i do tej pory tego żałuję. Ale z tobą chyba wszystko było w porządku, Martin, co? Mam na myśli ten pierwszy raz.

Istotnie, było. Martin jednak nie rozwinął tematu.

Nie miał najmniejszej ochoty kolejny raz snuć opowieści na temat „Jak straciłem(am) dziewictwo”, nie pamiętał bowiem dokładnie, jaką wersję podał dziewczynom ostatnim razem. Mówił - miał takie mgliste wrażenie - iż stracił je z przyjaciółką starszej siostry, kiedy skończył zaledwie czternaście lat. Wolał jednak nie podejmować tego tematu, żeby nagle któraś z dziewczyn nie zwróciła mu uwagi, że ostatnim razem imię przyjaciółki siostry brzmiało inaczej.

Albowiem prawda była taka, że Martin stracił dziewictwo z Ruby, która nie miała o tym pojęcia. Był to ich pierwszy semestr na uczelni. Tydzień pierwszoroczniaków. Martin zauważył Ruby, kiedy kręciła się po uczelnianym holu, usiłując udawać, że nie płacze, kiedy mama i tata zostawili ją wraz z nowiutkim tosterem w drzwiach ponurego budynku z lat siedemdziesiątych. Ponownie zobaczył ją dopiero na balu pierwszoroczniaków, prawie tydzień później. Do tego czasu Ruby zdążyła skumać się z Lou i łzy tęsknoty za domem zastąpiły łzy rozbawienia, kiedy wychylała czwartego drinka z tequila. Na fali alkoholu i poczucia niezależności bez wahania podeszła do Martina. Przytulali się i całowali (z niejaką trudnością) pod Ten Spilit-Nirvany. A potem nagle znaleźli się w jej pokoju.

Ruby, pociągnęła Martina na wąskie jednoosobowe łóżko i zrobiła dla niego miejsce, zrzucając na podłogę swoje ukochane pluszowe misie. W dziesięć minut później Martin był nagi i ejakulował w prezerwatywę o zapachu bananów, nabytą w automacie. Ruby odepchnęła go, wzięła ulubionego misia z kupy leżących bezładnie na podłodze przytulanki i zapadła w głęboki sen, głośno chrapiąc. Martin spędził noc na brzegu jej jednoosobowego łóżka, drżąc z zimna. Czuł się potwornie niezręcznie, ale miał niejasną świadomość, że zmycie się zaraz potem, jak ją zerznął, byłoby dowodem złych manier. Poza tym Ruby trzymała głowę na jego ramieniu i nie śmiała się ruszyć, żeby jej nie obudzić.

Rano Ruby, owinąwszy się ciasno ręcznikiem, tak jakby Martin nie widział jej już na golasa, powiedziała beznamiętnie, że w rodzinnym mieście ma chłopaka, i dodała, że jeśli piśnie komukolwiek słówko o minionej nocy, wówczas ona powie wszystkim o jego przedwczesnym wytrysku. Martin nie odważył się jej wyznać, że do czasu, gdy zaciągnęła go do łóżka, był prawiczką. Ruby ani myślała pytać. Właściwie to przez następne cztery tygodnie w ogóle z nim nie rozmawiała.

W dziesięć lat później żaloszny incydencik Martina i Ruby zajął miejsce wśród innych straszliwych pijackich historii, jak na przykład ta, jak to Martin zasnął z twarzą w kebabie i musiał iść do szpitala, żeby usunięto mu z nozdrzy chili, albo jak ta, kiedy Lou obmacywała się z kapitanem żeńskiej drużyny krykieta. I na szczęście tego wieczoru prowadzący quiz przerwał snucie wszelkich opowieści, zanim się na dobre rozpoczęło. Ruby i Lou przestały myśleć o kwestii dziewictwa Ruby i skupiły się na zaznaczaniu właściwych odpowiedzi w cotygodniowym teście z wiedzy ogólnej.

- Mówiłam ci, że stolica Kalifornii to nie Los Angeles - utyskiwała Ruby.

- A wiedziałaś, że Sacramento? - odcięła się Lou. Dostali trzy punkty na dziesięć możliwych.

- Dobrze się czujesz, Ruby? - spytał Martin, gdy po zamknięciu pubu meandrowali z powrotem w kierunku stacji metra. Objął ją ramieniem i przycisnął. - Przepraszam, że robiłem sobie jaja z twojego ukochanego - dodał, po czym wywalił konwulsyjnie jęzor, niczym dotknięty demencją spaniel i zrobił tę samą minę jeszcze raz.

- Nie, miałeś rację - zaśmiała się tym razem Ruby. - John Flett był beznadziejny i dużo mi lepiej bez niego.

Ile mogą zmienić cztery wódki... Miał tylko nadzieję, że efekt okaże się trwały, kiedy Ruby przebudzi się nazajutrz rano.

- Naprawdę bardzo mi poprawiłeś dzisiaj nastrój - ciągnęła Ruby. - Cieszę się, poszliśmy do pubu. Przynajmniej mam was dwoje. Jesteście najlepszymi przyjaciółmi na świecie.

- Aaaaaaa - zawyli chórem Lou i Martin. - My też cię kochamy.

- Wiecie co, nie zdaje mi się, żeby Flett w ogóle miał jakichś przyjaciół, odkąd zostawił żonę i dwoje dzieci bez środków do życia. Mają wyłącznie to, co ona zarobi na niepełnym etacie.

Martin skrzywił się. Facet naprawdę był beznadziejny.

- Od tej pory żadnych wzmianek na temat Jonathana Fletta - ogłosiła Lou. - To żaloszny pętał.

- Ale czy ja trafię kiedyś na przyzwoitego mężczyznę? - spytała Ruby, przywierając ciaśniej do Martina.

- No jasne - zapewniła ją Lou. - Od soboty zaczynamy szukać czegoś dla ciebie. W sobotę jest wesele Zuzanny. A na weselu każdy może coś poderwać... Potrzeby jest do tego tylko puls.

ROZDZIAŁ 5

Puls... Ruby nie miała pewności, czy jej partner ma jeszcze coś takiego.

Po pierwszej bitwie, podczas której jedna z druhen omal nie straciła oka, gdy ciśnięto w nią garścią migdałów w cukrze, wyrafinowane przyjęcie weselne Zuzanny i Winky'ego zaczęło szybko zmierzać ku totalnej anarchii. Ojciec Zuzanny, milioner, hojnie zamówił po cztery butelki markowego szampana na głowę i ta niezwykła ekstrawagancja wywołała nieprzyjemny efekt. Czterech rugbistów rozebrało się na parkiecie do rosołu. Jeden z nich wetknął sobie w penisa łądygę kwiatu i sugestywnie wskazywał tym kwiatem każdą dziewczynę, która wpadła mu w oko. Ruby mogła się tylko zastanawiać, co też powie on później lekarzowi z pogotowia.

Kiedy zaczęły się wolne tańce, zdołała obronić się przed awansami rugbistów, zdając się na łaskę całkiem innego gatunku seksualnych drapieżców. Zaledwie rozbrzmiały pierwsze wysilone tony *will always love you* w wykonaniu Whitney, Lou pociągnęła Martina na środek parkietu, tak że Ruby nie miała gdzie się schować ani uciec, kiedy przy stole „dla gości różnych” zmaterializował się dziadek Winky'ego i zaoferował jej swoje kruche ramię.

- Jest pani czarującą, czarującą młodą damą - szepnął jej gorąco do ucha, przesuwając dłonią wzdłuż jej ramiączka od stanika.

- Dziękuję - odparła Ruby, wdzięczna, że etykieta nie wymaga, aby odpowiedziała na tę uprzejmość równie szczerym czy prawdziwym komplementem. „A pan jest obleśnym staruszkciem. Proszę zabrać rękę z mojego tyłka” - nie zabrzmiałoby zbyt przyjaźnie.

Już prawie jej się udawało utrzymać dziadunia na bezpieczną odległość, gdy rozbrzmiała powtórnie *Kobieta w czerwieni* i goście hurmem ruszyli na parkiet, przyjmując sztywno łokciową wersję tradycyjnej postawy tanecznej. A już czysty horror zaczął się, kiedy didżej puścił *Satisfaction* Rolling Stonesów. Ruby musiała wybierać między odrazą do starca, który usiłował przyciskać się biodrami do jej bioder, a potwornym strachem, że w każdej chwili może on runąć na podłogę i rzucić raczej przykry cień na to rozszalałe wesele, pokazując, jaki jest kres zabawy. W rezultacie czuła się w obowiązku trwać przy dziadku, kiedy miotał się przy niej konwulsyjnie w rytm melodii, by móc - w razie gdyby zniecka padł - odciągnąć go niepostrzeżenie na stronę, żeby panna młoda nie zauważyła, że ktoś umarł na jej weselu.

Lou i Martin podskakiwali tymczasem entuzjastycznie w górę i w dół za plecami niemal osiemdziesięcioletniego partnera Ruby, bez litości pokazując jej

za każdym razem, ilekroć udawało się im uchwycić jej spojrzenie, uniesiony kciuk.

- Kochaj swojego nowego chłopaka - wymówił bezgłośnie Martin znad ramienia Lou.

- Wdechowy kawaler - powiedziała sarkastycznie Lou, kiedy melodia się skończyła i dziadek poszedł szukać do zabawy kogoś młodszego.

- Super - stwierdziła Ruby, patrząc, jak jej niedawny partner, w takt Come On Eileen (znowu), rusza do tańca z siedemnastoletnią kuzynką panny młodej. - Nie potrafię utrzymać przy sobie nawet siedemdziesięciu paroletniego starca. Jestem skończona.

- Jesteśmy gotowi do odejścia? - spytał Martin, prześlizgując się z gracją pod stołem „dla gości różnych” niczym „Tkanie”, kiedy zderzył się z górą lodową.

- Żadne z nas nic nie zarwało - zauważyła Lou.

- Naprawdę myślisz, że to możliwe? - spytała Ruby. Rozejrzały się uważnie po sali niczym dwaj generałowie pod koniec szczególnie krwawej bitwy. Na meblach leżały porzucane ciała w różnych stadiach negliżu. Pólnagi zabijaka leżał tam, gdzie padł, na środku parkietu, obojętny na wysokie obcasy postukujące niebezpiecznie tuż obok niego. Nie było jeszcze widać krwi, dzięki Bogu. Było natomiast o wiele więcej nagości i wymiotów, niż można by oczekiwać przy tak uroczystej okazji. Ku przerażeniu i zdumieniu dziewczyn, jakaś wytwornie ubrana młoda dama wymiotowała właśnie do torebki.

- Miejmy nadzieję, że to jej własna - powiedziała z grymasem obrzydzenia Ruby.

- Zmywamy się - orzekła Lou i zgarnęła na później parę na wpół opróżnionych butelek szampana.

- No nie. Chyba nie masz ochoty na więcej? - jęknęła Ruby.

- Klin - wyjaśniła Lou z logiką pijaka. - Rano będzie jak znalazł.

- Wygląda na to, że Martina mamy z głowy.

Ruby uniosła obrus. Ich oczom ukazał się Martin, pochrapujący z cicha na stosie niepotrzebnych pantofli i torebek, podczas gdy ulubieniec Zuzanny, terrier z Norfolk, specjalnie wystrojony na tę uroczystość w muszkę - w takim samym kolorze, jak suknie druhen - zlizywał mu pot z czoła mokrym różowym jęczorkiem.

- Mamy go tu zostawić? - spytała Lou.

- Nie sędzę, żeby to było po koleżeńsku - powiedziała Ruby.

- Zostawiamy - zdecydowała Lou. Dziewczyny ruszyły w kierunku drzwi.

Mieli zamówiony nocleg ze śniadaniem o parę mil od wiejskiej posiadłości, gdzie rozstawiono weselną markizę Zuzanny. Hotel, dawna szesnastowieczna

wozownia, z zewnątrz wyglądał idyllicznie. W środku, niestety, nie było równie wspaniale. Pięćdziesiąt funtów od łba, a na mydle Ruby znalazła przyklejony włos łonowy.

Miały wspólny pokój z Lou. W nocy Ruby nie spała zbyt wiele. Kiedy wróciły z przyjęcia, Lou natychmiast padła (na mniej zdezelowane łóżko, toteż Ruby była skazana na sprężynę w nerkach) i przez pół nocy chrapała, leżąc na wznak. Drugą połowę spędziła, jęcząc z powodu postępującego procesu odwodnienia organizmu.

Prawdę powiadają o kacu: że jest coraz gorszy, w miarę jak się starzejemy. Jako szesnastolatka Ruby mogła obalić w piątek wieczorem dwanaście mocnych drinków różnego gatunku, a rano wstać i pójść do pracy w miejscowym salonie mebli ogrodowych, gdzie zarabiała w ciągu dnia dokładnie tyle pieniędzy, ile potrzebowała, by w sobotę wieczorem móc wypić kolejnych dwanaście bacardi z colą. Ostatnio zrezygnowała z mieszania drinków (a w każdym razie starała się wytrwać przez całą noc przy jednym kolorze), wypijała dwa dzbanki wody i brała parę aspiryn, zanim się położyła. Mimo to i tak budziła się z uczuciem, że wyczyściła językiem cały dywan.

No, ale przynajmniej Lou i Martin cierpieli tak samo. Kiedy nazajutrz wczesnym rankiem Lou - daleka od satysfakcji, że pamiętała o tym, by zabrać ze sobą trochę procentów na klina - przewróciła się na drugi bok i zobaczyła (oraz poczuła) koło nocnej szafki dwie niedopite butelki po szampanie, zerwała się i piorunem wyniosła je do łazienki, by zdążyć, zanim natura upomni się o swoje prawa. Następnego dnia po weselu Zuzanny nawet Martin skrzywił się na widok świeżo przygotowanego śniadania. Wyglądał równie żałośnie, jak wyszczerbiona porcelanowa zastawa, w stylu lat sześćdziesiątych, na której podano niechciane jedzenie. Ruby szybko zdała sobie sprawę, że w porównaniu z dwojgiem pozostałymi trzyma się zupełnie nieźle.

- Zarwałem coś? - spytał Martin dziewczyny, kiedy pojawił się niemal w porze lunchu.

- Zasnąłeś pod stołem - odparła Lou.

- Głowę bym dał, że ktoś mnie lizał po twarzy - mruknął.

- Nie mylisz się - zapewniła go Lou. - Pies Zuzanny.

- O rany boskie - jęknął Martin. - Znowu wylądowałem z psem. Rzucam picie - obiecał solennie.

- Kiedy ja to ostatnio słyszałam? - zaśmiała się szyderczo Ruby. - Kac to jak poród. W danej chwili człowiek przysięga, że nigdy więcej, a w siedem dni później w ogóle nie pamięta, że go bolało.

- Zawsze się tylko wymądrzasz - powiedział z bolesciwą miną Martin. - Nie zdarzył ci się nigdy przechlapany weekend przez alkohol?

Obok przepłynęła kelnerka z kolejnym półmiskiem jajeczniczy na bekonie dla kolejnego gościa. Lou i Martin przycisnęli ręce do ust i zachwiali się niczym dwie ofiary choroby morskiej. Opodał, w kącie, jeden z wczorajszych zabijaków, który zamówił śniadanie, też się poddał i dał folgę mdłościom, rzucając się dramatycznie w koszyk z pieczywem.

- Może byśmy się wyciągnęli? - zaproponował Martin. Przeszli do obskurnego hotelowego saloniku i zapadli w fotele z niedzielnymi gazetami w rękach.

- A zatem - rzekła Ruby, kiedy usadowiła się w fotelu z eleganckim dodatkiem poświęconym modzie - kolejne wesele za nami i żadne z nas nie przybliżyło się nawet o krok do tego, żeby być dziewicą w krynolinie.

- Ja nie chcę być dziewicą w krynolinie - oznajmił Martin.

- Ja też nie, skoro już o tym mowa - dodała Lou.

- Mogłoby być miło kogoś poznać - zauważyła Ruby.

- Ja bym tylko chciał wiedzieć, że jakaś urocza dama ma ochotę zobaczyć jeszcze raz mojego penisa, zanim stracę go z oczu na zawsze - powiedział Martin, poklepując swoją powiększającą się talię.

- Ależ dowiesz się - zapewniła go Lou. - Nie pamiętasz, jaką umowę zawarliśmy wczoraj wieczorem? Damy ogłoszenia dla siebie nawzajem.

Ruby i Martin jęknęli niczym para nastolatków, którym przypominano, że obiecali pójść do zoo z cicio-babcią Sarą.

- Uważam, że powinniśmy działać!

Entuzjazm Lou zderzył się z dwoma pustymi spojrzeniami.

- Wczoraj wieczorem oboje uważaliście, że to dobry pomysł - broniła się Lou.

- Nie można mnie pociągać do odpowiedzialności za coś, co powiedziałem pod wpływem bollingera - oświadczył Martin.

- Ale dlaczego by to miało nie zadziałać? - upierała się Lou. - Zuzana i Winky poznali się przez ogłoszenie.

- Oni się ostatecznie poznali w Kennel Club - wyjaśnił Martin. - To się nie zdarzy żadnemu z nas, Lou. Bądź przytomna.

Ruby uśmiechnęła się w filiżankę z kawą, milcząco zgadzając się z Martinem. Lou była jednak tego dnia wyjątkowo apodyktyczna.

- Wiecie co, wydaje mi się, że nie powinniście tak z mety odrzucać mojego pomysłu. Wszyscy jesteśmy singlami. Wszyscy chcemy kogoś poznać, tak czy nie?

- Tak, ale nie jakiegoś przegrańca - parsknął Martin.

- Straszny z ciebie pesymista - westchnęła Lou.
- Realista - poprawił ją Martin. - To jest właściwe słowo.

Ruby, choć romantyczka, chciała móc poprzeć Lou, ale niewiele było rzeczy, które dałoby się powiedzieć na korzyść jej pomysłu. Ogłoszenia matrymonialne od dawna nosiły piętno ostatniej deski ratunku dla desperatów. Albo zdeklarowanych dewiantów. Ruby przypomniała sobie jedną z tych debat w telewizji porannej, kiedy jakaś nieszczęsna kobieta wyznała, że odpowiedziała na ogłoszenie zamieszczone przez mężczyznę, który podawał, że lubi „motorowery i jazdę konną”, a następnie odkryła, że to używany przez Samotne Serca kod na określenie sadomasochizmu i to nie kucyk miał być siodłany...

Jaki procent spośród tysięcy ogłoszeń matrymonialnych, zamieszczanych w gazetach w każdą niedzielę, kończył się bufetem pod biało-różową markizą? O wiele mniejszy, przypuszczała Ruby, niż procent tych, które kończyły się zastrzeżeniem numeru telefonu.

Lou sięgnęła do danych anegdotycznych.

- W moim biurze jest dziewczyna. Koleżanka siostry jej najlepszej przyjaciółki poznała swojego męża przez ogłoszenie matrymonialne - powiedziała z uporem. Ruby zaczęło się kręcić w głowie, kiedy usiłowała zrozumieć ten łańcuch powiązań. - Podobno odpowiedziała na ogłoszenie dla hecy i okazało się, że facet to milioner! Ilu znasz przegranych milionerów, co, Martin?

- Kto by pomyślał, że milioner musi uciekać się do ogłoszenia- zdumiała się Ruby. - Chyba niewiele jest dziewczyn, które powiedziałyby „nie” komuś z takimi pieniędzmi i pozycją.

- Jasne że niewiele. Ale skąd mógł wiedzieć, czy nie lecą tylko na jego kasę? - argumentowała z przejęciem Lou. - Dał ogłoszenie właśnie po to, żeby dziewczyny, które na nie odpowiedzą, nie były zaślepione wielkością jego konta bankowego. To jedyny sposób, aby uniknąć poszukiwaczek złota.

- Nawet jeśli to prawda, jest to tylko wyjątek, który potwierdza regułę - stwierdził Martin.

- Nieprawda! A Mike Gldfield? - wyliczała Lou. - Był uzależniony od ogłoszeń matrymonialnych. Zamieszczał ich setki, dopóki go nie nakryli. Uważasz, że kompozytor Tubular Bells z milionowym kontem to nieudacznik?

- Dwa wyjątki - podsumował Martin. - Aczkolwiek wygląda mi na to, że miał jakiś problem.

- Ogłoszenia matrymonialne przeważnie dają ludzi, których jedynym problemem jest to, że są zanadto zajęci robieniem kariery, żeby uporządkować swoje życie osobiste - upierała się Lou. - Czytałam gdzieś o paru stołecznych

firmach, które zawarły nawet umowę z biurami matrymonialnymi jako część pakietu świadczeń pracowniczych. Szczęśliwe życie rodzinne to szczęśliwy pracownik. - Lou popchnęła rozłożoną gazetę w kierunku Ruby. - Wybierz sobie coś, Rubes. Co byś powiedziała na miłego przedsiębiorcę? Pilota międzynarodowych linii lotniczych? Entuzjastę wyścigów samochodowych, milionera?

- Hm - zastanawiała się Ruby.

- W funtach czy w lirach? - uśmiechnął się szyderczo Martin. - Zgódź się, Lou. Żaden normalny, towarzyski człowiek, bez skrajnych kompleksów czy nerwowych tików - mówiąc to, wskazał wzrokiem Ruby - nie będzie potrzebował uciekać się do pośrednictwa. Jest biuro, siłownia, nawet supermarket. Setki sposobów, żeby znaleźć kogoś, kto ci pasuje. Jeśli człowiek nie potrafi przygadać sobie kogoś bezpośrednio, twarzą w twarz, to najprawdopodobniej w ogóle nie nadaje się na partnera.

- A próbowałeś kiedy przygadać sobie kogoś, stojąc na stairmasterze? - spytała Lou. - No, pomyśl chwilkę, mój drogi. Widziałeś kiedy w ogóle stairmastera na oczy?

Martin ze skruchą wciągnął brzuch.

- I skąd, na Boga, możesz wiedzieć w supermakecie, kto jest bez pary? Liczyć, ile kto ma kartofli w koszyku? A jeśli chodzi o randki w pracy, to wszyscy dobrze wiemy, jak to się kończy.

Ruby spuściła oczy.

- Możecie sobie wyobrazić? Nie pomyślałam o nim ani razu przez cały weekend.

- Z wyjątkiem chwili, kiedy tańczyłaś z dziaduniem, rzecz jasna - zauważył Martin.

- Dobra - przerwała Lou. - No więc nie mam zamiaru wdawać się w żadne romanse biurowe, chyba że moja firma zmieni swój program równych szans, tak żeby obejmował mniejszość, która się zwie „atrakcyjni”. Ogłoszenie w rubryce towarzyskiej to jedyny sposób, żeby pójść naprzód. Określasz precyzyjnie, o co ci chodzi. Nie ma ryzyka, że zadasz się z facetem, który niesie w koszyku stos gotowych dań na jedną osobę, tylko po to, żeby odkryć, iż on i jego przyjaciel mają wybrednego kota, który jada wyłącznie mrożone lasagne od Marksa i Spencera. Nie ma potrzeby ćwiczyć dodatkowe dwadzieścia minut na stairmasterze tylko po to, żeby zrobić wrażenie na lasce we wściekle różowych stringach. I nie ma niebezpieczeństwa, że będziesz musiała odejść z pracy, bo twój biurowy adonis skończył z tobą, przesyłając ci dwie linijki tekstu za pośrednictwem komputera i upokorzył cię na oczach całej firmy.

Ruby jęknęła.

- Przepraszam, Ruby - powiedziała Lou. - Gorzki lek jest najskuteczniejszy. Jedźmy dalej - ciągnęła. - Nie mamy już żadnych znajomych singli, więc nie mamy do kogo chodzić na imprezy i przyjęcia. Oboje oczekujecie ode mnie, że będę porządkować wasze życie osobiste, kiedy wszystko bierze w łeb. Mam za sobą wiele nocy spędzonych na wysłuchiwanie twoich lamentów, Ruby. I wiele nocy spędziłam też, wysłuchując lamentów kobiet, które ty brzydko potraktowałaś - zwróciła się do Martina. - Ruby marzy, żebyś trafił na dziewczynę, która zdała przynajmniej końcowe egzaminy w szkole podstawowej. A Martin marzy, żebyś ty, Rubes, chociaż raz spróbowała chodzić z kimś, kto nie ma na liczniku sporego przebiegu i nie został rzucony przez pierwszą żonę. No więc to jest szansa, żeby dobrać koleżance czy koledze takiego partnera, jaki, naszym zdaniem, jest mu naprawdę potrzebny. Możemy nawet wprowadzić element motywacji finansowej. Pięćdziesiąt funtów od łba, a pierwsza osoba, której ogłoszenie okaże się skuteczne, inkasuje całość. Co wy na to?

Ruby przeniosła spojrzenie z Lou na Martina, żeby sprawdzić, czy zaczyna się wahać.

- Wiesz co - powiedział nieoczekiwanie Martin - jeśli komukolwiek z nas przytrafi się dzięki ogłoszeniu choćby interesująca rozmowa telefoniczna, to z przyjemnością zapłacę ci moją działkę.

- W porządku. - Lou wyciągnęła do niego rękę. - Ale to oznacza obietnicę, że dasz mojemu planowi szansę realizacji.

- Słowo harcerza - przyrzekł Martin.

- On nigdy nie był harcerzem - zaznaczyła Ruby. Mimo to Martin wyciągnął dłoń.

- A ty, Rubes? - spytała Lou. - Jesteś za? Ruby z wahaniem wyciągnęła rękę.

- Boja wiem... Możecie mi przyrzec, że nie umówicie mnie z nieudacznikiem?

- Przyrzekamy! - zawołali chórem Martin i Lou.

- W takim razie, czemu nie.

Trójka przyjaciół splotła dłonie w dziwaczny potrójny węzeł, sprawiający wrażenie, jakby za chwilę mieli się przemienić w zwalczające przestępczość super istoty.

- W porządku - powiedziała Lou. - Idę o zakład, że zrobię na tym niezłą kasę. Od ręki zabieram się do szukania kogoś dla was.

- Myślałam, że mamy zamieścić ogłoszenia - zauważyła Ruby.

- Zamieścić ogłoszenia, odpowiedzieć na ogłoszenia... Najważniejsze, że mamy znaleźć partnerów dla siebie nawzajem. - Poklepała Ruby po ręce. - No, nie bądź taka zafrasowana.

- Mam niemiłe wrażenie, że powinnam - jęknęła Ruby.

- Nie powinnaś - uspokoiła ją Lou. - To będzie świetna zabawa. Zapowiada się, że przeżyjemy fantastyczne lato. Martinie, Ruby - wygłosiła z powagą - przygotujcie się na szczęście w miłości.

RS

ROZDZIAŁ 6

W drodze powrotnej do Londynu Lou i Ruby ryzykowały, że dostaną ataku choroby lokomocyjnej, czytając wszystkie ogłoszenia w rubryce towarzyskiej. Lou przysięgała, iż ze względu na Ruby odpowie na absolutnie każdy anons pochodzący od mężczyzny poniżej sześćdziesiątki, chyba że będzie z niego wynikało, że facet interesuje się innym mężczyzną albo że „oczekuje dyskrecji”, co oznacza, że jest już żonaty.

Każde trzylinijkowe ogłoszenie sprawiało, że jego autor wydawał się tak pociągający... Dla świeżutkiego singla z odzysku, jakim była Ruby, rubryka Spotkania w dodatku do „Sunday Timesa” zatytułowanym „Styl” to jak wierzchnia warstwa czekoladek w bombonierce, dopiero co rozpakowana z celofanu na zakończenie długiej, samotnej diety. Mając do dyspozycji całe pudełko, decyzja, którą zjeść najpierw, wydawała się trudna.

- Jak myślisz, czy ja jestem dziewczyną, która wygląda dobrze zarówno w balowej sukni, jak i w lewisach? - spytała Ruby, zatrzymując długopis nad ogłoszeniem Prawdziwego wiejskiego dżentelmena, posiadającego domy w Londynie i w okolicach.

- Dzwon - orzekła Lou. - Jakby małżeństwo nie wypaliło, wtedy on może zostać na wsi, a ty zamieszkasz w miejskim domu razem z nami.

- Czy ty czasem nie wyskakujesz przed orkiestrę? - spytał Martin. Czuł się trochę odstawiony na boczny tor, kiedy tak przeczesywały mężczyzn, podczas gdy on prowadził.

- Twój problem - odparła Lou - polega na tym, że nie masz wyobraźni. Nic dziwnego, że dotąd nie skończyłaś tej powieści.

- Nie mieszaj w to powieści - ostrzegł Martin.

- To nie psuj nam zabawy. I staraj się nie przekraczać dozwolonej prędkości. A jakby tak ten, Ruby? Księgowy z duszą poety?

- Brzmi fantastycznie - zgodziła się Ruby.

Miały się jednak wkrótce przekonać, że jeśli rubrykę Spotkania określić mianem pudełka czekoladek, to pełno w nim jest pralinek nadziewanych kremem pomarańczowym, których nawet pies nie chce jeść.

Trzeba znać swojego wroga. Umieć odróżnić ziarno od plew. A Lou i Ruby nie wiedziały, czego się trzymać. Zakreśliwszy kółkiem wszystkie ogłoszenia, które je interesowały (a także parę dla Martina), dziewczyny wycofały się do mieszkania Lou, żeby napisać wstępne listy, a przede wszystkim zadzwonić pod numery, które towarzyszyły każdej skrytce pocztowej.

Każdemu autorowi ogłoszenia przydzielono linię z numerem telefonu, pod którym można było zostawić krótką wiadomość z podaniem szczegółów, jakich wymagano w ogłoszeniu drukowanym. Taki telefon kosztował, rzecz jasna, znacznie więcej niż zwykły, ale Ruby i Lou uznały, że obdzwonienie tych linii to inwestycja, na którą po prostu muszą się zdecydować. Ostatecznie, jeśli ktoś będzie miał osobliwy głos albo powie coś, co wzbudzi ich podejrzenia, wówczas przynajmniej zaoszczędzą na kosztach znaczka i godzinach, jakie strawiłyby na pisanie listu.

Ogłoszenia, w których nie podano numeru, zostały skreślone od ręki. Ruby i Lou uznały, że jeśli facet nie zadał sobie trudu, aby nagrać wiadomość telefoniczną, to ma miejsce jeden z czterech przypadków. Po pierwsze - jest skąpy. Lou szybko spostrzegła, że samo zamieszczenie oferty telefonicznej jest bezpłatne. Natomiast za odsłuchiwanie pozostawionych wiadomości facet płaci tyle samo, ile dziewczyny, które dzwonią, żeby wysłuchać oferty. Mało prawdopodobne, by mężczyzna, który nie chce wydać sześćdziesięciu pensów za minutę połączenia, żeby posłuchać głosu należącego, być może, do przyszłej wybranki, okazał się hojny w obsypywaniu jej prezentami, kiedy ją w końcu znajdzie.

Po drugie, facet może być nadmiernie nieśmiały.

- A co jest złego w tym, że ktoś jest nieśmiały? - zaprotestował Martin. Lou była jednak bezlitosna również i w tym punkcie. Nie interesują jej mężczyźni, których trzeba by niańczyć w sytuacjach towarzyskich.

Przyczyna numer trzy: facet nie zdołał wymyślić nic dostatecznie inteligentnego. Co nie znaczy, jak później odkryły, że powstrzymuje to wielu mężczyzn przed pozostawieniem wiadomości.

Powodem numer cztery była potworna wada wymowy.

- Na wadę wymowy nie można nic poradzić - zauważył Martin, kiedy Lou oznajmiła, że jest to czwarty z kolei defekt nie do wybaczenia.

- O tak. - Lou zmarszczyła czoło. - Nie przypominam sobie jakoś, żebyś był równie wyrozumiały, kiedy rzucałeś biedną Webecę z Wuislip.

Martin zbladł na wspomnienie swojej eks.

- Spróbujcie jakoś zawęzić obszar poszukiwań - zrejterował.

- Zadzwoń do tego - zwróciła się Lou do Ruby. Wskazała ogłoszenie, w którym było napisane:

Czy chcesz być moją muzą? Wrażliwy, pisarz, 32, szuka poważnej, zmysłowej damy w celu nawiązania przyjaźni, a być może czegoś więcej.

- Czy ja jestem zmysłowa? - zastanowiła się Ruby.

- Masz łaskotki na podeszwach - przypomniała Lou.

- W takim razie na pewno jestem.
- Ale czy jesteś damą? - spytał Martin.

Ruby wybrała numer i z niecierpliwością wysłuchiwała długiej gadki na temat oferowanej usługi (informacje podawano w superwolnym tempie, tak by wykorzystać jak najwięcej czasu, za który dzwoniący płaci), i dopiero potem mogła wstukać numer skrzynki, o którą jej chodziło. Minęła cała minuta za dwa funty pięćdziesiąt, zanim w końcu usłyszała:

— Cześć. Mam na imię Davide.

Davide. Z „e” na końcu. W stylu włoskim. A nie zwykły angielski David. Lou podniosła głowę znad słuchawki, którą dzieliły z Ruby, i z aprobatą pokiwała głową. W każdym razie głos pisarza był odpowiednio głęboki. Żadnego zauważalnego seplenienia czy jąkania. A „Davide” brzmiało egzotycznie, a równocześnie niezbyt pretensjonalnie.

- Przeczytałaś już moje ogłoszenie — mówił dalej Davide — i chciałabyś dowiedzieć się o mnie czegoś więcej.

- O, tak - szepnęła Ruby. - Cudny głos... Chyba trafiłyśmy na tego właściwego.

- Od czego by tu zacząć? - zastanowił się Davide. - Mogę na przykład powiedzieć, że jestem wydawanym poetą...

- Poeta! - parsknął Martin. Słuchał rozmowy z dodatkowego aparatu w sypialni Lou. Jako powieściopisarz in spe generalnie pogardzał każdym, kto napisał cokolwiek do rymu.

- Ale pracuję też obecnie jako redaktor...

- Jest redaktorem! - wrzasnął Martin z sypialni, tak jakby dziewczyny nie słyszały.

- Szukamy partnera dla Ruby! - odwrzasnęła Lou. - A nie kogoś, kto wyda twoją nieistniejącą powieść!

- Redaktor? - spytała Ruby z troską. - A jeśli to ktoś, kogo znasz? Jeśli to John Simpson?

Ruby spotykała się, bardzo krótko, z redaktorem z wydawnictwa Lou, który rzucił ją z powodu „ograniczonych horyzontów”, bo nie chciała użyć sztucznego penisa po ich pierwszej randce.

- On nie ma na imię Davide - przypomniała Lou.

- No nie. Ale to akurat takie imię, które spokojnie mógł sobie wymyślić.

- Co jeszcze mogę o sobie powiedzieć? - ciągnął autor ogłoszenia. - Mogę powiedzieć na przykład, że mam metr osiemdziesiąt wzrostu...

- To nie John - odetchnęła z ulgą Ruby. - John miał tylko metr siedemdziesiąt pięć.

- A mężczyźni nigdy nie kłamią na temat swoich wymiarów - skomentowała Lou.

- ...jestem szatynem o piwnych oczach, a niektórzy uważają, że jestem troszkę podobny do Hugh Granta. Po ciemku...

Davide zaśmiał się. Ruby zachichotała uprzejmie. Martin wydał jęk, od którego zadrżał pokój.

- Wszystko, co powiedziałem do tej pory, może ci się wydać nudne. Wobec tego, żeby mieć pewność, że zrobiłem na tobie właściwe wrażenie w tym krótkim czasie, jaki mamy do dyspozycji, zdecydowałem, że resztę informacji o sobie podam wierszem.

Wierszem? Trójka przyjaciół poczuła, jak żołądki ściskają im się w przeczuciu najgorszego. Ma zamiar odczytać wiersz?

Davide odchrząknął.

- O Boże - jęknęła Lou. - On naprawdę zamierza to zrobić. - A więc... - zaczął Davide. - O piękna pani, czekająca tam, tak długo byłaś sama, i ja też byłem sam, ale już za nami, długie, mroczne dni, możemy odtąd razem, śnić cudowne sny. Będę trzymał cię za dłoń, rano, wieczór i o świcie, podaj mi swój numer, przed nami piękne wspólne życie. Będziemy razem patrzeć, na kwitnące bzy, jeśli mnie wybierzesz, nigdy nie popłyną łzy. O piękna pani, czekająca tam, daj mi swój numer, a ja ci siebie dam. Czekam niecierpliwie na spotkanie z tobą, wyśniona pani.

I z lekkim odgłosem zdmuchniętego w słuchawkę pocałunku Davide się rozłączył.

Ruby z namysłem odłożyła słuchawkę. Lou padła na fotel, z przerażeniem ściskając głowę dłońmi. Martin dołączył do dziewczyn w salonie, żeby wziąć udział w naradzie.

- O rany - westchnęła Lou.

- Grafoman - oświadczył bez ogródek Martin.

- Ale powiedział, że ma metr osiemdziesiąt wzrostu - zauważyła Ruby. - Jak dotąd jest najwyższy ze wszystkich.

Był to ważny wzgląd dla dziewczyny, która mierzyła metr siedemdziesiąt sześć w samych tylko pasiastych skarpetkach.

- Przeczytał wiersz przez telefon - zaprotestował Martin. - Użył wyrażenia „piękna pani”. Dwukrotnie. A poza tym w wierszu nawet nie było rytmu!

- Daj mu szansę - powiedziała Ruby. - Uważam, że jest odważny. I niepospolity.

- Ciekawe, kto go wydał. - Martin z sarkazmem położył nacisk na ostatnim słowie.

- Ale tak czy owak coś mu wydali - odparowała Ruby.

- O tak... Pewnie własnym nakładem wypuścił jakieś proekologiczne, komunistyczne pam flety, które własnoręcznie rozdaje na Speakers' Corner. Założę się, że ta jego posada w charakterze redaktora to jest „Miesięcznik wędkarski”. A poza tym ma śmieszny głos. - Martin zakończył swoją tyradę już z mniejszym przekonaniem.

- Wcale nie ma śmiesznego głosu. Lou, jak myślisz - zadzwonić jeszcze raz i zostawić mu swój numer? - spytała błagalnie Ruby. - I co mam powiedzieć, jeśli zadzwonię? Czy moja odpowiedź też powinna być rymowana?

- Och, zlituj się - jęknął Martin. - Na przykład jaka? Najdroższy Dave, kocham cię nad życie. Proszę, przyjdź i przeleć mnie o świcie?

Przez pokój przeleciała poduszka, wycelowana w kierunku głowy Martina.

Lou w milczeniu rozważała kwestię przez całe pięć sekund, stukając długopisem w podbródek.

- Nie - zdecydowała. - Nie powinnaś dzwonić jeszcze raz.

- Ale on jest młody. Wysoki. W miarę - powiedziała Ruby niemal z rozpaczą.

- Ale to ewidentny grafoman - stwierdziła Lou.

- Dzięki, Lou - westchnął Martin. - Zdrowy rozsądek zwyciężył.

- Nie możemy tracić czasu na odpowiadanie na oferty, które powodują, że czujemy się niezręcznie - wyjaśniła Lou.

- Ale ja się nie czuję niezręcznie - zaprotestowała Ruby. - A wydawało mi się, że tym razem wybieramy dla mnie.

- Już ustaliłyśmy, że jesteś beznadziejna, kiedy wybierasz mężczyzn dla siebie - przypomniała jej Lou. - Dlatego tym razem zdajemy się na mój instynkt. Kiedy słucham tego faceta, dostaję drgawek.

- Wiem dokładnie, o co ci chodzi - rzekł Martin. - Czy on naprawdę uważał, że taki wiersz to dobry pomysł?

Lou zacytowała z pamięci parę linijek, naśladowując w miarę udatnie głos Davide'a.

- No dobra - zgodziła się Ruby po dłuższej chwili. - Ja też dostaję drgawek. On jest okropny.

- No to Davide'a mamy z głowy - powiedziała zdecydowanie Lou i przekreśliła jego ogłoszenie na czerwono. Niestety, nie polepszyło to specjalnie sytuacji.

- Dwudziestoośmioletni przedsiębiorca z własnym ferrari! - kwiknęła w pewnym momencie Ruby. Kiedy jednak zadzwoniły pod właściwy numer, „wesoły jajcarz” (sam się tak określił) Toby Jakes wyjawiał z histerycznym chichotem, że tak naprawdę ma pięćdziesiąt dwa lata i jeździ rhinocyperem.

- A jednak skłoniłem cię, żebyś zadzwoniła, co? - zaśmiał się triumfalnie. Śmiech brzmiał tak wrednie, że Ruby niemal rzuciła słuchawką.

Martin powiedział, że jego zdaniem dziewczyny tracą czas. Na każdą kobietę, która znalazła przez ogłoszenie swojego pana Właściwego, multimilionera, wywodził, przypadają tysiące tych, które skończyły na tym, że poszły do knajpy z jakimś spoconym burakiem, gdzie dzieliły z nim koszty konsumpcji pół na pół. A co do ogłoszeń, które wybrały dla niego... Na litość boską! Jak można napisać, że się ma PH, co oznacza Poczucie Humoru, i w tym samym wierszu odwoływać się do „supersitcomu” Birds ola Feather!

Zwrócił uwagę, że żadna z opowieści Ruby i Lou na temat ogłoszeń, które zakończyły się sukcesem, nie wspomina ani słowem o mężczyźnie, który odkrył, że tajemnicza autorka anonsu ma nogi jak żyrafie niemowlę, ciało supermodelki i mózg kosmonauty. Wkrótce stało się jasne, że panie, które ogłaszają się w rubryce towarzyskiej, mają po pięćdziesiąt lat z hakiem, są po przejściach i szukają kogoś, „kto by je kochał i dbał o nie”, niczym o cenne antyki, jakimi były.

Prawie trzy godziny później Ruby odeszła od telefonu po odsłuchaniu anonsu kolejnego pana, który utrzymywał, że ma ciało zawodnika, ale każde zdanie kończyło się zadyszką, tak że nie sposób było uwierzyć, iż potrafi samodzielnie wejść po schodach, a co dopiero przebiec z piłką długość boiska. Za sobą miała gościa, który zaczął swoją wiadomość od owych magicznych słów „szukam trwałego związku”, ale zakończył informacją, że tak naprawdę pragnie znaleźć kobietę, z którą mógłby zamieszkać na Marsie, kiedy jaszczury z Urana ostatecznie podniosą głowy i podbiją planetę Ziemię.

- Nie wiem, czy mogę wziąć na siebie taką odpowiedzialność - stwierdziła.

Przerażająca liczba ogłoszeniodawców to byli ludzie, którzy szukali czegoś na boku, żeby ożywić swoje nieudane małżeństwo. Ruby błagała, by zostawić jej pewnego pana, który utrzymywał, że jest w separacji, a wyrok rozwodowy ma prawie w kieszeni, ale Lou i Martin byli nieubłagani. Sprawiał wrażenie przyjemnego faceta, co do tego Lou się zgadzała. Ale Flett też wydawał się przyjemny, kiedy Ruby spotkała go po raz pierwszy.

- Chcesz przejść przez to samo jeszcze raz? Wydźwignąć jakiegoś faceta z otchłani rozwodowej rozpacz tylko po to, żeby poleciał za inną, za ledwie odzyska pewność siebie?

Słowa te dźgnęły Ruby niczym sztylet. Na kim wypróbowała teraz Flett swoją przywróconą na nowo pewność siebie?

- To beznadziejne - powiedziała. - Nie ma ani jednego, który by mi się podobał z głosu i sposobu mówienia, z wyjątkiem tego, co się rozwodzi. To rzeczywiście sami przegrani.

- Nie! - upierała się Lou. - Musimy dalej orać ten ugór. Spójrz na nas! Czy my jesteśmy przegrani? Będzie zupełnie inaczej, kiedy to my zamieścimy ogłoszenia, zobaczysz. Ludzie tacy jak my będą dzwonić i palić się do randki właśnie dlatego, że cała reszta jest taka beznadziejna... Ogłosmy się w tym tygodniu. W następny piątek możemy mieć pierwszą randkę w ciemno.

Ruby wzruszyła ramionami.

- Wszystko mi jedno. Muszę już iść do domu. Martin poparł ją.

- Chcę się trochę wyspać przed pracą- ciągnęła Ruby. - Co nie znaczy, że będę mogła spać, skoro cały czas myślę o Fletcie.

Lou przewróciła oczami.

- Opanujcie się! Chodźcie, ułożymy te ogłoszenia teraz, dopóki się tym zajmujemy. Zobaczycie, że to świetny pomysł!

- Czy przypadkiem nie to samo mówią nowi labourzyści o Kopule Millennium?

Lou nie rozumiała, dlaczego jej dwoje przyjaciół nie wpadło w szal entuzjazmu na wieść o planie, który ułożyła. Pomysł był genialny, najlepszy jaki kiedykolwiek miała. Zredagowanie ogłoszeń dla siebie nawzajem wydawało się jedynym sposobem, żeby zapewnić każdemu kochanka, na jakiego zasługuje.

Jeśli człowiek urodził się w Wielkiej Brytanii, to jako dziecko tak często jest gromiony, by nie wynosił się nad innych, że kiedy osiągnie dorosłość, nie potrafi praktycznie wyliczyć swoich zalet. Właśnie dlatego klasyczne pytanie, jakie słyszysz, kiedyś ubieganiu się o pracę: „Co uważa pan (pani) za swoje mocne strony?“, jest dla szanującego się Brytyjczyka takim koszmarem. Zadajcie to pytanie dowolnemu Brytyjczykowi dowolnej płci, a najprawdopodobniej będzie przez pół godziny gryźć paznokcie, po czym bąknie: „No więc... nie kradnę ołówków z szafki z materiałami biurowymi” - gdy tymczasem powinien powiedzieć: „Jestem kreatywny, świetnie współpracuję w zespole, mam wybitne zdolności przywódcze i dzięki mnie wasza cholerna firma może się znaleźć na szczycie Nasdaq!”

Podobnie, przedstawienie się osobie odmiennej płci w taki sposób, by przebierała nogami na myśl o spotkaniu z tobą, jest praktycznie niemożliwe. To po prostu nie po brytyjsku. Weźmy chociażby takie oto typowe odpowiedzi na pytania podczas pierwszej randki:

- Słyszałem, że napisałaś powieść...

- No wiesz, zawsze nieźle pisałam na maszynie, więc... - Czy to prawda, że byłeś bramkarzem Manchester United?

- No wiesz, rzeczywiście mam dosyć duże dłonie, więc... Deprecjonowanie komplementów, strząsanie ich z siebie wzruszeniem ramion - oto brytyjski sposób reakcji.

I dlatego, aby uzyskać choćby w przybliżeniu wierny opis Brytyjczyka czy Brytyjki, należy o to zapytać ich przyjaciół. O ile w żadnych okolicznościach niedopuszczalne jest w tej pięknej i zielonej krainie pianie hymnów pochwalnych na własną cześć, o tyle peany na cześć najlepszego kumpla czy kumpelki są w zasadzie do przyjęcia.

I właśnie tak zamierzała postąpić Lou wobec Martina, kiedy będzie zamieszczać jego ogłoszenie w rubryce Spotkania w „The Sunday Times”. Sprawi, że jej przyjaciel wyda się wszystkim kandydatkom najlepszą partią od czasów Moby Dicka. Tyle że nie tak grubą, rzecz jasna.

Kolejny poniedziałkowy ranek. Efekt poweselnego kaca sprawił, że Lou wybrała się do pracy z niewielkim opóźnieniem.

Tylko piętnastominutowym, ale wystarczającym, by do chwili, gdy dotarła do stacji metra, tłum wypełniający perony w godzinie szczytu całkowicie zniknął. I, o radości, kiedy nadjechał pociąg, okazało się, że Lou ma nawet miejsce siedzące! Usiadła i wróciła do układania na marginesie swojego „Guardiana” anonsu dla Martina.

Ciepły, błyskotliwy pisarz? Podobałoby mu się to. Seksowny superhandlowiec? Cóż, gdyby odciąć „seksowny” i „super”, to przynajmniej fakty by się zgadzały. Głupawy dowcipniś? Ruby niewątpliwie zaakceptowały taką formę. Odrobinę podobny do Robbiego Williama? Nic z tego. Choć Martin lubił myśleć o sobie, że wygląda jak Robbie Williams, idealna gwiazda pop, Lou i Ruby wiedziały, że jego babcia tak naprawdę miała na myśli, że jest podobny do Robina Williama, starzejącego się amerykańskiego komika.

Próbując wymyślić możliwie najtrafniejszy sposób opisu ponadtrzydziestoletniego obiboka, z rozwianą w stylu typowym dla uczniów prywatnych szkół czupryną, co wprawia niektóre dziewczyny w szal zachwyty, Lou podniosła głowę i rozejrzała się po współpasażerach. Dziewczyna naprzeciw niej, w odrobinę za ciasnym kostiumie oraz idiotycznych ciężkich butach czytała „Ms London”. Pewnie pracuje dorywczo w jakimś biurze, zdecydowała Lou. Obok zajął miejsce mężczyzna w koszulce Arsenal i zakurzonych džinsach i czytał „Sun”. Robotnik budowlany, zdecydowała. Wraca na budowę po nielegalnym zarejestrowaniu się w pośredniaku jako bezrobotny. A trzy miejsca za nim siedziała kobieta, którą tydzień temu Lou błędnie wzięła za ciężarną. Nic

nie czytała. Wpatrywała się po prostu w przestrzeń przed sobą z takim grymasem ust, jakby zamierzała warknąć.

Czując na sobie wzrok Lou, kobieta zwróciła się nagle w jej kierunku. Lou szybko podniosła gazetę niczym tarczę ochronną i jechała tak, ukryta za nią, do końca.

A jednak to, że zobaczyła po raz kolejny tę wściekłą babę, napawało ją jakąś dziwną otuchą. Stanowiło bowiem dowód, że piorun może uderzyć dwa razy w to samo miejsce. Skoro w ciągu niespełna tygodnia ta pani znów wjadła do tego samego wagonu co Lou, nie było totalną niemożliwością, że wyśniony kochanek zrobi kiedyś to samo.

Lou nie potrafiła się już skupić na ogłoszeniu Martina. Znowu poczuła, jak jej ciało przenika rozgrzana do czerwoności fala pożądania. Samo wspomnienie tamtego uśmiechu działało na nią tak mocno, że spociła się, zupełnie jakby widziała go stojącego w przeciwległym kącie dusznego nocnego klubu, aż musiała się wachlować gazetą. Ale się zaczął ten poniedziałek! Gdyby tak potrafiła wydestylować ten efekt w dwie linijki tekstu i zamieścić ogłoszenie, że TO jest właśnie to, czego oczekuje od partnera...

„Zdolność doprowadzania mnie do tego, że słabną mi kolana” - zanotowała maczkiem na marginesie.

RS

ROZDZIAŁ 7

Już niemal od siedmiu miesięcy Martin tłumił swoją potrzebę twórczości i pozwalał, by jego bezcenny laptop pokrywał się kurzem w kącie sypialni. Jednak w poniedziałek po weselu Zuzanny, gdy Barry, szef działu sprzedaży całego imperium International Magazines, wydzierał się na temat opłakanego stanu (tj. pustostanu) ostatnich stron „Satyra”, Martin wiedział, że nie może pozwolić, by kolejne siedem miesięcy minęło jak sen. Musiał uciec z International Magazines, zanim stanie się łysolem, który ubrany w tani świecący garnitur, truje o zadaniach docelowych i nieprzekraczalnych terminach.

- Jesteście beznadziejni! Wszyscy bez wyjątku! - Barry zakończył spotkanie nawet bardziej wylewnie niż zazwyczaj.

Zespół Martina wyszedł z pokoju z nisko opuszczonymi głowami. Nawet biurkowy kalendarz Lee Dilberta nie był w stanie ich pocieszyć tego dnia. Odczytywanie kolejnego dowcipu w kalendarzu Lee stało się biurowym rytuałem, podobnym do zwyczaju więźniów, którzy rysują kredą na ścianie kolejną kreseczkę na znak, że minął jeszcze jeden dzień zapuszkowania.

- Co się dziś stało Barry'emu? - spytała Mel. Martin wiedział, że Lee wybrał Melanię spośród pół tuzina starających się o tę pracę, bo sądził, że będzie ozdobą biura. Teraz, w sześć miesięcy później, chłopcy niemal nie zwracali już uwagi na jej nogi, ale Martin nic nie mógł poradzić na to, że zwraca uwagę na jej twardy akcent z Sarf Landan.

- Pewnie kobieta mu w nocy nie dała - podsunął z namysłem Lee.

- W takim razie dziwię się, że nie jest taki za każdym razem, kiedy mamy zebranie - powiedziała Mel. - Dłużej tego nie zniosę, Lee. Jeśli jeszcze raz będę musiała przejść przez coś podobnego, zabieram się stąd w cholerę.

- A kto mi będzie poprawiał humor, jak odejdziesz? - spytał Lee.

- Masz Martina - przypomniała mu Mel.

- Taaa - powiedział przeciągle Lee. - Martin nigdy stąd nie odejdzie, no nie, Mart? To już właściwie część umeblowania, ten nasz Martin. Nie pora ci na zwolnienie warunkowe? - zadrwił. - Ile czasu tu siedzisz? Pięć? Sześć lat?

- Siedem - Martin skrzywił się z niesmakiem.

- To dłużej, niż gdybyś naprawdę kogoś zakatrupił i musiał odsiedzieć wyrok - zawyrokował Lee. Po czym zapytał niemal z troską: - Dobrze się czujesz, stary? Jakoś nic dzisiaj nie mówisz.

- No - powiedział Martin. - Ciężki weekend - dorzucił.

- Tylko żebyś nie próbował zmyć się po lunchu - przestrzegła go Mel. - Mam potąd krycia was obu, kiedy lecycie kaca w towarzystwie co ładniejszych klientek.

- Dziś to raczej mało prawdopodobne - ciężko westchnął Martin. Tego dnia miał się spotkać na lunchu z klientem z internetowej agencji samotnych serc, która specjalizowała się w wyszukiwaniu Panów Właściwych dla gejów. Niespecjalnie cieszyła go ta perspektywa. Martin lubił służbowe spotkania przy lunchu, kiedy istniał choćby cień szansy na flirt albo rozmowę o piłce nożnej, natomiast Mikey z www.getyourrocksoff.com ewidentnie nie mógł być dziewczyną w jego typie... Nawet gdyby miał na sobie odłotowy różowy T-shirt z napisem Seksowny kociak i najbardziej obcisłe džinsy, jakie Martin oglądał na oczy od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego.

Poczuł się niezmiernie zaskoczony, gdy odkrył, że tak naprawdę mają z Mikeyem wiele wspólnego. Załatwiwszy szybko sprawy biznesowe - ćwierć strony w kolorze w numerze październikowym i listopadowym „w sam raz, żeby dotrzeć do smutasów, którym grozi spędzenie świąt w samotności” - przeszli do bardziej interesujących tematów. Zanim Mikey został szychą w internecie, jeździł w trasy koncertowe w charakterze członka chóru z wieloma zespołami, które Martin znał ze słyszenia. - Podkładałem głos pod jednego z lewków w czwartej wersji Króla Lwa - dorzucił z ustami pełnymi sałatki z rzeżuchy w balsamicznym occie.

- Super - zauważył Martin.

- Widziałeś to? Naprawdę? - spytał Mikey.

Potem zaczęli rozmawiać o literaturze i zjawiskach paraliterackich.

- Mam kolegę, który jest pisarzem - powiedział Mikey. - Ale nie pisze książek, wyobraź sobie. Scenariusze. O wiele lepsza kasa. Właśnie sprzedał jakieś prawa Warner Brothers za ćwierć miliona funtów.

Martin podniósł oczy znad filiżanki z kawą.

- Serio? - spytał.

- Absolutnie. W jednej chwili był barmanem w The Fridge, a w następnej już leciał na zaproszenie do Hollywood. Na lotnisko przysłali po niego limuzynę. Mieszkał w tym samym hotelu, do którego Richard Gere zabrał Julię Roberts w Pretty Woman. Wiesz, podobno na najwyższym piętrze tego hotelu mają apartament, gdzie pośrodku salonu jest, kurczę, staw, w którym pływają karpie. Nie masz pojęcia, co mu się tam przydarzyło. Jak chcesz, to mogę ci opowiedzieć...

- A o czym był scenariusz? - przerwał Martin, czując, że nawet jeśli nie zechce wiedzieć, co się przydarzyło znajomemu Mikeya w pełnym karpie stawie w hotelowym apartamencie, to Mikey i tak gotów jest zacząć opowieść.

- Och, o tym i owym. No wiesz... O randkach.

- O randkach?

- To jest bardzo gorący temat. Tak powiedzieli ci ze studia. Miliony ludzi nie potrafią zejść ze swojej samotnej skały. - Mikey roześmiał się na tę aluzję do adresu swojej strony internetowej. - I każdy z nich będzie czerpać pociechę z faktu, że Meg Ryan udało się znaleźć swojego faceta. Bo to ona jest przewidziana do głównej roli żeńskiej. Albo ona, albo Gwyneth Paltrow.

- Jestem pod wrażeniem - mruknął Martin.

- Na mnie tam żadna nie robi wrażenia - wtrącił Mikey.

- A jak twój przyjaciel w to wszedł? - nie ustępował Martin. - Mam na myśli pisanie.

- Bóg jeden wie. Sam byłem zdziwiony. Nawet nie wiedziałem, że umie czytać. Myślę, że potrafi świetnie kłamać - uśmiechnął się Mikey. - Dowiedziałem się o tym, kiedy uciekł z moim ekschłopakiem.

- I nadal jest twoim przyjacielem?

- Nie ma sensu pielęgnować urazy. A poza tym jest także moim dealerem.

- O! - Martin przygwoździł frytkę i wrzucił ją do ust, żeby mnie pokazać swego zaskoczenia.

- Interesuje cię pisanie?

- Trochę próbuję - przyznał Martin.

- Musisz mieć szerokie horyzonty, jeśli chcesz być pisarzem - zauważył Mikey. - Zbierać rozmaite doświadczenia - dodał, nachylając się nad stołem.

Martin rozsiadł się wygodniej na krześle.

- No... Przypuszczam, że ty to robisz. To mówisz, że o randkach? Gorący temat.

- Najgorętszy z gorących - wydyszał lubieżnie Mikey i wychylił się ku Martinowi tak daleko, że przewrócił solniczkę.

Martin uznał, że lepiej nie zamawiać drugiej butelki wina.

Kiedy jednak wrócił do pracy, wiedział, co ma robić. Wieczorem wyciąga laptopa i zaczyna pracę nad powieścią od nowa. Skoro zatrudniony na część etatu barman, a jednocześnie narkotykowy dealer mógł dać sobie radę jako pisarz, to i on sobie da. Dzięki śmiesznemu randkowemu paktowi, wymyślonymu przez Lou, będzie miał o czym pisać.

Kiedy tego dnia, po powrocie z lunchu, Ruby sprawdziła swoją pocztę elektroniczną, znalazła w niej dwie notki od Johna Fletta. Ponowne pojawienie

się jego nazwiska w poczcie przychodzącej było niespodzianką. Od dnia, gdy poinformował ją, że zrywa ich związek, nie dostawała od niego żadnych wiadomości.

Jeden z e-maili był zatytułowany Materiał dla prasy. W porządku. Od dawna czekała, żeby przysłał swoje uwagi na temat jej fascynującego tekstu pod tytułem Łożyska kulkowe Barringtona. Drugi został wysłany pod hasłem Obiad.

Obiad? Zaprasza ją? Ruby otworzyła najpierw Materiał dla prasy. W załączeniu przesyłam... bla, bla, bla. Zamknęła plik, żeby przeczytać go później. Teraz Obiad. Zanim go otworzyła, zastanowiła się, czy powinna przyjąć tę zaskakującą propozycję.

W czasie jednej z wielu długich weekendowych rozmów z Lou na temat bezceremonialnego sposobu, w jaki ją Flett porzucił, Ruby obiecała swojej najlepszej przyjaciółce, że od tego dnia będzie utrzymywać swoje sprawy z Flettem w temperaturze niższej o dwadzieścia stopni. Tylko biznes i nic więcej. Nawet jeśli musi z nim nadal współpracować jako handlowiec, nie znaczy to, że ma zwracać uwagę na jego akcje, jeśli zamarzy mu się, by znów zostali przyjaciółmi.

- Nie można żyć na przyjacielskiej stopie z kimś, kto cię puścił kantem. - Lou nie miała wątpliwości. - Porzucenie to z definicji antyteza aktu przyjaźni.

Lou była pewna, że Flett wystartuje do Ruby z propozycjami przyjaźni. I to niedługo. „Prawie każdy to robi” - westchnęła. Ruby powinna jednak pamiętać, że zaproszenie Fletta rzucone od niechcienia nie jest bynajmniej oznaką, że zmienił swój stosunek do niej. Wielu ludzi stosunkowo szybko zaczyna wykonywać przyjazne gesty wobec tych, których porzucili. Dzięki temu sami mogą poczuć się lepiej. Bynajmniej nie chodzi o rekompensatę wobec osoby, którą potraktowali tak bezwzględnie.

- Pewnie zaprosi cię na lunch i będzie myślał, że to załatwia sprawę - powiedziała Lou. - Jeśli przyjmiesz gałązkę oliwną, to rozgrzeszysz go z wrednego zachowania i potwierdzisz, że wcale nie jest skurczybykiem. Ale on ci złamał serce. Jest skurczybykiem. Więc nie rób tego.

Ruby zawisła kursorem nad opcją otwórz. Mądra rada Lou pobrzmiwała jej w głowie jak refren. Klik. Otworzyła. Czy to rzeczywiście takie nierozsądne, przyjąć zaproszenie na obiad, skoro...

Do: Ruby.Taylor@Hollingworthpr.co.uk Od: JohnFlett@BarringtonBalls.com
Treść: Obiad

Imogen, kochanie

Ivy jest zamówiona na dziewiątą. Czy naprawdę nie możesz wyjść odrobinę wcześniej z konferencji Two-Faced?

Imogen! Kto to jest, do kurwy nędzy, Imogen? Nieszczęsny idiota najwyraźniej przesłał ten e-mail pod niewłaściwy adres... Ruby wpatrywała się w ekran, dopóki litery nie zaczęły się rozmywać przed jej oczami. A więc spotyka się z kimś innym! I nagle świadomość, z kim spotyka się Flett, spadła na Ruby niczym grom z jasnego nieba. Imogen. Konferencja Two-Faced. O Boże... On się spotyka z Imogen Moss, najświeższym nabytkiem Hollingworth. Nową pracownicą, która trzeciego dnia po przyjeździe do firmy sprzątnęła Ruby sprzed nosa kontrakt z Two-Faced Cosmetics.

- Uważają, że ona ma właściwą prezencję do tej pracy, Rubes. Przykro mi - powiedział jej wtedy szef. Czy mogła z nim dyskutować? Przecież nawet się nie uczesała dziś rano... A Imogen wyglądała tak, jakby zeszła prosto ze stronic „Vogue”.

Niemal natychmiast poczuła, że oczy pieką ją od łez. To było tak, jakby znowu odebrała tamten e-mail... Jasne, domyślała się, że facet taki jak Flett nie wykopał jej z łóżka tylko dlatego, żeby móc się w nim swobodnie rozwalać, ale dopóki nie знаła imienia swojej następczyni, mogła nie myśleć o tym horrorze. Teraz horror nosił gładką, lśniącą, przyciętą na pazia blond fryzurkę.

Obraz rozplynał się przed oczami Ruby, gdy patrzyła przez szklane drzwi swojego pokoju w kąt głównej sali, gdzie stała Imogen, obojętna na rozgrywającą się tuż obok tragedię. Imogen tymczasem potrząsnęła czupryną z niedbałą bez troską dziewczyny Timotei z lat osiemdziesiątych i odrzucając głowę do tyłu, wybuchnęła śmiechem. Ruby zacisnęła pięści pod biurkiem tak mocno, że jeszcze w parę godzin później miała na dłoniach ślady po paznokciach.

- Ooooooch... grrrrrr! - Ruby nie była w stanie wypowiedzieć swojego bólu. - Tylko nie ona!

Nagle poczuła się tak, jakby zmieniała się w trolla. Miała wrażenie, że plecy jej się zginają w ślad za ramionami, które zwisły w dół, by znaleźć się na wysokości kolan. Kark jej się skurczył. Podbródek wysunął naprzód. Piersi opadły w kierunku południowym w ślad za samooceną, która sięgnęła podłogi i pełzła ku najbliższemu możliwemu wyjściu. Powietrze uchodziło z niej jak z balonu pod koniec imprezy. Nikt nie chciał zabrać Ruby do domu...

Niedługo potem, by żółć rozprzestrzeniająca się w kończynach Ruby sięgnęła koniuszków palców. Otworzyła błędnie zaadresowany e-mail Fletta jeszcze raz i przesłała go do Imogen, dołączając notkę od siebie.

Do: Imogen.Moss@Hollingworthpr.co.uk

Od: Ruby.Taylor@Hollingworthpr.co.uk

Treść: Obiad

Jak mogliście??? Jak mogliście oboje??? To się nazywa Two-Faced, cholera. Powiedz swojemu nowemu facetowi, gdzie może sobie wsadzić swoje idiotyczne łożyska kulkowe!

W parę chwil później Ruby miała możliwość zrobić to sama.

- John Flett do ciebie - powiedziała recepcjonistka Carina, Australijka, i szybko odłożyła słuchawkę. Nie na tyle szybko jednak, by ukryć fakt, że naśmiewa się - Ruby była przekonana - z żalosego stanu, w jakim pogrążyło się jej życie osobiste.

Zanim Flett przeszedł z recepcji do jej pokoju, Ruby siedziała z oczami wbitymi w ekran komputera, zdecydowana nie podnieść nawet wzroku na drania, dopóki nie będzie to konieczne. Ale, rzecz jasna, zerknęła przez szklane drzwi akurat nie wtedy, kiedy trzeba, i zobaczyła, jak Flett przekazuje Imogen, dyskretny w swoim mniemaniu, znak ręką oznaczający „do zobaczenia później”.

- Hej, Rubes - powiedział wesoło, wchodząc do jej pokoju, tak jakby w ogóle nie byli skłócen. Tak jakby nigdy razem nie spali!

- Dzień dobry - odparła Ruby możliwie najchłodniejszym tonem.

- Czemu jesteś taka oficjalna - zażartował niezręcznie Flett. Nachylił się, żeby pocałować ją w policzek. Ruby cofnęła głowę i spojrzała na niego wrogo.

- Masz dużo pracy? - spytał.

- Bardzo dużo - odparła przez zaciśnięte zęby.

Ten sukinsyn miał na sobie różową koszulkę polo, którą ona kupiła mu w prezencie! O Boże... Ruby zamknęła oczy. Przypomniała sobie tamtą wyprawę na zakupy. Szybko odkryła, że w życiu prywatnym John Flett nie ma pojęcia, jak się ubierać. Tamten włoski garnitur był wyjątkiem. Z uporem kupował rzeczy, które mogły jakoś wyglądać wyłącznie na polu golfowym. Ile czasu i energii zmarnowała, żeby mu to wyperswadować i zachęcić, by spróbował czegoś innego! Może czarne dżinsy zamiast tych welwetowych bojówek, które były niemodne, zanim jeszcze je na siebie włożył? Koszulka polo stanowiła kompromis. Była trochę wapniacka, ale różowy kolor tak znakomicie pasował do jego opalenizny...

- To ja ci kupiłam tę koszulkę! - nie mogła powstrzymać się od okrzyku Ruby.

- Wiem - powiedział. - Chyba nie powinienem jej dzisiaj wkładać, ale... Wszystko inne jest w pralni. - Flett przysiadł ostrożnie na rogu biurka i spojrzał jej szczerze w oczy. - Słuchaj, Ruby, wiem, że to dla ciebie trudne. Dla mnie też niełatwe...

- Wybacz, ale nie mam dla ciebie zbyt wiele współczucia - syknęła Ruby.

- Ale - Flett zignorował jej komentarz - nadal łączą nas stosunki zawodowe i musimy dbać o ich podtrzymywanie.

Ruby utkwiała oczy w kawałku papieru, który leżał na biurku pomiędzy nimi, wydruku e-mailu na temat oświadczenia dla prasy, który jej wcześniej przysłał. Flett, urodzony w latach powojennego wyżu demograficznego, nie miał zaufania do przestrzeni wirtualnej i wolał robić wszystko po staroświecku. Gdyby tak pozostał przy pisaniu tradycyjnych listów zamiast e-maili, westchnęła Ruby.

- Mam nadzieję, że potrafisz nadal pracować przy kampanii Barringtona z takim samym entuzjazmem jak poprzednio...

- Zanim zacząłeś sypiać z Imogen - szepnęła Ruby. Flett odchrząknął.

- Imogen? O czym ty mówisz?

- Imogen Moss. Z kampanii Two-Faced. Imogen z naprzeciwka!

- Nic szczególnego mnie z nią nie łączy... - zaczął.

- Och, proszę... Daruj sobie. Wiesz, że jak dostajesz e-maila, to w skrzynce odpowiedzi zwykle masz parę opcji?

Flett zmarszczył czoło. Nie wiedział.

- Jedna to „odpowiedz”, a druga „odpowiedz wszystkim” - ciągnęła Ruby.

- Nie rozumiem.

- No jasne. Ty najwyraźniej w ogóle nie rozumiesz, jak działa poczta elektroniczna! Inaczej nie przesłałbyś e-maila, w którym oświadczasz, że zrywasz ze mną niemal do wszystkich w biurze. I nie przysłałbyś mi e-maila przeznaczonego dla Imogen, w którym zapraszasz ją na obiad do Ivy!

Flett nerwowo potarł oko.

- Dostałaś go?

- Tak, dostałam. Przekazałam go Imogen, tak że nie musisz się martwić, że nie przyjdzie na randkę.

- Szlag by to trafił - zachnął się Flett.

- Właśnie - przyznała Ruby. - I ciebie też.

- O Boże. Ruby. Po prostu... wiesz, po prostu nie wiem co powiedzieć.

- Nawet nie próbuj - Ruby uniosła dłoń. - To ciekawe - zobaczyć, jak chociaż raz zabrakło ci słów. Rzucę okiem na twoje uwagi co do oświadczenia dla prasy dziś po południu. W porządku?

Flett skinął głową.

- Jasne. Ja... wyślę ci e-maila.

Ruby uśmiechnęła się powściągliwie, wzięła do ręki tekst z jego uwagami i wpatrywała się w czarne znaki, dopóki nie usłyszała, że wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Kiedy skrzypnęły, zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Zaczerpnięcie powietrza przerodziło się w szloch. Łzy, które zamazywały jej słowa przed oczami, polały się nagle na nieskazitelną pierwszą stronę.

Zespół, na którym możesz polegać - głosiło triumfalnie pierwsze zdanie. Szkoda, że Ruby nie mogła powiedzieć tego samego o szefie zespołu.

Widząc, jak Flett pospiesznie opuszcza pokój Ruby, Liz Hale, jej koleżanka pracująca na tym samym stanowisku, była wkrótce u jej boku. Liz i Ruby podjęły pracę w Hollingworth dokładnie w tym samym czasie. Powinny były stać się dzięki temu bliskimi przyjaciółkami, ale Ruby nigdy nie miała pewności, czy Liz naprawdę ją lubi. Lou sugerowała, że Liz jest jedną z tych kobiet, w których wyrazie twarzy widać ów niefortunny odcień pogardy nawet wtedy, kiedy im się zdaje, że się uśmiechają. Tego popołudnia Ruby nie miała jednak innego wyboru, niż wypłakać się na ramieniu Liz.

- Spotyka się z Imogen? - powtórzyła zdumiona Liz, kiedy Ruby jej powiedziała.

- Głupi skurczybyk przysłał mi e-maila, w którym zaprasza ją na obiad.

- O nie. Jak ona może być taka dwulicowa? - Liz nie udało się ukryć krzywego uśmiechu wywołanego własnym kalamburem.

- Chyba się zabiję - powiedziała Ruby, tylko półzartem.

- Nie wygłupiaj się. Jesteś ponad to.

- Jak ja mogę się wznieść ponad to, że rzucił mnie facet i nie mam nawet możliwości, aby schować się przed draniem, tak żebym nie musiała z nim rozmawiać? Nie chcę pracować na konto mojego ekskochanka. Jedyne wyjście to odejść z pracy.

- I pokutować tu jeszcze przez miesiąc wypowiedzenia, a przez cały ten czas i tak będziesz musiała pracować na rzecz jego łożysk kulkowych?

- Nie pomyślałam o tym - przyznała Ruby.

- Zachowujesz się teraz jak ranne zwierzę - powiedziała Liz. - Działasz na oślep, kierujesz się hormonami, a nie rozumem. Nie byłabym twoją przyjaciółką, gdybym ci nie zaleciła, żebyś wzięła dziesięć głębokich oddechów, a potem zastanowiła się, jakie są dobre strony tej sytuacji.

Liz była wielką fanką „dziesięciu głębokich oddechów”.

- Wątpię, żebym dzięki twojej jodze i twoim oddechom mogła poczuć się lepiej - warknęła Ruby. - W tej sytuacji w ogóle nie ma żadnych dobrych stron. Nowa panienska mojego ekskochanka pracuje dokładnie naprzeciwno. Widzę ją za każdym razem, kiedy podnoszę głowę.

- Zastanów się, co pomyślą o tobie inni, jeśli przyłożysz się do roboty jak profesjonalistka - ciągnęła niezrażona Liz. - Wszyscy będą pod wrażeniem, że w tak trudnej sytuacji masz w sobie tyle godności i wytrwałości. A poza tym wszystkie te nowiny kompletnie się zdezaktualizują, wobec letniej imprezy integracyjnej...

- Letnia impreza integracyjna? - Ruby wyglądała, jakby ją ktoś uratował z „Titanica” za pomocą tratwy pneumatycznej, a następnie wypalił w tratwie dziurę lekkomyślnie zapalonym papierosem.

- Właśnie - odparła Liz.

- Kompletnie o niej zapomniałam. Nie mogę iść na tę imprezę. Nie teraz. Co ludzie powiedzą, kiedy on się pokaże z... - Ruby z wysiłkiem przełknęła ślinę - z nią... a ja przyjdę... - wzięła kolejny głęboki, drżący oddech - ... bez nikogo!

- Spokojnie, spokojnie. - Liz poklepała ją po ramieniu. - Nie sędzę, żeby wiele osób zwróciło na to uwagę.

- Jasne, do cholery, że zwróca. To katastrofa! - Ruby znowu rzuciła się w przepaść bez liny ratunkowej. - Nie mam z kim pójść na letnią imprezę, a on pojawi się z Imogen i wszyscy będą się świetnie bawić, a ja usiądę w kącie i nawet nie będę mogła wcześniej wyjść, bo tę cholerną imprezę postanowiono urządzić na statku i jedyne wyjście to płynąć wpław! Kto, do diabła, wpadł na taki rewelacyjny pomysł?

- No cóż, nie chciałabym się okazać przykra - rzekła Liz - ale to właśnie ty zaproponowałaś statek rzeczny. Już dość dawno, na spotkaniu w lutym.

- Nie! - Ruby schowała głowę w ramiona i zasmarkowała cały materiał Fletta na temat oświadczenia dla prasy. Wtedy, kiedy zaczęli się spotykać, pomysł ze statkiem wydawał się taki romantyczny... Jego ramię oplatające jej talię, gdy oglądają zachód słońca na Tamizie. Pocałunek, kiedy przepływają pod mostem Alberta. - Naprawdę ja to zaproponowałam?

- Obawiam się, że tak.

- Co oznacza, że zdecydowanie nie mogę się z tego wykręcić.

- Chyba nie.

- Moje życie to jeden bajzel.

- Och, nie przesadzaj, Rubes. Nie jest tak źle. Ja też mam zamiar przyjść sama. - Liz położyła ręce na ramionach Ruby i uścisnęła je mocno, próbując ją pocieszyć. - Możemy być towarzystwem dla siebie nawzajem. Co ty na to?

Ruby powoli podniosła głowę i spojrzała na Liz na wpół z wdzięcznością, na wpół z niedowierzaniem.

- Liz. To strasznie miło z twojej strony - siąknęła nosem. - Ale to nie jest to samo. Nie rozumiesz? Ja muszę zrobić wrażenie na Fletcie, a nie zasłużyć na wyrazy współczucia.

- Co masz na myśli?

- To, że nie mogę przyjść na imprezę z kobietą. Powinnam pokazać się w towarzystwie faceta. Inaczej pomyśli, że jestem kolejną smutną starą panną,

której mała czarna książeczka powinna znajdować się w dziale historii starożytnej British Library.

- W takim razie, Ruby - Liz odetchnęła głęboko - nie wiem, co więcej mogłabym ci poradzić. Impreza odbędzie się za niespełna sześć tygodni. Mało prawdopodobne, żeby udało mi się znaleźć dla ciebie mężczyznę twoich marzeń w tak krótkim czasie. Może lepiej wróć do siebie.

- Tak. Jasne. Dzięki za dobrą radę - powiedziała Ruby. Zaledwie jednak Liz zamknęła za sobą drzwi, Ruby wykonała w jej kierunku gest „fuck” obiema rękami. - Won, ty stara krowo!

Liz nie chciała, żeby Ruby była szczęśliwa. O to chodziło... Chciała, żeby Ruby, tak jak ona, została na zawsze sama i żeby miała z kim utyskiwać po kątach, dopóki obie nie przejdą na emeryturę i nie zamieszkają razem ze swoimi kotami w Battersea.

Ale straszliwa prawda była taka, że Liz najprawdopodobniej miała rację. Jak tu, na Boga, znaleźć na czas nowego chłopaka, tak żeby na imprezie zrobić wrażenie na eksie i jego nowej dziewczynie? Wynająć sobie eskortę?

Właśnie w tej chwili asystentka Ruby, Katherine, wsadziła głowę przez drzwi.

- Chcesz kawy, Rubes? - Urwała na chwilę. Ruby usiłowała pozbierać się do kupy, szybko przegarniając włosy palcami. - Dobrze się czujesz?

- Nigdy nie czułam się lepiej. Dzięki za kawę, nie.

- W porządku. Pójdę zobaczyć, czy Emlyn nie ma ochoty. Jego asystentka jest dziś chora.

- Nie rób tego, Katherine - powiedziała Ruby beznadziejnie, widząc jak pełna nadziei dziewczyna biegnie ochoczo w kierunku boksu Pantery. - Wszyscy faceci to skurwysyny.

Gdyby tak sama mogła przestać pragnąć jednego z nich... W tym momencie zadzwonił telefon.

- Tak? - warknęła Ruby.

- Kto ci nadepnął na odcisk? - spytała Lou.

- A, to ty.

- Wiesz co, nie bądź taka cholernie szczęśliwa, że to ja. Słuchaj, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że moim zdaniem powinniśmy na serio zabrać się do realizacji mojego pomysłu z ogłoszeniem. Ułożyłam już naprawdę dobry anons dla Martina. Myślę, że mielibyśmy z tego kupić śmiechu, i nie rozumiem, dlaczego wy oboje nie chcecie spróbować, i....

- Myślisz, że moglibyśmy mieć pierwszą randkę w ciągu miesiąca? - przerwała Ruby.

Lou zdumiał entuzjazm w jej głosie. - Jeśli się pośpieszymy - powiedziała - to może nawet w ciągu dwóch tygodni, gdyby klienci dopisali.

- Dziś po południu ułożę anons dla ciebie - oznajmiła Ruby.

- Co się stało, że zmieniałaś śpiewkę? - spytała Lou.

- Rozpaczliwe położenie zmusza do użycia rozpaczliwych środków - powiedziała Ruby.

Gdy tylko Lou odłożyła słuchawkę, Ruby natychmiast zadzwoniła do Martina.

- Co napisałeś na mój temat? Jaki jest tekst mojego ogłoszenia? To ważne, Martin. To nie jest po prostu zabawa.

- To bierzemy się do całej tej historii z ogłoszeniami? - spytał Martin.

- Tak, bierzemy się! - warknęła Ruby.

- No cóż, nic jeszcze nie napisałem. Byłem zajęty.

- Jak to zajęty? - wyrzuciła z siebie z wściekłością. - Ty nigdy nie jesteś zajęty, do cholery! Siedzisz całymi dniami w biurze i grasz w minesweepera!

- Wcale nie - zaprotestował Martin.

- Właśnie że tak! Sam mi powiedziałeś. Ile czasu zajmie ci napisanie paru linijek o jednej z twoich najbliższych koleżanek? Podobno masz być kowalem słowa! Chcesz zostać pisarzem! No to coś ci powiem. Kaktus mi wyrośnie, jak ty będziesz pisarzem, skoro nie potrafisz zwyczajnie dotrzymać ustalonego terminu!

- Ruby - zaśmiał się Martin. - Co się z tobą dzieje, na Boga? Jeśli naprawdę chcesz się zabawić w tę idiotyczną potrójną randkę w ciemno, to napiszę ci ogłoszenie jeszcze dzisiaj. O, już teraz czuję, że przenika mnie twórcze natchnienie. Zdesperowana kobieta poszukuje na gwałt...

- Jeśli słowo „zdesperowana” czy jakiegokolwiek jego pochodne pojawią się w moim ogłoszeniu, to damę słowo, że własnoręcznie obetnę ci jaja zardzewiałym scyzorykiem armii szwajcarskiej!

- Nie rób tego - poprosił Martin. - Co się stało, że taka jesteś dzisiaj wściekła?

- Dopiero co był u mnie Flett - prychnęła Ruby. - Spotyka się z Imogen, dziewczyną z mojej firmy. Powinam się była domyślić... Przez cały tydzień jakoś tak dziwnie na mnie popatrywała.

- Może ma problem ze szklami kontaktowymi - podsunął Martin.

- On się z nią spotyka! - wykrzyknęła zirytowana. - Sam się przyznał. Wiedziałam, że to świnią, ale nie sądziłam, że aż taka, żeby zacząć chodzić z babą z mojego biura!

- Niezbyt to miłe z jego strony - przyznał Martin.

- Tak czy owak, na pewno przyjdą razem na letnią imprezę integracyjną, a ja nie mam z kim pójść, chyba że z Liz, koleżanką z sąsiedniego pokoju. To straszne...

- Straszne? - spytał Martin. - Jasne, że straszne!

- W porządku. Bałem się, że powiesz, że zostało ci trzy miesiące życia i musisz przeżyć orgazm pochwowy, zanim umrzesz.

- Nie traktujesz mnie poważnie, Martin. Nie mogę pójść na letnią imprezę z kobietą!

- W takim razie zabierz mnie - zaproponował Martin. - Zawsze lubiłem imprezy.

- Tak. To niewątpliwie zrobi wrażenie na Fletcie, prawda?

- Dobra. Jeśli obawiasz się, że się domyśli, że przywlokłeś na imprezę kolegę, to możemy udawać zakochanych. Ale to będzie cię sporo kosztować.

- Martin, ja nie tego się obawiam. Po prostu wiem, że trudno wywrzeć na kimkolwiek wrażenie, przychodząc z mężczyzną, który odniósł taaaaaaki kolosalny sukces, że jedyny markowy ciuch, jaki ma w szafie, to skarpetki od Ralfa Laurena!

- Dzięki - prychnął Martin. - Zamiast „zdesperowana”, napiszę „poszukiwaczka złota”, kiedy będę układał twoje ogłoszenie do kącika samotnych serc...

Ruby wyciągnęła z torebki gwizdek, który nosiła na wypadek napaści i zagwizdała do mikrofonu. Z całej siły. Ale gdy tylko odłożyła słuchawkę, pożałowała, że w ten sposób okazała swoją wściekłość. Teraz Martin zamieści jej ogłoszenie w „Loot”. Wiedziała o tym. Była skończona.

ROZDZIAŁ 8

Na szczęście dla Ruby, Lou też знаła Martina aż zanadto dobrze i szybko ostrzegła go, że jeśli rozmyślnie zmarnuje szansę przyjaciółki na znalezienie stosownego mężczyzny na letnią imprezę integracyjną Hollingworth Public Relations poprzez zamieszczenie jej anonsu w gazecie, którą czytają wyłącznie łowcy mieszkań i amatorzy cudzych żon, to sama dopilnuje, żeby jego partnerka przyniosła na randkę dziadka do orzechów.

- No dobra, dobra! - wykrzyknął Martin i posłusznie obiecał, że zamieści ogłoszenie Ruby w sobotnim dodatku do „Financial Times”. Lou jednak i tak nie była zadowolona z tego pomysłu.

- Myślałem, że to odpowiednie miejsce - powiedział. - To gazeta, którą czytają faceci z kasą.

- Wiem. Ale powinniśmy zadbać, żeby miejsce publikacji było możliwie najbardziej odpowiednie dla osoby, dla której redagujemy ogłoszenie. Wiesz co, pomyśl o gazecie, którą czytają ludzie, jakimi naprawdę mogłaby się zainteresować Ruby. Profil demograficzny czytelników „Financial Times” absolutnie się nie nadaje. Powinieneś o tym wiedzieć, zabierając się do roboty. Czytelnik „FT” jest nadętym formalistą, bigotem i prawicowcem, który najchętniej spędza wolny czas, polując na lisy albo bijąc kijem biedne dzieci.

- Wypisz wymaluj typ, za którym przepada Ruby - zauważył Martin.

- Właśnie. Wypisz wymaluj typ, który zafuduje jej taki sam bajzel, w jaki wpadła teraz. Miałam raczej nadzieję, że zdołamy ją przekonać, żeby spróbowała tym razem czegoś innego. No wiesz, z kimś młodszym. Wrażliwym. Miłym...

- Masz na myśli czytelnika „Guardiana” - powiedział Martin. - Kogoś, kto troszczy się o środowisko i nosi sandały, które ulegają biodegradacji ?

- Mam na myśli po prostu kogoś, kto nie jest żonaty i dzieciaty. Będę musiała ci pomóc w selekcji ofert. - Lou westchnęła z rezygnacją. - Inaczej to naprawdę może być katastrofa dla biednej Rubes.

- Dlaczego uważasz, że nie wiem, jakiego mężczyzny potrzebuje Ruby?

- Dopilnuj po prostu, żeby nie umówić jej z kolejnym Flettem. To wszystko, o co cię proszę.

- Dopilnuję. A co masz zamiar zrobić w zamian dla mnie?

- Znaleźć ci dziewczynę, która ma za sobą egzaminy do liceum - wyjaśniła zwięźle Lou. - I zdała je. Powiedz mi dokładnie, co masz zamiar napisać na temat Ruby w tym twoim ogłoszeniu.

Martin odchrząknął.

- Myślę, że mogłoby to być na przykład coś takiego: niebrzydka, niegłupia PR, właścicielka znakomitych nóg, świetnie komponujących się ze wspaniałą brązową grzywą, poszukuje energicznego, wyedukowanego kochanka. Jeśli potrafisz być moim Darcym, tak jak ja swoją Elizabeth Bennett, prześlij ofertę ze zdjęciem pod numer skrzynki ten a ten...

Twarz Lou rozjaśniła się w szerokim uśmiechu, kiedy słuchała, jak Martin opisuje ich najbliższą przyjaciółkę tak życzliwie, tak korzystnie... Miała tylko odrobinę wątpliwości co do zawartych w tej charakterystyce końskich aluzji.

- Jakie to śliczne. I pełne rozmaitych miłych metafor - dodała. - Myślałeś kiedyś o tym, żeby zostać pisarzem?

- Zabawne, że mi to mówisz - odparł Martin.

Martin doznał straszliwego poczucia winy, kiedy wrócił tego wieczoru do domu i zobaczył, jak potwornie gruba jest warstwa kurzu, który zebrał się na pokrywie jego laptopa przez te wszystkie miesiące, kiedy leżał nietknięty. Nawet narysowana przez Lou uśmiechnięta buźka oraz ironiczny napis: „Użyj mnie”, zniknęły wraz z upływem czasu. Martin nie miał w domu ścierki do kurzu, ściągnął więc skarpetkę i użył jej w tym charakterze. I tak trzeba by było je chyba uprać, zdecydował, wachając skarpetkę z wahaniem. Nosił tę samą parę od piątku.

Starłszy kurz, otworzył z kliknięciem laptopa, tak jakby otwierał drzwiczki skarbca, i wcisnął długo uśpiony przycisk. Machina wydała słaby szmer oburzenia, że budzi się ją z tak długiej drzemki, ekran zamigotał przez niespełna sekundę... i na powrót zgasł. Bateria, zupełnie nie wiadomo dlaczego, była martwa jak Will Szekspir. Trzeba będzie japo prostu naładować.

Nie rozumiał tego... Na półce, stanowiącej mieszkanie laptopa od dnia, kiedy go zatrzasnął, wściekły, po sześciu godzinach wpatrywania się w niewielki ekran, co zaowocowało zaledwie czterema setkami coraz bardziej niepewnych słów, nie było zasilacza. Martin nie znalazł go też w szufladzie, gdzie trzymał wszelakie związane z pisaniem akcesoria: egzemplarz „Rocznika pisarzy i artystów” (rok wydania 1988), dwie ryzy nadzwyczaj białego papieru, dwa nieotwarte naboje do drukarki i pięć notatników A-5 w jedną linię, które, odkąd je kupił, nawet nie powąchały długopisu.

Może jest w szafce pod schodami, gdzie trzymał odkurzacz, zepsuty toster i kupę innych elektrycznych dupereli. Włącznie z suszarką do włosów, należąca nigdy do Webecki, która nie wymawiała „r”. Kiedy pewnego piątkowego wieczoru, w dwa miesiące po tym, jak zaczęli się spotykać, Webecca przyszła do niego z suszarką i świeżo nabytym pięciopakim majtek od M & S „bo wygląda

na to, że będę tu częściej niż w moim własnym domu", wiedział, że to początek końca.

Zadrzał na wspomnienie okrągłego, rumianego lica Webecki i wepchnął z powrotem suszarkę do szafki pełnej rupieci, przeznaczonych do sprzedaży na niedzielnej giełdzie zawartości samochodowych bagażników - jeśli uda mu się kiedykolwiek wstać w niedzielę przed południem... - a następnie wziął się znowu do szukania. W pół godziny później doszedł do wniosku, że zasilacza najwyraźniej nie ma w mieszkaniu. I wtedy sobie przypomniał.

- Och, nie. Błagam, nie.

Przerwał przetrząsanie szafki pod kuchennym zlewem i przysiadł z powrotem na piętach. Wspomnienie przybrało bardziej solidny kształt.

- Pożałujesz tego - zapewniła go Webecca, kiedy dawał nogę z jej domu, który dzieliła w Brixton z dwiema innymi adeptkami studiów podyplomowych, zjadaczkami własnoręcznie przyrządzanego humusu.

- Nie sędzę - odpowiedział wówczas Martin. Nie umiał wyobrazić sobie momentu, w którym mogłoby mu brakować pulchnego ciała Webecki czy wilgotnego dotyku jej małych, gorących dłoni, kiedy gładziła go po włosach. Wiedział na pewno, że nigdy nie zatęskni za tym dziecinnym seplenieniem: „Tak bawdzo mi cię bwakuje, Mawtin...” Ale zasilacz!

- Auu! - zawył z powodu ścięgna Achillesa, o którym nigdy dotąd nie myślał. Martin poczuł, że ogarnia go twórcza wściekłość.

- Jakiej marki jest twój laptop? - spytał Lou przez telefon, zanim miała szansę powiedzieć „cześć”.

- IBM - odparła. - Czemu pytasz?

- Czy jest kompatybilny z Toshiba?

- Nie sędzę. Te urządzenia zostały tak zaprojektowane, żeby człowiek nie mógł wymieniać poszczególnych elementów j i oszczędzać w ten sposób mnóstwa pieniędzy - wyjaśniła Lou. - Ale, ale, a co jest nie tak z twoim? Wysiadł na skutek zbyt częstego używania?

- Cha, cha, cha. Nie mogę go użyć, bo bateria się wyczerpała...

- No to musisz ją po prostu naładować... - zaczęła Lou. - Wiem. Ale nie mam zasilacza.

- Szukałeś?

- Pożyczyłem go Webecce.

- Coś takiego! - Lou nie mogła powstrzymać śmiechu. - O, nic!

- To wcale nie jest śmieszne! - zaprotestował Martin.

- Mimo wszystko sprawiedliwości stało się zadość, nie sądzisz? Byłeś dla niej okropny.

- To wariatka.

- Muszę się z tobą zgodzić - powiedziała Lou. Choć bezpośrednio po tamtym zerwaniu obie z Ruby trzymały stronę Webecki, nie minęło wiele czasu, a kobieca solidarność wyparowała. - Ale nawet wariatka ma prawo być nieco przygnębiona, jeśli mówisz jej, że wolisz spać z Saddamem Husajnem, niż jeszcze raz zobaczyć ją na golasa.

- Ja tak powiedziałem?

- Ona twierdziła, że tak, kiedy zadzwoniła do mnie w środku nocy i próbowała mnie nakłonić, żebym cię przekonała, że powinieneś do niej wrócić. Nawiasem mówiąc, do tej pory jesteś moim dłużnikiem z tego powodu. Trzy godziny wisiała na drucie! Trzy godziny w środku nocy, jasny gwint.

- No wiesz... przykro mi - wymamrotał Martin. - Nie miałem pojęcia, że to zrobiła. Ale jak myślisz, mogłabyś zadzwonić do niej teraz i poprosić ją, żeby mi oddała zasilacz?

- Co?! Ty żartujesz, prawda?

- Lou, jestem w rozpaczliwym położeniu. Postawię ci piwo.

- Kochanie, musiałyś mi postawić, kurczę, cały browar, zanim bym podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do twojej porąbanej eksdziewczyny.

- Na pewno już jej przeszło do tej pory - błagał Martin.

- Wykluczone - ucięła Lou. - Nie mogę ryzykować, że jej nie przeszło. Czemu nie wyślesz kogoś, żeby ją obrabował z tego, czego ci nie oddała? Mógłbyś mu dać w nagrodę swoje CD, jak już to robi. I moje też. - Lou dotąd nie pogodziła się z faktem, że Webecca poczęstowała się, na wieczne nieoddanie, paroma ulubionymi albumami Lou, które ona w swoim czasie pożyczyła Martinowi.

- Superpomysł - powiedział zgryźliwie Martin. - Dlaczego musiało mi się to przytrafić? Ja po prostu chcę pisać. A tu co krok, to kłoda.

- Możesz przecież posłużyć się starą, dobrą, sprawdzoną metodą - zauważyła Lou.

- Jak to? - nie rozumiał Martin.

- A jakby tak papier i długopis? - podsunęła.

- Ale to tak powoli - zaprotestował Martin.

- Chyba dziś wieczorem nie masz innego wyjścia, Szekspirze.

Martin zadzwonił jeszcze do trojga znajomych, zanim wreszcie zrezygnował z pomysłu pożyczania zasilacza i uznał, że Lou ma rację. Papier i długopis to było jedyne wyjście, jeśli nie chce zadzwonić do Webekki. Wziął jeden z dziewiczo czystych notatników i u góry strony wpisał datę. W błysku jasnowidzenia ujrzał świetlaną przyszłość, kiedy to jego biograf kartkuje notatnik i dziękuje bogom za

ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności, który sprawił, że Martin Ashcroft był zmuszony pierwszy szkic swojej wspaniałej powieści napisać odręcznie.

W pół godziny później Martin nadal gryzł czubek długopisu. Fantazja na temat przyszłego biografa szybko straciła swój j czar. To tyle, jeśli chodzi o związek między ciałem a twórczością, rzekomo stymulowaną przez staroświecką metodę pisanania. Martin czuł, że utknął na amen.

Spojrzał na zegar. Była ósma. Miał trzy wyjścia. Mógł nadal siedzieć przy kuchennym stole i wpatrywać się w pustą kartkę. Mógł pójść do pubu i pozwolić, by Lou i Ruby nabijały się z jego niezdolności do ponownego wystartowania ze swoim opus magnum. Albo mógł wejść do jaskini lwa i zadzwonić do Webecki...

Webecca. Czy to naprawdę takie trudne? Jak by nie było. upłynęło siedem miesięcy od czasu, gdy z nią zerwał. Minął cały sezon futbolowy. Sam związek trwał raptem dwa miesiące, od początku do końca, co oznacza, że nawet jeśli brać pod uwagę najgorszy scenariusz Ruby, że od zerwania musi minąć dwa razy tyle czasu, ile trwał związek, żeby się z niego w pełni wyleczyć, Webecce powinno do tej pory przejść. Pewnie ma nowego chłopaka, powiedział sobie. Może nawet mogliby zostać teraz przyjaciółmi? Pożartować z dawnych dobrych czasów? A przynajmniej, w najgorszym razie, powinni potrafić zwrócić sobie nawzajem, co do kogo należy, bez uciekania się do pomocy adwokata.

Przekonany, że w każdym razie Webecca potraktuje go w sposób cywilizowany, Martin sięgnął po małą czarną książeczkę. Zabawne, jak to bywa z małymi czarnymi książeczkami: gwiazdkowy prezent od Ruby sprzed paru lat, oprawny w skórę notes od Smythsona miał wytłoczony na okładce napis: BLONDYNKI, BRUNETKI I RUDE. „Co nie znaczy, że nie jesteś wybredny” - zauważyła Ruby.

Martin odruchowo poszukał Webecki pod W. Nie znalazł jej. Zmieszał się. Była pod R, oczywiście. Rebecca Roberts. Swoją drogą, co za imię i nazwisko dla dziewczyny, która nie wymawia „r”! Co sobie myśleli jej starzy? A prawda, przecież raczej nie mogli przewidzieć, że ich córka będzie miała wadę wymowy. Ale co sobie myślała sama Webecca, kiedy zdecydowała się pisać pracę doktorską na temat „Dyskryminacja rasowa i prawa mniejszości afroamerykańskiej”? Albo kiedy postanowiła zamieszkać przy ulicy Wobinsona? Pod numerem czterdzieści cztery? Przynajmniej Lou miała się z czego śmiać całymi godzinami.

Siedem sześć trzy cztery, cztery...

- Webecca - zapytał. - To znaczy... - odchrząknął. - Rebecca? To ty?

- Webecca Woberts przy telefonie, słucham - powiedziała oficjalnie. - Kto mówi?

- To ja. Martin. Martin Ashcroft. Pamiętasz mnie? Z drugiej strony dało się słyszeć gwałtowne zaczerpnięcie tchu.

- Martin?

- Tak. Cześć - rzucił lekko. - Co tam u ciebie? Wiesz, po prostu pomyślałem sobie, że przedzwonię do ciebie i dowiem się, no wiesz, jak ci leci, co robisz...

- Uuaauu! - zanosła się szlochom w odpowiedzi. - Do tej pory jestem na prozaku, ty skurwysynu!

- O cholera. Rebecca, ja...

- Nie tłumacz się, Martin. Czy ciebie to coś obchodzi? Nie odpowiedziałeś na żaden z moich telefonów. Nie odpowiedziałeś nawet na moje listy. Po prostu odciąłeś mnie od swojego życia, tak jakbym nigdy nic dla ciebie nie znaczyła.

- Rebecca, wiesz, że to nieprawda...

- Za późno, Martin. Przeszłam załamanie nerwowe. Przez ciebie musiałam rzucić uniwersytet i zrezygnować z pisania doktoratu. Całe trzy miesiące byłam w Priory.

- Priory? - Na Martinie istotnie zrobiło to pewne wrażenie.

- Masz na myśli to miejsce, gdzie leczą się wszystkie gwiazdy?

- Krążyły pogłoski, że Webecca ma nadzianych rodziców. O mało co nie spytał, czy poznała tam kogoś interesującego, ale uznał, że byłoby to chyba nie na miejscu.

- Trzy miesiące w Priory. A potem dalsze trzy miesiące czekania, aż prozac zacznie działać prawidłowo, a teraz, kiedy zaczynam wracać do siebie, ty uważasz za stosowne dzwonić do mnie i pytać, jak mi leci! No więc, prawdę mówiąc, nie leci mi zbyt dobrze i w stu procentach zawdzięczam to tobie.

- Przykro mi - powiedział Martin. Co więcej mógł powiedzieć? - Nie miałem o tym pojęcia.

Webecca nagle złagodniała.

- Och, Martin. Dlaczego to zrobiłeś? Tak nam było wazem dobrze. Jesteśmy bratnimi duszami, Martin. Nigdy w życiu nie czułam się taka spełniona i wiem, że ty czuleś to samo.

Martin uznał, że nie jest to dobry moment, by powiedzieć jej, że większość czasu, jaki spędzili razem, zajęło mu zastanawianie się, jak jej powiedzieć, że mu przeszło.

- Czy może zdałeś sobie z tego sprawę? Wrócił ci w końcu zdrowy rozsądek? Byłeś sam jeden na całym świecie i zdałeś sobie sprawę, że to, co nas łączyło, było czymś wyjątkowym?

- W gruncie rzeczy... - zaczął Martin.

- Wiedziałam, że tak będzie - ciągnęła Webecca, nie zwracając uwagi na wahanie Martina. - Czy nie mówiłam ci, że któregoś dnia wrócisz do mnie i będziesz błagał o wyrozumiałość? No więc powiedz mi, dlaczego miałabym być wyrozumiała. Przez to zerwanie stałam się emocjonalną kaleką. Schudłam dwanaście kilo. Był taki moment, że lekarze chcieli podłączyć mnie pod kroplówkę. A ciebie to nic nie obchodziło. Tyle wazy do ciebie pisałam. Tyle wazy do ciebie dzwoniłam. Każdego dnia, każdej nocy...

Tak jakbym nie pamiętał, pomyślał Martin.

- Zadzwoiłam nawet do twojej koleżanki, Louisy. Chciałam tylko z tobą porozmawiać jak należy. Żebyś mi dał szansę na popracowanie nad naszym związkiem, tak żeby na powrót wszystko zaczęło się układać. Wszyscy mi mówili, że jestem śmieszna, że powinnam po prostu o tobie zapomnieć. Ale ja wiedziałam, że to kiedyś nastąpi. Wiedziałam, że któregoś dnia podniosę słuchawkę i usłyszę w niej twój głos. I miałam zamiar powiedzieć ci, gdzie sobie masz wsadzić swoje puste usprawiedliwienia. Zmarnowałeś swoją szansę na szczęście. Martin. Naszą szansę. Naszą wielką szansę. Nie zasługujesz na przebaczenie z mojej strony...

- Wiem - wtrącił grzecznie Martin.

- Ale jestem gotowa dać ci jeszcze jedną szansę. Wiem, że to będzie trudne. Jest wiele spraw, które musimy omówić, ale myślę, że potrafimy przepracować wszystkie problemy, jakie mieliśmy, i sprawić, że dzięki czasowi, jaki przeżyliśmy osobno, nasz związek stanie się jeszcze silniejszy...

- Rebecca, przestań - przerwał Martin. - Ja nie...

- Nie spodziewałeś się, że będę taka spokojna i rozsądna w tej sprawie? No pewnie. Jestem przekonana, że się nie spodziewałeś.

- Rebecca - powiedział beznadziejnie Martin. - Ja naprawdę zadzwoniłem tylko po to, żeby ci powiedzieć cześć.

- Co?

- I - wziął głęboki oddech w obliczu nagłej, nabrzmiałej znaczeniem ciszy, jaka zapadła z drugiej strony linii - żeby cię spytać, czy masz jeszcze mój zasilacz do laptopa.

- Twoje co?

- Zasilacz. Pożyczyłaś go przed naszym rozstaniem. Pamiętasz? Potrzebuję go teraz. Właśnie dlatego zadzwoniłem. No i mam twoją suszarkę. Pomyślałem, że może moglibyśmy zwrócić sobie nawzajem swoje rzeczy? Przy kawie? - dodał, nie chcąc, by zabrzmiało to tak, jakby był zainteresowany podtrzymaniem z nią stosunków przyjacielskich.

- Uuaa! - zaczęła znów Webecca. - Uuaa!!!!

- O Boże. - Martin zamknął oczy i modlił się, żeby to potworne łkanie szybko ustało. W trzy minuty później, kiedy stało się jasne, że Webecca nie ma zamiaru ani przestać płakać, ani też odłożyć słuchawki, Martin wiedział, że nie ma innego wyjścia, niż przerwać połączenie.

- Cześć, Rebecca - mruknął, kiedy to robił. Nie wiedział, czy usłyszała. - Szlag by to.

Lou miała rację. Kobieta porzucona to kobieta, która nigdy nie odda ci zasilacza od twojego laptopa.

Martinowi zostały jeszcze dwa wyjścia. Frustracja w domu i upokorzenie w pubie. Opadł na fotel i pozwolił, by przepływały przez niego fale irytacji. Nigdy nie napisze powieści. Był skazany na wieki na „Satyra”. Na siedzenie w biurze. Wpatrywanie się ekran peceta. Granie w Mineweepera aż do złamania palca od klikania myszą...

- Chwileczkę.

Martin doznał olśnienia.

Chwycił kurtkę dzinsową, bilet miesięczny do metra i kartę wejściową do gmachu International Magazines. A następnie wyszedł, żeby wycisnąć ten pomysł z mózgu i przekształcić w czcionkę Times New Roman wielkości dwanaście u siebie w biurze.

ROZDZIAŁ 9

Choć nie była to środa, wobec straszliwych rewelacji, jakie przyniósł ten dzień, Ruby zażądała, by zorganizować spotkanie kryzysowe w Psie i Zającu. Lou przez telefon próbowała ją uspokoić.

- Nie, Ruby, naprawdę nie sędzę, że powinnaś doprowadzić do wywalenia dziewczyny z pracy tylko dlatego, że ukradła ci faceta. Zgadzam się całkowicie, że byłoby strasznie miło. gdybyś mogła, ale nie sędzę, żeby to zostało zaakceptowane przez Europejską Komisję Praw Człowieka.

- Aleja się czuję zdradzona! - jęknęła Ruby.

- Wyobraź sobie, jak zdradzona musiała się czuć jego żona, kiedy zaczął się spotykać z tobą. Naprawdę, Ruby, ten typ faceta nigdy nie zmienia metody działania. Wymienił żonę na młodszy model. Wymienił ciebie na Imogen. Teraz będzie schodził w dół tabeli wiekowej tak szybko, że w przyszłym tygodniu wymieni Imogen na jakąś dziewczynę, która właśnie gorączkowo przerzuca notatki przed egzaminem do liceum. Wtedy będziesz mogła doprowadzić do jego zaareztowania - dorzuciła Lou w rozpaczliwym dążeniu, by ton jej wypowiedzi wydał się nieco lżejszy.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedziała Ruby.

- Ojejku, dzwoni drugi telefon - skłamała Lou. - Do zobaczenia w pubie.

Czasami Lou miała wrażenie, że Martin i Ruby traktują ją raczej jak zastępczą matkę niż przyjaciółkę. Weźmy chociażby dzisiejszy dzień, pomyślała. Najpierw musiała poradzić sobie z histeriami Ruby na temat Fletta. Potem Martin - znacznie bardziej zrównoważony niż Ruby, ale równie wymagający, kiedy żądał, żeby wymyśliła rozwiązanie jego problemów z kabelkiem inne niż oczekiwanie do jutra na otwarcie sklepów. Nawet jej nie przeprosił jak należy za to, że wtedy musiała stawić czoło problemowi „Webecki”... Kiedy Martin z nią zerwał, Lou przez dwa miesiące musiała monitorować swoje telefony - w domu i w pracy - a on dalej nie daje jej spokoju! Czasem, tylko czasem, pomyślała Lou, dobrze by było mieć kogoś, na kogo i ona mogłaby zwalić swoje ciężary.

Pomimo to nie tęskniła specjalnie za żadnym z panów, z którymi była w przeszłości. Z pewnością nie tęskniła za wyobrażeniem swoich dawnych narzeczonych, którzy za miesiąc romantycznych umizgów kupowali sobie rok jej usług nie tylko jako kochanki, ale również jako matki, gospodyni, a nierzadko i sekretarki. Lou potrząsnęła z niedowierzaniem głową, wspominając, jak to brała wolny dzień w pracy, żeby siedzieć w mieszkaniu jednego faceta i czekać na hydraulika, który miał przyjść i naprawić jego pralkę Zanussi, ale nigdy nie przyszedł. A potem, kiedy się okazało, że machina jest nie do naprawienia nie

polecał bynajmniej do sklepu, żeby kupić nową. O, nie. Zaczął przynosić pranie do niej i zostawiał ją z całym kramem w łazience, a sam w tym czasie pykał pilotem, zmieniając kanały w jej telewizorze.

Zniknięcie ostatniego mężczyzny z życia Lou naprawdę zaowocowało znacznym podniesieniem jej życiowego standardu. Mniej prania, możliwość oglądania tego, na co ma ochotę, bez konieczności przekazywania pilota w ręce istoty, która przyciskała guzik zmiany kanałów z taką częstotliwością, jak szczur laboratoryjny przyciska dźwignię w swojej klatce, żeby dostać kąsek. Nigdy więcej Lou nie sięgnie do lodówki po mleko tylko po to, by odkryć, że ktoś mało że wyżłopał od rana cały karton, to jeszcze z rozmysłem wstawił pusty z powrotem do lodówki, żeby nie zapomniała o kupieniu nowego.

Jedynie ktoś wyjątkowy zdołałby przekonać Lou, by jeszcze raz sprzedała swoją wolność. Naprawdę, absolutnie wyjątkowy.

Ale jak rozpoznać takiego człowieka? Odpowiedź na tego typu pytanie, bez względu na to, kto je zadaje, zawsze brzmi: „To się po prostu czuje”. No cóż, Justin też wydawał się nie lada zdobyczą, kiedy go poznała. Przystojny, dowcipny, pracujący w pełnym wymiarze godzin na dobrym stanowisku. Musiał minąć cały rok, by zdała sobie sprawę, że jest także próżny, irytujący i że uważa, iż jego pełnowymiarowe zatrudnienie jest bez porównania ważniejsze niż jej. Właśnie dlatego musiała pracować jego ciuchy, podczas gdy on skakał po kanałach.

Erica, która pracowała w sąsiednim pokoju i zdawała się żyć w pojedynkę od zarania dziejów, była zdania, że każdy powinien dysponować referencjami od poprzednich partnerów.

- Nie ma co nawet marzyć, żeby ktoś ci dał pracę, jeśli nie sprawdzi twoich referencji - argumentowała. - Dlaczego w takim razie masz spać z kimś, o kim wiesz tyle co nic?

- Bo nikt nie miałby szansy choćby jeszcze raz w życiu się ciupciać, gdyby to nasi eks wystawiali nam referencje - zauważyła.

- A. Nie pomyślałam o tym.

- Ale referencje od przyjaciół to może być dobry pomysł. - I Lou przedstawiła koleżance ideę Paktu Samotnych Serc. - Znam ich oboje lepiej, niż oni siebie samych. Jestem pewna, że potrafię znaleźć właściwą kobietę dla Martina.

- I uważasz, że Ruby potrafi znaleźć właściwego mężczyznę dla ciebie? - spytała Erica.

W błysku pamięci Lou zobaczyła na moment twarz nieznanego z metra.

- Tego nie jestem taka pewna.

Wieczorem Lou wsiadła do metra jadącego w kierunku Clapham, żeby spotkać się z przyjaciółmi w Psie i Zającu. Od tamtego ranka, kiedy ona i jej

wyśniony kochanek spotkali się oczami ponad idiotą z „Financial Times”, każda jazda była źródłem ekscytacji. O ile dotychczas mogła przejechać całą Northern Line w szczelnie wypełnionym wagonie, z biodrami wciśniętymi w pośladki Joe Fiennesa i w ogóle tego nie zauważyć, dopóki miała przed nosem manuskrypt, o tyle teraz miała wyraźną świadomość, kto jedzie wraz z nią. Co więcej, miała jasną świadomość braku osoby, która z nianie jechała.

Niewielka była szansa, że tajemniczy podróżny znajdzie się dziś wieczorem w tym samym pociągu. Mimo to serce Lou znowu biło w nieco szybszym tempie, gdy schodziła na peron.

- To śmieszne - upomniała samą siebie, błędząc wzrokiem po peronie w poszukiwaniu tamtej zaledwie znanej twarzy, z tym podobnym do mdłości uczuciem niepokoju i ekscytacji na widok każdej blond głowy pochylonej nad „Evening Standard”.

Nie mogła uwierzyć, że pozwoliła sobie tak dalece przejmować się człowiekiem, o którym nie wiedziała nawet, jak się nazywa. Człowiekiem, którego widziała mniej niż minutę, na litość boską! Nigdy nie należała do dziewczyn, które wierzą w przeznaczenie, w miłość od pierwszego wejrzenia i we wszystkie te baśniowe szczęśliwe zakończenia - i oto stała tu, przekonana, że musnęła spojrzeniem swoją połówkę jabłka, i obgryzała skórki od paznokci (nerwowy nawyk, którego udało jej się pozbyć zaledwie rok temu), bo być może pozwoliła, by wymknęła jej się z rąk szansa na prawdziwą, trwałą miłość.

Gdyż przyspieszone bicie serca, skurcz żołądka, to, że zaczęła jeździć metrem nawet wówczas, gdy miała tak blisko, że dawniej poszłaby piechotą, bo marsz trwał krócej niż samo czekanie na pociąg - wszystko to mówiło Lou, że musi być zakochana. A przecież istniało milion powodów, by tajemniczy nieznajomy to nie był Ten. Nie mógł być Nim, doprawdy.

- Nigdy nie znajdę kogoś dla siebie - powiedziała dramatycznie Ruby, odstawiając ze stukiem pusty kieliszek. - To była moja ostatnia szansa na miłość. Jestem wypalona. Wątpię, żebym potrafiła zaufać jeszcze komuś tak, jak ufałam Flettowi.

- Nonsens - odparła Lou. - Lepiej poczekaj, dopóki zaczną napływać odpowiedzi na to twoje ogłoszenie.

- Co on tam nabazgrał? - zaniepokoiła się Ruby. Martin był poza zasięgiem słyszalności - przy barze. - Nie pozwoliłaś mu chyba, żeby napisał cokolwiek, co zabrzmiałoby desperacko, prawda?

- Upewniłam się, że przedstawi cię prawdziwie.

- To znaczy desperacko - powtórzyła Ruby.

Martin, szeroko uśmiechnięty, podszedł do stołu akurat na czas, żeby uchwycić końcówkę rozmowy dziewczyn.

- Co tak późno dziś przyszedłeś? - spytała Lou

- Pisałem moją powieść - odparł z dumą Martin.

- Poważnie? - Lou była podekscytowana. - W końcu wybrałeś papier i długopis?

- Nie. Poszedłem do pracy i skorzystałem z mojego komputera biurowego.

- To znaczy, że nic udało ci się odebrać zasilacza? spytała Lou.

- Miałaś rację co do Webecki.

- Nie przeszło jej?

- Nie całkiem. Chce mi przysłać rachunek za prozac.

- Jaja sobie robisz? - zdumiała się Ruby. - Rozstaliście się... ile to, siedem miesięcy temu?

- Sama powiedziałaś, że aby wyleczyć się z miłości, trzeba dwa razy tyle czasu, ile trwała cała historia.

- Jestem skazana do przyszłego września - zapłakała Ruby. - Nie wygłupiaj się. Życie może się zmienić w ciągu jednego dnia - przypomniała jej Lou.

- Tak. Do tego czasu może mnie potrącić autobus - powiedziała ponuro Ruby. - To z pewnością skróci mój czas powrotu do równowagi.

- Albo spotkasz na górnym pokładzie mężczyznę swojego życia - odparowała Lou. i wtedy opowiedziała im historię z metra.

- Parę dni temu spotkałam w rurze kogoś, kto mi się naprawdę podoba. I nie tylko podoba - dodała. - Kogoś, z kim łączy mnie więź. Czuję to. Żałuję, że nie starczyło mi odwagi, żeby do niego zagadać, zanim wysiadł z pociągu.

- Mogłaś też wysiąść - zauważyła Ruby.

- I spóźnić się na spotkanie w wydawnictwie? Nie wydaje mi się, żeby to było zbyt dobrze widziane przez pracodawców.

- Ja bym uznała, że jesteś niezwykle romantyczna i z miejsca dałabym ci awans za spontaniczność i radość życia - orzekła Ruby.

- I właśnie dlatego nie prowadzisz międzynarodowego koncernu wydawniczego - powiedziała z naciskiem Lou. - A zresztą, jaka jest realna szansa, że nieznany ideał zechce dać ci swój numer telefonu? Nawet gdyby jechał jeszcze jeden przystanek albo gdybym zebrała się na odwagę i przemówiła do niego, jestem pewna, że powiedziałabym coś głupiego albo opryskałabym go śliną czy zrobiła coś równie czarującego. Nie dałby mi numeru. Spojrzałby na mnie twardo i dał mi końcem parasola w oko.

- Nie - zaprzeczyła Ruby. - Nie sądzę. Nie byłbyś podekscytowany, Martin, gdyby jakaś dziewczyna poprosiła cię w metrze o numer telefonu?

- Jest to marzenie każdego mężczyzny - zapewnił Martin. - Nawet nie wiecie, dziewczyny, jakie macie szczęście, że to wy jesteście stroną, którą się prosi. Jako przedstawiciel płci, która w większości przypadków zmuszona jest wychodzić z inicjatywą, mogę wam powiedzieć, że to koszmar. Nie wiesz, co to strach, dopóki nie stoisz twarzą w twarz z kobietą, która ci się podoba, i usiłujesz wymyślić zdanie, które sprawi, że się roześmieje, zamiast dać ci w pysk.

- No widzisz - powiedziała Ruby. - Powinnaś była to zrobić, Lou. Mężczyźni uwielbiają, kiedy robi im się propozycje.

Lou uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Jasne, że uwielbiają. Jestem pewna.

- No więc, jaki był ten twój nieznajomy ideał? - spytała Ruby.

- Wysoki, włosy ostrzyżone jak należy, w granatowym garniturze. Szczupły.

- Co niewątpliwie zawęza przedział nieznajomych ideałów, podróżujących rurą w godzinie szczytu - powiedział sarkastycznie Martin.

- Nie potrafię wymyślić nic szczególnego na temat jego wyglądu. Ale momentalnie poczułam, że coś między nami jest. Jakaś sympatia. Był taki moment, że spotkaliśmy się oczami i wtedy miałam wrażenie, jakbyśmy się znali. Od zawsze.

Martin udał, że wygrywa czułe akordy na wyimaginowanych skrzypcach. Ruby była odrobinę mniej cyniczna.

- No to musnął cię swoim skrzydłem New Age, Lou. Teraz będziesz wierzyć horoskopom i umawiać się tylko z facetami z księżycem w Skorpionie.

- Nie będzie tak źle - zapewniła ją Lou. - Ale tak mi smutno, kiedy wam o tym opowiadam. Gdyby Londyn nie był takim nieżyczliwym miastem, moglibyśmy zatrzymać się i pogadać. Może przynajmniej się zaprzyjaźnić... - Spojrzała tęsknie w kierunku drzwi, tak jakby wicher przeznaczenia mógł wwiać jej nieznajomy ideał do środka. - A tak to wątpię, czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy.

- Możecie, jeśli będziesz codziennie rano jeździć tym samym pociągiem - zawołała podekscytowana Ruby.

- Jeżdżę codziennie rano tym samym pociągiem. Mniej więcej. I nigdy przedtem się nie zdarzyło, żebym widziała tego człowieka.

- Masz na myśli, że nigdy przedtem go nie zauważyłaś - poprawiła ją Ruby. - To różnica. No to teraz, kiedy stworzyłaś coś w rodzaju duchowej relacji między wami, jestem pewna, że zaczniesz widywać go codziennie. Masz tylko się uśmiechać i zacząć mówić „dzień dobry”. I zanim się obejrzyysz, będziesz bohaterką jednej z tych kolejowych love stories, które w każde walentynki zamieszcza „Evening Standard”, żebyśmy mieli wrażenie, że Londyn nie jest

mimo wszystko takim bezdusznym molochem. - Na samą myśl zaklaskała w ręce.

- Być może - powiedziała Lou. - Ale nie sądzę.

Trochę później tego wieczoru Ruby uśmiechała się coraz radośniej, w miarę jak w jej umyśle powoli powstawało idealne rozwiązanie problemu oraz właściwie sformułowany anons Lou. Wcześniej trudno jej było wymyślić odpowiednio zgrabny sposób zaprezentowania przyjaciółki, a już prawie niemożliwe wydawało jej się odgadnięcie, jaki typ mężczyzny by się jej naprawdę podobał. Teraz miała odpowiedź.

Na samym końcu „Time Out”, londyńskiego magazynu z informacjami, gdzie i kiedy można coś zobaczyć, posłuchać, zwiedzić czy zjeść, pod zwykłymi ogłoszeniami samotnych serc była rubryka zatytułowana Zagubiony ślad. Jeszcze zanim został zawarty pakt trojga, Ruby miała zwyczaj czytać tę kolumnę, gdzie ludzie zostawiali wiadomości z zamiarem ożywienia pamięci kogoś, kogo spotkali jedynie przelotnie i chcieliby spotkać jeszcze raz. Uwielbiała to. Myśl, że ktoś mógł zerknąć na nią z przeciwległego krańca Waterloo Station i od tej pory nie potrafił zapomnieć jej obrazu, sprawiała, że Ruby zaglądała do rubryki Zagubiony ślad, zanim sięgnęła po cokolwiek innego do czytania.

Fakt, że można natrafić w Zagubionym śladzie na siebie samą, był dla niej równie podniecający, jak oczekiwanie na szóstkę w totolotku.

Była zdecydowana. W ogóle nie opublikuje zwykłego ogłoszenia dla Lou. Zamieści anons w Zagubionym śladzie, w którym opíše Lou i jej tajemniczego księcia z Nothern Line. Podekscytowana, wyobraziła sobie, że jej plan się powiedzie, i jaka uradowana będzie Lou, kiedy odkryje, że jej partner z randki w ciemno to mężczyzna, który już wcześniej wpadł jej w oko.

Podzieliła się tym pomysłem z Martinem, kiedy wracali nocnym autobusem do domu.

- A co napiszesz? - spytał. - Skąd wiesz, jak była ubrana tamtego dnia?

- Przypuszczam, że miała na sobie to samo, co wieczorem w pubie. Nie wiesz, czy przyszła prosto z pracy?

- Chyba tak.

- Nie możesz sobie przypomnieć?

- To ty jesteś dziewczyną. My, chłopaki, z reguły nie zwracamy uwagi, nawet jeśli kobieta ma na sobie worek, dopóki widzimy przedziałek.

- No tak. - Ruby rozpoznała własne oskarżenie, które wypowiedziała parę razy wcześniej. - Dobra, to widziałeś jakiś przedziałek? - musiała zapytać.

Martin, wsparłszy podbródek na dłoni, starał się przypomnieć sobie wieczór, o który chodziło.

- Nie - powiedział. Po czym, zupełnie jakby na nowo odkrył prawo Archimedesesa, oczy mu rozbłysły. - Ale miała na sobie minispódniczkę. Doskonale pamiętam, że patrzyłem na jej kolana.

- Martin!

- Nic nie mogę na to poradzić - westchnął. - Lou ma fantastyczne kolana.

Ruby zerknęła na własne, raczej kościste, i obciągnęła spódnicę, żeby je zasłonić.

- Ty też masz ładne kolana - zaprotestował Martin.

- Wcale tak nie uważasz - powiedziała Ruby.

- No dobra, kolana masz okropne, ale za to rewelacyjny biust. Tak lepiej?

- Ty draniu! - Ruby trzepnęła go torebką. Udawała, że jest zirytowana, ale w gruncie rzeczy pochlebiało jej to. - Lepszy niż ma Lou? - spytała w chwilę później.

- Lepszy niż ma większość kobiet.

- Tylko większość? - powtórzyła jak echo Ruby. Martin natychmiast wyczuł, że może palnąć gafę równą tej, którą się popełnia, mówiąc dziewczynie, że w tym stroju wcale nie ma takiego wielkiego tyłka.

- To był żart - pospieszył.

- Co? To, że istnieją lepsze cycki niż moje, czy to, że moje są lepsze, niż ma większość kobiet?

Martin pobladł.

- Zapomnij - powiedziała Ruby. - Tak czy owak, nie zależy mi specjalnie, co o tym myślisz.

- To czemu się tak na mnie złościysz? - spytał Martin.

- Wcale się nie złościę - upierała się Ruby. - To naprawdę nie ma znaczenia, czy uważasz, że wyglądam dobrze, czy nie. Prawdę mówiąc, byłabym jedną z nielicznych kobiet, których nie uważasz za atrakcyjne. - Pragnęła, by jej uwaga zabrzmiała lekceważąco, ale miała jednocześnie przerażającą świadomość, jak bardzo jest jej przykro. - No więc wiemy, że miała na sobie minispódniczkę - powiedziała szybko, żeby zmienić temat. - Napiszę to. Poniedziałek rano. Nothern Line. Ty w granatowym garniturze. Ja w minispódniczce, czytająca... Co ona wtedy czytała?

- Nie mam pojęcia. Dzikie gęsi czy coś w tym stylu?

- Dzikie łabędzie - poprawiła go Ruby. - Pewnie masz rację. Ale to jej nie określa zbyt wyraziście. Każdy w rurze to czyta. No, chyba że czytają Mandolinę Kapitana Corellego albo Harry 'ego Pottera.

- No i właśnie dlatego tak jest dobrze - orzekł Martin. - Przecież nie chcesz zawężać jej możliwości wyboru.

- Ale tu nie ma żadnych możliwości wyboru. Ja chcę po prostu znaleźć jej wyśniony ideał!

- A prawda. Słusznie.

- Na jakiej stacji ona mówiła, że wysiadł? - ciągnęła Ruby.

- Hm... To by była Nothern Line, tak? Camden Town? Napisz tak.

- W porządku. Tak zrobię. A co ty napiszesz o mnie, Mart? - spytała Ruby, przytulając się do niego. - Gdzie zamieścisz moje ogłoszenie?

- Nie mogę ci tego zdradzić. Wiesz, że to niezgodne z zasadami.

- Ja ci powiedziałam, co zrobię w związku z Lou - argumentowała Ruby.

- No. Ale nie mówiłaś mi, co ona napisała o mnie, prawda?

- Słowo daję, że nie wiem. Dobra, po prostu wybierz mi jakieś dobre pismo. Przysięgnij, że nie umieścisz go, dla śmiechu, w najgorszym szmatławcu, a ja już dopilnuję, żeby Lou znalazła ci księżniczkę - obiecała Ruby.

- W takim razie ty dostaniesz w zamian księcia z bajki.

Lou tymczasem znów czekała na stacji metra. Nadjechał pociąg. Lou wsiadła do kompletnie pustego wagonu. Wybrała miejsce przy podwójnych drzwiach i sprawdziła, czy na siedzeniu nie ma gumy do żucia, żeby nie zmarnować spodni. Dzięki Bogu, żadnej gumy nie było. Leżał tylko pozostawiony przez kogoś egzemplarz „Time Out”.

Lou przeczuciła strony, instyktownie zmierzając prosto do rubryki samotnych serc. „Time Out” to była gazeta, gdzie, jak sądziła, mogłaby zamieścić wiadomość o Martinie i jego wdziękach ku radości żeńskiej klienteli. Przebiegła wzrokiem po Panowie poszukują pań, Panie poszukują panów, Panie poszukują pań... Po czym dotarła do rubryki, której jakoś dotychczas nie zauważyła. Zagubiony ślad.

Było tu tylko jedno trzylinijkowe ogłoszenie:

Kasy biletowe Eurostar, Waterloo 15/5. Ty: brązowe włosy, czerwone spodnie. Ja: błękitna koszula, czarne dżinsy. Uśmiechnęłaś się. Ja upuściłem kubek z kawą.

Dalej podano numer skrzynki. Obok, w dużej ramce, wyjaśniano cel i zasady Zagubionego śladu. Był on przeznaczony właśnie dla takich osób, jak Lou i jej tajemniczy nieznajomy z Nothern Line. Dla ludzi, którzy wymienili przelotne spojrzenie, niepewny uśmiech, a potem żalowali, że nie zrobili czegoś więcej.

Lou zwinęła gazetę i wsunęła ją do swojej wielkiej nylonowej torby. Być może zamieści tu jakiś anons na własną rękę.

ROZDZIAŁ 10

Nazajutrz rano telefonistka z „Time Out” wzięła do ręki dwa ogłoszenia, przeznaczone do publikacji w rubryce Zagubiony ślad. Pierwsze, zamówione przez dziewczynę, która sprawiała dziwne wrażenie, że nie jest tak naprawdę pewna, gdzie widziała swój nieznajomy ideał, brzmiało jak następuje: Środa rano, Northern Line. Ja: w czarnej minispódniczce, czytam Dzikie łabędzie. Ty: granatowy garnitur, blond włosy. Chciałabym zobaczyć się z tobą jeszcze raz.

W drugim ogłoszeniu też chodziło o Northern Line. I też o środę rano. Szkoda, że druga dzwoniąca osoba to nie facet, pomyślała telefonistka, wstukując szczegóły na temat tejże osoby do komputera. Czy nie byłoby to zdumiewające, gdyby równocześnie zamieścili ogłoszenia chłopak i dziewczyna, bo oboje chcieli dostać jeszcze jedną szansę? Kiedyś już się coś takiego wydarzyło... Francuzka, która przyjechała na studia do Londynu, i uliczny muzyk, uciekający przed policją, wpadli na siebie na Victoria Station i przez chwilę rozmawiali, gdy on pomagał jej zbierać rozsypane książki. Nie wymienili się wówczas telefonami, oboje zbyt nieśmiali, by o to zapytać, ale w trzy dni później oboje próbowali zamieścić anons w Zagubionym śladzie. Ellie, telefonistka, od razu ich połączyła. Nawet nie trzeba było publikować ogłoszeń. Przysłali jej później kartkę, żeby podziękować za zorganizowanie im pierwszej randki. To było takie miłe... Ciekawe, czy jeszcze ze sobą chodzą, pomyślała.

Niestety, dzisiejsi ogłoszeniodawcy, obie dziewczyny, najwyraźniej nie przeszukiwali się nawzajem.

- Może przeczytam pani całość - powiedziała do drugiej dzwoniącej.

Northern Line, środa rano. Ja: w popielatych spodniach, wiszę na uchwycie. Ty: w granatowym garniturze, opierasz się o drzwi. Zerknąłeś na mnie ponad głową mężczyzny czytającego „FT”, po czym wysiadłeś na King's Cross. Żałuję, że nie powiedziałam ci „cześć”.

- Kiedy to pójdzie? - spytała Lou.

- W najbliższym numerze, w przyszłym tygodniu - powiedziała Ellie.

- Myśli pani, że to może zadziałać? - zastanowiła się na głos Lou.

- To się często zdarza - odparła Ellie. - Niech pani nie zapomni zaprosić mnie na wesele, jeśli zadziała.

- Jasne - zaśmiała się Lou. - Będzie pani pierwsza na liście gości.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się na tę myśl. Wesele? Niewielka była na nie szansa, wiedziała. A jednak czuła się niezwykle podekscytowana. Przyszłość jej związku z nieznajomym ideałem spoczywała teraz w rękach bogów. Ona zrobiła, co mogła, z wyjątkiem jeżdżenia przez cały dzień metrem tam i z

powrotem, dopóki nie znajdą się znów oboje w tym samym wagonie. Teraz mogła mieć tylko nadzieję, że jej wyśniony kochanek czyta „Time Out” albo przynajmniej zna kogoś, kto go czyta. I modlić się, żeby nieznajomy był londyńczykiem, a nie kimś, kto przyjechał na krótko w interesach do Londynu, a na stałe mieszka w Paryżu czy Nowym Jorku. I marzyć po cichu, by okazało się, że i on poczuł wtedy to samo wobec niej, że rozpozna w jej opisie ich spotkanie i że nie będzie zszokowany pomysłem randki z dziewczyną, na którą przelotnie rzucił okiem w metrze...

Martin umieścił tymczasem ogłoszenie Ruby w dziale Styl w „Sunday Times”. Pomimo oporów Lou był przekonany, że „Sunday Times” to najlepszy rynek towarzyski, na którym należy zaprezentować oczywiste wdzięki Ruby. Lou ulżyło, że w każdym razie nie zwrócił się do „Financial Times”, ale wolałaby „Guardiana”, ukochaną gazetę lewicowców o wrażliwych sercach, bo właśnie kogoś takiego potrzebowała jej zdaniem Ruby. Martin jednak twardo stał na stanowisku, że Ruby nie potrzebuje roślinożernego wypłacza koszyków w charakterze chłopaka. Zamieszczając jej ogłoszenie w „Sunday Times”, mógł być przynajmniej jako tako pewny, że facet, z którym ją umówi, okaże się wypłacalny. Nie było to bez znaczenia.

- Marksizm jest szalenie romantyczny - wyjaśnił - ale nie można nim zapłacić za obiad.

Lou musiała pocieszyć się faktem, że w końcu udało jej się wypresadować Martinowi końskie metafory na temat doskonałych nóg i „bujnej grzywy”. Ogłoszenie Ruby brzmiało w końcu jak następuje:

Przyszło lato! Nie spędzaj go samotnie. Pozwól, by ta piękna, pełna radości życia, inteligentna kobieta (31) była twoim słońcem...

- Co o tym myślisz?

- Nieźle - musiała przyznać Lou. - Postaram się stanąć na wysokości zadania w wiadomości głosowej.

Lou miała nagrać towarzyszącą anonsowi wiadomość telefoniczną, udając, że jest Ruby. Wiedziała, że Ruby będzie prawdopodobnie musiała zrobić to samo dla niej, jako że jednym z warunków zamieszczenia ogłoszenia było nagranie uzupełniającego je powitania telefonicznego.

Nie było jednak potrzeby, by Martin nagrywał powitanie. Po starannym rozważeniu Lou zdecydowała, że w ogóle nie zamieści ogłoszenia Martina w prasie. Wstukała dane na jego temat do bazy danych internetowej agencji matrymonialnej o nazwie pinacoladalovematch.com, na cześć piosenki Barry'ego Manilowa, w której skłóceniu kochankowie odnajdują się ponownie przez rubrykę

samotnych serc i wspólną miłość do pina colady, po czym kochają się w strumieniach deszczu.

Kiedy tekst był gotowy, Lou wskanowała najlepsze zdjęcie Martina, jakie miała w swoich zbiorach. Pochodziło co prawda sprzed pięciu lat, ale Lou uważała, że nie wprowadzi nikogo w błąd. Martin starzał się nadzwyczaj korzystnie... Przebiegła wzrokiem ostateczny kształt ogłoszenia:

Dlaczego wciąż jestem sam? Książę z bajki? Skąd. Interesujący? Niewątpliwie. Przystojny, dowcipny, wrażliwy mężczyzna (31) szuka interesującej, inteligentnej kobiety, z którą mógłby się zaprzyjaźnić, zabawić, a może coś więcej.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak ty mnie opisałaś - powiedziała Lou. - Hoża? Seksowna? O syrenich kształtach?

Ruby potrząsnęła przemądrzale głową.

- Nigdy nie zgadniesz.

Tak więc oferty samotnych serc poszły do druku. Każde z trojga przyjaciół liczyło w sekrecie, że dzięki jego czyjej ogłoszeniu życie osoby, której anons dotyczył, wzbogaci się o prawdziwą, trwałą miłość. Podekscytowana była zwłaszcza Ruby. To tak, jakby każde z nich kupiło bilet na loterię, gdzie obiecywano wygraną najwyższą w całym wszechświecie! Tym razem naprawdę czuła się szczęśliwa. Tak jest, naprawdę. Z jakichś nieznanych powodów była przekonana, że tuż-tuż, po tamtej stronie weekendu, czeka na nią prawdziwa miłość. Mogło to mieć coś wspólnego z horoskopem, który przewidywał dla niej „wielkie niespodzianki” w tym miesiącu.

Podczas następnego weekendu, przy późnym śniadaniu w Cafe Rouge, trójka przyjaciół mogła zapewnić się nawzajem, że wszystkie ogłoszenia zostały opublikowane. Lou i Martin dyskutowali o zaletach Supergrass w porównaniu z Coldplay, Ruby zaś tymczasem wertowała w pocie czoła dosłownie każdą gazetę, która jej wpadła w ręce. Czy jest „zmysłową brunetką” z „Sunday Times”, czy „nieśmiałą, ale seksowną miłośniczką zwierząt” z „Independent”? A „wcięta, gdzie należy, laseczka” z „News of the World”? Miała tylko w Bogu nadzieję, że nie jest „niebezpieczną damą po przejściach”, której ogłoszenie znalazła na ostatniej stronie „Sunday Telegraph”.

- Pomyślcie tylko - powiedziała marząco, mieszając powoli swoje capuccino. - Właśnie w tej chwili siedzi gdzieś tam przy stole mój wymarzony mężczyzna i jedząc grzanki z marmoladą, czyta olśniewający opis mojej osoby autorstwa Martina. Kiedy skończy śniadanie, podniesie słuchawkę. Wysłucha wiadomości nagranej przez Lou i poczuje się zaintrygowany...

Martin i Lou wymienili uśmiech.

ROZDZIAŁ 11

Przesiadanie do późna w nocy w biurze szybko stało się regułą, odkąd pryszczaty wyrostek ze sklepu komputerowego poinformował Martina, że sprowadzenie dla niego poza-asortymentowego zasilacza, jaki był mu potrzebny, potrwa dwa miesiące. Martin odkrył zresztą, że atmosfera biura jest dziwnie stymulująca, kiedy wszyscy pójdą do domu. Codziennie o piątej trzydzieści pakował swoją zniszczoną torbę i wychodził z gmachu International Mags frontowymi drzwiami, po czym szedł do kafejki po przeciwnej stronie ulicy. Zamawiał cappuccino, zajmował stolik nieco w głębi, tak by nie widziano go z ulicy, i obserwował główne wejście do International Mags, dopóki nie zobaczył, jak równo o szóstej wybiega Barry i pędzi, żeby złapać pociąg do Essex. Kiedy Martin znalazł się poza zasięgiem wzroku Barry'ego, wracał prościutko do biura i zabierał się do pracy nad powieścią.

Było ważne, by Barry nie dowiedział się, że Martin codziennie przesiaduje do późna w biurze. Martin nie wiedział, czy używanie sprzętu firmowego do celów prywatnych mogłoby stać się podstawą do wyrzucenia go z pracy, ale z pewnością byłoby podstawą do kpin. Nie miał ochoty tłumaczyć się ze swoich twórczych ambicji takiemu burakowi jak Barry Parsons. Nie chciał również stać się obiektem znacznie bardziej złośliwych żartów, jakimi częstowałyby go z czułością przez całe lata Ruby i Lou.

Z powieścią szło mu jednak zupełnie nieźle, przyznawał ostrożnie Martin. Na fali pierwszego entuzjazmu kupił nawet w Amazon.com parę poradników na temat pisania. Autorzy tych cennych dzieł, choć zapewne żaden z nich sam nie napisał nigdy powieści, prezentowali sprzeczne opinie na temat tego, co sprawia, że książka dobra staje się książką wspaniałą, niemniej Martin zaczerpnął z nich przynajmniej parę praktycznych rad, jak prezentować maszynopis wydawcom.

Bohaterem arcydzieła Martina, na razie bez tytułu, był facet imieniem Mark, równy gość, tkwiący w pułapce nieciekawej pracy i piastujący w sercu potajemną słabość do starej koleżanki, imieniem Ruthie, która przez całą książkę robi co może, żeby skojarzyć go z całkowicie nieodpowiednią dla niego kobietą. Wreszcie, w finale, w rezultacie pewnego kryzysu, Mark i Ruthie rozpoznają, co ich naprawdę łączy i co od początku tliło się pod pokrywą przyjaźni. Martin nie był jeszcze pewien, jaki to miałyby być kryzys, ale scena, w której bohaterowie uświadamiają sobie, że się od zawsze kochają, i całują namiętnie w feerii świateł mostu Alberta, była gotowa.

Faktem jest, że w ciągu tygodnia, jaki minął od czasu, gdy zdał sobie sprawę, że Webecca nie odda mu zasilacza, Martin napisał siedem świetnych w swoim

mniemaniu scen. Już widział Hugh Granta w roli herosa w filmowej adaptacji swojej powieści. Facet był odpowiednio przystojny, ale reżyser powinien wybrać kogoś, kto potrafiłby oddać intelekt i osobowość Marka, a nie tylko dobrze wyglądać, uważał Martin.

Co do tego, kto miałby zagrać śliczną Ruthie, to Martin stawiał pierwotnie na Michelle Pfeiffer - miał słabość do tej aktorki o oczach łani, odkąd jako siedemnastolatek obejrzał Niebezpieczne związki, i uważał, że stanowi ona idealne połączenie łagodności i bezbronności. Ale, choć śliczna, biedna Michelle będzie prawdopodobnie do czasu, gdy ukaże się książka i wezmą się do kręcenia filmu, za stara, żeby grać trzydziesto-parolatkę... Do kręcenia filmu! Martin wymierzył sobie mentalnego klapsa, że w zarozumiałości swojej zakłada, iż książka spodoba się komuś na tyle, że zechce poświęcić papier na jej wydrukowanie. Niemniej była niezła, powiedział sobie po cichu. Prawdę mówiąc, niektóre fragmenty wydawały mu się wręcz świetne...

Ostatnim zajęciem Martina, zanim opuścił biuro po pisarskim seansie, było co wieczór sprawdzenie odpowiedzi, jakie nadeszły na ogłoszenie Ruby w „Sunday Times”. Zaczęły one napływać niemal natychmiast. Martin nie był zaskoczony, że w ogóle ktoś chce się umówić z jego przyjaciółką... Zaskoczyła go jednak liczba mężczyzn, zdających się mieć ochotę na randkę z osobą, której opis w gazecie zajmował dwie linijki. Już pierwszego wieczoru były trzy telefony, a w ciągu tygodnia znacznie więcej, ponieważ żonaci dzwonili z pracy.

A niektórzy z nich truli... Martin, słuchając, jak Hugh z High Wycombe rozwodzi się nad „fascynującymi” problemami, z jakimi ma do czynienia jako doradca firm ubezpieczeniowych poczuł się szczęśliwy, kiedy pomyślał, że to nie on zapłaci za rachunek telefoniczny.

- Reasumując, moja praca dostarcza mi wciąż nowych wyzwań i jest źródłem wielkiej satysfakcji - powiedział na zakończenie kandydat, kiedy Martin już przysypiał.

Gdyby w grze samotnych serc chodziło o sprzedanie siebie samego, wówczas większość mężczyzn, którzy dzwonili do Ruby, uplasowałaby się natychmiast po otwarciu ust w stojącym przy kasie koszyku z artykułami przecenionymi, wraz z uszkodzonymi pudełkami biszkoptów i powgniatanymi puszkami.

Po paru dniach Martin bez litości odcinał z listy potencjalnych kandydatów każdego, kto zbyt długo się wahał, zanim zaczął mówić. Każdego, kto jego zdaniem miał głos choćby o pół tonu wyższy niż on. Każdego, czyj sposób mówienia był zbyt pretensjonalny czy zbyt gwarowy. Każdego, kto wspomniał, jaki ma samochód...

Samochody stanowiły szczególnie bolesną kartę w biografii Martina. Odkąd Barry Parsons uznał, że Martin nie potrzebuje już samochodu służbowego i jego ukochany ford puma wrócił do garażu, był zmuszony jeździć starą fiestą swojej siostry. Ładnie z jej strony, że w ogóle mu go dała (mąż kupił jej na trzydzieste piąte urodziny forda K), niemniej Martin czuł się jak idiota. Ford fiesta to było babskie auto i nie poprawiały bynajmniej tego wizerunku nadzwyczaj trwałe kwiatowe nalepki, jakimi poobklejała go dokumentnie Marie.

Martin zdawał sobie sprawę, że w jego decyzji, by dyskwalifikować mężczyzn, którzy mówili o marce własnego auta, było coś z hipokryzji, ponieważ zamieścił ogłoszenie Ruby w „Sunday Times” właśnie dlatego, by mieć pewność, iż znajdzie kogoś na przyzwoitym poziomie materialnym. Usprawiedliwiał się jednak, mówiąc sobie, że co innego odnieść sukces, a co innego chełpić się tym. A wspomnianie o marce samochodu w dwuminutowej wypowiedzi nagranej dla kobiety, której się dotąd nie widziało na oczy, było chełpieniem się bez wątpienia.

Flett należał do takich właśnie pyszałków. Martin dobrze to pamiętał. A Ruby zasługiwała na kogoś innego niż Flett. Martin znienawidził faceta od pierwszej chwili, kiedy poznał go na jednej z legendarnych proszonych kolacji Ruby. Flett siedział w fotelu, pieprząc coś przemądrzale o znaczeniu tych swoich cholernych łożysk kulkowych, a Ruby w tym czasie zasuwała w kuchni jak stepfordzka żona. Krytykował wszystko, co mu Ruby postawiła przed nosem. Doskonała, po prostu doskonała ryba, zdaniem nowego chłopaka Ruby, była beznadziejnie przegotowana. W sosie wyczuł za dużo masła. „Musisz zwracać uwagę na sylwetkę, kochanie”. Kartofle wydawały mu się za twarde.

Martin musiał ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć Flettowi, gdzie może sobie wsadzić swoje kulinarne ekspertyzy: i poprzestał na kontrowaniu każdej krytyki Fletta stosownym komplementem. Była to dziwnie znajoma sytuacja, przywołująca na myśl dawne niedzielne obiady z mamą, ojcem i siostrą. Mama dwoiła się i troiła, żeby wszystkim dogodzić. Tata siedział na rzeźbionym krześle i wykrzykiwał pouczenia.

Zadrzał na myśl, że Ruby mogłaby wylądować u boku kogoś takiego jak jego ojciec. Kogoś, kto w miarę upływu lat coraz bardziej by ją tłamsił i ogałacał z wdzięku i sprawiał, że będzie miała coraz niższą samoocenę. Ruby należał się mężczyzna, który uważałby się za najszcześliwszego pod słońcem, gdyby się do niego uśmiechnęła, a nie ktoś, kto uważa, że powinna mu być wdzięczna za okrucy jego bezcennego czasu. Mężczyzna, jakiego pragnął Martin dla Ruby, powinien mieć gest, poczucie humoru i umieć okazywać pobłażliwość.

Krótko mówiąc, Martin pragnął dla Ruby równego gościa. Kogoś, kto w nosie miałby rozmaite „zasady” i inne tego typu głupoty. Kogoś, kogo nie interesowałoby spędzenie życia w towarzystwie kobiety, która zawsze jest umalowana, ale nie potrafi się uśmiechać. Kogoś, z kim Martin z chęcią poszedłby na piwo. Kogoś, kto wiedziałby, jak o nią dbać. Kogoś takiego jak on sam. Nie da się ukryć.

Lou zajrzała do najnowszego numeru „Time Out”, żeby sprawdzić, czy jej ogłoszenie zostało wydrukowane. Było. Tuż pod tytułem Zagubiony ślad. Lou przebiegła wzrokiem tekst, niespokojna, czy czegoś nie brakuje albo czy jakieś słowo nie zostało przekreślone, tak że jej nieznamy ideał może się nie rozpoznać, nawet jeśli przeczyta anons. Ale nie. Było dokładnie tak, jak podyktowała.

Jednak tuż pod swoim ogłoszeniem znalazła inne, które ją zaintrygowało. Chodziło w nim o tę samą linię i ten sam dzień. Osoba, która je napisała, też szukała nawet jakiegoś innego idealnego kochanka w granatowym garniturze.

- Wszystkiego najlepszego - mruknęła Lou pod adresem sąsiadki . - Miejmy nadzieję, że zadziała chociaż dla jednej z nas.

Minęły jednak trzy dni - i nic. Ani jedna odpowiedź nie nadeszła na apel Lou. Minęły cztery dni. Dalej nic. Tydzień. Głucha cisza.

Za to internetowe ogłoszenie, jakie załatwiła dla Martina, przyciągnęło uwagę tak wielu kobiet, że zaczęła się zastanawiać, czy by nie zatrudnić sekretarki, żeby pomogła jej oddzielić ziarno od plew, to jest od ofert ewidentnych wariatek, neurotyczek czy po prostu kobiet zanadto pogrążonych w smutku, żeby można je było brać pod uwagę.

I choć powiedział, że nie zostawia mnie dla innej - pisała Mary z High Barnet - to kiedy poszłam w następny piątek do pubu, był tam już z inną dziewczyną. Musiał się z nią widywać od początku, nie uważasz? Ale ty sprawiasz wrażenie porządnego faceta — ciągnęła. - Podoba mi się sposób, w jaki opisałeś siebie samego w ogłoszeniu. Jestem pewna, że ty nigdy nie zraniłbyś w ten sposób nikogo...

Może one powinny zadzwonić do Samarytan, których numer widniał na samej górze strony pinacoladalovematch.com, pomyślała Lou, wykasowując kolejnego e-maila od kolejnej beznadziejnej kandydatki. Niemal natychmiast liczba odpowiedzi zmniejszyła się z piętnastu do dwu. Nie zanosilo się, by znalezienie Martinowi właściwej kobiety miało być równie łatwe, jak ciśnienie granatem w czołg.

Kiedy reszta tygodnia nie zaowocowała żadnymi sensownymi ofertami, Lou zaczęła bawić się myślą, by przejrzeć jeszcze raz wszystkie odpowiedzi i wybrać

najgorsze. Było to całkowicie sprzeczne z zasadami Paktu Samotnych Serc - brać pod uwagę kogoś, kto w twoim odczuciu nie jest najlepszą możliwą partnerką czy partnerem dla twojej ofiary. No, ale jeśli chodziło o Martina, to całkiem możliwe, że kobieta, którą Lou uważała za ostatnią z ostatnich, byłaby właśnie tą, która by go zainteresowała.

Lou nigdy w życiu nie miała do czynienia z równie beznadziejnymi panienkami, jak eksdziewczyny Martina. Choć bardzo pragnęła okazać im po kobiecemu solidarność, trudno było znaleźć coś ciekawego w tej kohorcie pijawek, bluszczy i jawnie beznadziejnych istot, w jakich miał skłonność zakochiwać się Martin. Nigdy nie przestało jej szokować, że jej przyjaciel Martin, który zdawał się gustować w towarzystwie kobiet inteligentnych (tj. jej i Ruby), tak często lądował u boku dziewczyn, które uważały, że Nietzsche to choroba weneryczna. Webecca, która robiła doktorat, była rzadkim wyjątkiem od tej zasady. Niemniej i ją należało uważać za kretynekę honoris causa, jako że osiągała znakomite wyniki w ukrywaniu swojej inteligencji w towarzystwie mężczyzn, a w szczególności Martina.

- Brak pewności siebie - postawiła kiedyś diagnozę Ruby, późno w nocy przy wódce. - Właśnie dlatego Martin zawsze zadaje się z takimi idiotkami. Rzadko można spotkać mężczyznę, który potrafiłby zaakceptować jako partnerkę kobietę, którą odbiera jako równą sobie.

Kopecja ta była wówczas Ruby bardzo bliska. Zdecydowała, że Flett z nią skończył, bo bał się jej inteligencji.

- Mężczyźni z naszego pokolenia na poziomie racjonalnym wiedzą, że powinni interesować się kobietami, które radzą sobie równie dobrze w kuchni i w sali konferencyjnej. Ale na bardziej pierwotnym poziomie - ciągnęła - wciąż mają w mózgu coś, co każe im walczyć o pozycję najważniejszego psa w stadzie. Spójrz tylko, jak reaguje Martin, kiedy go ograsz w gameboya...

Prawdą było, że ilekroć któraś z dziewczyn pobiła Martina w grze komputerowej, w tenisa czy choćby w karty, Martin żądał kolejnych partii tak długo, dopóki wreszcie się nie odegrał. A jeśli udało mu się zwyciężyć, to często ryzykował przegraną i zwiększał liczbę rozgrywek, byle tylko uzyskać większą przewagę.

Martin prawdopodobnie czułby się szczęśliwy z kobietą, z którą Lou nie miałyby wprawdzie o czym pogadać, ale która miałaby za to na tyle długie włosy i odpowiednio duży biust, by odwrócić jego uwagę od braku jej zdolności konwersacyjnych... Lou chciała już uznać swoją klęskę i postawić na „puchategokróliczka69@.com”, panienkę, która w odpowiedzi na prośbę Martina, by autorki e-mailów opisały mu swoje pasje, rozwodziła się na temat

birmańskich kociątek, które hoduje. Ale nie. Nie chodziło przecież o znalezienie Martinowi panienki, która by mu się podobała. Chodziło o znalezienie partnerki, która byłaby dla niego odpowiednia. Mieli jeszcze czas. Przecież się nie paliło.

We środę wieczorem, przy kolejnym quizie w pubie, zarówno Martin, jak i Lou mogli stwierdzić, że ich ogłoszenia wzbudziły znaczne zainteresowanie.

- Wczoraj dostałeś piętnaście odpowiedzi - powiedziała Lou do Martina.

- No widzisz - odparł. - Żadna kobieta mi się nie oprze.

- Ani żaden mężczyzna - zauważyła z uśmiechem. - Zakładam, że nie interesowałaby cię randka z Simonem z West Kensington. Choć trzeba przyznać, że chłopak jest bezpośredni. Kawa na ławę.

- A ja dużo dostałam ofert? - spytała ochoczo Ruby.

- Przyszło parę - odparł wymijająco Martin. - Ale żadna nie wydaje mi się odpowiednia. Nie podobają mi się głosy tych facetów.

- Martin, nie możesz tak po prostu odcinać każdego, kto ci się nie podoba - przypomniała mu Ruby. - Powinieneś się zastanowić, czy mnie by się podobał.

- Założę się, że on odcina każdego, kto ma lepszy samochód niż on - powiedziała przenikliwie Lou. - Albo każdego, kto jest wyższy, albo bogatszy, albo...

- Nie waż się tego robić - ostrzegła Martina Ruby.

- Działam w twoim najlepiej pojętym interesie - zapewnił ją.

- A co ze mną? - spytała Lou. - Jakież to wybór kasek ułożył się przede mną na półmiskach, z których mam się częstować w przyszłym tygodniu?

- Hm... - Ruby patrzyła w swój pusty kieliszek i z niejakim roztargnieniem zakręciła nim, wprawiając w ruch wirowy samotną kostkę lodu. - Na pewno niedługo przyjdzie kupa ofert - powiedziała w końcu. - Chociaż jeśli dziś wieczorem wciąż nic nie będzie, to zadzwonię do gazety i sprawdzę, czy zamontowali jak należy skrzynkę na odpowiedzi.

- To znaczy, że nikt nie zadzwonił ani nie napisał, żeby się ze mną umówić? - Lou była zdumiona. - Ani jeden? To jak ty mnie opisałeś? Zasuszona stara jędra poślubi natychmiast żigolaka?

- Jasne że nie - odparła natychmiast Ruby. - Po prostu... można powiedzieć, że napisałam anons ukierunkowany na bardzo specyficzny typ odbiorcy - skrajnie specyficzny nawet. Jeśli nadejdzie odpowiedź, stanie się jasne, że to ten, co trzeba. Nie będzie co do tego żadnej wątpliwości - skinęła głową, przekonana, że wyjaśniła sytuację, nie mówiąc równocześnie zbyt wiele.

Lou patrzyła na nią pytająco. Dziwne to zaiste było wyjaśnienie.

- W porządku - powiedziała wreszcie. - Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, ale wierzę, że oboje zadbaliście, żebym nie siedziała samotnie przy barze,

chrupiąc orzeszki, podczas gdy wy będziecie przeżywali w Suave najbardziej romantyczny wieczór w swoim życiu.

Restauracja, w której mieli się spotkać, miała opinię jednej z najmodniejszych knajp w mieście.

- Będziesz miała swoją randkę, Lou - zapewniła ją Ruby. - Przysięgam na głowę Martina. - Mówiąc to, skrzyżowała na wszelki wypadek palce za plecami.

W tydzień później Ruby zaczynała się już na serio martwić. Lou i Martin wciąż nie mieli partnerów na randkę, która miała się odbyć w najbliższy piątek, natomiast apel Ruby skierowany do przystojnego współpasażera Lou nadal pozostawał bez odpowiedzi. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniła okropnej pomyłki. Co tam się zastanawiać... Ruby wiedziała, że popełniła okropną pomyłkę. Wyśniony kochanek Lou najwyraźniej nie należał do mężczyzn, którzy czytają „Time Out”, a przekłety optymizm Ruby sprawił, że miała teraz o wiele za mało czasu, żeby w ramach planu awaryjnego zamieścić ogłoszenie w innej gazecie. Lou nie będzie miała partnera na randkę. Jak można tak spać robotę!

Ruby zdecydowała, że jak tylko znajdzie się rano w biurze, natychmiast zadzwoni do Lou i wyświadczy jej za swojej pomyłki. Być może Lou zainteresuje się którymś z mężczyzn, jacy odpowiedzieli na anons Ruby zamieszczony przez Martina? Pod presją poprzedniego wieczoru, gdy w dodatku Ruby wykręciła Martinowi rękę tak, że o mało nie wyrwała mu ramienia ze stawu, przyznał, że na anons Ruby nadeszło piętnaście ofert. Piętnaście! Nie wszystkie przecież muszą być okropne...

Dokładnie w chwili, gdy Ruby, już przy drzwiach, zawiązywała sznurowadła, na wycieraczkę upadła poczta.

Rachunki. Rachunki. Rachunki. Ruby powlokła się z powrotem do kuchni i umieściła wyciąg z karty Visa na uprzywilejowanej pozycji, oparty o toster, żeby tylko nie zapomniała go zapłacić. Potem zaproszenie z Clarins do wypróbowania jakichś nowych kosmetyków upiększających. Ruby przebiegła je szybko wzrokiem, żeby sprawdzić, czy nie oferują jakiegoś cudownego, błyskawicznie działającego specyfiku typu „bądź piękna nazajutrz na randce w ciemno”. Niestety, nie oferowali. A potem ukazała się szara koperta. Duża. Przecięła ją. Ze środka wypadła mniejsza.

Przez chwilę, nie rozumiejąc, patrzyła na adres, wypisany starannym charakterem pisma na szorstkim błękitnym papierze.

Do Dziewczyny z moich snów, skrzynka nr 3567.

- Tak jest! Zwycięstwo! - Ruby triumfalnie wyrzuciła w górę pięść.

Była to odpowiedź na jej ogłoszenie w rubryce Zagubiony ślad.

Uroczą, nieznana mi jeszcze dziewczyno - rozpoczynał się list.

Czy wierzysz w przeznaczenie? Bo ja od tej pory będę musiał! Zazwyczaj nigdy nie kupuję „Time Out”, ale przedwczoraj coś mnie popchnęło do stoiska z gazetami na stacji metra i kazało kupić najnowszy numer. No i proszę. Twoje ogłoszenie! Nie mogłem w to uwierzyć. Ilu ludzi mieszka w tym mieście? Niektórzy twierdzą, że siedem milionów. W takim razie była jedna szansa na siedem milionów, że uda mi się Ciebie odnaleźć.

Od tamtego dnia w metrze bez przerwy o Tobie myślałem. Te piękne oczy. Ten uśmiech, rozświetlający Twoją śliczną twarz i mój szary poranek. Przez cały dzień pracy przeklinałem swoją nieśmiałość. Gdybym przynajmniej powiedział „cześć”! Gdybym wysiadł na tej stacji co Ty i poszedł za Tobą! Ale bałem się, że się spóźnię do pracy. Wiesz, jak to jest... Spóźnienie w pracy! Co za nędzna wymówka! Powinienem był przełknąć swoje obawy i powiedzieć Ci, co czuję tu i teraz.

Ale nie powiedziałem. I myślałem, że już nigdy więcej Cię nie zobaczę. Wściekłość na własną nieśmiałość przewyższał tylko smutek, że nigdy nie będzie nam dane zostać choćby przyjaciółmi. Temu smutkowi dorównuje jedynie radość i ekscytacja, jakie czuję obecnie!

No więc jestem. Nazywam się, gdyby Cię to interesowało, Andrew. Wiesz, oczywiście, jak wyglądam. Mam trzydzieści trzy lata i mieszkam w Tufnell Park. Pracuję w Islington w firmie internetowej o nazwie www.Asyoulikeit.com. Sprzedajemy bilety do teatru po obniżonej cenie. Lubię futbol i psy. Mówię po francusku, choć z błędami, i potrafię porozumieć się po włosku. Nie wiem, czy wyda Ci się to atrakcyjne, ale bardzo chciałbym się z Tobą spotkać i samemu opowiedzieć Ci wszystko, co jeszcze zostało do opowiedzenia.

Zadzwoń, proszę, jak tylko dostaniesz ten list. Nie mogę się już doczekać, żeby się znów z tobą spotkać. Gdyż, jeśli Amor wciąż jeszcze działa w dzisiejszych czasach, to w tamtą środę w Northern Line ugodziła mnie jego strzała.

Pozdrawiam najserdeczniej, Andrew

Ruby rozpostarła list na kuchennym stole. Czowała się trochę tak, jakby podglądała cudze życie.

„Jedna szansa na siedem milionów”. Tym razem Lou naprawdę wygrała na loterii... Radość Ruby, że znalazła tajemniczy ideał, pomieszana była z odrobiną zazdrości, że ktoś, kto widział jej przyjaciółkę dosłownie przez parę sekund, doznał takich wrażeń. Mimo to aż podskoczyła, podekscytowana, gdy przekręciwszy klucz w obu zamkach, ruszyła na przystanek. Ale Lou będzie zaskoczona... Ale ją zamuruje! Znalazła jej nieznanego z pociągu!

ROZDZIAŁ 12

Martin niecierpliwie odsłuchiwał najnowsze odpowiedzi. Co za kupa idiotów!
 - Witaj, moja piękna - zaczął Robert z West Kensington. Skąd wie, że Ruby jest piękna? - pomyślał z oburzeniem Martin.

- Jestem prawnikiem i mam porsche boxtera — kontynuował Robert bez żadnych znaków przestankowych. - Ale mam

nadzieję, że ci to nie będzie przeszkadzać. Cha, cha, cha!

- O nie - mruknął Martin. - Wcale mi nie zależy, żeby Ruby wylądowała u boku faceta z pięciocentymetrowym penisem. Obawiam się, że pójdziesz na koniec kolejki.

Oferty pisemne nie były o wiele lepsze. Lou, która na co dzień musiała sobie radzić z listami rozmaitych czubków do jej autorów, ostrzegła przyjaciół, że stare porzekadło na temat zielonego atramentu istotnie się sprawdza. Tak samo listy napisane na liniowanym papierze należy traktować z rezerwą. Martin z początku jej nie wierzył, czytając list napisany zielonym długopisem na cienkim jak bibułka liniowanym papierze, i skłonny był uznać, że autor budzi raczej sympatię, gdy wtem, w połowie tekstu, natrafił na ustęp na temat „Powtórnego Przyjścia”. Wynikało z niego, że autor szuka żony, która zechce towarzyszyć mu w bunkrze przeciwowatomowym i odtworzyć wraz z nim rodzaj ludzki, gdy przeminie Apokalipsa.

- Szkoda - westchnął Martin, zastanawiając się, czy to nie ten sam facet, którego Ruby sama już zdyskwalifikowała parę tygodni temu, po odsłuchaniu jego telefonicznej oferty. Zdecydował, że mimo wszystko zachowa list i przeanalizuje go później jeszcze raz. Może nawet wykorzysta go w swojej powieści?

Niemal wszystkie listy pozostawiały sporo do życzenia. Martin szybko zdał sobie sprawę, że te, w których nie roiło się od błędów, zostały napisane przez pięćdziesięcioparolatków. A instrukcje Ruby były jasne: nie wolno mu wybrać jej partnera, który nie potrafi zrozumieć jej kawałów o Clangersach (co nie oznacza, by rozumieli je Lou czy Martin). Tak więc pozostał mu do dyspozycji niezwykle wąski przedział wiekowy - z grubsza dwa lata w obie strony od wieku Ruby, tj. trzydziestu jeden.

Wysłuchawszy jednak tylu okropnych odpowiedzi, Martin wolał jednak wybrać Ruby partnera raczej spośród ofert listownych niż telefonicznych. Czuł, że o wiele większa jest szansa, iż to mężczyzna, którego stać było na wysiłek wzięcia pióra do ręki, okaże się wrażliwym, myślącym człowiekiem, na którego zasługiwała jego kochana przyjaciółka po aferze z Flettem i z tamtym drugim

zonatym kretyńcem, z którym zadawała się wcześniej. Martin skłaniał się też ku komuś z koneksjami literackimi. Choć wiersze były wykluczone, apres Davide.

W końcu postawił na faceta imieniem Robin. W jego odczuciu list Robina do Ruby świadczył zarówno o wrażliwości, jak inteligencji. Napisał bowiem, że pracuje w City i nie wspomniał o wysokości swoich zarobków, co było dla Martina sygnałem, że są niezłe. Nie dołączył do listu swojego zdjęcia, mimo że takie postawiono warunki, ale Martin wiedział, że dla Ruby wygląd nie jest aż tak istotny. W gruncie rzeczy zdawało się jej wystarczać, jeśli facet miał dwoje oczu, z których każde patrzyło w tę samą stronę.

Kiedy już zdecydował się na mur na Robina, przekazał istotne szczegóły Lou, która miała zadzwonić do ich ofiary, udając Ruby i usiłując podrobić jej z lekka prowincjonalny akcent rodem z Worcestershire, tak by ich umówić na piątek na randkę w Suave.

- A dołączył zdjęcie? - spytała Lou.

- Nie - odparł Martin.

- No to w takim razie nie sędzę, żeby to był słuszny wybór. Skoro nie przysłał zdjęcia, na pewno wygląda jak gremlin.

- Nikt nie przysłał zdjęcia, oprócz faceta z Peterborough. Ten przysłał swoje zdjęcie, swojego kota i swojej matki - z którą dotąd mieszka, nawiasem mówiąc.

- O Boże. Przystojny? - A jak myślisz?

- W takim razie Robin - westchnęła Lou. - Chociaż Robin i Ruby... trochę za dobrze się składa.

- Zadzwon do niego i już. Jak nie on, to zostaje ten dureń z porsche.

- Była oferta od faceta z porsche? - Nawet Lou, która zawsze udawała, że takie rzeczy nie robią na niej wrażenia, nie mogła się powstrzymać od okrzyku.

- Zostawił wiadomość telefoniczną, ale zapomniał podać numer swojego telefonu - skłamał Martin. - To dzwonicz do Robina, tak?

Lou potwierdziła.

Choć nie było to wyraźnie określone w zasadach Paktu Samotnych Serc, Lou zażądała również, żeby Martin pokazał jej list Robina, w ramach ograniczania potencjalnych szkód. Mimo protestów, Martin w gruncie rzeczy był zadowolony, że może usłyszeć opinię Lou. Choć nie podobał mu się pogląd, że istnieją dziedziny, w których kobiety są lepsze od mężczyzn, musiał przyznać, że niepokoił się, iż mógł przeoczyć jakieś subtelne, a niezwykle istotne niuanse w liście Robina, które kobieta momentalnie wyłapie. Krótko mówiąc, chciał, żeby Lou wzięła na siebie część odpowiedzialności, gdyby się okazało, że cały ten Robin to psychopata.

- Myślisz, że to psychopata? - spytał ją wprost, gdy przeczytała list.

- A ty sądzisz, że kto ja jestem? Duch Święty? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Ale cieszę się, że tak się przejmujesz losem naszej przyjaciółki. Nadzwyczaj się przejmujesz, powiedziałabym - drwiła. - Jesteś pewien, że w ogóle chcesz ją komukolwiek oddać?

- Po prostu nie chcę jej umówić z seryjnym mordercą? - powiedział ze złością Martin.

- To ja ciebie umówię z seryjną morderczynią.

- Lepiej nie żartuj na ten temat - odparł. - Chociaż wolałbym seryjną morderczynię niż wegetariankę. Wybrałaś mi już coś?

Lou naturalnie wybrała. Licząca się konkurencja do spędzenia wieczoru z Martinem była niewielka. Tak jak Martin podejrzewał, większość kobiet, które odpowiedziały na jego anons, przypominały członkinie klubu dla ciężko zranionych ekspartnerek, w wolnych chwilach ćwiczących kaligrafię piórem maczanym we krwi oraz kastrację tępym nożem.

Dziewięćna dziesięć e-maili, jakie nadeszły pod adresem, który ustaliła dla przyjaciela Lou, zawierało zbyt wiele szczegółów. Lou nieskończenie współczuła tym biednym udręczonym dziewczynom. Doprawdy, szczerze im współczuła. Ale dlaczego nie przyszło im do głowy, że może lepiej poczekać z tym wywnętrzaniem się do drugiej randki, a nie opowiadać od razu wszystko w pierwszym e-mailu i zaprzepaścić w ten sposób swoje szanse na choćby jedno spotkanie?

Dziewczyna, którą Lou ostatecznie wybrała, miała przewagę nad innymi z dwu powodów. Pierwszym była lakoniczność jej listu. Po prostu imię i nazwisko oraz parę istotnych danych. Na przykład że jest studentką wydziału sztuk pięknych. A nie ile ma w biodrach, a ile w talii. Drugim powodem było zdjęcie, jakie wskanowała do notki. Cindy Daniels wyglądała w każdym calu tak, jak powinna wyglądać studentka sztuk pięknych. Włosy miała poskręcane w grube, krótkie dredy, na końcach wściekle różowe, czerwone i niebieskie, wyglądające jak nieumyte pędzle. W brwi tkwił kolczyk, w nosie drugi. Patrzyła prosto w obiektyw z uśmiechem, który można było nazwać tylko obleśnym. Lou również się uśmiechnęła, kiedy na nią patrzyła. Super. To idealna dziewczyna dla Martina.

Lou od razu wiedziała, że Cindy Daniels stanowi wyzwanie. Wiedziała też, że Martin będzie przerażony, kiedy ją zobaczy. Krańcowo inna niż wystrojone ślicznotki w stylu Jennifer Lopez, na które leciał dotąd Martin, z ich włosami do pasa i ustami tak wielkimi, że Ruby zastanawiała się kiedyś na głos, czy matka nie przytwierdzała Lei do okna wystawowego, używając jej ust w charakterze przyssawki, żeby nie przeszkadzała w czasie wypraw na zakupy.

- Zorganizowałam ci randkę przez e-mail - poinformowała Lou Martina. Dziewczyna dziś rano przysłała potwierdzenie.

- No to wszystko załatwione - odparł po prostu.

I było. Zamówili w restauracji trzy dwuosobowe stoliki na trzy różne nazwiska i troje całkowicie różnych partnerów, z którymi mieli spędzić wieczór.

RS

ROZDZIAŁ 13

W piątek rano w dziale reklamy tygodnika „Satyr” zawsze panowała atmosfera lekkiej balangi. Współwięźniowie stalagu International Mags wyglądali weekendu. Melanie po drodze do pracy kupowała wszystkim cappuccino. Lee dolewał do każdej filiżanki naparstek whisky, tak żeby wyszła kawa po irlandzku. Martin przynosił ciastka. W ten konkretny piątek wgrzył się właśnie w pączek z polewą karmelową, gdy wlaź Barry Parsons.

- Słyszałem, że byłeś wczoraj wieczorem w biurze - rzucił niedbale.

- Pracowałem nad prezentacją wódki Wiking. - Martin wzruszył ramionami, nie odrywając oczu od ekranu monitora. - Chcę to zrobić jak należy.

- Powinieneś, po tych historiach w zeszłym miesiącu. - Mówiąc to, Barry wziął pączek Martina i pozwolił sobie odgryźć solidny kawał. Kiedy położył go z powrotem, prawie nie było co już włożyć do ust. - O dziesiątej u mnie - powiedział tonem, który w zamierzeniu najwyraźniej miał być onieśmielający.

- Jasne. - Martin uparcie wpatrywał się w ekran, dopóki nie usłyszał, że drzwi do pokoju Barry'ego zamykają się. Kiedy to nastąpiło, szybko wystawił głowę przez parapet, upewnił się, że Barry'ego istotnie nie ma w polu widzenia, i dopiero wtedy otworzył plik zawierający jego powieść. Sprawdził liczbę słów. Jak dotąd trzydzieści tysięcy. Do końca miesiąca chciał zakończyć pierwszy szkic. Sporządził już sobie listę agentów, do których uderzy, kiedy tylko będzie miał wydruk całości. Skorzysta, rzecz jasna, z wyposażenia International Magazines, żeby przygotować odpowiednią liczbę kopii.

W swoich najśmielszych marzeniach Martin widział oczyma duszy, jak pisze podziękowania, które zostaną zamieszczone na początku książki, i wyraża w nich wdzięczność Barry'emu Parsonsowi za to, że uczynił jego życie tak żalnym, iż nie pozostało mu nic innego, jak tylko napisać bestseller i wycofać się w ten sposób z wyścigu szczurów. Fantazja ta będzie podtrzymywać go na duchu przez ostatnie, miał nadzieję, miesiące, które spędzi w klimatyzowanym piekle „Satyra”, zanim przefaksuje z Barbados prośbę o zwolnienie. Tymczasem jednak...

- Jakoś wkurzony jest dzisiaj - skomentowała Melanie zachowanie szefa. - Mówi, że masz zaraz się u niego stawić, Mart. Nie wiem, coś ty takiego zrobił, ale to musiało być coś okropnego.

- Powodzenia, Ashcroft - powiedział Lee i walnął go w kark, po czym zasalutował w parodii żołnierskiego kumpelstwa rodem z drugiej wojny światowej. Stosowali ją, żeby rozluźnić nieco atmosferę, ilekroć stawała się tak ciężka, iż miało się wrażenie, że za chwilę zablokuje wentylator.

- Powiedz Melanie, że ją kocham - odparł Martin, udając lotnika, który majuz nigdy nie powrócić. I nie oglądając się na kumpli, ruszył do pokoju Barry'ego.

- Od dwu tygodni przesiadujesz do późna w pracy - zaczął Barry. - Chcę wiedzieć, co robisz.

- Już mówiłem. Mam kupę roboty - odparł Martin. - Pracuję na zapas, tak żeby móc potem lepiej zorganizować sobie czas w ciągu dnia. - Przygotowywał się na ten moment, odkąd tylko zaczął traktować biuro jak własny gabinet i przesiadywać w nim po godzinach.

- Jakim sposobem wobec tego masz tak marne wyniki? - spytał Barry. - Miałeś w tym miesiącu dwa odwołania. Dziś rano po rozmowie z tobą zadzwoniłem do ludzi z Vikinga, żeby ustalić, dlaczego zdecydowali się nie zamieszczać u nas ogłoszenia, i wiesz, co powiedzieli? Powiedzieli, że odwołałeś spotkanie, bo byłeś chory, i nie zadzwoniłeś, żeby ustalić inny termin. Kiedyż to chorowałeś, do kurwy nędzy? Nie masz w tym miesiącu ani jednego dnia zwolnienia. Spędzasz w biurze o wiele więcej czasu niż kiedykolwiek dotąd, a mimo to zadzwoniłeś do nich, żeby powiedzieć, że nie możesz przyjść na spotkanie, bo źle się czujesz? Chcę wiedzieć, co jest grane.

- Nie czułem się gotowy do spotkania z nimi w ustalonym terminie. Nie chciałem przyjść nie do końca przygotowany i stracić sprzedaży, dlatego że nie wywrę na nich odpowiedniego wrażenia.

- Wobec tego uznałeś, że lepiej stracić sprzedaż, w ogóle nie zwracając sobie głowy jakimikolwiek próbami. Wiesz, na co mi to wygląda, chłopcze? Chyba straciłeś nosa. Ale ponieważ wiem, że nie straciłeś nosa, to zapewne celowo nie zamykasz sprzedaży, żeby móc zabrać klientów ze sobą, kiedy przejdiesz do innej gazety. Co jest grane, Martin? Albo pracujesz nad czymś, o czym nie chcesz mi powiedzieć, albo rzniesz którąś ze sprzątaczek.

Martin o mało się nie roześmiał.

- Skoro nie zamierzasz powiedzieć mi, jakągrę prowadzisz - ciągnął Barry - to ja nie mogę ci ufać, a skoro nie mogę ci ufać, to nie byłoby z mojej strony zbyt rozsądne, gdybym nadal trzymał cię w charakterze mojej prawej ręki. Kto cię chce podkupić, Martin? - nie rezygnował Barry. - Nat Mags? IPC?

Martin potrząsnął głową.

- A zatem twierdzisz, że naprawdę masz kupę roboty i że nie stać cię nawet na zamknięcie umowy z tą kupą idiotów z Vikinga, którzy daliby sobie jaja obciąć, byle tylko znaleźć się na ostatniej stronie „Satyra”?

- Chyba tak - odparł Martin po dojrzałym namyśle.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytał Barry. - Nie mogę mieć obiboków w zespole.

Martin postukiwał długopisem w dolną wargę, jak gdyby rozważając stojące przed nim możliwości wyboru.

- Jakbym chciał mieć w zespole etatowego obiboka, to w tej chwili przeszedłbym się na drugą stronę ulicy i dał twoją robotę temu gościowi, co sprzedaje „Big Issue”. - Barry wskazał głową w kierunku okna, na smutasa z dredami, który zimą, wiosną czy latem siedział na chodniku w towarzystwie równie smutnego psa. - No więc pytam cię, Martin. Co masz zamiar z tym zrobić?

Martin włożył z powrotem długopis do kieszeni koszuli i spojrzał Barry'emu prosto w oczy. Czas zdawał się rozciągać, gdy dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie niczym dwa walczące z sobą słonie. Który zacznie pierwszy?

- Wiesz co? - powiedział w końcu Martin. - Nie mam zamiaru nic z tym zrobić...

- Słucham? - W twarzy Barry'ego złość ustąpiła miejsca zmieszaniu.

- Od dawna przymierzam się, żeby ci to powiedzieć - wyjaśnił Martin. - Mam potąd pracy w „Satyrze”. Mam potąd pracy dla takiego faceta, jak ty. Możesz sobie wsadzić swoją nędzną posadę tam, gdzie trzymasz swoje nędzne szare komórki. To znaczy, na wypadek, gdybyś się nie domyślił, w swoją tłustą białą dupę.

Barry'emu zadrżały wargi. Bezskutecznie poszukiwał słów, które mogłyby zrównoważyć zniewagę.

- Won mi z pracy! - wrzasnął w końcu.

- Nie zauważyłeś, że to ja składam wymówienie? - spytał Martin.

- Masz natychmiast opuścić ten budynek! - zawołał Barry z twarzą coraz bardziej czerwoną. - Jesteś wylany. Słyszysz? Jesteś skończony w International Mags.

- Taka była istota mojej wypowiedzi - zauważył spokojnie Martin.

- Mam dość twojej gadaniny!

- A ja mam dość twojej tłustej gęby. Nie jesteś żadnym nowym Rupertem Murdochem, Barry. - Martin dźgnął palcem wątlą pierś Barry'ego. - Nie jesteś nawet nowym Robertem Maxwelllem, chociaż ma w tobie godnego konkurenta, jeśli chodzi o rozmiary tłustego tyłka. Kierujesz sprzedażą reklam w szmatławym magazynie pod tytułem „Satyr”, a nawet nie wiesz, cholera, co znaczy to słowo. Zmierzasz donikąd. Prawdę mówiąc, nie tylko zmierzasz donikąd, ty już tam jesteś, kolego.

Zdjął marynarkę z poręczy krzesła i ruszył do wyjścia.

- Tak? Tak? - Barry nagle był na nogach i zastawił mu drogę. - A jak myślisz, w jaki sposób zarobisz na swoje pieprzone życie, jeśli nie zrobisz teraz w tył zwrot i nie pocałujesz mnie w dupę?

- Będę robił coś bardziej ekscytującego i godnego szacunku. Może czyścił kible?

- Dzięki, ale nie skorzystam - powiedział Martin. - Podtrzymuję moją wypowiedź w całej rozciągłości.

W chwilę później Barry dzwonił po ochronę.

Choć dobrze było powiedzieć Barry'emu, co o nim myśli, szybko stało się jasne dla Martina, że to kosztowne zwycięstwo. Nie wolno mu było nawet wrócić do biurka, żeby zabrać własne manele. Barry kazał mu czekać w holu pod nadzorem najmniej życzliwego ochroniarza w International Magazines - kiedy miał dobry dzień, wyglądał jak buldog przeżuwający osę - a Lee i Melanie w tym czasie szybko wrzucali rzeczy Martina do kartonowego pudła.

- Naprawdę mi przykro, stary - Lee podał mu pudło. Stali w holu, pod powiększoną okładką trzeciego numeru - Kylie w kostiumie wiewiórki - które tak się podobało Martinowi.

- W porządku - powiedział Martin przez zaciśnięte szczęki.

- Próbowałaś się czołgać? - spytał serio Lee.

- Nie leży mi to - odparł z uśmiechem Martin.

- No i dobrze, stary - rzekł Lee. - Tylko wiesz, twoje odejście troszeczkę nas zaskoczyło - ciągnął. - Nie ma czasu, żeby zorganizować prezent pożegnalny czy coś. Ale zrobiliśmy małą zrzutkę. Kup sobie jakiegoś drinka.

Wręczył Martinowi piankową kopertę. Na wierzchu, niemal nieczytelnym pismem Melanie, nabazgrane było jego imię.

- Dzięki - powiedział Martin. - Prawie starczy na małego strongbowa, jeśli oboje z Melanie macie swój wkład.

- Ty idioto. - Lee walnął go żartobliwie pięścią w ramię. - To co, chyba się jeszcze z tobą zobaczymy?

- Chyba że wcześniej zobaczymy się z tobą - odparł Martin, używając ich odwiecznego powiedzonka.

Lee poklepał go po ramieniu i powlókł się z powrotem do windy. Wyglądało, że jest niemal tak samo przygnębiony jak Martin.

- Cholera jasna. - Martin walnął się w czoło.

- Idziemy - powiedział ochroniarz i napierając całym ciałem, skierował Martina do wyjścia, niczym strażnik więzienny odprowadzający przestępcę z powrotem do celi.

- Świetnie się teraz czujesz, no nie? - skomentował Martin oskarżycielskim tonem jego zachowanie. - Założę się, że przez cały tydzień czekasz na takie momenty jak ten, kiedy możesz mieć wrażenie, że naprawdę coś robisz. Cieszyłbyś się, jakby j wybuchła wojna, prawda? Dopiero wtedy czujesz, że żyjesz, kiedy możesz się na kimś wyżyć.

- Poszedł - powiedział ochroniarz, nawet nie spojrzawszy na niego.

- Cholera. Cholera. Cholera. - Martin podniósł się z krawężnika, na którym pozostawił go ochroniarz. Choć bardzo chciał odejść z International Magazines, nie mógł uwierzyć w swojego pecha. Pomysł był taki, że zostawi sobie przynajmniej czas, na odzyskanie swojego arcydzieła!

Martin Ashcroft, powstający w obronie własnej godności przeciw Barry'emu Parsonsowi, nagle stał się Martinem Ashcrofem, lat trzydzieści jeden. Bez pracy. Bez perspektyw. I bez powieści.

Martin opadł na pokrytą ptasimi kupami ławkę i patrzył, niepokieszony, na to, co pozostało z ponad pięciu lat, jakie spędził w International Magazines, przykuty łańcuchem do biurka. Zielony plastikowy pojemnik na przybory do pisania. Zbyt duży kalkulator z ekstra wielkimi cyframi. Pocztówka z wypinającą pulchny tyłek panią w stringach, którą przysłał Lee z kawalerskiego weekendu w Fuerteventura. Trzy pogryzione długopisy. Ale nie miał powieści, jasny gwint. Jak on mógł być taki głupi?!

Wygrzebał komórkę. Może mógłby zadzwonić do Lee... Nie ma szans. Wiedział, że w tej chwili jest w jego pokoju Barry i szuka dowodów, że Martin pracował jako podwójny agent dla innej redakcji, a potem zawoła jednego z tych nudziarzy z działu informatyki, żeby usunąć z infrastruktury International Magazines jakikolwiek ślad jego egzystencji.

Najgorsza ze wszystkiego była myśl, że Barry może przeczytać coś niecoś z jego dzieła, zanim je skasuje. Jęknął z głębi żołądka. Niemal widział triumfalny uśmiešek wypełzający na twarz Barry'ego, gdy ten czytał frazy, nad którymi on się pocił co wieczór niemal od miesiąca...

Potrząsnął kopertą z pożegnalną zrzutką. Nawet nie zagrzechotało. Skape dranie! Rozdarł kopertę. Równie dobrze mógł zacząć swoją drogę po równi pochyłej ku bezdomności już teraz, za pośrednictwem sześciopaku Tennent's Extra. Nigdy w życiu tak nie pragnął pograć się w alkoholowym zapomnieniu... Zerknął na drugą stronę ulicy, na smutasa, sprzedającego „Big Issue”.

- Dasz jakiś grosik, kolego? - spytał smutas, kiedy spotkali się oczami.

- Kto wie, może to ostatni raz - powiedział Martin, grzebiąc w kopercie. - Zobaczmy, co tam jest.

Ale w piankowej kopercie w ogóle nie było pieniędzy. Zamiast nich znalazł dyskietkę, przyozdobioną samoprzylepną karteczką. Skopiowałem twój plik z kontaktami - pisał Lee. - Mogą ci się przydać w nowej pracy.

Bystry chłopak.

- Hurra! - Martin wyrzucił w górę zaciśniętą pięść. Gdyż Lee nie wiedział, że plik pod tytułem Kontakty na twardym dysku Martina nie zawiera ani jednego adresu. Kontakty to roboczy tytuł, jaki nadał swojej powieści. Barry, który wyglądał przez okno, zobaczył, jak Martin wykonuje rundę honorową wokół parkingu International Magazines i nabrał pewności, że jego podejrzenia były trafne.

- Górą nasi! - wrzasnął Martin do smutasa. - Idziemy do pubu!

Kiedy Martin świętował fakt, że udało mu się uciec z International Mags wraz z powieścią, Lou i Ruby szykowały się już do wieczornej randki w Suave.

Suave była jedną z najmodniejszych spośród niedawno otwartych restauracji w Londynie. Tak przynajmniej napisano w liczącym sobie miesiąc egzemplarzu „Time Out”, w którym Lou po raz pierwszy natrafiła na wzmiankę o tym przybytku. Oznaczało to, że w momencie, gdy trio osiągnęło punkt, w którym należało ustalić miejsce wielkiej randki w ciemno, zaledwie w sześć miesięcy od otwarcia Suave, notowania knajpy wracały już w szybkim tempie do punktu wyjściowego.

Pomimo to Ruby i tak była podniecona, kiedy dotarła do mieszkania Lou z trzema wielkimi torbami podróżnymi, w których najwyraźniej przy targała całą zawartość swojej szafy.

- Nie sądzę, żeby ci to było potrzebne - zauważyła Lou, podnosząc w górę szorty.

- Chyba nie - zgodziła się Ruby. - Ale tyle się słyszy o ludziach, którzy idą na randkę w ciemno, a następnego dnia decydują się wziąć ślub... Wzięłam paszport - dodała. - Może Martin umówił mnie z multimilionerem, który jest zapalonym żeglarzem i będzie nalegał, żebym poleciała z nim jutro rano do St Tropez?

- Albo z instruktorem narciarskim? - podsunęła Lou, natrafiwszy na stare spodnie narciarskie Ruby.

Drogą eliminacji wybrano trzy kreacje, które zdawały się zapewniać największą szansę na sukces. Skórzane spodnie i czarny top z łezką na plecach zostały zdyskwalifikowane, kiedy Lou zastanowiła się na głos, czy w restauracji są skórzane krzesła.

- Chyba nie chcesz, żeby twój partner myślał, że cały czas puszczasz baki?

Potem wyciągnęła z torby Ruby małą czarną sukienkę.

- A jakby tak to? - spytała.

- Trochę za nudne, nie uważasz? Zbyt łatwe do przewidzenia.

- W przeciwieństwie do tego. - Lou wygrzebała żarówiastą sukienkę w odcieniu czereśni. Suknia miała linię ołówka. - Kiedy, na Boga, to było modne?

- Latem dwutysięcznego roku - powiedziała Ruby, z niesmakiem oglądając swoją zakupową pomyłkę. - Pierwsze nawiązanie do mody lat osiemdziesiątych.

- Co cię opętało?

- Ty, prawdę mówiąc - przypomniała z naciskiem Ruby. - Nie pamiętasz, jak mówiłaś, że powinnam dodać nieco koloru do mojej garderoby? A co ty włożysz? - spytała.

Lou wskazała głową stylowy granatowy garnitur, wiszący na drzwiach szafy, gotów ozdobić długie, smukłe nogi Lou. Elegancka dzianina układała się miękko, roztaczając dyskretny czar kosztowności, i Ruby nagle znienawidziła swoją małą czarną, która kiedyś tak dobrze jej służyła. Dała za nią czterdzieści funtów, co doprawdy było okazją. Nagle jednak poczuła, że po sukience widać jej wiek. Z każdym praniem materiał robił się coraz bardziej przejrzysty, i to niekoniecznie w tym najmodniejszym sensie.

- Nie mogę iść w tym do Suave - westchnęła. - Pomyślą, że jestem z obsługi. Tyle że obsługa będzie lepiej ubrana niż ja.

- A jakbyś tak włożyła swoją DK? - podsunęła Lou.

- Nie była w pralni od wesela Zuzanny.

Tak naprawdę Ruby miała nadzieję, że jeśli potrzyma sukienką dostatecznie długo za oknem, na świeżym powietrzu, to obejdzie się bez prania. Tego ranka jednak ostrożnie powąchała zmiętą spódniczkę i omal nie zwałił ją z nóg odór alkoholu, wciąż emanujący z kosztownej czarnej krepy. Nawet nie odważyła się powąchać pach... Sporo tańczyli tamtej nocy.

- Zostaje ta czarna - powiedziała z rezygnacją.

- Naprawdę dobrze ci w niej - zapewniła ją Lou. - A poza tym nie powinnaś wyglądać, jakbyś się zanadto wysiliła.

Czyja się zanadto wysilam? - pomyślała Ruby. Przyjrzała się swemu odbiciu w długim na całą wysokość sylwetki lustrze na wewnętrznej stronie drzwi szafy Lou. Wiedziała, że prezentuje się nieźle, ale ona chciała wyglądać wyjątkowo. Jak by nie było, to jej jedyny strzał. Do letniej imprezy integracyjnej w Hollingworth pozostał niecały miesiąc. Tyle jeszcze musiała zrobić w tym czasie! Oprócz tego co zwykle - stracić pięć kilogramów, wywoskować linię bikini, zadbać o twarz - i musiała jeszcze przekonać Fletta, że zrobił źle, puszczając ją kantem na rzecz Imogen. A wyglądało na to, że jedyną rzeczą, jaka może przekonać mężczyznę, iż zrobił źle, puszczając kobietę kantem, jest widok tejże kobiety uwieszanej u ramienia innego mężczyzny.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedziała Lou, przypinając do uszu proste srebrne kolczyki, uzupełniające jej niewymuszenie elegancką kreację. - No to gdzie jest ten cholerny Martin?

Pokazał się dosłownie moment wcześniej niż taksówka, którą Lou zamówiła na wpół do ósmej.

- Już piłeś? - zdziwiła się Lou. Kiedy cmoknęli się na powitanie, uderzyła ją w nozdrza woń alkoholu.

- Jeden czy dwa drinki - odparł. Tak naprawdę jednak Martin przesiedział całe popołudnie w pubie naprzeciwko gmachu International Building, wlewając w sprzedawcę „Big Issue” kolejne kufle piwa, tak żeby bez oporu słuchał fabuły jego książki. Brudas, jak nazywano gościa, zapewniał go, że nigdy nie spotkał się z lepszym pomysłem na bestseller i że utrata pracy to rzeczywiście kopniak, jakiego Martin potrzebował, żeby zająć się robieniem kariery literackiej. Nie było jednak czasu, żeby to j teraz tłumaczyć.

Lou z pośpiechem wyjaśniała strategię dzisiejszego wieczoru. Muszą wchodzić osobno, tak żeby ich partnerzy nie domyślili się, że są uczestnikami masowego eksperymentu. Muszą ustalić sekretne sygnały, dzięki którym dwoje pozostałych zorientuje się, jeśli z którymkolwiek z nich coś będzie nie tak. O dziewiątej spotkanie w damskiej szatni, tak żeby móc poinformować się nawzajem o postępach i ustalić czas rozstania, jeśli sprawy nie ułożą się jak należy.

- Później spotykamy się u mnie - uzupełniła Lou. - Kupiłam butelkę brandy.

Kierowca podjechał, zgodnie z instrukcją, w pobliże restauracji, ale nie pod same drzwi. Były imponujące, z oszronionego szkła.

- Kto idzie pierwszy? - spytała Lou.

- Ja. - Martin otworzył drzwiczki taksówki i szybko ruszył ku restauracji. Całe piwo, jakie dziś zatankował, przepłynęło przez niego i musiał natychmiast znaleźć kibelek.

- Hej! - wrzasnęła za nim Ruby. - A twój udział w koszcie taksówki?

- Później to załatwimy - powstrzymała ją Lou. - Nie rozdmuchuj jego dymnej zasłony. Jesteś gotowa?

- Chyba tak - szepnęła Ruby.

Odkąd zdawały egzamin magisterski, Lou nie widziała, żeby Ruby była tak zdenerwowana.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - To tylko randka w ciemno. Co niby złego może się wydarzyć?

ROZDZIAŁ 14

Lou czuła się jak bohaterka serialu kryminalnego, kiedy siedziała samotnie przy barze, starannie ignorując przyjaciół. Gdyby tak jeszcze mieli podłączone do głów niewidoczne czujniki, tak by mogli kontaktować się ze sobą w niezauważalny dla nikogo sposób... W obecnej sytuacji, jeśli chodzi o wyposażenie w aparaturę szpiegowską najnowszej generacji, mogli jedynie włączyć komórki, by przesyłać sobie spod obrusa wibracje i wiadomości tekstowe, jeśli coś nie wypali.

Kto z nich pierwszy spotka się ze swoim partnerem czy partnerką? Lou miała nadzieję, że będzie to Ruby. Dziewczyna rozglądała się wokół siebie jak królik, który wie, że jest osaczony przez lisa, ale nie ma pojęcia, w którą stronę najlepiej uciekać. Wychyliła swoją pierwszą podwójną wódkę z tonikiem, jakby to była lemoniada, i zabierała się już do drugiej. Jeśli przyjdzie jej poczekać nieco dłużej, wątpliwe, by zdołała to wytrzymać... To się nazywa zrobić dobre wrażenie na pierwszy rzut oka.

Martin tymczasem siedział po przeciwnej stronie baru, studiując własne odbicie w lustrzanej szybie za dozownikami alkoholu. Lou nie mogła powstrzymać uśmiechu. To doprawdy mit, że mężczyźni są mniej próżni na punkcie własnego wyglądu niż kobiety... Strzecha na głowie Martina mogła sobie wyglądać, jakby dopiero co wstał z łóżka, ale Lou wiedziała, że tak naprawdę jest to rezultat całych godzin spędzanych w łazience i kilogramów drogiego fryzjerskiego wosku. Zauważyła, że pił piwo wprost z butelki. Niezbyt to wyrafinowane... No, ale jego partnerka to studentka. Lou mogła tylko mieć nadzieję, że Cindy Taylor nie pije, mimo wszystko, trucizny własnego wyrobu z dwulitrowego plastikowego kubka.

Za każdym razem, gdy drzwi restauracji otwierały się, by wpuścić kolejnego gościa, Ruby odwracała się w kierunku wejścia z ochoczym uśmiechem na twarzy. Był spory ruch. Choć licznik znakomitości stał jak zaklęty przez całą noc na zerze, piękni ludzie, którzy wchodzili do środka i tak robili wrażenie. Dwa razy Ruby była szczególnie podekscytowana na widok nowych gości. Kiedy wysoki blondyn o pięknie wyrzeźbionej, kwadratowej szczęce modela reklamującego jakiś wyrafinowany gatunek wody po goleniu na serio się do niej uśmiechnął, oddając szatniarzowi płaszcz, Ruby niemal miała mokro w majtkach z podniecenia. Gotowa była zrobić rundę honorową wokół sali i pocałować Martina za tak spektakularny rezultat selekcji. Niestety, w parę chwil później wspaniały koleś minął ją, by pocałować szczupłą jak chart brunetkę, sączącą pod jego nieobecność wodę mineralną.

- Patrzyłeś nie na mnie, tylko gdzieś obok - poskarżyła się brunetka.

- Zapomniałem okularów - powiedział facet od wody po goleniu. Wyjął bryłki w drucianej oprawie. - No, teraz widzę, na kogo patrzę.

Ruby poruszyła się na barowym stołku, szukając lepszej pozycji. Jaką miała szansę, że jej partner będzie aż tak wspaniały? Samo imię Robin nie wróżyło najlepiej. Ile mogła wymienić gwiazd filmowych noszących imię Robin? Przypomniała sobie jedną, ale to była dziewczyna. Jedyna znakomitość płci męskiej o tym imieniu, jaką zdołała wymyślić, to Robin Cousins, zwycięzca w ewolucjach na deskorolce, który zwyciężył na olimpiadzie, kiedy Ruby chodziła jeszcze do pierwszej klasy. Robin Cousins... Pamiętała, jaki był wokół niego szum. To prawda, potrójne salto wykonywał perfekcyjnie, ale nawet w wieku siedmiu lat Ruby nie nazwałaby go atrakcyjnym.

Miał coś nie tak z włosami, doszła teraz do wniosku. Denerwował ją zbyt schludny równiutki boczny przedziałek Robina Cousinsa. Fryzura seryjnego mordercy, jak nazwalają Lou, zauważywszy, że ilekroć pokazują w telewizji zdjęcie poszukiwanego przez policję seryjnego mordercy, zawsze wygląda on tak, jakby mamusia właśnie przylizowała mu grzywkę i wytarła umazaną buzię chusteczką do nosa. Rzeczywiście, kombinowała Lou, im porządniejsza fryzura, tym bardziej jest prawdopodobne, że sąsiedzi powiedzą: „A wyglądał na takiego miłego człowieka”, kiedy znajdą w jego lodówce fragmenty kończyn.

- Boże, chroń mnie przed facetem z grzywką seryjnego mordercy - pomodliła się po cichu Ruby.

Zasługiwała na to, żeby dobrze się bawić dziś wieczorem... Niewiele było kobiet w Londynie, które miałyby gorsze szczęście w randkowej grze niż Ruby Taylor. Łańcuch jej niepowodzeń rozciągał się wstecz aż do pierwszej randki w wieku piętnastu lat, kiedy to Paul Ferguson, najprzystojniejszy chłopak z całej szkoły, spytał ją, co robi wieczorem w dniu, kiedy miała się odbyć impreza bożonarodzeniowa szóstej klasy. Ruby była wniebowzięta. Całą kasę, jaką zaoszczędziła na szkolny obóz narciarski, wydała w Chelsea Girl na zieloną jedwabną bluzkę i czarne legginsy. Zdołała nawet przekonać matkę, żeby pozwoliła jej użyć jednej z jej saszetek „Shaders & Toners” i zmienić odcień włosów. Czekoladowy zachwyty się to nazywało, zdaje się.

Nie posiadała się z radości, kiedy w dniu imprezy Paul, otworzywszy jej drzwi, powiedział: „O rany, ale super wyglądasz”.

- Tak, Ruby, świetnie - podjęła dziewczyna Paula, Charlie Baggott, stojąca tuż za nim. - Zawsze powinnaś mieć takie włosy. Dzięki, że zgodziłaś się zająć dziećmi dziś wieczorem. Myślałam, że zabiję Paula, kiedy powiedział, że nie wiadomo, czy pójdzie na imprezę, bo chyba będzie musiał zostać z dziećmi.

Ruby zatkało. Mogła tylko bez tchu patrzeć, jak król i królowa szkoły oddalają się, by spędzić szaloną noc na balu, matka Paula zaś tymczasem udzielała jej surowym tonem instrukcji, jak opiekować się jego dwiema małymi siostrami.

Niespełniona randka niewątpliwie nadała ton całemu jej uczuciowemu życiu. Ruby utkwiała wzrok w kieliszku, a jej myśl nieuchronnie pozęglowała ku Johnowi Flettowi, dlatego w ogóle nie patrzyła na drzwi, gdy jej umówiony partner w końcu się pojawił. Chrupała właśnie w niezbyt atrakcyjny sposób kostkę lodu, gdy barman delikatnie zakaszłał, by zasygnalizować, że tuż za nią ktoś stoi.

- Jesteś Ruby? - spytał nieznajomy.

- Tak. Ja... hm... - Nadal miała w ustach kostkę lodu, a po brodzie spłynęła jej kropla zimnej wody. - Przepraszam. - Złapała serwetkę i wypluła lód.

- Cześć, jestem Ruby - zaczęła jeszcze raz. - A ty musisz być Robin - wyciągnęła rękę, żeby się przywitać. Nie odpowiedział takim samym uprzejmym gestem. Przeciwnie, ścisnął mocniej w dłoniach uchwyt plastikowej reklamówki i ostrożnie skinął głową. Ruby gwałtownie cofnęła rękę i wygładziła spódniczkę na udach, tak jakby właśnie to zamierzała zrobić.

Teraz, gdy zmieszanie ustąpiło, zaczął do niej powoli docierać w swoim pełnym i przerażającym kształcie rzeczywisty obraz stojącego przed nią mężczyzny.

- Wszystko w porządku? - spytał Robin, uchwyciwszy wzrok Ruby.

- O tak - powiedziała. - Po prostu... hm... wspaniale.

Lou mogła tylko obserwować ich z przerażeniem z przeciwległego krańca restauracji. Mogła sobie jedynie wyobrazić, że partner Ruby jest być może jednym z tych ekscentrycznych milionerów, którzy ubierają się jak trampy, żeby nie wzbudzać sensacji wśród pospólstwa... Chyba nie mógł pozwolić sobie na egzemplarz „Sunday Timesa”, nie mówiąc już o jego przeczytaniu. Ale przecież powiedział, że pracuje w City... Każdy, kto pracuje w City, jest nadziany, jeśli Lou się nie myliła. Modląc się, żeby pierwsze wrażenie co do Robina okazało się nietrafne, Lou nieznacznie uniosła w górę kciuk, przekazując Ruby sygnał otuchy. Sygnał pozostał bez odpowiedzi, został więc przesłany do Martina. Na szczycie schodów dziewczyna, w której Lou rozpoznała Cindy Daniels, przeszukiwała już wzrokiem salę, wypatrując swojej ofiary.

O Boże, pomyślał Martin. Lou umówiła mnie z Muppetem! - To chyba ty jesteś Martin - powiedziała Cindy, wyciągając rękę. Kiedy nią potrząsała, rozległa się metaliczna kakofonia bransoletek. Gdy skinęła głową na jego propozycję, by na początek wypić jakiegoś drinka, zachwiały się dredy na jej

głowie, przypominające Martinowi sznurkowy abażur z lampy, jaką w latach siedemdziesiątych mieli w salonie dziadkowie. Czy to była czaszka, tatuaż, który miała na kolanie pod wszystkimi tymi srebrnymi łańcuchami? A na bicepsie widniał kompas, byle jak naszkicowany niebieskim atramentem.

Cindy Daniels sprawiała wrażenie, że byłaby bardziej na miejscu, gdyby siedziała na wiekowym dębie, przypięta łańcuchem do pnia, protestując przeciwko budowie obwodnicy, niż w eleganckiej londyńskiej restauracji. Jej sukienka zdawała się być ześcibolona z resztek starych spódnic. Cindy była tak odległa od typu dziewczyny, który podobał się Martinowi, jak Swampy od Juliana Clary. A mimo to...

Nie da się ukryć. Coś w niej było.

- Co państwo zamawiają? - spytał kelner. Uśmiechnął się do Cindy, tak jakby wiedział, kim jest. Kółko w nosie w ogóle mu nie przeszkadzało.

- Negroni - powiedziała gładko i obróciła się na stołku, by znaleźć się twarzą w twarz z Martinem. - Chce pan, żebym powiedziała, jak to się robi? - dorzuciła przez ramię, widząc, że kelner nie rusza się w kierunku butelek na półce.

Martin był pod wrażeniem, gdy Cindy wyrecytowała jednym tchem przepis na koktajl. Ma dziewczyna niejaką klasę.

- No to co - warknęła. - Mam nadzieję, że jesteś głodny. Martin wsadził palec za kołnierzyk koszuli i poluzował go.

Miał poczucie, że tej nocy jest na jej diecie.

Lou spotkała się ze swoim partnerem ostatnia. O wpół do dziewiątej zaczynała już naprawdę myśleć o tym, co było nie do pomyślenia. Została wystawiona do wiatru. Wystawiona do wiatru przez kogoś, kto nawet nie widział jej na oczy i nie miał czasu, by się nią znudzić. Trudno o gorszą obelgę... W szybie za barem widziała odbicia Ruby i Martina, siedzących już każde przy swoim stole. Czytali menu, wybierali dania... Ona też zaczynała być porządnie głodna, a stojąca przed nią miseczka orzeszków, na bieżąco zastępowana przez barmana świeżą, raczej niewiele mogła tu pomóc.

- Jeszcze jedna? - spytał barman, przerywając polerowanie i kieliszków i wskazując głową jej w połowie przeczytany „Cosmopolitan”.

- Ja to załatwię - usłyszała za sobą męski głos. - Pod warunkiem, że jesteś Lou.

Lou skinęła głową i uśmiechnęła się.

- A ty jesteś...?

- Andrew. Andrew Norton.

Lou powoli skinęła głową. Z aprobatą. Ruby naprawdę zrobiła niezłą robotę... Andrew był wyższy niż Lou. Niezłej prezencji, jeśli lubimy ten raczej

niewymyślny, schludny typ urody. Rzeczy, które miał na sobie, nie były supertrendowe, ale też nie wydawał się od początku do końca ubrany przez Marksa i Spencera. Sprawiał wrażenie, że wie, jak o siebie zadbać. Jakby jadł odpowiednią ilość jarzyn. Odpowiednio dużo ćwiczył. Taki typ chłopaka na pewno spodobałby się matce każdej dziewczyny.

- Przepraszam, że się spóźniłem - dorzucił. - Odwiedzałem w szpitalu moją ciotkę. Musiałem stracić rachubę czasu.

O Boże, pomyślała Lou. On naprawdę szalenie spodobałby się mojej matce...

Andrew przerwał to milczące taksowanie jego osoby.

- Muszę powiedzieć, że wyglądasz trochę inaczej, niż cię zapamiętałem.

- Słucham? - nie zrozumiała Lou. Jak to „zapamiętałem”? - Czy już się kiedyś spotkaliśmy? - spytała.

- Niezupełnie - odparł.

Lou patrzyła na niego w lekkim pomieszaniu.

- Ty mnie w ogóle nie pamiętasz?

- Nie - przyznała. - Obawiam się, że nie.

- Wyglądam inaczej na powierzchni ziemi? - zażartował.

- Chyba tak - powiedziała Lou. - To co, może byśmy coś zjedli? - zaproponowała.

Kiedy szli do stolika, Ruby spojrzała badawczo znad swojego menu.

- Była jedna szansa na siedem milionów, że się jeszcze raz spotkamy - powiedział Andrew.

I wtedy Lou zrozumiała.

- To się nazywa mieć szczęście.

Ruby musiała zamieścić ogłoszenie w rubryce Zagubiony ślad w „Time Out”. I myślała, że ten człowiek, którego Lou nigdy dotąd nie oglądała na oczy, to jej nieznamy z pociągu.

ROZDZIAŁ 15

Muszę się wypowiedzieć - zaczął Andrew. - Odpowiedziałem na tamto ogłoszenie dla zabawy. Gramy z moim kolegą w taką głupią grę... Co tydzień jeden drugiemu stawia jakieś zadanie do wykonania, za każdym razem inne. W zeszłym tygodniu musiałem pójść do pracy w spodenkach założonych na spodnie.

O Boże, pomyślała Lou. Pewnie nosi bokserki od Barta Simpsona...

- To był żart - powiedział Andrew. Sprawiał wrażenie odpowiednio zakłopotanego. - Tak naprawdę miałem przekonać dealera samochodów, żeby pozwolił mi się przejechać ferrari w ramach jazdy próbnej. A w tym tygodniu musiałem odpowiedzieć na ogłoszenie w Zagubionym śladzie i udawać, że jestem facetem, o którego chodziło. Nie spodziewałem się, że skończy się to randką. Miałem tylko przekonać osobę, która zamieściła ogłoszenie, że ja jestem tym, kogo szuka. Nie sądziłem, że zadziała, ale okazało się to nadzwyczaj łatwe. Miałem pewne wyobrażenie, jak wyglądasz, na podstawie samego ogłoszenia, a potem po prostu ponawijałem troszeczkę na temat twoich pięknych oczu.

- No cóż, trochę naciągnąłeś - zauważyła Lou.

- Ale ty naprawdę masz piękne oczy - powiedział z przekonaniem Andrew.

Lou spuściła swoje piękne oczy i potrząsnęła głową z figlarną dezaprobatą.

- Mam nadzieję, że ci to specjalnie nie przeszkadza - rzekł tym razem z pewną nieśmiałością Andrew. - Wiem, że prawdopodobnie jestem zupełnie inny niż człowiek, którego miałaś nadzieję zobaczyć, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że nie wydaje mi się, byśmy mogli spędzić naprawdę przyjemny wieczór. I chciałbym spotkać się z tobą jeszcze raz. Jeśli nie jesteś na mnie wściekła, że zabieram ci czas.

- Nie, nie jestem wściekła - odparła Lou. - Dlaczego miałabym być wściekła?

- Może chcesz mimo wszystko dalej szukać swojego prawdziwego księcia z bajki?

- Swojego Kopciuszka - poprawiła go Lou. - To książę był tym, który poszukiwał. Nie pamiętasz?

- Masz rację. Oczywiście. No to co, chcesz kontynuować poszukiwanie? - zapytał z uśmiechem, który pokonałby opór każdej dziewczyny, mającej krew w żyłach.

Lou z wahaniem powiodła palcem wzdłuż brzegu swojego kieliszka z winem.

- Nie, nie sądzę. To naprawdę nie ma sensu. Szanse, że spotkam człowieka, którego rzeczywiście widziałam tamtego ranka w metrze, są mniejsze, niż można sobie wyobrazić.

- Ale on mógł odpowiedzieć na twój anons - zauważył Andrew. - A ty mogłaś nie uwierzyć, że to on, bo już zdążyłem cię przekonać, że to ja.

- O nie. Od razu bym się zorientowała - powiedziała z przekonaniem Lou. - Bo widzisz. Andrew, ja też nie byłam z tobą całkiem szczerą. Nie widziałam ani jednej odpowiedzi na to ogłoszenie. Moja przyjaciółka Ruby miała mi wybrać partnera na randkę - skinęła w kierunku stolika Ruby.

- To jest twoja przyjaciółka Ruby? Tu, w restauracji?

- Tak. Ale ćśśś! Nie odwracaj jej uwagi. Ona też jest na randce. I my prowadzimy grę - wyjaśniła Lou. - Chcemy sobie znaleźć nowych partnerów poprzez ogłoszenie w prasie. Ja, Ruby i nasz kolega Martin.

- On też tu jest?

- O tam, koło drzwi do kuchni. Siedzi z taką dziewczyną z dreadami na głowie. Andrew nie mógł się powstrzymać od gapienia się na partnerkę Martina.

- Wszyscy troje zawarliśmy pakt. Ja ułożyłam ogłoszenie ' dla Martina, Martin dla Ruby, a Ruby dla mnie. Musiała je zamieścić w Zagubionym śladzie. Bardzo słusznie... Powiedziałam jej, że spotkałam w Nothern Line kogoś, kto mi się podobał, no to spróbowała nas połączyć. Nie sądziłam, że może być

tak subtelna... Pomysł był taki, że wybierzemy dla siebie nawzajem najwłaściwszą osobę spośród naiwnych, którzy odpowiedzą na nasze ogłoszenia, no i... voile), siedzimy tu sobie i patrzymy, jak nam wyszło. Andrew roześmiał się.

- To czemu wybrałaś koleżance tego osobnika, z którym siedzi? Zemsta?

Lou rzuciła przez ramię zatroskane spojrzenie na Ruby.

- To Martin go wybrał - powiedziała. - O Boże, mam nadzieję, że to przynajmniej facet z olśniewającą osobowością.

Ruby była gotowa wrzeszczeć. Kiedy zawiązywali pakt samotnych serc, Lou i Martin obiecali, że nie wybiorą dla niej z rozmysłem najgorszego partnera, jaki się trafi. Przysięgli na własne życie... Zdawało się, że nie trzymają się ich już głupie żarty w studenckim stylu, kiedy to osoba, która pocałuje się z najgorszą ofertą w sali, dostanie za friko kebab w drodze powrotnej.

Eksperyment samotnych serc był zbyt poważny na takie wygłupy. Ruby pokładała wszelkie nadzieje w tym, że przyjaciele dostrzegą to, czego ona dostrzec nie potrafi, ocenią, co jest dla niej dobre, trafniej niż ona sama, boją mogą zaślepić różne pozornie ważne względy, jak na przykład chcica, albo - musiała przyznać - desperacja. Zdawała sobie sprawę, że nie musi od razu wpadać w zachwyty na widok osoby, która może się okazać połówką jabłka, ale osobowości zdecydowanie nie powinno się traktować jako względu pozornie ważnego. A tu nic nie wskazywało, by jej partner w ogóle miał jakąkolwiek

osobowość. Zwłaszcza że kształt jego głowy sugerował długi i trudny poród kleszczowy.

Jeśli Robin miał być jej księciem z bajki, to niewątpliwie wciąż jeszcze występował w postaci żaby. Nie miał fryzury seryjnego mordercy, ale tylko z powodu rozmiarów łysego placka na ciemieniu. Kiedy kelner spytał, czy może uwolnić ich od płaszczy, Robin zdecydowanie odmówił rozdzielania go z jego porządnie wywatowaną kurtką, choć musiał się w niej gotować. Pod kurtką miał jasnobrązowy garnitur i białą koszulę, tak cienką, że widać przez nią było owłosienie na piersi. Gdy kelner przyniósł im po egzemplarzu menu, Robin sięgnął do reklamówki i wyciągnął okulary, sklezione samoprzylepną taśmą.

Kiedy zamówili już dania, Robin nie miał jej absolutnie nic do powiedzenia poza narzekaniem, że ta knajpa jest potwornie droga. Ruby próbowała dosłownie wszystkich możliwych chwytów, które mogły pchnąć konwersację do przodu. Od: „Przyjemną mamy ostatnio pogodę” do: „Zbierałeś kiedyś znaczki pocztowe?” Dziwne, ale nie zbierał.

A potem pojawiły się zamówione dania. Młody, zdenerwowany kelner przez całą drogę do ich stolika usiłował żonglować dwoma gorącymi talerzami i koszykiem z pieczywem. Zanim dotarł do celu, katastrofa była niemal nieunikniona. Już prawie udało mu się bez szwanku postawić talerze, gdy wtem potracił butelkę z oliwą. Butelka pofrunęła w powietrze, podskoczyła na marmurowej posadzce, jakby ją zrobiono z gumy, i spryskała zarówno Ruby, jak i jej małomównego partnera, kosztowną oliwą ekstra virgin.

- To stara sukienka - powiedziała Ruby tak lekkim tonem, na jaki tylko było ją stać, ostrożnie dotykając całkowicie zaświnionej spódniczki.

- Tak myślałem - rzekł Robin.

Ruby nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Kelner w jej imieniu utkwiał w gościu gniewne spojrzenie.

Robinowi udało się uniknąć najgorszego prysznic. W każdym razie tak uważał. Rzucił się na swoją rybę i zaczął pochłaniać ją w takim tempie, jakby się bał, że w każdej chwili mogą mu sprzątnąć danie sprzed nosa. Nie podniósł oczu znad talerza, dopóki go całkowicie nie opróżnił, dając w ten sposób Ruby aż nadto dużo czasu, by dostrzegła kroplę oliwy, spływającą powoli po jego lśniącej czaszce.

Czy będzie grzecznie, jeśli mu o tym powiem? - zastanawiała się Ruby. Tłusta plama zmieniła kształt z Wyspy Wight na Australię. A może grzeczniej będzie udawać, że niczego nie zauważyłam? Australia przekształciła się we włoski but, a oliwa zmierzała już ku bujnym brwiom Robina. Może powinna wyciągnąć rękę i szybko wytrzeć mu łysinę serwetką?

- Interesuje mnie związek długofalowy - oznajmił Robin, kiedy wreszcie skończył jeść. Ruby myślała już wówczas tylko o tym, jakby tu najszybciej uciec.

Robocze spotkanie o dziewiątej w damskiej szatni było umówione z góry. Martin także został zaproszony, ale wzięwszy pod uwagę fakt, że jego randka w ciemno wydawała się całkiem udana, dziewczyny nie czuły zaskoczenia, że nie podniósł się o ustalonej godzinie z miejsca i nie ruszył ich śladem.

Ruby stawiała się punktualnie o dziewiątej, niczym spuszczonej ze smyczy chart.

Usiadła na ławeczce obok lustra i czekając na Lou, zapaliła papierosa. Miała kompletnie dość. Dała Robinowi wszelkie możliwe szanse, żeby zatarł pierwsze upiorne wrażenie, ale szybko stało się jasne, że dziwny gust Robina w kwestii stroju to jedna z jego najbardziej czarujących cech. Z drżeniem wspomniała moment, kiedy wydmuchał nos w serwetkę, a następnie rozłożył ją sobie na powrót na kolanach... Zanim Lou również zdołała odpowiednio zręcznie się wymknąć, Ruby zaciągała się już petem niczym skazaniec czekający na egzekucję i oceniała rozmiary okienek pod kątem możliwości ucieczki.

Lou nie musiała pytać, jak rozwija się randka Ruby.

- Źle wybraliśmy, prawda?

Ruby skinęła głową, wydmuchując kółko dymu.

- Czy chodzi tylko o jego wygląd? - spytała Lou.

- Wiesz, że nie przywiązuję specjalnej wagi do wyglądu zewnętrznego - zaczęła Ruby. - Ale kiedy w przeszłości spotykałam się z mężczyznami, którzy byli mniej niż przeciętnie przystojni, to dlatego, że każdy z nich miał jakąś inną możliwą do zdefiniowania cechę, która rekompensowała fakt, że musiał walnąć w każdą gałąź na drzewie brzydoty, zanim spadł na ziemię.

- To znaczy, jak rozumiem, że on nie jest również zabawny?

- Zabawny w sensie cha-cha czy zabawny w sensie dziwaczny? - spytała Ruby.

- Sądziłam, że okaże się zabawny. Jego list był naprawdę świetny. Uważałam, że ci się od razu spodoba.

- Być może spodobałby mi się od razu jego kolega, który tak naprawdę był autorem listu.

- To on nie napisał listu sam?

- Nie. Zupełnie jak Cyranode Bergerac - zaśmiała się gorzko Ruby. - Albo Cyril de Whatsit, jak powiedziałby szanowny

Robin. Różnica polega na tym, że w tym wypadku chodzi o brzydala, który nie ma również krzty rozumu. I właśnie jestem z nim na kolacji.

Lou nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Och, Rubes, tak mi przykro... No, ale przynajmniej podjesz sobie za friko za swoje cierpienia.

- Nie sądzę - rzekła Ruby.

- Ale przecież on pracuje w City. - Domyślny sens wypowiedzi Lou był taki, że facet tarza się w pieniądzech.

- Jako jeden z trzyosobowej załogi punktu dorabiania kluczy, tuż obok Merrill Lynch - poinformowała ją Ruby.

Na twarzy Lou pojawił się jedynie grymas.

- A jakby tego było za mało, kiedy wstałam, żeby pójść do WC, spytał, czy nie mogłabym podprowadzić dla niego rolki papieru toaletowego, skoro mam taką wielką torbę. Podobno od lat nie kupił ani jednej rolki. Ani żdźbła cukru. Ani pieprzu. Ani masła. Ani soli. Po co zawracać sobie głowę, skoro te rzeczy są w każdej knajpie, i to w takich poręcznych, gotowych opakowaniach?

- O Boże - wykrztusiła Lou. - Chyba żartujesz?

- Chciałabym. Kiedy kelner przyniósł chleb, położył sobie jedną kromkę na talerzu, a dwie inne zawiązał w serwetkę, na później.

- Zmyślasz - Lou parsknęła, zakrywając usta dłonią.

- Niestety, nie. Na pewno, kiedy będziemy wychodzić, zażąda, żebym zwinęła ze stołu srebro - ciągnęła Ruby. - No dobra - zdjęła z uchwytu na wpół zużytą rolkę papieru w jednej z kabin. - Może mieć swój cholerny papier toaletowy, ale niech się nie spodziewa innych świadczeń z mojej strony.

- Chyba nie masz zamiaru ukraść dla niego papieru toaletowego?

- Biedny chłopiec musi mieć w co płakać, kiedy sobie pójdę i zostawię go z rachunkiem, który będzie musiał zapłacić ze swojej pensji dorabiacza kluczy.

- Dzielna dziewczynka - orzekła Lou. - Zamów sobie jeszcze Beames de Venise do deseru.

- Zamówię - powiedziała zdecydowanie Ruby, wpychając rolkę do torby. - No a jak ty się bawisz? Czy to ten?

- Nie - westchnęła Lou. - To nie ten.

- Ale...

- Przekonał cię? Wiem. Nawet rozumiem, dlaczego. Ale on odpowiedział dla kawału. Wyjaśnił, że ponawijał w liście o moich pięknych oczach... Ale to było sprytne z twojej strony, zamieścić anons w Zagubionym śladzie zamiast zwykłego ogłoszenia Ach, gdyby tak zadziało... - rozmarzyła się na moment Lou.

- Byłoby fantastycznie. Nie mogę uwierzyć, że ten oszust wyprowadził mnie w pole.

- Nieważne. Jest miły. Naprawdę miły.
- Nie jest to zbyt naładowane emocjami określenie - zauważyła Ruby.
- No cóż, szczerze mówiąc, na początku myślałam, że to idiota, ale chyba go nie doceniłam. To PPPH.
- Pierwszorzędnie posuwający posiadacz helikoptera? - zadrwiła Ruby.
- Gdyby tylko... Nie, on naprawdę ma pierwszorzędne poczucie humoru. Zaskakujące, że tak przyjemnie spędzamy razem czas.
- Być może dołączę do was przy deserze - westchnęła Ruby. - Bo teraz z radością bym się zadowoliła parą portek, przeciętnych horrendalnie. Nie do wiary, że muszę stąd wyjść i znowu znaleźć się twarzą w twarz z takim idiotą...
- Możesz uciec przez okienko w toalecie - podsunęła Lou.
- Na zewnątrz są kraty. Już sprawdziłam. Masz zamiar siedzieć tu całe wieki?
- spytała błagalnie Ruby.
- Postaram się wyjść niezbyt późno.
- O wpół do dziesiątej - targowała się Ruby.
- Już prawie piętnaście po dziewiątej. Za piętnaście dziesiąta.
- Załatwione - powiedziała Ruby. - Myślisz, że powinniśmy powiadomić o tym także Martina? Na wypadek, gdyby chciał wyjść razem z nami.
- Będzie widział, jak wychodzimy - zdecydowała Lou. - Jak zechce zakończyć randkę, to może spotkać się z nami w domu. Wydaje mi się, że jest na tyle duży i na tyle brzydki, że chyba nie grozi mu, że zgwałci go to maleństwo, z którym go umówiłam.
- Nieduża, prawda? - zgodziła się Ruby. - Ale wiesz, to wcale nie znaczy, że nie jest niebezpieczna. Nie jestem pewna, czy mi się podoba.
- Może ma małe, ostre ząbki? - podchwyciła radośnie Lou.
- Ona nie jest w typie Martina - orzekła autorytatywnie Ruby.
- No właśnie. Wiesz, ona jest na studiach magisterskich.
- Chryste, przejrzy go na wylot! - zakpiła Ruby.
- Myślisz? Znałam parę zdecydowanie inteligentnych kobiet, które momentalnie zwał z nóg jego chłopięcy wdzięk.
- Chłopięcy wdzięk! - skrzywiła się Ruby.
- No a jak - powiedziała przemądrzale Lou. - Najzdrowsza na umyśle kobieta może mieć chwilę słabości, w której uzna, że nasz przyjaciel Martin to niezła partia.
- Co? Taka jak na przykład Webecca?
- Ona nigdy nie była zdrowa na umyśle. - Albo Gillian?
- Muszę powiedzieć, że ta jedna mnie zaskoczyła. Czy zakaz mówienia nadal obowiązuje?

Gillian, asystentka, a czasem modelka, zaatakowała samochód Martina otwieraczem do konserw.

- Myślę, że do wpół do dziesiątej skończą- orzekła Ruby. - Kiedy tylko opowie jej historię o tym, jak to koleżanka jego kolegi miała chłopaka, który kazał jej ssać cukinię, kiedy uprawiali seks analny.

- To nie jest historia na pierwszą randkę - zauważyła Lou.

- Jeśli chodzi o Martina, nie mam wątpliwości, że jest - przypomniała jej Ruby.

- Ciekawe, co to za dziewczyna? - zastanowiła się Lou.

- Nie wiem. Ale słyszałam tę historię z czterech niezależnych źródeł. Dziewczyna z pewnością ma mnóstwo znajomych.

- No dobra - rzekła Lou. - Chyba pora się stąd zabierać. Nie chcę, żeby Robin zaczął się do nas dobijać.

- Mało mnie to obchodzi - parsknęła Ruby. - Właściwie liczę na to, że już zwiął. Czułabym się niemal szczęśliwa, gdybym zastała na stole rachunek, jeśli oznaczałoby to, że nie będę musiała znowu patrzeć, jak dłubie w zębach.

Ostrożnie wyjrzały przez drzwi.

Andrew w skupieniu studiował listę deserów. Robin siedział na swoim miejscu przy stole i odczytywał zawartość alkoholu w butelce Chardonnay, wydłubując równocześnie palcem resztki jedzenia spomiędzy żółtych zębów trzonowych.

- Za piętnaście dziesiąta - mruknęła Ruby. - Nie zapomnij. Stuknęły się zaciśniętymi pięściami, niczym zawodnicy wracający na ring.

- Długo cię nie było - powiedział Robin, gdy Ruby usiadła na miejscu.

- Biegunka - odparła z uśmiechem. - Myślałam, że wykorkuję.

Jak mogła sobie wyobrazić, że uda jej się znaleźć przez ogłoszenie mężczyznę, o którego Flett mógłby być zazdrosny?

Co do jednego Ruby miała rację. O wpół do dziesiątej Martin i jego partnerka byli gotowi opuścić restaurację. Ale nie dlatego, że Martin zdołał wystraszyć Cindy swoim repertuarem przerażających anegdot na tematy związane z seksem. Co nie znaczy, by nie opowiedział jej paru. Martin utrzymywał, że ilekroć znajduje się sam na sam z atrakcyjną, jako tako inteligentną dziewczyną, dopada go bardzo wyrafinowana i specyficzna postać syndromu Tourette'a, polegająca na tym, że zamiast kląć i pluć gdzie popadnie, staje się całkowicie niezdolny do powstrzymania się od opowieści na temat jarzyn oraz otworów ciała.

Cindy, jego dzisiejszej partnerce, bardzo spodobała się opowieść o cukinii.

- Najzabawniejsze jest - powiedział Martin, zachwycony jej reakcją - że w największe zakłopotanie wpędza ludzi cukinia.

- Tak - zgodziła się Cindy. - Dziwny wybór. Ale nie tak znów dziwny, kiedy się nad tym zastanowić. Chodzi mi o to, że gdyby ją poprosił, żeby miała w ustach banana, kiedy brał ją od tyłu, to przy pierwszym pchnięciu zęby przeszłyby jej na wylot. Banan jest za miękki. Mogłaby sobie odgryźć język.

- Eeee... tak. - Martin zdołał zwalczyć odruch osłonięcia ręką genitaliów. - Wygląda na to, że musiałaś całkiem sporo myśleć o warzywach i owocach.

- Owszem - uśmiechnęła się Cindy leniwym, kocim uśmiechem i powiodła palcem wzdłuż brzegu kieliszka z winem, aż zadźwięczał.

- Doleję ci - zaproponował z zapalem Martin. Pili drugą butelkę.

- Nie tu - mruknęła. - Chodźmy gdzieś, gdzie jest trochę - rozejrzała się - ciemniej.

- Ciemniej? Dobrze. Na przykład do nocnego klubu, tak? W porządku. Tylko poproszę o rachunek.

- Zrób to - rzekła Cindy. - A ja pójdę przypudrować sobie nos w łazience.

Poszła niespiesznie w kierunku damskiej toalety. Martin patrzył, jak idzie, zahipnotyzowany widokiem jej czarnej skórzanej spódniczki, ściśle opinającej lekko krągłe pośladki. Sposób, w jaki kołysała torbą, gdy szła, przypominał wahadłowy ruch kociego ogona. Cindy bez wątpienia chciała się zabawić.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi toalety, Martin furiacko uniósł w górę kciuk w kierunku Lou i Ruby. Obie udawały, że go nie znają, rzecz jasna. Zauważył natomiast znak kelner i posłał mu zdumione spojrzenie.

Martin przejrzał się w jednym z wszędobylskich restauracyjnych luster i zdecydował, że nie pójdzie dziś po kawie prosto do domu. Był nieźle napalony, jasny gwint. Która kobieta mu się oprze? Zanim Cindy wróciła z łazienki, z błyszczącymi oczami, delikatnie strzepując nadmiar pudru z fałd wokół nosa (tak powiedziała), Martin zdążył już zapłacić rachunek i poprosić o przyniesienie z szatni jej okrycia.

- Zapłaciłeś! - zamruczała Cindy. - Grzeczny chłopiec. Wiesz, na co zasługują grzeczni chłopcy, prawda?

- Powiedz mi - zaproponował ochoczo Martin i skoczył, by wziąć od kelnera sztuczne futerko i pomóc je włożyć Cindy.

- Na pieszczotki - szepnęła gorąco Cindy. - Każdy grzeczny chłopiec zasługuje na pieszczotki. Nie uczyłeś się w szkole tego wierszyka?

- Niezupełnie takiego - rzekł Martin.

- W takim razie będziemy chyba musieli zająć się uzupełnianiem poważnych braków w twojej edukacji.

Dwadzieścia po dziewiątej Martin i Cindy byli już na zewnątrz. Ruby w tym czasie marszczyła brwi nad skąpą porcyjką creme brulee, Robin zaś raczył ją

cytowaniem listy artykułów gospodarstwa domowego, które są aktualnie sprzedawane w ramach oferty specjalnej w Kwik-Save.

Lou poinformowała Andrew o nieuchronnym skróceniu czasu randki. Poprosił o rachunek i z galanterią upierał się, że go sam zapłaci. Lou powiedziała, że może zaakceptować ten gest jedynie pod warunkiem, że następnym razem da jej sposobność rewanzu.

- Naturalnie - rzekł Andrew. - To mój sposób na upewnienie się, że będzie następny raz.

Całkiem inna bajka miała miejsce przy stoliku Ruby. Kiedy w końcu przyniesiono rachunek, Robin także rzucił się na niego z determinacją. Ale nie po to, by upierać się, że pokryje go w całości ze swojej karty kredytowej. O nie.

- Ja zamówiłem na zakąskę wędzonego łososia, a ty smażony w głębokim tłuszczu camembert z sosem żurawinowym. Potem ja jadłem kurczaka, a ty stek i frytki. Już w tym momencie twoje jedzenie było o cztery funty droższe niż moje, a nie wzięliśmy jeszcze pod uwagę, że ty zamawiałaś deser, a ja nie.

- Połowę zjadłeś ty! - zauważyła Ruby. Tak naprawdę to Robin zjadł prawie wszystko... Kiedy na sekundę odłożyła łyżeczkę, Robin porwał jej miseczkę creme brulee sprzed nosa i niemal wylizal ją do czysta.

- Ale ty zamawiałaś brokuły, a ja nie!

Dzielił pieczołowicie rachunek, sprawdzając kolejno każdą pozycję, i wydawał się w najmniejszym stopniu nieskonfundowany, kiedy podszedł kierownik sali, by ustalić, jaką sumę należy skasować z każdej karty.

- Trzydzieści jeden siedemdziesiąt z tej i czterdzieści trzy z tej - powiedział cierpko.,

Ruby natomiast o mało nie umarła ze wstydu. Kiedy kelner wrócił z ich kartami, sięgnęła do torebki po portfel i w tym momencie rolka papieru toaletowego wypadła niechcący na podłogę i rozwinęła się na eleganckim parkiecie niczym banner reklamowy, informujący świat o jej skąpstwie.

- To jest rolka, o którą mnie prosiłeś - syknęła ku Robinowi, najgłośniej jak tylko się odważyła. Ale osłupiały kelner nawet jej nie usłyszał. Zbyt była zakłopotana, by umiejętnie odwrócić uwagę od drastycznego tematu.

- Wielkie dzięki. - Robin schylił się i zanurkował pod stół, by zwinąć papier.

Kelner, rzuciwszy Ruby pełne politowania spojrzenie, położył z powrotem na stoliku podpisane przez nich kwity.

- Masz funta albo dwa na tipa? - spytał Robin, wyłaniając się znów na powierzchnię po wypełnieniu swej misji ratowania papieru toaletowego.

Ruby wyjęła piątkę i gniewnym gestem niemal cisnęła go na srebrny talerz.

- To chyba trochę za dużo, nie? - skomentował Robin.

- Prawdę mówiąc, Robinie - wycedziła Ruby - to tylko połowa tego, co chciałabym zostawić. Myślałam, że masz zamiar się dołączyć.

- Nie - zaprotestował Robin. - Nie sądzę. To, co jest, to i tak więcej niż pięć procent. Płaszcz - warknął na kelnera.

Ruby zaniemówiła. Gapiała się tylko z otwartymi ustami na najbardziej skąpego człowieka na tym globie. Nawet kiedy czekali na okrycia, nie tracił czasu, tylko przekładał saszetki cukru z cukiernicy do kieszeni spodni.

- No to co, Ruby. Przyjemnie było razem posiedzieć - powiedział.

Zbyt czuła się zszokowana, by zaprzeczyć.

- Ale chyba nie ma powodu, żebyśmy mieli spotykać się jeszcze raz.

- Słucham? - spytała Ruby. Czy on ją prosi o kolejne spotkanie?

Nie prosił.

- To znaczy, jesteś w porządku i w ogóle - ciągnął. - Ale wydaje mi się, że chyba nie o taką osobę mi chodzi. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że jesteś młodsza i masz długie włosy. Zabrałbym cię na drinka, żeby udowodnić, że nie ma z mojej strony żadnej niechęci, ale robi się trochę późno.

Szczęka Ruby sięgnęła stołu.

- Było mi bardzo miło - powiedział Robin, odzyskując swoją kurtkę, z którą rozstał się dopiero po incydencie z oliwą. I z tymi słowy odszedł w noc, powłócząc nogami, z reklamówką w garści.

- Chłopak? - spytał kelner, pomagając Ruby włożyć płaszcz.

- Randka w ciemno - wyjaśniła.

- Dzięki Bogu. Masz szczęście, dziewczyno, że sobie poszedł. Trzymaj to. - Wcisnął jej z powrotem pięć funtów. - Wypij sobie brandy albo coś na mój rachunek. Należy ci się.

Na dworze, już bezpieczna, Ruby zapaliła papierosa i ruszyła w kierunku stacji metra. Lou czekała na nią, uwieszona u ramienia swojego partnera, tak jakby znali się, a może nawet byli ze sobą od lat. Śmiali się z czegoś, kiedy podeszła bliżej.

- Ruby, to jest Andrew - uśmiechnęła się Lou.

- Nie jestem tym facetem, w którym zakochała się w metrze - powiedział Andrew tonem usprawiedliwienia - ale staram się jak mogę, żeby jej to wynagrodzić.

- Jak dotąd, idzie mu to naprawdę nieźle - wtrąciła Lou.

- Miło cię poznać - powiedziała Ruby, nie wyjmując peta z ust. - Przykro mi, że musieliście skrócić przeze mnie to spotkanie. Ale skoro Lou dopilnowała, żebym nie wylądowała z idiotą... - Splunęła.

- Nie szkodzi. Lepiej się rozstać w oczekiwaniu na coś więcej. - Andrew rzucił na Lou tęskne spojrzenie.

Czyżby Lou się zarumieniła? Tak przynajmniej zdawało się Ruby. No cóż... Andrew był, kurczę, absolutnie rewelacyjny jak na faceta, który odpowiada na ogłoszenia matrymonialne dla hecy. Szczęściara! - pomyślała Ruby. Czy nie jest to po prostu prawo Soda?

- Martin wcześniej wyszedł - zauważyła.

- Tak, widzieliśmy - powiedziała Lou. „My"! - Ciekawe, czy biedna dziewczyna wie, w co się pakuje?

- To jakaś bestia, ten wasz przyjaciel Martin? - spytał Andrew.

- No cóż, chyba tak. Chociaż jedyne zwierzę, jakie przychodzi mi w związku z nim do głowy, to świnia.

- Jesteś zazdrosna? - zażartował Andrew.

- Nie bądź śmieszny. Głęboko współczuję damie, którą dziś do siebie zaprosił - westchnęła Ruby. - Idziesz, Lou?

- Domyślam się, że to pożegnanie. - Andrew ze smutkiem ściągnął brwi. Podniósł do ust rękę Lou i lekko ją pocałował. - A zatem zadzwonię do ciebie? - spytał.

- Tak - powiedziała Lou. - Będzie mi miło.

- Świetny, cholera - mruknęła Ruby, kiedy schodziły na peron. - To ja naprawdę potrzebuję mieć chłopaka, a tymczasem ty lądujesz u boku fantastycznego faceta, który spija każde słowo z twoich ust!

- To nie spotkasz się więcej z Robinem? - zakpiła Lou.

- Powiedział, że szuka młodszej. Nigdy w życiu nikt mnie tak nie upokorzył.

- Nawet kiedy Flett wysłał tamtego e-maila? Ruby skrzywiła się.

- Brandy u mnie? - zaproponowała Lou.

- I czysty arszenik na zagrychę - odparła Ruby.

ROZDZIAŁ 16

Cindy zabrała Martina do elitarnego klubu w Soho. Z zewnątrz nie sprawiał wrażenia czegoś wyjątkowego. Zwykle czarne drzwi otwierające się wprost z ulicy. Nic nie sugerowało, że to coś innego, niż kolejna obskurna wynajęta kłitka, gdzie załatwiają swoje interesy prostytutki i dealerzy narkotyków. Istotnie, tuż obok dzwonka do klubu jakiś przedsiębiorczy sutener przyczepił karteczkę, reklamującą świeżo przybyłą do Londynu „brazylijską piękność”, dysponującą szczególnymi umiejętnościami w dziedzinie masażu.

W środku jednak było to coś innego. Klub urządzono tak, by przypominał harem. Ściany obwieszono miedzianymi lustrami i jaskrawymi płatami jedwabiu, które stwarzały złudzenie, że to wnętrze eleganckiego namiotu. Nie było tam zwykłych siedzeń. Goście (których wpuszczano dopiero po ostrym odpytaniu przez maître d'hôtel, ubranego jak mafioso, ale z dodatkiem fezu) spoczywali na pufach wokół niskich stolików, usianych kieliszkami, nargilami i ścieżeczkami białego proszku, które zdecydowanie nie były efektem niedbałego sprzątnięcia. - Cindy!

Kiedy Martin i jego partnerka szli przez salę, niemal każdy obecny tu mężczyzna witał Cindy po imieniu. Dziewczyny okazywały mniej życzliwości, co, jak domyślał się Martin, można było przypisać zazdrości. Pomimo początkowej nieufności co do uprawianego przez Cindy wyrazistego stylu ekowojownika, w końcu uznał, że jest ona bardzo atrakcyjna. Siedem punktów na dziesięć możliwych. To bardzo dobra pozycja w prywatnej skali Martina. Dostałaby dziewięć, gdyby nie była taka mała.

- Siadaj - powiedziała, opadając na stos poduszek i pociągając Martina za sobą, tak że niemal na nią upadł. Zaledwie umościła się w półleżącej pozycji, natychmiast złapała z sąsiedniego stołu jedną z fajek o podejrzanym wyglądzie i wzięła długi, głęboki sztach.

- Co tam jest? - spytał Martin.

- A jak myślisz? - uśmiechnęła się Cindy. - Właściciel klubu ma układ z miejscowym dealerem.

Dziewczyny w tym czasie, w mieszkaniu Lou, popijały już kakao. Zaliczywszy pół naporstka specjalnie nabytej porandkowej brandy, Ruby uznała, że nie warto do listy boleści dodawać również gigantycznego kaca.

Od czasu do czasu odrywała wzrok od oglądanego po raz n-ty Zakochanego Szekspira i spoglądała na stojący w kącie sypialni zegar. Był to antyk, o wiele za duży i zbyt pompatyczny jak na uzyskane przez podział domu mieszkankę Lou na najwyższym piętrze, które najprawdopodobniej stanowiło kiedyś pokój

służącej. Lou jednak z miejsca się w nim zakochała, kiedy zobaczyła go wśród rupieci na Camden Market. Mniej więcej przez trzy dni w miesiącu zdawał się wskazywać sensowną godzinę.

- Dobrze idzie dzisiaj? - spytała Ruby.

- Jak zawsze - odparła Lou.

- Już prawie północ - zauważyła Ruby. - Jak myślisz, wróci na noc?

Lou potrząsnęła głową.

- Zapewne nie. Chyba nieźle mu idzie.

- Jesteś pewna? - spytała Ruby. - To znaczy... a jak idzie mu kiepsko? Może ona go uprowadziła?

- Ruby, ta dziewczyna jest niewiele większa od Barbie. Nic mu nie będzie. Założę się, że ma pierwszorzędną ubaw.

Ruby skinęła głową w parujące kakao.

- Mimo wszystko wolałabym, żeby zadzwonił i poinformował nas, że wszystko w porządku - powiedziała, marszcząc brwi.

- Nic mu nie będzie - powtórzyła Lou. - Przestań się zachowywać jak jego matka.

- Wcale się nie zachowuję jak jego matka.

- Jesteś zazdrosna? - zażartowała Lou.

- Odwal się. Dlaczego miałabym być o nią zazdrosna?

- Nie o nią. O Martina - poprawiła Lou. - Dlatego że jemu się randka udała, a tobie nie.

- Kto wie... Może wcale mu się tak bardzo nie udała - dumiała na głos Ruby.

- Na moje oko szło im znakomicie. Z miejsca zaskoczyło, powiedziałabym.

- Nie - zaprzeczyła Ruby. - On by się nie zakochał w takiej dziewczynie... prawda?

- A dlaczego odpowiedziałas na ogłoszenie? - spytał Martin. - Nie wyglądasz na dziewczynę, która może mieć problemy ze znalezieniem chłopaka.

- Jasne, że nie mam - zapewniła go Cindy. - Ale czasami jest to po prostu zbyt łatwe, kapujesz? Wiesz, o co mi chodzi?

Żeby tak wiedział.

- Na przykład - ciągnęła Cindy - wybierz jakiegoś atrakcyjnego faceta w tym pomieszczeniu. Obojętne którego. Najprawdopodobniej okaże się, że już go miałam.

- No tak. - Martin pobladł. Być może to właśnie było przyczyną, dla której dziewczyny nie odnosiły się do niej zbyt przyjaźnie.

- Ale oni wszyscy są tacy sami. - Cindy ziewnęła. - Wszyscy myślą, że są tacy okropnie artystyczni i nieprzeciętni z tymi - swoimi galeriami sztuki i projektami

teatralnymi, i planami egzotycznych podróży... Ale podrapać paznokciem i pod spodem wszyscy są tacy sami.

- O - zdumiał się Martin.

- Żyją z kasy mamusi czy tatusia. Uznałam, że może ciekawiej będzie spotkać się z kimś zwyczajnym - ciągnęła Cindy. wodząc palcem po węźle krawata Martina. - Pomyślałam sobie: a jakby tak spróbować z kimś, kto nie udaje, że ma choćby źdźbło twórczego talentu? Z kimś, kto musi dawać ogłoszenie, żeby znaleźć dziewczynę, taki jest nudny? Z kimś, kto będzie mi tak cholernie wdzięczny, że mnie w ogóle poznał, że stanie na rzesach, żeby mnie zabawić jak trzeba?

- Rozumiem - powiedział sztywno Martin. „Sztywno” w niekoniecznie tylko jednym sensie... Ręka Cindy nonszalancko ześliznęła się z jego kołnierzyka na krocze. Ani źdźbła talentu, tak? Co za zgrzyt... Ale mówiąc to, Cindy patrzyła mu głęboko w oczy tak jakoś, że te bezlitosne słowa zdawały się nieco cieplejsze. I tak jakoś wspierała się, pólleżąc, na poduszkach, i miała odpięte trzy górne guziczki od koszuli, i było widać jaskrawopomarańczowy satynowy stanik... Pomarańczowy stanik!

- Co nie znaczy, że jesteś taki, jak zakładałam. Prawdę mówiąc, kiedy weszłam dziś do restauracji, nie byłam pewna, czy dam radę przez to przejść. Tuż przede mną wszedł taki dziwny facet, z plastikową reklamówką w ręce. Pomyślałam, że to może mój partner, i o mało co nie zwiałam.

Martin poczuł ukłucie skruchy. Zdał sobie sprawę, że Cindy mówi o człowieku, którego on tak beztrudno wybrał dla Ruby.

- A kiedy cię zobaczyłam, byłam przyjemnie zaskoczona. Wyglądasz całkiem nieźle, Martin. Naprawdę nieźle.

- Mówisz bardzo miłe rzeczy - powiedział Martin.

- Mogę też robić bardzo miłe rzeczy - odparła Cindy. - Weźmiemy taksówkę?

W chwilę potem, na ulicy, gdy Martin zatrzymywał czarną taksówkę, Cindy owinęła się wokół niego jak liana. Auto zahamowało. Cindy wśliznęła się na tylne siedzenie, z szeroko rozstawionymi nogami, i chwyciwszy Martina ponownie za kołnierz, wciągnęła go za sobą. Martinowi przychodziło, owszem, do głowy, że wieczór się jeszcze nie skończył, ale był lekko zaszokowany, gdy Cindy podała taksówkarzowi swój adres, zanim miał szansę spytać: „Do ciebie czy do mnie?”

- Do mnie - mruknęła, po czym gładko wróciła do przerwanej czynności - wodzenia językiem po jego szyi, od góry do dołu.

- I - nnnnnngh! - powiedział Martin.

Przez całą drogę do jej domu nie miał szansy wydusić z siebie słowa. Kiedy szukał drobnych, żeby zapłacić taksówkarzowi, trzymała rękę z przodu jego spodni. Zanim weszli na schody, prowadzące do jej dość wystawnie wyglądającego domu koło Regent's Park, odpięła mu pasek i machając nim jak batem wokół pośladek, zaganiała go do domu niczym nieszczęsnego cielaka na rodeo.

Drzwi wejściowe wciąż jeszcze były otwarte, gdy spodnie Martina ostatecznie opadły na podłogę. - Cindy! - kwiknęła.

Na wpół baletowym, na wpół rodem z karate kopniakiem zatrzasnęła drzwi.

- Wpół do pierwszej - mruknęła Ruby.- Co to za problem przysłać nam sms-a!

- Za dobrze się bawi - westchnęła Lou.

- Być może dokładnie w tej chwili leży związany i zakneblowany, i czeka go jakieś potworne upokorzenie!

Lou omal nie prychnęła fontanną kakao przez nos.

- Coś mi się zdaje, że to właśnie jest dobra zabawa w pojęciu Martina!

- Chciałabym cię związać - wydyszała Cindy, wciągając go do sypialni. - Ufasz mi?

Martin skinął głową. Wyglądało na to, że jest to jedyna właściwa odpowiedź.

- Nie ma tu nic, do czego można by cię przywiązać - mówiła, ciągle go rozbierając. - Czekam teraz na nowe łóżko. Mają mi je niedługo dostarczyć. Z takim fajnym żelaznym wezgłowiem. Ale w hurtowni coś popieprzyli z zamówieniem. Nigdy nie zamawiaj niczego przez Internet, mówię ci.

- Jasne - zgodził się Martin. Uwagę miał nieco rozproszoną ze względu na rękę Cindy na jego penisie.

- W tej sytuacji - ciągnęła Cindy - obawiam się, że będziemy musieli improwizować.

Wciąż trzymając w jednej ręce rodowe klejnoty Martina, odchyliła się do tyłu z gracją doświadczonego jogina, odsunęła szufladę nocnej szafki i wyciągnęła długi, czerwony jedwabny szalik. Martin wyszczerzył zęby w szatańskim, jak miał nadzieję, uśmiechu. Mimo wszystko musiał zrobić w dotychczasowym życiu coś dobrego... Wszystkie jego fantazje zdawały się nagle spełniać. Dominująca kobieta. Jedwabne szale. Kępowanie. Może to był i banał, ale fantastyczny, jasny gwint.

Cindy lekko zawiązała Martinowi oczy jedwabnym szalikiem. To się dopiero nazywa udana randka w ciemno, pomyślał, gdy muskała językiem jego brodawki.

- Kajdanki - powiedziała nagle.

- Kajdanki?

- Tak. Nie sądziłeś chyba, że mam zamiar używać tylko szalików, prawda?
- To znaczy... no wiesz... Sądził.
- Ale przecież z szalika tak łatwo się oswobodzić, ty niegrzeczny chłopczyku.

Co to za przyjemność?

Martin ściągnął z oczu opaskę, żeby zobaczyć, czy żartuje. Najwyraźniej nie. W subtelnie wymanikiurowanych palcach trzymała już parę solidnych kajdanek, poruszając nimi wahadłowym ruchem.

- Dostałam je od prawdziwego policjanta - wyjaśniła z uśmiechem.
- Rozumiem - powiedział Martin.
- Nie uwierzyłbyś, co musiałam za nie zrobić.
- Nie opowiadaj - poprosił.

Kajdanki to była zupełnie inna propozycja niż jedwabne szale. Zupełnie inna... Trzeba mieć do kogoś o wiele więcej zaufania, żeby pozwolić mu się unieruchomić za pomocą czegoś, z czego raczej trudno się uwolnić, dopóki twój prześladowca nie dojdzie do wniosku, że pora cię wypuścić. Gdzieś tam w mózgu Martina pisnął przelotnie słaby głosik rozsądku i natychmiast ucichł, zagłuszony podnieconym wyciem.

- Naprawdę nie powinieneś tego robić - mruknął rozsądek.

- Seks, seks, seks - wtórowało pożądanie. - Seks z kobietą. Seks z kobietą, podany na wspaniałym wielkim półmisku!

Nieważne było dla prehistorycznej, zwierzęcej części mózgu Martina, jak dziwny miałby to być seks.

Ale Cindy wyglądała przecież dosyć normalnie, no nie? Na jej łóżku leżała piżama Snoopy, na litość boską. Czy może być niebezpieczna kobieta, która nosi piżamę Snoopy?

- Nie chcę, żebyś uciekł, zanim zdążę użyć wobec ciebie moich sztuczek - powiedziała, zapinając klamrę kajdanek wokół jednego z nadgarstków Martina. Oblizła pełne czerwone wargi i spojrzała na niego spod gęstych czarnych rzęs niczym księżna Diana na kwasie.

- Naprzód! - zawirowało w głowie Martina. - Ona cię pożąda!
- Dobra - powiedział Martin i posłusznie wyciągnął drugą rękę.
- O nie - rzekła Cindy. - Musimy cię przykuć do czegoś.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, że nie ma tu nic, do czego można by mnie przykuć.

- Tu nie ma. Musimy pójść do łazienki.

- Do łazienki?

- Wieszak na ręczniki - wyjaśniła Cindy. - Mogę przywiązać cię do niego.

Martin niespokojnie ruszył za nią do holu. Była goluteńka jak ją Pan Bóg stworzył, jeśli nie liczyć pulchnego czerwonego diabełka wytatuowanego na prawym pośladku, ale nie przejmowała się, że ktoś ją może zobaczyć. Martin nerwowo osłaniał krocze spodenkami.

- Hm... jesteś pewna, że powinniśmy pójść do łazienki? A jak któraś z twoich koleżanek zechce pójść w nocy do kibelka? Przecież mieszkasz z koleżankami, tak?

Dom był o wiele za duży dla jednej dziewczyny. Poza tym Martin widział w holu parę gumiaków, nieco większych niż buty Cindy.

- Wy luzuj się. Nie mieszkam z koleżankami - zapewniła go. A gumiaki?

- Mieszkam z rodzicami. - Z rodzicami?

Erekcja Martina momentalnie znikła jak zestrzelona.

- Spoko, Martin. Moi starzy są równi. Nie mają nic przeciw temu, żeby mnie odwiedzano. A poza tym wrócą dopiero jutro rano. Wyjechali na weekend do domu na wsi.

- Super. A... Słuchaj, Cindy, muszę cię o coś zapytać. Ile ty właściwie masz lat?

Tak naprawdę nie wyglądała, jakby tylko co skończyła podstawówkę, ale co może makijaż... W tych czasach trudno odróżnić trzynastolatkę od trzydziestki z okładem. Martin nie miał ochoty, żeby zakuto go w prawdziwe policyjne kajdanki!

- Dwadzieścia siedem - powiedziała zdecydowanie Cindy. Martin usiłował nie dać po sobie poznać, że mu ulżyło.

- Idziemy.

Cindy otworzyła drzwi obszernej łazienki. Pośrodku lśniącej marmurowej posadzki stała jedna z tych wiktoriańskich wanien, które zdają się móc pomieścić drużynę rugby. Kiedy Martin podzielił się z Cindy tą obserwacją, ta zaśmiała się:

- Miałam tu i rugbistów.

W jednym końcu wanny stała dziwaczna konstrukcja, przypominająca gigantyczną klatkę na ptaki. Okazało się, że to prysznic.

- Woda leci ze wszystkich stron - wyjaśniła Cindy. - Dokładnie tak, jak lubię.

- Niesamowite - szepnął Martin na widok stojącego w kącie pełnowymiarowego posągu Wenus, bez głowy, z mnóstwem ręczników udrapowanych wokół wyciągniętego ramienia.

Pomieszczenie oświetlał olbrzymi kandelabr. Trudno o większą różnicę w stosunku do łazienki Martina, gdzie płytki były tak brudne, że przyjął, iż z założenia mają żółty kolor, dopóki Ruby nie kupiła mu całego kanistra pianki Jif, którą się tylko spłukiwało, bez polerowania.

- To jest łazienka dla gości - powiedziała Cindy. - Właż. - Co?

Martin naprędce ocenił wartość olejnego pejzażu Florencji, wiszącego nad kominkiem. Jak bogaci muszą być rodzice Cindy?

- Wejdz do wanny - powiedziała Cindy. - Stań pod prysznicem.

Zrobił, co mu kazała. Uśmiechając się lubieżnie, Cindy uwolniła go ze spodenek i poleciła mu połączyć ręce za plecami wokół rury stanowiącej centralną część prysznicowej konstrukcji. Chłód i lekki ucisk wokół nadgarstków zasygnalizował, że nakłada mu kajdanki. Zatrzasnęła je i zaczęła całować palce Martina, ssąc je w sposób, który, miał nadzieję, był jedynie zapowiedzią czekających go dopiero rozkoszy. Ale nie weszła z nim do wanny. Jeszcze nie.

- Muszę puścić jakąś muzykę - powiedziała.

- Przecież nic stąd nie usłyszymy? - zauważył Martin. Śpieszyło mu się, żeby przystąpić do działania.

- Ależ usłyszymy - powiedziała Cindy, tak jakby to było oczywiste. - W łazience są głośniki.

Próbował je zlokalizować, kiedy Cindy poszła wybrać CD. Nie miał jeszcze na powrót zawiązanych oczu. Chryste, ale jej starzy muszą być nadziani, pomyślał. Dom był zupełnie niewiarygodny. Pełen antyków. Łazienka dla gości o rozmiarach niewielkiego basenu. A już skrajnym luksusem wydawały się głośniki nad kibelkiem. Przeżycia muzyczne podczas...

Głośniki, z których nagle buchnęło Take That?

ROZDZIAŁ 17

Minęła pierwsza. Lou wycofała się do łóżka, jako że jutro musiała wcześniej wstać, żeby popracować nad maszynopisem. Ruby leżała bezsennie na gruzłowanej sofie w salonie i wpatrywała się w pajęczynę, zwisającą z abażura Designers' Guild. Od Martina nadal nie było ani słowa wiadomości, jak minął mu wieczór. Lou na pewno miała rację, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo ze strony tego kurdupla z fiutami na głowie, z jakim go umówiła, ale Ruby mimo wszystko wolałaby, żeby był tu z nimi, tak jak obiecał, i uspokoił ją, że nie spotkał największej miłości swego życia...

Ruby przyłapała się na własnym umysłowym zakrętasiu i przywołała się do porządku. Nie chce, żeby Cindy okazała się największą miłością Martina? Dlaczego miałyby to być takie okropne? Miała nadzieję, że nie staje się jedną z tych kobiet, które uważają, że skoro są nieszczęśliwe i niekochane, to niekochany i nieszczęśliwy powinien pozostać cały świat. Wiedziała, jak nieatrakcyjny jest ten rodzaj złości. Liz Hale była zmorą młodych kochanków przez wiele lat... Głośno wyrażała swoją dezaprobatę, ilekroć spotkała się z przypadkiem publicznego okazywania uczuć, a raz doprowadziła do łez gońcówkę i z Hollingworth, sugerując, że jej nowy chłopak przysłał jej kwiaty dlatego, że przespał się z inną.

Co?

Ruby nigdy by sobie nie pozwoliła na to, by zostać współczesną miss Havisham, która życzyła nieszczęśliwego końca każdemu miłosnemu związkowi. Ale... To okropne, musiała jednak przyznać sama przed sobą, że raczej wolała, kiedy Martin był sam. Nic nie mogła na to poradzić. Kiedy kogoś miał, wymykał się z zasięgu jej radaru, a w końcu znikał z jej życia na całe tygodnie, albo, co gorsza, na wszystkie spotkania ciągnął swoją nową flame. Środowe wieczory w pubie, choć same w sobie czasem nudne, stawały się kompletną katastrofą, kiedy siedziała z nimi przy stole głupio uśmiechnięta ślicznotka, nie rozumiejąca dowcipów Ruby.

No i Martin był jakiś inny, kiedy miał dziewczynę. Na początku bardzo się starał, żeby dobrze wypaść, co oznaczało, że stawał się o dziewięćdziesiąt procent mniej zabawny niż zwykle. Albo rzewny. Czasami wręcz do mdłości... Ruby skrzywiła się na wspomnienie chwili, kiedy po raz pierwszy spotkały się z Leą, dziewczyną od Hermesa. Lea i Martin wynaleźli własny, sekretny język, w ramach którego on warczał na nią jak wilk, a ona w odpowiedzi beczała po owczemu „bee”. Przepiękne, nie? Ruby była bardzo zadowolona, kiedy ten szczególny związek się rozpadł.

Wiedziała jednak, że nie mogą ciągnąć tego w nieskończoność. Lou, Ruby i Martin - wieczny trójkąt bez romansu. Wreszcie któreś z nich spotka miłość swego życia i ustatkuje się, może ożeni czy wyjdzie za mąż, założy rodzinę... Nie będą przecież kuśtykać, wsparci o balkonik, na środowy quiz w pubie w roku dwutysięcznym pięćdziesiątym!

Spojrzała na zdjęcie ich trojga na balu dyplomowym, które Lou trzymała na obramowaniu kominka. Tak, jej prawdziwym problemem wcale nie było to, przy kim ostatecznie wyląduje Martin. Prawdziwym problemem stał się lęk, że jako jedyna zostanie sama w tej grze w romantyczne krzesła muzyczne. Zobaczyła w wyobraźni siebie samą za pięć lat, jak siedzi przy stole w kuchni Lou, piąte koło u wozu na niedzielnym obiedzie, i sący wódkę z tonikiem, a Lou smaży w tym czasie paluszki rybne dla swoich uroczych bliźniaków. Wyobraziła sobie, jak siedzi w domu Martina i patrzy na Cindy, krzątającą się przy kolacji, a Martin bawi się w tym czasie z ich uroczymi bliźniakami...

Wszystko to było bardzo, bardzo smutne. Czy znajdzie kiedykolwiek tego jednego jedyne? Miała wrażenie, że całe dotychczasowe życie minęło jej na szukaniu kogoś, kto sprawi, że stanie się pełną osobą.

Lou i Martin nie wiedzieli, że Ruby od dawna śledziła ogłoszenia w rubryce towarzyskiej. Ale nie tylko matrymonialne. W każdym razie nie te wprost, typu „bezzębny, mieszkający z matką, szuka dwudziestoparolatki w typie Pamelii Anderson z własnym porsche”, które zdają się występować tak nagminnie. Ogłoszenia, które lubiła czytać Ruby, miały o wiele dokładniej sprecyzowanego odbiorcę. „M. Harris poszukuje H. Johnson. Zgłoszenia pod numer skr. poczt, nr 555”. W tym stylu. Jako dziecko była już od nich niemal uzależniona.

Kim byli ci tajemniczy ludzie? Jak stracili się nawzajem z oczu? I dlaczego tak bardzo chcieli znów nawiązać kontakt? Czytając te ogłoszenia, Ruby wyobrażała sobie wszelkie rodzaje ekscytujących scenariuszy.

Michael Harris, lat dwadzieścia dwa, był dziedzicem wielkich włości. Matka nie aprobowała uczucia, jakim zapalał do pięknej córki górnika, Helen Johnson. Obecnie stara wiedźma, pani Harris, już nie żyje - rozbiła sobie głowę, gdy upadła na zbyt dokładnie wypolerowaną posadzkę w jednej z zamkowych sal. Michael, jej syn, jest wreszcie milionerem. Wcześniej zostawił Helen, żeby uniknąć wydziedziczenia, teraz jednak pragnie, by do niego wróciła. Chce, by została jego żoną! Czy dostrzeże jego ogłoszenie w gazecie? Czy kiedykolwiek znów się połączą? A jeśli tak się stanie, to czy ona wybaczy mu, że pozwolił kiedyś, by rozdzieliły ich pieniądze?

Romantyzm tego wszystkiego... Ruby z dreszczem rozkoszy wyobrażała sobie różne niedozwolone więzi, którym początek dała krótka notka z numerem

skrytki pocztowej na ostatniej stronie „Timesa”. A w dodatku istniała niska, ale szalenie podniecająca możliwość, że któregoś dnia zobaczy swoje nazwisko, wydrukowane znajomą czarną czcionką. „Ktokolwiek zna miejsce pobytu Ruby Taylor, proszę o kontakt pod numer skrytki pocztowej 370. Chodzi o sprawę, która może się dla niej okazać bardzo istotna”.

Nie było to tak nieprawdopodobne, jak by się zdawało. Ruby jako niemowlę została oddana do adopcji. Nie przypominała sobie konkretnego momentu, w którym rodzice jej o tym powiedzieli. Stało się to takim samym elementem rzeczywistości, jak przekonanie jej przyjaciółki Mary Jeapes, że została wrzucona kominem przez bociana... Nie, Ruby nie pamiętała dnia, w którym odkryła, że jest dzieckiem adoptowanym, ale pamiętała, jak narastało w niej przekonanie, że musi być sekretnym owocem miłości Shakin' Stevensa i księżniczki Anny.

Jeśli o nią chodzi, to banalny scenariusz ciężarnej nastolatki porzuconej przez nieodpowiedzialnego kochanka był najmniej wiarygodnym kandydatem do prawdy. Może w dążeniu do tego, by czuła się podwójnie wyróżniona, matka powiedziała Ruby, że jej naturalni rodzice chcieli się pobrać, ale nie mogli „z powodu okoliczności, na które nie mieli wpływu”. Dla ośmioletniej dziewczynki, wychowanej na książeczkach z baśniami, w których księżniczki nosiły sukienki piękniejsze od najpiękniejszych sukien projektantów włącznie z Versace, „okoliczności, na które nie mieli wpływu”, mogły oznaczać tylko jedno: interwencję złośliwej macochy-czarownicy. Niezwykła nieletnia matka, ale księżniczka była zmuszona oddać Ruby. Może nawet zostawiono zamiast niej podrzutka?

Kiedy naturalni rodzice Ruby odkrywają, że ukradziono im prawdziwe dziecko, będą próbowali ją odnaleźć. Poprzez ogłoszenie w gazecie, rzecz jasna. I Ruby śledziła je z religijnym przejęciem aż do dziesiątego roku życia, kiedy to ekscytacja, że jest może członkiem rodziny królewskiej, zbladła, wyparta przez uczucie do Adama Anta. I ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że osiągnęła stadium, kiedy nie chce już, by ulubiony gwiazdor muzyki pop był jej sekretnym ojcem.

Nigdy nie powiedziała rodzicom, co tak naprawdę robi każdego wieczoru, kiedy oddała się pospiesznie do swojej sypialni z ostatnimi stronami „Timesa”. Byli szczęśliwi, kiedy mogli pochwalić się wychowawczynie, że ich córka tak wcześnie zaczęła czytać gazety... Jednak od dziesiątego roku życia do chwili, kiedy stuknęła jej osiemnastka, Ruby mogła uczciwie powiedzieć, że tak naprawdę nigdy o tym nie myślała. O tym, że jest adoptowana. Kiedy wyjechała z domu na studia, nadal było jej to całkowicie obojętne. Ale nie było obojętne jej

przyjaciółce Georgie, która studiowała psychologię i uczyła się o wpływie adopcji na bliźnięta jednojajowe.

Georgie ukrywała fakt, że Ruby stanowi dla niej materiał badawczy, pod pozorem autentycznej troski o jej przyszłe zdrowie psychiczne. Kiedy na pierwszym roku, po tym, jak zerwał z nią jej ówczesny chłopak, miała ochotę uciec z powrotem do rodziców w Worcestershire i nie wychodzić z łóżka, dopóki nie stuknie jej trzydziestka, Georgie szybko potrafiła ją przekonać, że ta „skrajna” reakcja na porzucenie przez pryszczatego studenta inżynierii, który za każdym razem, gdy miał ją pocałować, musiał uprzednio wyjąć z ust gumę do żucia, to nie jest skutek huśtawki hormonalnej, typowej dla młodzieńczego uczucia, ale głębokiej traumy, spowodowanej tym, że została porzucona przez matkę tuż po urodzeniu.

Ruby bardzo chętnie się z tym zgodziła. Kiedy przyjechała na studia do Londynu, tuż po szkole, gdzie, mówiąc obrazowo, była grubą rybą w dość zastałym stawie, czuła się cokolwiek oszołomiona, gdy okazało się, że wokół niej pełno jest ludzi, którzy nie tylko dostają najwyższe oceny, ale mają też mnóstwo innych talentów. Choćby w akademiku, w tym samym korytarzu co Ruby, mieszkała studentka fizyki molekularnej, która dawała kiedyś koncert fortepianowy w Royal Albert Hall. Jennifer, mieszkająca dwa pokoje dalej, zastanawiała się, czy kończyć studia, czy też przyjąć ofertę którejś z trzech międzynarodowych agencji modelek, ubiegających się o to, by mieć ją odpowiednio wcześniej w swoich rejestrach na londyńskim pokazie mody. Allegra zaś już zrezygnowała z występowania jako modelka, by skoncentrować się na swojej przyszłej karierze prawnika.

Zamiast czerpać inspirację z tych nowych znajomości, Ruby zaczęła przygasać w ich wspaniałym blasku. Najbystrzejsza dziewczyna w szkole, tu stała się nagle tępakiem. Pozbawionym jakichkolwiek talentów tępakiem, w dodatku o dość nieciekawym wyglądzie.

Tak więc pomyśl, że źródłem jej depresji jest wczesne odrzucenie, nadmierna potrzeba przynależności - jak to zdiagnozowała Georgie, na podstawie podręcznika dla studentów pierwszego roku - wydal się nagle Ruby równie wspaniały jak zaburzenia łaknienia, które wydawały się obowiązkowe wśród wszystkich tych dziewcząt z drogich prywatnych szkół. Kiedy Jennifer dowiedziała się o adopcji Ruby, pozwoliła jej poczęstować się garścią czekoladek z tajnego pudełka, które trzymała pod łóżkiem na chwile słabości pomiędzy jedzeniem selerów („wiesz, spala więcej kalorii, niż sam zawiera”) a wymiotowaniem.

- Biedna jesteś - westchnęła Jennifer, tak jakby Ruby została osierocona zaledwie wczoraj. - Ale to jest mimo wszystko wspaniałe. Kto wie, kim są twoi rodzice...

Idolem był w tym czasie Mick Jagger.

- Wszędzie jeździ. I masz takie same pełne usta jak on - orzekła Jennifer. - Chyba też sobie takie zrobię - dodała, szybko znów przechodząc do myśli o sobie i swoich marzeniach o karierze supermodelki.

Georgie rozbudziła w Ruby dawne rojenia o księżniczce. Zamiast robić notatki na temat Jane Austen, Ruby znów rozważała, czy naprawdę nie jest owocem potajemnego romansu jakiejś znakomitości. Może jej ojciec to gwiazda filmu czy estrady? Albo nawet wysokiej rangi polityk? Może byłby zachwycony, gdyby mógł powitać swoją zaginioną córkę i rozpieszczać ją prezentami po dwudziestu latach nieobecności w roli rodzica? Może dostałaby mieszkanie w Chelsea, takie jak to, które otrzymała na osiemnaste urodziny Jennifer? Nigdy oczywiście nie odwróciłyby się plecami do mamy i taty - to oni byli przecież przy niej od początku - ale myśl, że może okazać się latoroślą jakiegoś niesamowicie sławnego i bogatego rodu, trzymała Ruby przy życiu przez cały semestr, który w innym przypadku spędziłaby, oplakując tego pokrakę eksa.

Rzeczywistość, rzecz jasna, nie była bynajmniej tak olśniewająca. Ruby przyszła na świat na początku lat siedemdziesiątych, ale nigdy nie widziała swojej oryginalnej metryki. Zmiana w przepisach prawnych, jaka nastąpiła wkrótce po jej adopcji, sprawiła, że z chwilą ukończenia osiemnastu lat mogła ubiegać się o udostępnienie jej aktu urodzenia, przedtem jednak musiała spotkać się z pracownikiem socjalnym. Ruby nie miała nic przeciwko temu. To, że ma się zobaczyć z pracownikiem socjalnym, czyniło całą sprawę jeszcze bardziej egzotyczną. Wydawało się jej niemal tak samo dobre, jak psychoanalitik z Harley Street, do którego chodziła Jennifer.

Wypełniła stosowne formularze, na podstawie których rada nadzorująca przebieg adopcji mogła udostępnić jej akt urodzenia, złożyła je gdzie należy i w oznaczonym dniu ruszyła do lokalnego ośrodka pomocy społecznej. Kiedy wchodziła po betonowych schodach do recepcji, po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że być może niekoniecznie jest to dobry pomysł.

Wprowadzono ją do sali przypominającej klasę w szkole podstawowej i powiedziano, że ma poczekać na Amandę. Puste, kwadratowe pomieszczenie, o ścianach pomalowanych na blady róż, udekorowane było brudnymi, wielkości dziecka, plakatami na temat szkodliwości narkotyków. Widnieli na nich ludzie o zapadłych oczach. Na brązowym dywanie, upstrzonym wdeptanymi kawałkami plasteliny, leżały tu i ówdzie żałośnie wyglądające zabawki: lalki z

poobrywanymi kończynami i pozbawione kół samochodziki. Jeśli nawet ktoś nie popadł w depresję, po wizycie w tym pomieszczeniu, pomyślała Ruby, na pewno będzie się modlił o śmierć, opuszczając to ponure, zimne miejsce.

Rozejrzała się, gdzie mogłaby usiąść, ale znajdowały się tu tylko dziecięce krzeselka, przewidziane dla pięciolatek. Oparła się więc o kaloryfer i wyjrzała przez okno. Ulicę wypełniał tłum zaafekowanych ludzi, krzątających się wokół swoich spraw. Zwyczajny poniedziałek, taki jak wszystkie inne. Niczym w filmie, było to idealne tło dla tego, co, jak zakładała Ruby, stanie się przełomem w jej życiu. Za chwilę dowie się, kim jest naprawdę. Od dziś już nigdy nie będzie się czuła samotna, nieszczęśliwa czy zagubiona. Wzbogaci się, mówiła sobie, o tak silne poczucie własnej tożsamości, że nie załamię jej żadna klęska sercowa, żaden zawalony egzamin. Kiedy Ruby Taylor będzie wiedziała, kim naprawdę jest, jej życie stanie się pełne.

W dziesięć minut później Amanda w końcu nadeszła. Była to duża, tęga kobieta. Dysząc głośno, po zaliczeniu wspinaczki po schodach, wsparła się ciężko o ramę drzwi i dosłownie wpadła do pokoju. Ruby nie potrafiłaby wymyślić trafniejszego obrazu pracownicy socjalnej.

Miała na sobie długą, luźną szatę, jak mogła tylko domyślać się Ruby, wschodni kaftan, uszyty z kawałka wyjątkowo brzydkiej brązowej bawełny w batikowy wzór. Na szyi Amandy wisiały zwoje kolorowych drewnianych paciorków i zbyt wielkie okulary w czerwonej oprawce na prymitywnie wyglądającym sznurku. Włosy też były czerwone, farbowane henną. Tylko przy samej głowie widniały lekko siwiejące odrosty.

Podeszła, dysząc, do Ruby. Poprzedzała ją woń olejku z paczuli, który przypominał Ruby sklep z „etnicznymi” upominkami w jej rodzinnym mieście, gdzie jako nieśmiała uczennica ostatniej klasy podstawówki kupowała sobie bransoletki. Wszystko w Amandzie krzychało: „Jestem kobietą, która zna życie. Wszystko rozumiem”. Nawet linia jej ust, asymetrycznie wygiętych w czymś, co na dobrą sprawę mogło stanowić półuśmiech, i lekkie pochylenie głowy ku Ruby. Współczucie na wyrost.

- Ruby Taylor? - uśmiechnęła się, odczytując nazwisko z notatnika. - Jestem Amanda Forbes Grant.

Ruby automatycznie wyciągnęła rękę.

- Nie musisz być tak oficjalna - powiedziała Amanda, ignorując jej gest. - Chcesz usiąść?

Ruby rozejrzała się dookoła. Tutaj? Nie było tu ani jednego krzesła, na którym by się zmieściła. Amanda skinęła jednak w stronę jednego z dziecięcych krzesłek, po czym sama opadła na drugie, czemu towarzyszył dramatyczny

świst jej powłóczystej szaty. Zupełnie jakby gorące powietrze uchodziło z olbrzymiego balonu, gdy ląduje na polu.

Amanda przycupnęła na krzeselku z gracją Hipki-baletnicy z kreskówki dla dzieci. Ruby poruszyła się, usiłując znaleźć jako tako wygodną pozycję.

- Niedługo mają nam przywieźć trochę większe krzesła - poinformowała Amanda. - Sponsor.

- Aha - powiedziała Ruby.

- Nigdy nie ma ich dość - wyjaśniła cierpliwie Amanda. - Jak się czujesz, Ruby?

- Dobrze - odparła Ruby.

- To naturalne, że tak ci się wydaje - powiedziała sceptycznie Amanda. - No cóż. To od czego zaczniemy?

Ruby spojrzała na płaską szarą kopertę, którą Amanda położyła na stojącym pomiędzy nimi lilipucich rozmiarów stoliku.

- Czy to jest to? - spytała.

- Twoja metryka? Tak, to ona - rzekła Amanda.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Nie sądzisz, że powinniśmy przedtem omówić pewne kwestie, dotyczące twojej adopcji?

- Nie wydaje mi się, żeby istniały jakieś kwestie - spróbowała Ruby.

Amanda znów skłoniła głowę.

- Oczywiście, że są.

- Ale... to znaczy... może będę potrafiła lepiej je sformułować, jeśli zobaczę moją metrykę? - zełgała Ruby. - Kiedy się dowiem, kim są moi rodzice.

Amanda uśmiechnęła się. Najwyraźniej Ruby wyrzekła magiczne słowa.

- W porządku. Proszę.

Podowała kopertę Ruby. Koperta wydawała się bardzo cienka. Zupełnie jakby niewiele tam w środku było... Co też istotnie miało miejsce. Kiedy Ruby ją otworzyła, znalazła tylko jedną kartkę papieru, leciutką jak bibułka i prawie jak bibułka przejrzystą.

- Czy to wszystko? - spytała Ruby. Amanda skinęła głową.

Jeden jedyny świstek.

W akcie urodzenia widniało imię Hope. Hope... Kiedy Ruby zobaczyła to imię, napisane bladoniebieskim atramentem na papierze w odcieniu łososiowego różu, była przyjemnie zaskoczona. Co za piękne imię, pomyślała. I niezwykle... W skrytości ducha lękała się, że odkryje, iż naprawdę nazywa się Sharon czy Sarah. Czy jakoś równie nieciekawie i pospolicie. Ale Hope! To było takie śliczne. Takie inne... Trzymając po raz pierwszy w dłoniach swój akt urodzenia,

Ruby spojrzała na swoje właściwe nazwisko - Hope Mary Barker - i miała wrażenie, że z głębi jej żołądka unosi się delikatna fala ciepła.

Hope... Jej matka musiała ją kochać, skoro dała jej takie piękne imię. Z oczyma utkwionymi w te trzy krótkie słowa, Ruby wyobraziła sobie scenę w izbie porodowej. Piękna młoda kobieta trzyma w ramionach nowo narodzone niemowlę. W wyobraźni Ruby Geraldine Barker z Greenwich (tyle było napisane w rubryce „matka”) powiedziała do pielęgniarki, że na razie nie ma wiadomości od słynnego ojca maleństwa, ale jest pełna nadziei, że zmięknie on, skoro tylko się dowie, że ma śliczną córeczkę o dużych, pełnych ustach, zupełnie takich jak jego...

- To dość pospolite imię w przypadku dzieci, które idą do adopcji - przerwała nagle te myśli Amanda, pracownica socjalna. - W latach siedemdziesiątych mieliśmy mnóstwo adoptowanych dziewczynek, które nazywały się Hope albo Charity. Albo Mary. Biblijne imiona. Przeważnie nadawały im je zakonnice, które prowadziły domy małego dziecka.

- Ach tak.

Jeśli w ogóle czuła jakieś ciepło, momentalnie się ulotniło.

- Nazwiska ojca nie ma, obawiam się - ciągnęła Amanda. Ruby już to zauważyła. W rubryce „ojciec” widniała tylko krótka niebieska linia.

- Zazwyczaj powinna być jeszcze inna dokumentacja, na przykład list od matki albo przynajmniej jakaś notka, wyjaśniająca okoliczności przyjścia dziecka na świat. Ale w twoim przypadku została tylko metryka.

- Co to znaczy? - spytała Ruby. - Czy ona do mnie nie napisała?

- Może i napisała. Chociaż nie było to obowiązkowe. Pewnie list gdzieś zaginął. Ośrodek adopcyjny w twoim mieście parokrotnie zmieniał siedzibę na początku lat osiemdziesiątych. Cała masa akt, które powinny zostać przeniesione do nowego biura, wylądowała w pojemniku na śmieci.

- W pojemniku na śmieci?

- Wiem - Amanda zrobiła odpowiednio współczującą minę. - Powinno było za to polecieć parę głów... Czy rodzice nic nie mówili ci na temat twoich naturalnych rodziców? Powinni coś niecoś o nich wiedzieć. Próbowano dobierać ludzi z podobnych środowisk, tak żeby mieć pewność, że wiedzą, w co się pakują - dodała, siląc się na dowcip.

- Właściwie to nie rozmawiałam o tym z mamą i tatą - przyznała Ruby.

- Tak myślałam - pokiwała głową Amanda. - Nie chciałaś ich ranić, prawda? Sądziłaś, że nie rozumieją?

- Chyba... chyba miałam nadzieję, że pani będzie mogła powiedzieć mi wszystko, czego pragnęłabym się dowiedzieć, i nie chciałam zawracać im głowy - wyjaśniła Ruby.

- To wszystko, co znalazłam. - Amanda wskazała ruchem głowy metrykę. - Oczywiście nie byłam obecna, kiedy załatwiano twoją sprawę.

- Nie, oczywiście, że nie. A więc...

- A więc to wszystko, co mogę ci powiedzieć. - Odchyliła się na oparcie krzesła i splotła ręce na balonie brzucha. Krzeselko zatrzeszczało złowieszczo.

- Czy jest taka możliwość - zaczęła Ruby - że okoliczności mojego przyjścia na świat były szczególnie delikatne i że gdzieś istnieje tajna dokumentacja na ten temat? Może ma z tym coś wspólnego ktoś... - zawahała się, zdając sobie sprawę, że może wyjść na idiotkę - ktoś sławny?

Amanda zaprezentowała stosowny na tę okoliczność, współczujący uśmiech.

- Nie sądzę, Ruby - rzekła, potrząsając głową. - To naprawdę są wszystkie dokumenty na twój temat, jakie istnieją.

Ruby mocniej ścisnęła świstek.

- Ale oczywiście możemy porozmawiać o uczuciach, jakie wywołał w tobie widok swojej metryki. Jak się teraz czujesz, Ruby? - Amanda ściągnęła brwi w firmowym wyrazie powagi.

- Jesteś rozczarowana?

- No cóż... jestem. Oczywiście, że jestem. Ale właściwie to nie. To znaczy, znam teraz przecież przynajmniej nazwisko mojej matki i adres...

- Adres pochodzi prawie sprzed dwudziestu lat - powiedziała Amanda, zwiastunka dobrych nowin. - No i może to nawet nie być jej prawdziwy adres. W latach siedemdziesiątych niezamężne dziewczyny w ciąży często wysyłano do domu matki i dziecka, kiedy brzuch zaczynał być widoczny. Rodzina mówiła wszystkim, że córka pojechała na kurs dla sekretarek. A kiedy dziecko przyszło na świat i zostało szczęśliwie zaadoptowane, matka mogła wrócić do domu.

- Zatem ten papier nie ma żadnej wartości?

- Nie, Ruby. Ma. To przecież część twojego życiorysu.

- Nie czuję, żeby to była część mojego życiorysu - powiedziała cicho Ruby. - Ten świstek mógłby okazać się metryką dowolnej osoby. Nic szczególnego nie czuję, kiedy na niego patrzę. Wydaje mi się... nie wiem... wydaje mi się...

- Śmiało, Ruby. - Amandę najwyraźniej ucieszyła perspektywa ujawnienia jakichś emocji.

- Ale to głupie.

- Nie jest głupie to, co naprawdę czujesz. Pozwól, żeby wypłynęło na powierzchnię.

- Spodziewałam się, że czegoś się dowiem. Na przykład, jakie było jej imię. Czy nawet moje imię. Chyba odrobinę czegoś takiego poczułam, kiedy je przeczytałam, ale pani powiedziała, że wszystkim adoptowanym nadawano imię w rodzaju Hope i od razu przestało mi się wydawać specjalne.

- Nie wszystkim adoptowanym - sprostowała Amanda. - Tylko tym, którym nadawali imiona raczej pracownicy socjalni niż naturalne matki.

- Super. - Ruby pokręciła głową. Czy ta Amanda skończyła specjalny kurs, dzięki któremu potrafi tak skutecznie gasić najmniejsze choćby światełko w tunelu? - To zdecydowanie poprawia moje samopoczucie.

Amanda uśmiechnęła się.

- Twoja reakcja jest w pełni naturalna, Ruby. Ambiwalentne uczucia są typowe w takiej sytuacji. Jesteś podekscytowana, zła, rozczarowana i smutna.

- Nie jestem smutna - powiedziała defensywnie Ruby.

- Ależ jesteś, jesteś. I nie bój się płakać, jeśli masz ochotę. To naprawdę będzie w porządku. Nie musisz cenzurować przy mnie swoich uczuć. Ja wszystko widzę, Ruby. Nie potrzebujesz chronić mnie przed twoimi emocjami. Nie uwierzyłabyś, z jakimi reakcjami się tu już spotykałam... Jeden mężczyzna był tak wzburzony, że rzucił się na mnie z pięściami.

Ruby stłumiła chęć powiedzenia, że specjalnie jej to nie dziwi.

- Zostałaś postawiona w bardzo trudnej sytuacji. Możesz starać się udawać, że tak nie jest. Możesz starać się przybierać maskę dzielności. Ale to oczywiste, że czujesz się znów porzucona, kochanie, i prędzej czy później twoje prawdziwe emocje i tak się ujawnią. Czy nie lepiej wylać je od razu? Teraz, kiedy możesz wyplakać się w moich objęciach?

Z tymi słowy Amanda otworzyła ramiona i nie podnosząc się z krzeselka, wyciągnęła je niczym ośmiornica macki i pociągnęła dziewczynę ku sobie tak gwałtownie, że Ruby znalazła się częściowo na podłodze, a częściowo na miękkim łonie swojej rozmówczyni.

- No! - pisnęła.

- Pozwól im się ujawnić - ponagliła Amanda, przyciskając głowę Ruby do obfitej piersi. - Śmiało, Ruby. Daj ujście emocjom. Daj ujście łzom. Opłakuj dziecko, którym jesteś.

- Aleja wcale nie mam ochoty płakać. - Ruby usiłowała się uwolnić z natarcywego uścisku. - Proszę mnie puścić!

Amanda nadal przyciskała ją szczelnie do łona.

- Ujawnij je, Ruby. Ujawnij je!

- Proszę mnie puścić!

W końcu zdołała się uwolnić. Zerwała się na nogi i dopiero gdy upewniła się, że jest tuż przy drzwiach, odwróciła się do Amandy i powiedziała, dosyć spokojnie, jak na to, co przed chwilą zaszło między nimi:

- Obawiam się, że muszę już iść. Za pół godziny mam zajęcia. Dziękuję za metrykę.

- Wiesz, Ruby, że zawsze możesz do mnie przyjść, jeśli będziesz miała taką potrzebę.

- Dziękuję - wyjąkała Ruby. - To bardzo... hm... - Prawdopodobnie Amanda oczekiwała, że dziewczyna powie „dodaje mi otuchy”, ale Ruby nie wydawało się to stosowne. - I tego... dziękuję.

I nie oglądając się, wybiegła na zewnątrz, na bezpieczny chodnik High Street.

Znalazłszy się w swoim pokoju w akademiku, schowała metrykę wraz z szarą kopertą pod łóżkiem, w pudełku po butach. Nie oglądała jej prawie przez dziesięć lat. Komentarz Amandy na odchodnym był taki, że nawet jeśli Ruby twierdzi, iż nie chce rozmawiać teraz o swojej adopcji, to w przyszłości może się zdarzyć moment szczególnie silnego wzruszenia, który sprowokuje ją do dalszych poszukiwań. Skoro taki moment nie nastąpił w dniu dwudziestych pierwszych ani dwudziestych piątych urodzin, Ruby uznała, że nie nastąpi nigdy. A potem została ciotką.

Siostra Ruby, Lindsay, była od niej o trzy lata starsza. Była rodzoną córką rodziców Ruby. Po porodzie nastąpiły komplikacje, które spowodowały, że państwo Taylor nie mogli mieć więcej własnych dzieci, i stąd adopcja. Pani Taylor bardzo chciała być matką jeszcze raz. A teraz matką została także Lindsay. Jej córeczka, Lauren Joanna, urodziła się dwudziestego szóstego kwietnia, na dwa tygodnie przed pożegnalnym e-mailem Johna Fletta.

Ruby widziała Lauren po raz pierwszy w poniedziałek po weselu Zuzanny. Było to dziwne doświadczenie. Spodziewała się sytuacji cokolwiek podobnej do tej, w której siostra przedstawiła rodzinie swojego zwariowanego psa, szkockiego owczarka Rafflesa. Na widok szczeniaka Ruby wpadła w zachwyty. Lindsay poświęciła parę chwil na zapoznanie ich ze sobą i próby przyuczenia Rafflesa, żeby siadał na komendę, gdy Ruby daje mu biszkopta (wolał jej palec), po czym zostawiła ich w salonie, a sama poszła do kuchni zrobić herbatę. Wróciła z dwiema filiżankami i butelką chardonnay.

Raffles nadal biegał jak szalony wokół stolika do kawy, zupełnie jakby nawaliło mu coś w twardym dysku, a siostry oddawały się relaksowi w typowy dla poniedziałkowego popołudnia sposób. Najpierw rozmawiały o mamie i tacie: „Która z nas weźmie ich do siebie, kiedy zaczną odlatywać?” Potem o próbach Lindsay zostania złotą rączką, co w głównej mierze polegało na posłaniu męża

na drabinę i pokrzykiwaniu na niego. Potem o życiu osobistym Ruby. Lindsay mogła bez końca słuchać skarg Ruby na jej uczuciowe porażki. Twierdziła, że jest rozdarta pomiędzy zazdrością, że Ruby wciąż jest wolna i spotyka się z tyloma różnymi fascynującymi mężczyznami, oraz niezmierną ulgą, że jej to już nie grozi, jako że każdy fascynujący mężczyzna okazuje się w końcu dokładnie takim samym sukinsynem jak jego poprzednik.

Ale pojawienie się w rodzinie Lauren Joanny różniło się zasadniczo od pojawienia się szalonego collie Rafflesa. Nie było szans, by Ruby mogła spokojnie podziwiać repertuar trików Laureen, podczas gdy Lindsay odkorkowywałaby w kuchni butelkę chardonnay. Już choćby to, że w salonie zebrało się pełno gości... Teściowa Lindsay zainstalowała się w ich domu na dwa tygodnie przed przewidywanym terminem porodu, ale choć Lauren była już na świecie, żadne oznaki nie wskazywały na to, iż zamierza się wyprowadzić. Z męczeńskim westchnieniem opowiadała wszystkim, że synowa wciąż jej potrzebuje. Matka Ruby często zastanawiała się głośno, czy istotnie Lindsay jest potrzebne, by starsza pani wpatrywała się w nią, kiedy ta próbuje karmić dziecko piersią.

Ale kiedy Ruby przyszła, teściowa wciąż była obecna. Podobnie jak oboje rodzice Ruby. Lindsay siedziała w najlepszym fotelu, przyciskając dziecko do piersi. Wszyscy skierowali oczy na nią i na tłumoczek białej bawełny przy jej sutku. Ruby już niemal od progu poczuła się niezręcznie. To było jak scena z jakiegoś horroru z lat siedemdziesiątych - Lindsay tylko co urodziła pomiot diabła i wszyscy sataniści przyszli dopilnować, by nie próbowała się włamać do tabernakulum z ich nowym mesjaszem.

- O, jest ciocia Ruby - powiedziała Lindsay dziwnym, cienkim głosem, którego Ruby nie знаła.

- Ciocia Ruby! Zupełnie jakbym miała sto dwanaście lat! - zaśmiała się.

- Wystarczająco dużo, żeby mieć swoje własne - zauważyła teściowa Lindsay.

Lindsay podała Ruby malutką siostrzenicę. Gdy tylko mikroskopijna istotka zdała sobie sprawę, że jest na innych rękach niż mamy, niemal natychmiast czółko zaczęło jej się marszczyć, a brzaskwiniowa cera pociemniała do barwy intensywnego różu. Wzięła następnie głęboki wdech, jak gdyby napełniając płuca przed wrzaskiem.

- Chyba ma zamiar płakać - powiedziała Ruby, szykując się, żeby oddać dziecko.

- Po prostu powiedz do niej coś miłego - podsunęła Lindsay. - Zagruchaj.

- Podobna do tatusia - odezwała się babcia Jones, teściowa.

- Ale i do Lindsay, kiedy ta była w jej wieku - przerwała matka Ruby, babcia Taylow. - I do mnie.

No więc właśnie. Podobieństwo rodzinne... Ruby przeniosła wzrok z siostrzenicy na starszą siostrę, a następnie na matkę. Trzy pokolenia kobiet o takich samych ustach, oczach i nosach. Przypomniała sobie fragment czytanego kiedyś wiersza: „Rodzinne twarze są czarodziejskim lustrem”. Nareszcie wiedziała, co to oznacza.

Wieczorem, w domu, wyciągnęła swoją metrykę po raz pierwszy od dnia, kiedy Amanda, ten zionący wonią paczuli potwór, doprowadziła do tego, że miała ochotę podrzeć ją na strzępki. Hope Mary Barker. Wciąż było tam to nazwisko, napisane niebieskim atramentem na różowym papierze. I choć czuła się w każdym calu Taylo równą, zdała sobie sprawę, że jeśli urodzi kiedykolwiek dziecko, będzie ono miało nos Barkerów, nie Taylorów. Może przyszedł w końcu czas, by powziąć dokładniejsze wyobrażenie, jak ten nos wygląda.

RS

ROZDZIAŁ 18

Od tamtego popołudnia, u Lindsay Ruby często wracała myślą do swojej adopcji. I teraz, gdy wpatrywała się

w rysę na

suficie Lou, znów ta kwestia do niej wróciła. Tym razem do dawnego niejasnego wrażenia straty dołączyło ostre poczucie bezwartościowości, sprowokowane nie tylko tym, że Flett tak beztrąsko ją porzucił, ale i słowami, jakie rzucił na odchodnym ten bezmyślny idiota Robin.

Nie mogła spać. Za każdym razem, gdy zamknęła oczy, ostatnia scena z Flettem migąła jej przed oczami, niczym reklamy w kinie. Albo, jeśli udawało jej się na moment odwrócić od niego uwagę, natychmiast wskakiwał na to miejsce kadr z Robinem, gdy stwierdzał z rozczarowaniem, że szuka młodszej i ładniejszej.

Kliknęła parę razy telewizyjnym pilotem, w nadziei, że zdoła ją zainteresować któryś z tych dziwnych programów Euro, jakie teraz, gdy wpatrywała się w rysę na

pokazują w nocy z piątku na sobotę. Ale jakoś nic nie było w stanie zaabsorbować jej uwagi. Nie mogła też oglądać horroru na kanale piątym, bo nie spałaby potem ze strachu. Pozostawała jej jedynie lektura „Hello” i upewnienie się, że nawet bogactwo i sława nie chronią przed miłosnymi zawodami. Na każdy ślub jakiejś znakomitości, opisany w numerze, przypadały co najmniej dwa artykuły na temat gwiazd, które nagle znów zostały same i chętnie opowiadały o swoim złamanym sercu „w efektownym wnętrzu nowej, luksusowej rezydencji”. Albo w hotelowym pokoju, zależnie od tego, jak przebiegał rozwód... Ruby wyciągnęła z przeładowanego pojemnika na gazety najnowszy egzemplarz komiksu dla dorosłych i zaczęła szukać jakiejś wzmianki o znakomitości, której przydarzyło się coś pozytywnego.

W tym tygodniu z lśniącej okładki uśmiechała się super szeroko Katrina Black - jedyna aktorka w Hollywood, przy której usta Angeliny Jolie wydawały się wąskie. Katrina Black zachęcała do kupowania jej autobiografii, napisanej przez Murzyna książki, pod tytułem Mała czarna książeczka. Sporo było szumu wokół tej wydanej niedawno pozycji. Pisano, że pełno w niej niesamowitych rewelacji. Nie najmniejszą z nich okazała się wiadomość, że pewien ogólnie znany mieszkaniec Krainy Snów lubi owinać się folią pod ręcznie uszytym włoskim garniturem, po czym idzie na przyjęcie, gdzie przez cały wieczór ociera się o niczego nie podejrzewające młode kobiety. Z tą folią najwyraźniej chodziło o to, żeby pewne kłopotliwe wydzieliny nie splamiły kosztownych tkanin,

niemniej, jak powszechnie zauważono, nie wyjaśnia to, dlaczego aktor owija się w folię cały. od kolan do szyi. I to w podwójną warstwę.

Ruby, rzecz jasna, podniecała się tak jak każda inna przeciętna dziewczyna seksualnymi perwersyjkami sławnych i bogatych. Ale to nie dlatego nie mogła się doczekać, żeby wziąć do ręki egzemplarz biografii Katriny Black. Ruby interesowała się nieco innym fragmentem prywatnego życia Katriny. Od początku kariery aktorka nie robiła w wywiadach prasowych i telewizyjnych żadnej tajemnicy z faktu, że - podobnie jak Ruby - jako małe dziecko została oddana do adopcji. Katrina Black była jedyną adoptowaną osobą, jaką знаła Ruby. A przynajmniej o której słyszała.

Historia została opowiedziana już chyba z tuzin razy, ale dopiero ostatnio zyskała szczęśliwe zakończenie. Gdy tylko Katrina Black stała się sławna, bardzo prędko padła ofiarą trendowego tłumy, który wciągnął ją w ćpanie narkotyków. Po dwu głośnych nalotach policji - z których jeden zaowocował niezbyt surowym wyrokiem skazującym - Katrina zgłosiła się do kliniki odwykowej na pustyni arizońskiej i przebywała tam tyle czasu, na ile pozwalał jej grafik zdjęć. Tak naprawdę to sześć dni, ale wyrażenie z notki informacyjnej na okładce sprawiało, że wszystko wyglądało znacznie bardziej dramatycznie. Tak czy owak, w czasie pobytu na odwyku Katrina zrozumiała, z pomocą terapeuty oraz koleżanki z grupy, która miała przewodnika duchowego - rdzennego Indianina - że źródłem jej problemu nie jest bynajmniej nieoczekiwana sława i nieumiejętność mówienia „nie” na widok działki kokainy. Źródłem problemu jest, jak twierdziła, porzucenie jej w dzieciństwie. Adopcja zasiała w niej lęk i w ten sposób odebrała umiejętność prawidłowego funkcjonowania w dorosłych związkach. A jedynym sposobem, by zostawić za sobą tę dziecięcą traumę i pójść dalej, było znalezienie właściwego „zamknięcia”.

Dla Katriny, rzecz jasna, jedynym właściwym zamknięciem było odnalezienie kobiety, która ją urodziła. Poszukiwaniu naturalnej rodziny został poświęcony cały rozdział w książce oraz prawie cały artykuł w „Hello”. Wynajęła prywatnego detektywa. Jej ludzie przekopali wszelkie akta urodzeń, zgonów i ślubów w całym Stanach Zjednoczonych. Zamieściła ogłoszenia we wszystkich gazetach w całym kraju, od „LA Timesa” i „Herald Tribune” do dwukartkowej, rozdawanej za darmo gazetki w Appalachach. I pomimo całej kasy, jaką zainwestowała w poszukiwania, to nie prywatny detektyw ani nikt z jej otoczenia doprowadził do tego, że odnalazła „mamusię”, ale maciupeńki anons w luizjańskim szmatławcu, gdzie najpoważniejszym zamieszczonym dotychczas artykułem była historia o aligatorze, który zjadł ulubionego pudła pewnej pani.

Jak przystało na gwiazdę Hollywood, spotkanie stało się tematem filmu dokumentalnego, obfitującego w typowo kinowe momenty dramatycznego napięcia. Megagwiazda idzie pewnym krokiem skromną uliczką, którą w całości mogłaby kupić za honorarium za jeden epizod z ostatniego sitcomu, w jakim gra. Cięcie. Na ganku swojego domu stoi, już teraz we Izach, kobieta, która po raz ostatni widziała bohaterkę jako niemowlę, a obok niej dzieci, które urodziła (i nie wyrzekła się ich) po tamtej tragicznej pomyłce.

Tej nocy, spędzonej u Lou, Ruby po raz kolejny rzuciła się zachłannie na te detale, poszukując analogii do własnego życia. Najprawdopodobniej jej matka - tak samo jak Carlene Schmit, matka Katriny Black - była nastolatką, kiedy zaszła w ciążę. Carlene twierdziła, że stało się to za pierwszym razem, kiedy miała do czynienia z mężczyzną - chłopcem, którego dobrze знаła i w którym była zakochana niemal od zawsze. Nazajutrz po tym, jak się kochali, Gary Hobbs poszedł do wojska, a w dwa tygodnie później zginął w wypadku podczas ćwiczeń. Nigdy się nie dowiedział, że Carlene Schmit nosi jego dziecko. Ona także nie wiedziała, aż do chwili, gdy było już za późno, by coś z tym zrobić. Co nie znaczy, że coś by robiła, utrzymywała Carlene. Chciała urodzić dziecko Gary'ego.

Potem jednak nie było tak różowo - pisała autorka artykułu w ociekającym lukrem stylu, charakteryzującym cały tekst. - Tylko niegrzeczne dziewczynki zachodziły w tamtych czasach w ciążę, a niegrzecznej dziewczynce nikt nie chciał pomóc, nawet jeśli nosiła dziecko powszechnie lubianego w mieście chłopca, bohatera, który zginął, pełniąc zaszczytny obowiązek służby ojczyźnie. (Przemilczano fakt, że Gary zginął, używając granatu do gry w bejsbol). Carlene nie miała innego wyjścia niż oddać dziecko, którego tak pragnęła. Spędziły razem tylko dziesięć krótkich minut po męczącym porodzie - po dwunastu godzinach ciężkiej pracy. Gdy Carlene wzięła córeczkę w ramiona, wiedziała od razu, że jej maleństwo jest kimś wyjątkowym, że czeka je olśniewająca przyszłość.

Raczej trudno by było powiedzieć to obecnie o Katrinie Black, pomyślała Ruby cokolwiek cynicznie.

Carlene wiedziała, że nie może stanąć na drodze przeznaczeniu Katriny. Wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie zapewnić jej lekcji tańca, śpiewu, kursów aktorskich, dzięki czemu maleństwo stanie się któregoś dnia gwiazdą. Tak więc zdobyła się na najwyższe poświęcenie. Oddała dziecko do adopcji.

- To najgorszy dzień w moim życiu - przejmowała wątek Carlene. - Czułam się tak, jakby coś ze mnie wyrwano. Byłam pusta w środku. Miałam wrażenie, że ktoś wyłączył dźwięk. Nic nie słyszałam. Nie czułam smaku jedzenia, które mi

przynoszono. Pamiętam, że bez przerwy wpatrywałam się w pomarańczowe zasłony w mojej szpitalnej sali. Dzień przechodził w noc, a ja wciąż patrzyłam w jeden punkt.

Myślałam, że będę płakać przez tydzień - ciągnęła. - Ale miałam przecucie, że to nie jest ostatni raz, kiedy widzę moje dziecko. Wiedziałam, że pewnego dnia do mnie wróci. I wiedziałam, że wtedy ją rozpoznam.

Carlene zdawała się nie przejmować faktem, że mimo iż była wielką fanką mydlanych oper, w których grała Katrina, i oglądała wszystkie jej filmy, w ogóle nie uświadomiła sobie, że to jej córka. Być może korekcja nosa, jakiej poddała się Katrina, sprawiła, że matka zgubiła trop.

Jakkolwiek było, kontynuowała:

- I oto wreszcie znów jesteśmy razem. Wreszcie czuję się kompletna. Moja ukochana córka wróciła do domu.

Ruby popatrzyła na zdjęcia, ilustrujące ośmiostronicowy wywiad, i zrobiło jej się trochę żal dzieci Carlene, które przyszły na świat po Katrinie. Nie były równie wytworne jak ich przyrodnia siostra, to pewne... I choć Katrina zarzekała się, że będzie utrzymywała ze swoim nowo odnalezionym przyrodnim rodzeństwem ścisły kontakt, Ruby powątpiewała w duchu, czy istotnie zabierze ona z ochotą zezowatą siostrę na premierę w Los Angeles.

Zdjęcie Katriny i Carlene wypadło nieco lepiej. Choć ich spotkanie było nagrywane dla przyszłych pokoleń oraz dla całej amerykańskiej widowni, nic nie sugerowało, że ich uśmiechy są wyłącznie na użytek kamery. Patrzyły sobie w oczy, a choć dzieliło je szesnaście lat, jeden uśmiech był lustrzanym odbiciem drugiego. Czarodziejskim lustrzanym odbiciem, pomyślała Ruby.

- Żadna kobieta nie wyrzeka się dziecka bez zastanowienia - konkludowała aktorka. - Rany są zbyt głębokie. Cieszę się, że było mi dane przyczynić się do zagojenia ran nas obu. Chcę zachęcić wszystkich, którzy są w podobnej sytuacji, by zrobili to samo. Życie jest za krótkie, by pozostawać dla siebie obcymi ludźmi.

Artykuł kończył się zdjęciem Katriny i jej nowego narzeczonego, gwiazdora rapu, który skończył niedawno ze swoją gangsterską przeszłością i teraz „rapował dla Boga”. Bez siły, jaką uzyskała dzięki odnalezieniu prawdziwej matki, pisano w tekście, nie potrafiłaby nawiązać prawdziwej, dorosłej relacji, na jaką ze wszech miar zasługuje. Odkrycie prawdziwych okoliczności, towarzyszących adopcji, dały Katrinie poczucie własnej wartości, którego nie znalazłaby jako jedna z najlepiej zarabiających gwiazd Hollywoodu. A poczucie własnej wartości umożliwiło jej wysyłanie właściwych sygnałów, dzięki którym przyciągnęła odpowiednią osobę i znalazła prawdziwą miłość.

Ruby w zamyśleniu odłożyła magazyn. Czy to nie dlatego tak marnie jej idzie? Czy i ona nie nosi w sercu rany tak głębokiej, że wciąż jeszcze rana ta jest otwarta i przyciąga do niej niewłaściwych mężczyzn, tak jak rekiny przyciąga woń krwi, otaczająca zranioną rybę?

Było bardzo późno. Ruby, wciąż lekko pijana, wymyśliła kolejne ogłoszenie na ostatnią stronę „Timesa”.

Ktokolwiek zna miejsce pobytu Géraldine Barker, ostatnio zamieszkałej w Greenwich, proszony jest o kontakt pod nr skrytki pocztowej XXX.

Wykorzystała tekst, jakim posłużyła się Katrina Black, zamieszczając ogłoszenie w każdej gazecie, jaka wychodzi w Stanach. Zmieniła tylko nazwisko matki oraz miejscowość. Następnie zadzwoniła pod czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę telefon biura ogłoszeń „Timesa” i przedyktowała te szesnaście słów, zanim obleciałby ją tchórz albo zanim miałyby czas porządnie się zastanowić.

Czuła się troszkę dziwnie. Tak jakby odrobinę brakowało jej tchu. Jakby była lekko przestraszona. Ale zrobiła to. Tym razem naprawdę to zrobiła. Wreszcie zamieściła ogłoszenie, które może naprawdę odmienić jej życie.

ROZDZIAŁ 19

Cindy - zawołał Martin - chyba nie zamierzasz na serio puszczać tego chłamu? Nie ma mowy, żeby coś ze mnie było, jeśli w tle będzie lecieć muzyczka w wykonaniu tych pedałów.

- Milczeć, niewolniku!

- Co?

- Milczeć, powiedziałam!

W drzwiach znowu ukazała się Cindy. Nie była już na golasa, o nie. Miała na sobie czarną maskę kota i także bikini ze skóry. W prawej ręce trzymała długi skórzany bicz. W lewej - wielki, purpurowy wibrator. Przez szczeliny w miseczkach stanika wyglądały jej brodawki. Martin, w pierwszym odruchu, wybuchnął śmiechem.

- Zamknij się! - warknęła Cindy, wzmacniając polecenie trzaśnięciem z bicza.
- Jesteś teraz w moim królestwie. To ja decyduję, czego będziemy słuchać. I ja decyduję o tym, co zrobię z twoim nędznym ciałem, począwszy od tej chwili, aż do...

- Nędznym? - obruszył się Martin. Wiele obelg słyszał w czasach, gdy na początku swojej kariery pracował jako sprzedawca przez telefon, ale nikt nigdy nie nazwał go nędznym! To było nie fair. Prawdę mówiąc, uważał, że daleko mu do stanu, który można by nazwać wynędznieniem, nawet ostatnio zaczął się zastanawiać, czyby nie spróbować diety slimfast.

- Gram określoną rolę - wyjaśniła cierpliwie Cindy. - Tak czy owak, dość tego stawiania się - przełączyła się na styl dominacji. - Masz śpiewać razem z Markiem i Robbiem. Pilnuj się, żeby nie fałszować, bo będę musiała użyć bata.

- Żartujesz.

Odpowiedzią było trzaśnięcie z bicza. Najwyraźniej nie żartowała.

I stało się - Martin śpiewał razem z Take That Relight My Fire, do wtóru Lulu, Cindy zaś, w swoim skórzanym bikini, wyginała się przed nim na marmurowej posadzce, przybierając wyzywające pozy, wydymając wargi i z rzadka tylko przerywając delikatne wodzenie koniuszkiem bicza po jego gołym ptaszku czy przykładanie mu wibratora do rzepki kolanowej.

- Wcale ci nie staje! - powiedziała oskarżycielsko w jakimś momencie.

- Będę się starał - obiecał. Ale nie tak wyobrażał sobie finał tego wieczoru... Nie potrafił powiedzieć, czy było to doznanie erotyczne, czy po prostu komiczne jak cholera, kiedy Cindy odchyłała się do tyłu, dając mu pełen prospekt swoich pozbawionych krocza skórzanych majtek. Kiedy zagapił się na ten spektakl i przestał śpiewać, zerwała się na nogi i zaczęła maszerować do taktu, żeby mu

pokazać, jakie to ważne, by nie przestawał. Okazało się poza tym, że nastawiła Relight My Fire na powtarzanie, tak że w kółko leciała ta sama przeklęta piosneczka.

Po szóstym odsłuchaniu upiornego utworu Martin zdecydował, że uniemożliwia mu on cieszenie się tym, co skądinąd; mogło być fantastycznym, niepowtarzalnym doświadczeniem, i odważył się spytać Cindy, czy nie mogliby przetrząść się na coś innego. Może Want You Back, na przykład? Była to jedyna piosenka Take That, jaką znał.

- Albo może byś mi tak odpięła jedną rękę?

- Dostaniesz nagrodę, kiedy ja o tym zdecyduję! - brzmiała jej odpowiedź.

Przez chwilę patrzył, jak sunie, kręcąc biodrami, przez całą długość łazienki, by obok otwartych drzwi przybrać kolejną pozę.

- Proszę - spróbował jeszcze raz. - Nadgarstki mnie boją.

- Bezcelność! - krzyknęła Cindy. - Muszę cię za to ukarać. Tym razem odkręciła prysznic. Nagły, obfity strumień wody,

ale na szczęście niezbyt zimny, był szokiem. Niemniej zapal Martina ostatecznie zgasł na amen. Na okragło Take That. Ledwie letni prysznic. I powarkująca na niego, porąbana dziewczucha, szastająca się po łazience w czymś, co, mówiąc całkiem szczerze, coraz mniej przypominało kostium sadystki, a coraz bardziej wyglądało tak, jakby należało do pudła z Village 's People.

Szlag by to trafił, pomyślał Martin. Żeby choć przynajmniej palił się do barabara...

- Cindy - powiedział zdecydowanie. - W tej chwili masz mnie odkuć.

- Nigdy! - prychnęła, pełnąc po posadzce ruchem, który w jej mniemaniu, jak mógł się jedynie domyślać Martin, miał przypominać sposób poruszania się pantery.

- Mam tego dość, Cindy.

- Ale ja jeszcze nie skończyłam!

- Muszę iść do domu - spróbował postawić tym razem na współczucie. - Moja siostra wyjechała na urlop, a ja miałem się opiekować jej kotkami. Zapomniałem je nakarmić przed wyjściem.

Cindy bynajmniej to nie obeszło. Podkręciła głoś w odtwarzaczu i wróciła do łazienki na wielki finał Lulu.

- Wypuść mnie! - ryknął Martin.

- Relight my fi-i-i-i-i-rel

Cindy zaczęła maszerować po łazience dziwnym, niby-defiladowym krokiem gurlaski, wyrzucając nogi w górę nieco wyżej niż hitlerowcy, ale nie tak wysoko jak w Folies-Bergere. Dostatecznie jednak wysoko, by straciła równowagę.

Wyrznuwszy głową w marmurową posadzkę, aż huknęło, nakryła się nogami i padła bez zmysłów na dywanik łazienkowy od Ralpa Laurena.

- Cindy! - wrzasnął Martin. - Cindy! Nic ci nie jest? Przykuty do prysznic, nie widział dokładnie, jak upadła. - Cindy?

Nie odpowiadała. - Cindy!!! Nie żyje?

Zaczął rozpaczliwie wykręcać ręce, usiłując uwolnić się z obrzydliwie mokrych więzów. Wciąż leciało Take That, a z prysznic wciąż lało mu się na głowę, niczym w jakiejś chińskiej wodnej torturze.

- Cindy!

Wykręciwszy się w jej stronę najdalej jak potrafił, na ile pozwalały mu kajdanki, mógł zobaczyć raptem jej stopy. Nie było żadnych oznak, że ma zamiar się podnieść.

- Cindy! To w ogóle nie jest śmieszne. Wstawaj! Żadnej reakcji.

Nie żyje, pomyślał. Tak się kończą tego typu rzeczy. Zabawy erotyczne nie wychodzą na zdrowie. Kto uwierzy, że jej nie zamordował? Martin w panice zaczerpnął parę głębokich oddechów, choć było jasne jak słońce, że nie mógł jej podstawić nogi, stojąc tam, gdzie stał, z rękami wykręconymi do tyłu i przykutymi do szyny w kabinie prysznicowej.

- Cindy! - ryknął. Ledwie było słyhać jego głos poprzez crescendo Lulu. - Cindy! Obudź się, dziewczyno!

W tej chwili nie wydawało się już takim dobrodziejstwem, że nikogo nie ma w domu. O której to, mówiła, mają wrócić jej rodzice? Jeżeli nie będzie ich do jutra wieczorem, pomyślał z przerażeniem, wówczas i on może umrzeć. Na zapalenie płuc...

Gorąca woda się skończyła i strumień zaczynał być zimny jak cholera.

Martin jęknął. Spróbował przykucnąć tak daleko, jak tylko zdołał. Niemal widział twarz matki, kiedy przynoszą jej nowinę.

- Zabawy erotyczne, pani Ashcroft. Padł ofiarą własnej rozwiązłości.

To upokorzenie może zabić i matkę.

Choć wątpliwe, czy byłoby o wiele lepiej, gdyby on przeżył tę noc, a Cindy nie. Musiałoby dojść do śledztwa w celu ustalenia przyczyny śmierci. Musiałby zeznawać przed sądem, jak A doszło do tego, że stał w łazience dla gości pod prysznicem, przykuty do niego kajdankami, z leżącym na okrągło Relight my Fire zespołu Take That w tle, a na podłodze leżała martwa dziewczyna z wyższych sfer ubrana w skórzane bikini. A przedtem będzie musiał wyjaśnić, jak ją poznał!

- Cindy! - wrzasnął jeszcze raz. Przez krótki moment, zanim piosenka po zakończeniu nie zaczęła lecieć ponownie, jego głos rozbrzmiał rozpaczliwym

echem w wyłożonym marmurem pomieszczeniu. Spróbował chlapnąć w kierunku Cindy nieco wody z wanny, w nadziei, że ją to ocuci, jeśli tylko zemdląca. Kiedy nadal się nie poruszała, zaczął się modlić.

Od bardzo dawna się już nie modlił. Od czasu, kiedy Anglia grała z Niemcami o Puchar Świata. Wtedy nie podziałało. Tym razem jednak modlił się znacznie żarliwiej.

- Błagam, o Boże - szeptał. - Widzisz, znam tę dziewczynę od niedawna i wiem, że nie wygląda zbyt dobrze ten skórzany kostium i bat, i w ogóle to wszystko, ale wydaje mi się, że w gruncie rzeczy, to nienajgorsza dziewczyna. Troszkę dziwna, być może, ale kto nie zachowuje się dziwnie w tych czasach? Sądzę, że w głębi serca jest niezłą dziewczyną. Ma tylko dwadzieścia siedem lat... Nie zasłużyła, żeby umierać. Spraw, żeby żyła, o Boże. Wierzę w Ciebie, Boże, naprawdę. Spraw, żeby Cindy żyła. Wiem, że możesz to dla mnie zrobić. Błagam, ześlij mi jakiś znak...

Woda w prysznicu zrobiła się lodowata. Relight My Fire zaczęło lecieć już po raz piąty, odkąd Cindy się pośliznęła, i nadal nie dostrzegał żadnych oznak, by miała ożyć. Martin gotów był już się poddać i zapaść na zapalenie płuc. Jeszcze tylko po raz ostatni zaniósł parę słów błagalnej modlitwy.

- Wiem, Panie, że możesz ją ocalić. Ześlij mi tylko jakiś znak.

Cisza. (Jeśli nie liczyć Lulu).

- O Boże - załkał Martin. - O Boże, Boże, Boże... Nagle dało się słyszeć dreptanie drobnych stopek. A raczej, dokładniej mówiąc, drobnych łapek, stąpających po marmurowej posadzce. Martin otworzył oczy, zaciśnięte na czas modlitwy, i ujrzał stojącego w drzwiach łazienki małego białego pieska. Przechyliwszy głowę, patrzył na niego ze zdziwieniem. Nie, pomyślał Martin, on patrzył na niego tak, jakby wiedział... Czyżby ten mały biały terier został zesłany przez Boga?

Merdając białym ogonkiem, Bedlington terier - podobny bardziej do owieczki niż do psa - podreptał truchcikiem po posadzce ku miejscu, w którym leżało nieruchome ciało Cindy.

- Dzięki Ci, Boże! - zawołał Martin. - To znak. Liź ją po twarzy, piesku! Liź ją, dopóki się nie ocknie! Albo zaszczekaj! - zachęcał maleńkiego stworka. - Wybiegnij na ulicę i szczekaj, dopóki ktoś nie przyjdzie zobaczyć, co się stało. No, pieseczku! Szczekaj! Zrób to dla mnie!

Piesek znów przekrzywił głowę, jak gdyby zastanawiając się, jakie wybrać rozwiązanie.

- No, mały! - ponaglił go Martin. - Zrób tak jak Lassie!

I jakby zrozumiał, o co chodzi, terier rzucił się do holu. Martin wznosił oczy ku niebu.

- Dzięki Ci, Boże. Dzięki Ci. Dzięki, że zesłałeś swojego niebieskiego anioła pod postacią psa, żeby ocalić nieszczęsną grzesznicę. Dzięki Ci, Panie. Gdybyś jeszcze pomógł mu znaleźć jakiegoś przechodnia i sprowadził ratunek dla nas wszystkich...

Ratunek nadszedł szybciej, niż byłby w stanie go sprowadzić nawet obdarzony nadprzyrodzoną mocą posłaniec. Kiedy w parę chwil później piesek ponownie ukazał się w drzwiach, znajdował się w ramionach swojej właścicielki. Właścicielka psa tak, jakby kogoś mu przypominała, ale nie był to raczej moment na konwersację typu: „Chyba się już kiedyś spotkaliśmy”.

- Och, dziękuję! Dziękuję! - zawołał Martin. - Chyba uderzyła się w głowę. Czy może pani wezwać pogotowie? Nie wiem, jak to się stało, ale musimy odstawić ją do szpitala, zanim wrócą do domu jej rodzice...

- To my jesteśmy jej rodzicami - powiedziała dama, ściskając w objęciach pieska. No jasne, że to oni... Jak inaczej mogliby wejść do domu?

W tym momencie obok kobiety pojawił się mąż. On także wyglądał dziwnie znajomo, gdy wpatrywał się ze zgrozą w nieznanego golasa, stojącego pod prysznicem w jego łazience.

- Co to ma... - zaczął.

- Na miłość boską - krzyknęła matka Cindy. - Później się nim zajmiemy. Podnieśmy ją z tej podłogi.

Wspólnymi siłami zdołali dźwignąć bezwładne ciało Cindy do pozycji półsiedzącej. Piesek cały czas czekał cienko „dziaf, dziaf. Zaledwie ją podnieśli, Cindy zaczęła jęczeć. Nie wyglądało to dobrze... Na czole miała guza wielkości piłeczki golfowej. No, ale przynajmniej żyła!

Matka Cindy zadzwoniła z komórki po pogotowie, a ojciec w tym czasie wachlował ją kocią maską, próbując ocucić.

- Obudź się, kochanie! - nawoływał czule.

Martin tymczasem wciąż siedział pod natryskiem, z którego lały się kaskady lodowatej wody. Nikomu też nie przyszło do głowy, by wyłączyć Take That.

Wreszcie, zyskawszy pewność, że pogotowie jest już w drodze, matka Cindy zakręciła prysznic. Jednak aż do chwili, gdy przybył ambulans, by przewieźć Cindy do szpitala, nigdzie nie można było znaleźć kluczyka do kajdanek. Mając do dyspozycji jedynie ręcznik, by osłonić swą nagość, Martin musiał czekać w wannie na przyjazd straży pożarnej, wyposażonej w narzędzia do cięcia metalu. Tylko niewielki ręcznik do wycierania rąk, podczas gdy statua w rogu była

obwieszona dostatecznie wieloma puchatymi kąpielowymi prześcieradłami, by ogrzać całą wyprawę antarktyczną!

Strażaków nie było całe wieki ze względu na pożar hurtowni na Brent Cross. A kiedy wreszcie przyjechali, musieli poczekać na hydraulika, żeby zamknął dopływ wody, bo inaczej zalałoby cały dom, kiedy przecięliby rurę w prysznicu.

Martin został ostatecznie uwolniony z więzów po pięciu godzinach od chwili, gdy Cindy wyrznęła o podłogę. Do tego czasu zdążyło go zobaczyć w całej jego nagiej (i drżącej jak listek osiki, z racji lodowatej wody) okazałości, oprócz dziewczyny, dla której się rozebrał, łącznie piętnaście osób. Nie trzeba było, rzecz jasna, aż siedmiu strażaków, żeby go wyswobodzić, ale dowódca uznał, że w akcji muszą uczestniczyć wszyscy chłopcy, na wypadek, gdyby coś podobnego przytrafiło im się w przyszłości.

- To dla was doskonały trening - powiedział. Martin podejrzewał, że taki widok stanowił dla nich po prostu wytchnienie po całonocnej ciężkiej walce z ogniem... Oprócz tego było trzech hydraulików, trójosobowa załoga ambulansu, który zawiózł Cindy na ostry dyżur, dwoje mało przyjaznych rodziców Cindy oraz pies.

Rozumie się samo przez się, że Martin marzył tylko o tym, by wyśliznąć się w noc i zapomnieć, że on i Cindy Daniels kiedykolwiek się spotkali. Niestety, nie było to chyba możliwe. Kiedy hydraulicy i strażacy wreszcie sobie poszli i Martin, wciąż drżący, znów miał na sobie ubranie, matka Cindy lodowatym tonem poinformowała go, że będzie musiał pozostać w ich domu, dopóki nie przyjedzie prawnik.

- Prawnik? - wykrzyknął Martin. - Ale przecież nic się jej nie stało, prawda? To znaczy, nie zanoszą się na to, żeby miała umrzeć.

- Z Cindy wszystko będzie w porządku - rzekła matka. - Ma lekkie wstrząśnienie mózgu i do jutra zostanie w szpitalu. Mimo to chcielibyśmy, żeby pan to podpisał.

- Co podpisał?

Przybyły prawnik zamasztył gestem wyciągnął z dyplomacji dziesięciostronicową umowę.

- Nie mam pojęcia, kim pan jest, młody człowieku - powiedziała matka Cindy. - I bynajmniej mnie to nie interesuje. Jestem jednak pewna, że pan wie o mnie wszystko.

Sposób, w jaki wypowiedziała to zdanie, sprawił, że Martin momentalnie zaskoczył. Ta szokująca ruda czupryna. Te błękitne oczy o błysku stali. Matka Cindy to była Petunia Daniels, aktorka. Co oznaczało, że jej ojcem jest Benjamin Daniels, najlepszy Hamlet od czasów Laurence'a OHviera. Gwiazda Royal

Shakespeare Company, czterokrotnie nominowany do Oskara. Nic dziwnego, że sprawiali wrażenie, jakby już ich gdzieś widział... I nic dziwnego, że żądali od niego podpisania dokumentu, stwierdzającego, że nawet gdyby naczelny „News of the World” wyrywał mu paznokcie u nóg zardzewiałymi obcęgi, nie powie ani słowa na temat tego, co zaszło tej nocy w ich domu.

Martin zaczął czytać umowę, ale był zanadto zmęczony i zziębnięty, żeby się skoncentrować. Pragnął tylko pójść do domu. Myśl aby sprzedać szmatławcom tę historię nawet nie przyszła mu do głowy. Marzył o gorącej kąpieli i ubraniu się w coś cieplejszego.

- Pani Daniels - zaczął - tak naprawdę nie ma potrzeby, żebym to podpisywał. Nie mam zamiaru nikomu nic mówić. To, co się wydarzyło tej nocy, jest dla mnie tak samo krępujące, jak...

- Biorąc pod uwagę pańskie skrepowanie - rzekła aktorka, otwierając książeczkę czekową - otrzyma pan od nas dziesięć tysięcy funtów. Nazwisko?

- Hm... Martin... Martin Ashcroft. A-s-h... Ale chyba nie zamierza pani naprawdę...

- No więc, panie Ashcroft - przerwała mu Petunia - ja składam swój podpis na czeku, a pan swój na umowie i mam nadzieję, że się więcej nie zobaczymy.

I wręczyła mu czek.

Trochę bardziej niż z lekka oszołomiony, Martin skrobął swoje nazwisko w wykropkowanym miejscu na dole strony. Petunia Daniels wyprowadziła go tylnymi drzwiami i życzyła mu „miłego dnia”. Nawet nie zaproponowała, by skorzystał z telefonu i zamówił sobie taksówkę.

Dopiero w domu Martin ponownie wyciągnął czek i przyjrzał mu się dokładniej. Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie pójść do Lou i nie powiedzieć dziewczynom, jaka dziwna noc mu się przytrafiła, ale zdecydował, że zostanie w domu. Umowa sprawiała wrażenie dość rygorystycznej, a wiedział, że obie przyjaciółki mają wśród swoich znajomych pozbawione skrupułów dziennikarki, które byłyby szczęśliwe, mogąc podzielić się jego sekretem z „News of the World”. Jeśli istotnie jakiś sekret, którym można by się podzielić istniał...

To było trochę tak, jakby się spodziewał, że czek, a właściwie cały wieczór spędzony w towarzystwie Cindy, okaże się wytworem jego nadmiernie pobudzonej wyobraźni. Ale na czeku widniała data, kwota (napisana cyframi i słownie) oraz podpis Petunii Daniels. To był zwyczajny czek. Nic nie wskazywało, by Petunia sobie z niego zadrwiła.

Dziesięć tysięcy funtów... Martin pomyślał o swoim koncie bankowym. Niedawno dostał wypłatę. Konto nie świeciło pustką. Ale nie zanosilo się, żeby

pod koniec miesiąca znowu zostało zasilone. A może i pod koniec następnego, kto wie... Handlowiec z jego doświadczeniem nie powinien mieć specjalnych kłopotów ze znalezieniem nowego zatrudnienia. Ale przy założeniu, że Barry Parsons nie obsmarował go już we wszystkich londyńskich gazetach.

Czek, który trzymał w ręce, wystarczał, by wyrównać stracone przez niego pobory aż do Bożego Narodzenia. A mógłby żyć za te dziesięć tysięcy funtów znacznie dłużej, gdyby nieco mniej szastał pieniędzmi... To na ile by mu wtedy wystarczyło? Na sześć miesięcy? Na dwanaście? A w Indiach mógłby pożyczyć za dziesięć tysięcy funtów przez parę lat. Jeden facet z college'u mieszkał w Goa od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego, bez żadnych dostrzegalnych źródeł zarobku.

Nie chciało mu się znowu iść do biura. Nie do biura International Magazines. Do żadnego biura. Chciał pisać swoją powieść. A czek, który miał w kieszeni, mógł się stać jego przepustką do twórczej wolności. Jego stypendium. Szansą, żeby skończyć i wydać książkę i już nigdy w życiu nie musieć odpowiadać na pytania jakiegoś łysiejącego dupka w rodzaju Barry'ego Parsonsa.

Z chwili na chwilę coraz bardziej podekscytowany, Martin uznał, że za pośrednictwem niekonwencjonalnego spotkania z Petunią Daniels los dał mu potężnego kopniaka w kierunku zrealizowania własnych ambicji. Pocałował czek. To się nazywa szczęście w nieszczęściu... Poklepał się po kieszeni, w której miał jedyną istniejącą dyskietkę z kopią swojej powieści. Swojej przepustki do nieśmiertelności. Swego przeznaczenia.

Kieszeń była pusta.

ROZDZIAŁ 20

Lou nigdy w życiu nie dostała bukietu kwiatów. Jasne, trafiały się jej od czasu do czasu jakieś goździki kupione na stacji benzynowej, ale nigdy przedtem nie zdarzyło się, by otworzyła drzwi i ujrzała za nimi chłopca z Interflory, słaniającego się pod ciężarem wiąchy o objętości równej chyba połowie kwiatowego show w Chelsea. W pierwszym odruchu pomyślała, że pomylił numery. Mieszkająca piętro niżej dziewczyna o liczku niczym księżyc w pełni, która wkładała perły nawet wtedy, kiedy szła rano pobiegać, zawsze dostawała kwiaty od swojego chłopaka o takiej samej ciastowatej prezencji. To na pewno dla niej... Ale nie, kwiaty były naprawdę dla Lou.

Zagubiony ślad, odnalezione oczarowanie - napisał Andrew na dołączonej do bukietu karteczce. Lou nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, choć jedna z lili już sypała żółtym, niemożliwym do wywabienia pyłkiem na jej niepokalanie czysty biały T-shirt.

- To na naszą drugą rocznicę - wyjaśnił, kiedy zadzwoniła, żeby mu podziękować. - Rozumiesz, dwa tygodnie od naszej pierwszej właściwej randki.

- Jaki ty jesteś romantyczny - powiedziała Lou.

Nazajutrz po spotkaniu w Suave Andrew zadzwonił i zaprosił Lou na herbatę. Dzień był szary i pochmurny - brytyjskie lato, jak by nie było - umówili się więc w ekspozycji egipskiej British Museum. Kiedy Lou tam dotarła, spóźniona o pięć minut, Andrew już stał przed wielką, utraconą pięścią, która musiała być kiedyś częścią gigantycznego posągu potężnego faraona. Nie dostrzegł, że się zbliża, postanowiła więc ukryć się za szeregiem kociogłowych bogiń i poobserwować go przez chwilę.

Kiedy tak patrzyła, przypomniało się jej, co mówiła kiedyś matka o tym, jak poznali się z ojcem. „Podobało mi się, jak opiera się o latarnię” - wzdychała pani Capshaw, ilekroć wspominała ich pierwszą randkę. I Lou też podobał się sposób, w jaki Andrew, czekając na nią, przyglądał się gigantycznej pięści faraona. Tak po prostu, na luzie. Chodził sobie i popatrywał. Żadnych nerwów, żadnego napięcia. Dobrze się czuje we własnym

ciele, zdecydowała Lou. To było miłe. Jakaś nastolatka, szkicuująca egipskie eksponaty na potrzeby szkolnego projektu, rzuciła mu pełne aprobaty spojrzenie. Andrew w odpowiedzi też się uśmiechnął, ale nie obleśnie. Odstąpił nieco na bok, tak żeby jakiś tatuś mógł podejść ze swoim małym synkiem bliżej do posągu. Zaśmiał się wraz z ojcem, gdy chłopczyk też zacisnął piąstkę, chyba ze sto razy mniejszą od tej kamiennej. Dwaj mężczyźni zagadali coś do siebie z rozbawieniem.

Lou, obserwując go, pokiwała głową. Andrew sprawiał wrażenie fantastycznej partii. Przystojny, towarzyski, z gestem. Modnie ubrany. Życzliwy, miły. I... i ten kształtny, napięty tyłek. Dostawał ptaka w każdym kwadraciku na skali idealnego chłopaka.

- Lou! - Zauważy ją. - Właśnie ocenialiśmy, jakie szanse miałby ten facet z Mikiem Tysonem. - Wskazał głową granitową rękę, po czym ujął delikatną rączkę Lou i pocałował ją. - Cześć - powiedział zniżonym tonem.

Lou pomyślała zaś, a nuż możliwa jest miłość od drugiego wejrzenia.

Od tej pory, zdawało się, spędzali ze sobą każdą wolną chwilę. Andrew pracował w internetowej agencji sprzedaży biletów i zawsze był w stanie załatwić w ostatniej chwili zniżkowe miejsca na każdy spektakl na East Endzie. Kiedy poszli na Pułapkę na myszy, załatwił łożę. Przyniósł szampana i drogie belgijskie czekoladki. Miał nawet herbacianą różę dla Lou do butonierki w jej dżinsowej kurtce...

Był doprawdy idealnym partnerem. I wciąż zdumiewał się nad okolicznościami ich pierwszego spotkania. Jaka była szansa, że odpowiadając na anons dla kawału, od razu tak przypadną sobie do gustu z ofiarą jego oszustwa? Chyba nawet mniejsza niż jeden na siedem milionów, że Lou odnajdzie człowieka, który rzeczywiście wpadł jej wtedy w oko.

- Zresztą, kto wie - powiedział Andrew - twój nieznajomy ideał mógłby okazać się jakimś chłystkiem. Pewnie ma dziewczynę. Albo żonę. A nawet jeśli nie ma, to pewnie byś go znienawidziła, zaledwie otworzyłyby usta. Dużo lepiej ci ze mną - dodał z uroczym chłopięcym uśmiechem.

I Lou poczuła, że musi się z nim zgodzić.

Minął już miesiąc od tamtego przypadkowego spotkania w Nothern Line. Nie wiadomo nawet, czy rozpoznałaby teraz swojego nieznajomego... To była chwila szaleństwa, nic więcej.

- Zwariowałaś - powiedział Martin, kiedy Ruby oznajmiła, że chce zamieścić następny anons. - Świat ogłoszeń matrymonialnych składa się przede wszystkim z dziwadła.

- Plus jeden sympatyczny mężczyzna z porsche, który chciał się ze mną spotkać! - przypomniała mu Ruby. Kiedy po upiornej randce dla trojga dowiedziała się, że jeden z facetów, którzy odpowiedzieli na jej ogłoszenie, miał porsche, wpadła w szal. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że umówiłeś mnie z jakimś typem, który dzieli cenę pieczywa czosnkowego na pół, chociaż od początku wiedziałeś, że jest do wzięcia facet, który jeździ własnym porsche!

- Nie podobała mi się jego wiadomość głosowa. Co za dureń opowiada o swojej bryce w ciągu pierwszych dwóch sekund wiadomości, w której ma scharakteryzować siebie samego?

- Taki, który w każdym razie przynajmniej jeździ swoim samochodem - odpaliła Ruby. - A jedyny związek z porche, jaki może mieć ten idiota Robin, to dorabianie do niego zapasowego kompletu kluczyków. Poza tym nie rozumiem, dlaczego tak marnie oceniasz cały system, Mart. Przecież to ty spędziłeś noc na miłosnym szaleństwie.

- No.

Martin nie wtajemniczył żadnej z przyjaciółek w prawdziwe okoliczności swojej hulanki. W tamten piątek przeczytał umowę sporządzoną przez Petunię Daniels chyba z tuzin razy. Wynikało z niej, że jeśli choćby przez sen wypnie mu się nazwisko Daniels, natychmiast rzuci się na niego prawnik i rozwali mu łeb. Choć bardzo lubił Lou i Ruby, bał się, że może dojść do procesu wielkiego jak Nowy Jork, gdyby prawda wyszła na jaw, co byłoby nieuchronną konsekwencją opowiedzenia o wszystkim którejkolwiek z dwu największych londyńskich plotkarek.

Nie powiedział też żadnej z dziewczyn o zgubionej dyskietce ani o powieści, która przepadła na wieki. Sama myśl o tym bolała. Nie chciał, aby wyszukiwały rozwiązania czegoś, co wydawało się problemem nie do rozwiązania. Był mężczyzną do szpiku kości - wołał cierpieć w milczeniu.

- Ale, ale, a gdzie masz fuchę w tym tygodniu? - spytała Ruby.

- Robię sondaż klientów dla Mc Donalda - powiedział obojętnie.

Był w głębokiej depresji. I to takiej, która prawdopodobnie znacznie by złagodniała, gdyby pojechał na długie wakacje, warte w przybliżeniu dziesięć tysięcy funtów. Cóż - w dwa tygodnie po incydencie z kajdankami i Take That wystawiony przez Petunię Dalniels czek wciąż nie został zamieniony na gotówkę. .. Aczkolwiek raz już o mało do tego nie doszło.

Dostał wtedy wyciąg z konta i był dość mile zaskoczony na widok trzycyfrowej liczby, dopóki nie zobaczył obok małej literki „d”. Śmieszne - mieć w kieszeni czek na dziesięć tysięcy funtów i minus dziewięćset funtów na koncie! Wypełnił więc odpowiednie rubryki i stanął w kolejce do kas. Czekał, zastanawiał się, czy kasjerka, która będzie go obsługiwać, zdziwi się na widok nazwiska na czeku. Co sobie pomyśli o tym, jak stał się posiadaczem czeku na dziesięć tysięcy funtów, podpisanego przez jedną z najgłośniejszych aktorek brytyjskich? Wydawało mu się, że stojąca za nim starsza dama usiłuje zajrzeć mu przez ramię. Czy każdy się domyśla, że to odprawa?

Nie dane mu było znaleźć tamtego ranka odpowiedzi na to pytanie. Starszy gość przed Martinem skończył właśnie przeliczanie swoich dwupensówek, które wyjmował ze słoika po dżemie i ustawiał w zgrabne miniaturowe kolumnienki, gdy wtem spokojną atmosferę sali bankowej rozdarł dźwięk alarmu. W pierwszej chwili zarówno klienci, jak i kasjerzy podnieśli głowy w poszukiwaniu źródła hałasu z takim krowim spokojem, że Martinowi przypomniała się historia opowiadająca o tym, jak było pasące się na polach z niewzruszonym spokojem przyjęło przelot bojowych odrzutowców, przemieszczających się na niewielkiej wysokości.

Próba alarmów. Takie było natychmiastowe założenie. Dopiero po upływie prawie półtorej minuty, gdy alarm nie przestawał wyć, a kierowniczka banku z krzykiem wbiegła do sali, ten i ów pomyślał o ewakuacji.

- Wychodzić! Wychodzić! - krzyczała kierowniczka. - Wszyscy wychodzić!

Przekonanie ludzi zajęło parę chwil. Wciąż nie było choćby śladu dymu, ale zraszacze na suficie już zaczęły emitować nie taki znów łagodny deszczyk. Kiedy duża kropla spadła na odcinek dla odbiorcy i rozmyła staranny podpis Martina, i on zdecydował, że pora się wynosić. Na zewnątrz, tuż przy chodniku, hamował już z piskiem opon wóz strażacki. Trzech strażaków w jaskrawożółtych hełmach rozpychało gapiów, liczących, że zobaczą prawdziwy pożar.

Kierowniczka stała wsparta o skrzynkę na listy, oddychając głęboko. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że sytuacja rzeczywiście musi być bardzo poważna.

- Z drogi, ludzie - powiedział mężczyzna, prowadzący wóz strażacki. Gapie cofnęli się o dwa kroki, odczekali trzydzieści sekund i znowu postąpili o trzy kroki do przodu. Zraszacze produkowały teraz wewnątrz budynku coś w rodzaju monsunu. Niewielka była nadzieja, że ten konkretny oddział banku HSBC zostanie ponownie otwarty dziś po południu.

- Szlag by to.

Martin westchnął i włożył czek z powrotem do torby. Petunia Daniels nie musi się dziś martwić o stan swojego konta. Debet jej nie grozi. Ani dziś, ani jutro... On po prostu nie potrafi spieniężyć tego czeku. Ma swoją dumę. Ma swoją uczciwość. Ma... nie ma nic.

Ruby nie dostrzegała depresji przyjaciela. Miała misję do spełnienia: całą jej uwagę pochłaniał gargantuiczny wysiłek, by udoskonalić swoje życie osobiste. Do niczego nie przykładła się z taką determinacją i uporem od czasu, gdy w wieku jedenastu lat ona i Mary Jeapes przeprowadziły akcję pod hasłem: „Muszę, muszę poprawić swój biust”, ćwicząc pięćdziesiąt razy na dzień przez dwa tygodnie. Teraz musiała znaleźć właściciela porsche i umówić się z nim na randkę. Z perspektywą na przyjaźń, a być może i małżeństwo...

W pracy nadal było upiornie. Dzięki Bogu, od dwu tygodni nie musiała przynajmniej widywać Fletta. Ale tylko dlatego, że pojechał na urlop. Kiedy, nie wiedziała. Wiedziała jednak, że dwulicowa Imogen w tajemniczy sposób wzięła dwa tygodnie urlopu dokładnie w tym samym czasie.

Widmo letniej imprezy integracyjnej wyłaniało się przed nią niczym widmo rozstrzygającego meczu. W tej chwili to Imogen zdecydowanie była faworytką do zwycięstwa i tytułu Królowej Hollingworth. Miała swojego mężczyznę. I na dokładkę będzie też pewnie miała fantastyczną opaleniznę po tych dwu tygodniach, obojętne, gdzie je spędza.

Ruby zwierzyła się ze swojej kampanii ogłoszeniowej Liz. Ta sugerowała, że dużo więcej dałaby jej joga.

- Jakie masz szanse, że ten gość z porsche zadzwoni jeszcze raz? - spytała. - Potrzebny ci jest spokój wewnętrzny, Ruby, a nie chłopak.

- Chłopak z porsche da mi spokój wewnętrzny, którego potrzebuję - wyjaśniła Ruby, po czym zabrała Liz egzemplarz „Sunday Timesa” i wywaliła ją z pokoju, żeby spokojnie zadzwonić do redakcji i przedyktować treść ogłoszenia: „Robert z porsche, który zostawił wiadomość dla Ruby, proszony jest, by zadzwonił jeszcze raz. Zgubiłam twój telefon”.

- To nie zadziała - powiedziała z przekonaniem Liz, gdy po południu spotkały się ponownie przy fotokopiarce.

A jednak - o Boże - zadziałało. Zadziałało, jasny gwint! I jakimś cudem Robert z porsche wciąż nie miał dziewczyny i wciąż „jak najchętniej” gotów był się spotkać, jak wyraził się w wiadomości, którą pozostawił w poczcie głosowej już tego dnia, kiedy ogłoszenie się ukazało! Ruby nie zwlekała z zaaranżowaniem randki.

- Jak cię rozpoznam? - spytała.

- Będę trzymał tuzin czerwonych róż - odparł. - A jak ja ciebie rozpoznam? - spytał Robert. - Jak wyglądasz, Ruby? Bo głos masz boski.

Ruby odłożyła słuchawkę, niemal nieprzytomna z wrażenia.

ROZDZIAŁ 21

Nie wolno mi się zanadto ekscytować. Nie wolno mi się zanadto ekscytować. Ruby siłą stłumiła narastającą w żołądku bańkę radosnego podniecenia. To nie może być on... Dlaczego, na Boga, ktoś o takiej prezencji - a zwłaszcza ktoś o takiej prezencji, kto w dodatku jeździ porsche - miałby interesować się ogłoszeniami w rubryce samotnych serc? A jednak był tam. Dokładnie w miejscu, w którym się umówili, i trzymał w ręce stosowny bukiet róż.

- Robert? - wyjąkała.

Robert odwrócił się niezdecydowanie w jej kierunku, tak jakby skradała się ku niemu odziana w brudne łachmany, bełkocząc: „Nie ma pan jakichś drobnych na zbyciu?”

Uśmiechnęła się najpiękniejszym ze swoich uśmiechów. On jednak patrzył na nią pozbawionym jakichkolwiek emocji wzrokiem, zacisnąwszy wargi o idealnym wykroju w twardą linię. O Boże, pomyślała. A jednak to nie on. A może on, tylko mu się nie podobam. Albo to nie ten, albo udaje, że biorę go za kogoś innego, bo nie jestem taka, jak oczekiwał. Gdzieś tam za rogiem czeka na pewno na mnie inny facet, z grzywką seryjnego mordercy. Facet tak przystojny nie będzie przecież...

- Ruby!

Już prawie odwracała się, by odejść, gdy Robert nagle chwycił jej dłoń i wycisnął na niej głośny pocałunek. Cienka linia zaciśniętych ust zmieniła się w efektowny uśmiech.

- Szklą kontaktowe - wyjaśnił, tłumacząc się ze swojego poprzedniego nieobecnego wyrazu twarzy. - Dopiero się do nich przyzwyczajam.

Ruby zagadała coś ciekawym ze zdenerwowania głosem.

- Jestem trochę za próżny, żeby nosić okulary - dodał z nieśmiałym, ale równocześnie niezwykle pociągającym uśmiechem.

O tak, pomyślała Ruby, skinąwszy bezradnie głową. Szkoda by było chować takie kości policzkowe za parą szkieł.

- A to dla ciebie.

Wręczył jej róże. I choć spodziewała się zobaczyć mężczyznę czekającego na nią z bukietem kwiatów, poczuła niestosowny dreszcz podniecenia. Nie tuzin, tylko całe dwa tuziny róż! I nie jakaś przywiędła, zapakowana w celofan wiącha, którą można kupić w supermarkecie. Róże były owinięte w cudownie delikatną szarą bibułę i związane rafią.

- Możemy iść? - spytał, unosząc zgięte ramię, tak by mogła wsunąć w nie swoje. - Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny jak wilk.

Ruby znów skinęła głową, choć nagle poczuła się zbyt oszołomiona, by jeść. Kiedy torowali sobie drogę poprzez tłum wypełniający Leicester Square, czuła się wręcz fizycznie otwarta, jak rozchylające się pączki róż, które ścisnęła w dłoni. Kiedy skomplementował jej beżowy płaszcz przeciwdeszczowy, kupiony prawie pięć lat temu, miała wrażenie, że urosła o parę centymetrów w ciepłe jego subtelne pochlebstwa. A kiedy powiedział, że zauważył, jak zbliża się w jego kierunku, ale nie ośmielił się przypuszczać, że to dziewczyna, na którą czeka, bo taka mu się wydała olśniewająca, poczuła, że twarz jej promienieje. Odrzuciła włosy takim ruchem, jakby to był wspaniały ogon wyścigowego konia, a nie siano, który ten koń je na śniadanie. Kiedy Robert uśmiechnął się do niej szeroko, wiedziała, że jej oczy płoną niemal takim blaskiem jak jego.

Zanim doszli na miejsce, naliczyła co najmniej z tuzin dziewczyn, które rzuciły jej zazdrosne spojrzenie. Czuła się tak, jakby w ciągu tego dziesięciominutowego spaceru do modnej knajpki o oszczędnym wystroju, gdzie Robert zamówił stolik, zyskała nowy, hollywoodzki image.

Karma istniała. To było właśnie to. Ten wspaniały facet w kosztownej różowej koszuli, która na każdym innym mężczyźnie, mniej przekonanym o swoim nieodpartym zwierzęcym magnetyzmie, wyglądałaby trochę kobieco, był nagrodą Ruby za Johna Fletta, za Dave'a, za dopasowywacza kluczy, Robina, i za każdego wrednego ropucha, jaki pojawił przed nimi w jej życiu. Nie miała wątpliwości, że Robert jest bardziej atrakcyjny niż Robin, ale ukontentowanie Ruby spuchło do rozmiarów średniej wielkości krowy, gdy zdecydowała, że - o tak - Robert jest również znacznie bardziej atrakcyjny od Johna Fletta.

- Jestem prawnikiem, karnistą.

I najwyraźniej o wiele bardziej inteligentny...

- Pozwól, że odsunę ci krzesło.

I o wiele bardziej szarmancki...

- Szampana? Z gestem...

- Tak, poproszę - powiedziała. Tak! Tak, tak, tak!

- No - powiedział w jakiś czas potem. - Wobec tego najgorsze za nami. Cały dzień w pracy bałem się, że możemy nie spełniać nawzajem swoich oczekiwań. A ty?

Ruby uniosła brwi, zaskoczona. Podświadomie wydawało jej się niemożliwe, by taki mężczyzna nie dorastał do czyichkolwiek najbardziej wygórowanych wymagań.

- Wiesz - ciągnął Robert - podobno my, ludzkie istoty, potrafimy zdecydować, czy ktoś się nam podoba, w ciągu jednej pięćdziesiątej sekundy. Jednej pięćdziesiątej! Możesz sobie wyobrazić, jak krótki jest to moment? Cokolwiek

by się mówiło o pierwszym wrażeniu i o tym, że nie ocenia się książki po okładce, nie można się cofnąć i zmienić pierwotnych, instynktownych uczuć, jakie powstają w rezultacie pierwszego kontaktu z daną osobą. Uczucie miłości może rosnąć z biegiem czasu, rzecz jasna...

Ruby poczuła, że nie jest w stanie przełknąć porcji crème brûlée, jaką miała w ustach.

- ...ale jeśli nie poczujesz fizycznego pociągu do kogoś w pierwszym ułamku sekundy, to nigdy nie będzie to możliwe.

- Jak to? Nigdy? - spytała Ruby. - Nigdy.

Czy on coś jej chce przez to powiedzieć? Chciał.

- Właśnie dlatego tak się cieszę, że gdy tylko spotkaliśmy się oczami, z miejsca poczułem, że serce wyrywa mi się do ciebie.

Ruby z brzękiem upuściła łyżeczkę. Kiedy wyłowiła ją wreszcie spod stołu, Robert nadal siedział wsparty na łokciach, zwrócony ku niej, i wpatrywał się w nią tymi swoimi guzikami w kolorze mlecznej czekolady. Był to jeden z tych niekończących się momentów, kiedy cały świat wokół nas zdaje się znikać, a my dostrzegamy tylko osobę, którą mamy ochotę pocałować.

- To nie do wiary, że jesteś sama - mruknął.

- Albo że ty jesteś sam! - wypaliła.

- Facet, który pozwolił ci odejść, musiał być idiotą.

- Bo był - powiedziała Ruby. - To znaczy... po prostu nie pasowaliśmy do siebie to wszystko - dodała szybko, pomna instrukcji Lou, by za wszelką cenę unikała mówienia czegokolwiek, co brzmiałoby zbyt poważnie. Bądź lekka. Bądź frywolna. Ale nie w stylu rondla Glenn Close.

- To jeden z tych wieczorów, które chciałoby się, żeby trwały bez końca - gruchał Robert. - Gdybym tak mógł cię z miejsca porwać gdzieś moim boxterem...

Po raz pierwszy tego wieczoru wspomniał o porsche. A więc chyba rzeczywiście go ma. Ptaszek. Kolejna pozycja odpajkowana.

Kelner zawisł nad nimi z rachunkiem. Jeszcze jedna pozycja na liście. Ruby nie oczekiwała, że Robert z miejsca rzuci się, by pokryć całość z własnej kieszeni, ale - po doświadczeniach z Robinem - zdecydowała, że jeśli przynajmniej nie spróbuje, choćby na pokaz, być dżentelmenem i odrzucić jej propozycji udziału w kosztach, to...

- Ja płacę - powiedział Robert, wsuwając swoją kartę kredytową w elegancki skórzany karnecik z rachunkiem, zaledwie zerknąwszy przelotnie na sumę.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Cała przyjemność po mojej stronie. A teraz mam nadzieję, że pozwolisz mi się odwieźć do domu.

Ruby zawahała się. Wieczór udał się znakomicie. Robert sprawiał wrażenie, że jest facetem w porządku. Co tam w porządku... Sprawiał też wrażenie, że jest ucieleśnieniem jej marzeń! A mimo to, mówił głos rozsądku, nie ma całkowitej pewności, że jej nie oszukuje. Mają za sobą raptem jedną fajną rozmowę telefoniczną i jeden fantastyczny wieczór w knajpie. To chyba nie jest zbyt dobry pomysł, żeby wsiadać do jego samochodu, ale...

- Pojadę metrem - powiedziała, marząc, żeby stało się inaczej. - Byłoby ci nie po drodze. Mieszkam daleko, o całe mile stąd.

- Cały sens posiadania porsche to właśnie wszystkie te niepotrzebne mile - odparł.

Ramię w ramię wyszli z restauracji. Robert przycisnął guzik pilota. Stojący po przeciwnej stronie ulicy samochód, którego Ruby nawet nie zauważyła, kiedy szli przed paroma godzinami na kolację, ożył i błysnął światłami, jakby puszczając oko, kiedy alarm został wyłączony. Granatowy jak noc, z beżową skórzaną tapicerką, był naprawdę najpiękniejszym samochodem, jaki Ruby kiedykolwiek widziała. Nigdy dotąd nie siedziała w porsche... Nigdy nie miała nawet chłopaka z samochodem! (Flett nawet nie nauczył się prowadzenia, utrzymując, że jest zbyt inteligentny na to, by zawracać sobie głowę takimi drobiazgami, jak przepisy drogowe). To był dobry moment na ostrożny kompromis.

- Może po prostu podrzucisz mnie do stacji - zaproponowała.

Nazajutrz rano zespół Hollingworth nie omieszkał zauważyć, że Ruby Taylor jest jakaś inna. Zupełnie jakby skończył się monsun i słońce, wyrzawszy zza chmur, obudziło długo uspięne nasionka, by gwałtownie wykiełkowały i rozbłysły różnokolorowym ekstrawaganckim kwieciem. Zwłaszcza różowym. Tego ranka Ruby wciąż miała na sobie różowy top, który kupiła na okoliczność wczorajszej randki. Z głębokim dekoltem, sięgającym górnego rąbka stanika. Nie był to raczej strój biurowy (choć nie gorszy niż góra od piżamy, którą miała na sobie parę razy). Głowy zwracały się w jej kierunku jak wiatraki, gdy szła, mijając kolejne boksy, do swego biurka.

Jejku, ale fantastycznie się czuła!

- Cześć, Imogen - zawołała, mijając kąt, w którym urzędował gang Two-Faced.

- O... hm... cześć, Ruby. - Imogen była tak zaskoczona, że aż zaczęła się jąkać.

- Wróciłaś z jakiegoś fajnego miejsca? - spytała Ruby. - Fantastycznie się opaliłaś.

- Na Majorce - mruknęła Imogen.

- O, doprawdy? Zdaje się, że John ma tam willę, prawda?

Wiedziała, że jej odzywka stanie się natychmiast katalizatorem plotek, ale nie dbała o to. Niech plotkują! Cokolwiek pomyślą o tym, co zmieniło jej nastrój z czarnego na pierzaście różowy ze złotym obrzeżem, i tak nie będą znać nawet połowy prawdy. Lou miała rację. Życie może zmienić się w ciągu jednego dnia o sto osiemdziesiąt stopni. Co tam dnia... W ciągu godziny! W ciągu jednej kapitalnej, wystrzałowej sekundy!

- Wyglądasz jak skowronek - zauważyła Liz, gdy Ruby oparła się z rozmarzeniem o fotokopiarkę, wachlując się tekstem dla prasy.

- I czuję się jak skowronek - powiedziała Ruby. - Czuję się, kurczę, fantastycznie!

- Rozumiem wobec tego, że randka się udała? - Udała? Cóż za skromne określenie. Nie uwierzysz, Liz...

Jest prawnikiem. Ma własne mieszkanie w Islington. Jeździ porsche boxerem. Skończył Cambridge. Jest inteligentny, przystojny, czarujący i... o Jezus, ma takie niesamowicie dobre maniery! Nawet gdyby nie upierał się, że zapłaci rachunek - a zamówił szampana, i to nie byle jakiego, tylko markowego szampana! - i tak pomknęłabym do niego jak strzała. - Och, Rubes. Chyba nie...

- Jestem zakochana! - zaśpiewała Ruby. - Więc zrobiłam to.

- No cóż...

- Wiem... Nie powinnam się zanadto podniecać. Ale tak dobrze się przy nim czuję... Żadne z nas nie miało ochoty kończyć zbyt prędko tego wieczoru. Dotąd byśmy gadali, gdybym nie musiała iść do pracy.

- Czy ty nigdy nie słyszałaś o czymś takim jak Zasady? - spytała Liz.

- A kto by się tym przejmował! - wykrzyknęła Ruby. - Liz, jestem taka szczęśliwa, że mam ochotę uściskać Imogen. Mam partnera na imprezę!

- Pytałaś go?

- No - pierś Ruby pękała z dumy. - Powiedział, że będzie zachwycony. Zachwycony! Nie mogę się doczekać, żeby Flett go zobaczył. Robert ma takie śliczne czarne włosy. Flett zawsze się martwił, że łysieje. Będzie zielony. Absolutnie zielony!

I pobiegła jak na skrzydłach do swojego pokoju. W przelocie przesłała nawet Panterze pocałunek ręką. I puściła oko na dodatek.

- Co jej się stało? - spytał Emlyn Liz.

- Przespała się z facetem - wyjaśniła półgłosem Liz. - Poznała go poprzez ogłoszenie.
- Cholera jasna - mruknął Emlyn. - Sam mógłbym spróbować czegoś takiego.

RS

ROZDZIAŁ 22

Zainspirowałaś mnie - powiedziała w parę dni później Erica, gdy Lou opowiedziała jej o rewelacyjnej randce Ruby i Roberta. - Też mam zamiar spróbować znaleźć sobie chłopaka poprzez ogłoszenie. Jak ci się podoba coś takiego?

I wręczyła Lou kawałek papieru z napisanym odręcznie tekstem:

Miłośniczka kotów, wegetarianka (32), szuka mężczyzny o wrażliwej duszy spod znaku Ryb.

Lou przeczytała tekst na głos i skinęła głową.

- Trzydzieści dwa? - to była jedyna rzecz, o jaką zapytała. Choć kawałek o kotach też budził jej wątpliwości. Czy o Rybach. Sama kasowała każdą odpowiedź na ogłoszenie Martina, w którym była jakakolwiek wzmianka o znakach zodiaku czy kotach, traktując je jako oczywiste sygnały desperacji.

- Uważasz, że powinnam usunąć ten kawałek? - spytała Erica. - O moim wieku?

- Nie. Po prostu... - zaczęła Lou. Od czego by tu zacząć? - Nie, zostaw to - powiedziała ostatecznie. - Jest dobrze, tak jak jest.

- No to dobrze. Mam zamiar od razu wysłać e-mail do gazety - poinformowała ją Erica. - Jeśli dojdzie do „Guardiana” dziś po południu, to może zostanie zamieszczone w wydaniu sobotnim. Jak prędko zaczęłaś dostawać odpowiedzi?

- Bardzo prędko - powiedziała Lou.

- Pomożesz mi przejrzeć moje? Zakładając oczywiście, że w ogóle jakieś dostanę.

- Oczywiście - skinęła głową Lou. - I oczywiście dostaniesz odpowiedzi. Kto by nie chciał się z tobą umówić?

- Och, dzięki, Lou. Wiesz, to mi naprawdę dodało otuchy. To, że dowiedziałam się o tobie i Andrew. I o Ruby i tym jej prawniku.

Na świecie wciąż jest jednak sporo przyzwoitych facetów. Skoro tobie udało się takiego znaleźć, to może i mnie się uda...

Lou skinęła parę razy entuzjastycznie głową. Uznała, że lepiej nie korzystać z okazji przypomnienia Ericie, że w dniu, kiedy ona poznała Andrew, Ruby wylądowała obok faceta, na widok którego Erica przeszłaby na drugą stronę ulicy, by uniknąć spotkania z nim, a Martin jest nie ten sam po nocy spędzonej z Cindy Daniels.

- To jak długo to już trwa? - spytała Erica.

- Co? - Lou wróciła już do arkusza kalkulacyjnego na ekranie swojego peceta.

- No, ty i Andrew? Jak długo się spotykacie?

- Hm... prawie miesiąc - obliczyła w pamięci Lou.

- Jeśli uda mi się znaleźć faceta, który będzie choć w połowie tak fajny jak Andrew, będę w pełni szczęśliwa.

- Uhm - powiedziała nieuważnie Lou. - Trzymam kciuki.

Andrew... Lou wciąż jeszcze nie zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że nie zobaczą się dziś wieczór. Miała nadzieję, że nie poczuje się zbyt rozczarowany, ale w głębi duszy dręczyła ją obawa, że będzie stawał na rzesach, by skłonić ją do zmiany decyzji i przyjścia do niego. Zupełnie jakby uważał, że jest teraz jego obowiązkiem wypełnienie każdej wolnej chwili w jej życiu... Bardzo lubiła z nim być, ale doszło do tego, że nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spędziła wieczór w pojedynkę. Czy z przyjaciółmi.

Przez cały ranek odkładała ten telefon. Może lepiej wysłać po prostu e-mail? Otworzyła Outlook Express. Okazał się zaskakująco pełny. Kiedy umieściła w internecie ogłoszenie Martina, stworzyła fałszywy adres, za pośrednictwem którego wszystkie odpowiedzi przeznaczone dla niego były kierowane bezpośrednio do niej. Wciąż napływały nowe... Hairymary@hotmail.com, powinna chyba zmienić imię, zanim kogoś zarwie, uśmiechnęła się ironicznie Lou.

Odpowiedzi z początku wydawały jej się zabawne, ale teraz stały się po prostu irytujące. Chyba powinna wykasować ogłoszenie Martina... Inaczej wciąż będzie musiała przekopywać się za każdym razem przez fatalnie zredagowane miłosne liściki, żeby dotrzeć do rzeczy naprawdę ważnych w swojej skrzynce.

www.pinacoladalovematch.com oferowała specjalną promocję „letnia miłość”. Wszyscy nowi oraz dotychczasowi użytkownicy strony uczestniczyli w wielkiej grze, dzięki której mogli wygrać romantyczny weekend a deux w dowolnie wybranej europejskiej stolicy, ogłaszał triumfalnie błyskający link. Pod warunkiem, że znajdą za pośrednictwem strony kogoś, z kim będą mogli pojechać, pomyślała nieżyczliwie Lou.

Kliknęła parę razy w odpowiednie miejsca na stronie, idąc za kolejnymi linkami, które pozwalały usunąć informacje o Martinie z bazy danych. Kiedy skończyła, została odesłana bezpośrednio na stronę macierzystą. Na samej górze sygnalizowano „najseksowniejsze” ogłoszenia tego tygodnia.

Chentna, zdolna i do wzięcia - głosił jeden szczególnie interesujący nagłówek.

Biedna Lou skrzywiła się na widok błędu ortograficznego, niemniej kliknęła, dla hecy. Zgodnie z opisem, jaki towarzyszył nieudolnej zajawce, autorka ogłoszenia miała dwadzieścia jeden lat, była szczupłą, efektowną blondynką o obfitym, kształtnym biuście; interesowała się wyścigami samochodowymi.

- Powiedzmy - mruknęła Lou. Rzecz jasna, nie było zdjęcia, które mogłoby uwiarygodnić te informacje.

To był właśnie problem z internetowymi ogłoszeniami. Oczywiście w przypadku jakiegokolwiek anonsu, również prasowego, nie sposób ustalić, na ile rzeczywista osoba odpowiada swemu opisowi, ale w przypadku ogłoszeń internetowych problem wydawał się jeszcze poważniejszy. Tu nawet po wymianie setki e-maili nie można było mieć żadnej pewności, jakiej płci jest dana osoba, jeśli nie rozmawiało się z nią przez telefon. W gazetach co tydzień pojawiała się kolejna historia o tym, jak to ktoś został wystawiony do wiatru w rezultacie romansu on-line. Nic nie stało na przeszkodzie, by zalogować się jako piękna blondynka, gdy w rzeczywistości było się małym, nieszczerze efektywnym szatynem.

Dlaczego oni to robią, zastanawiała się Lou. Jeżeli naprawdę masz ochotę kogoś poznać, to nie ma specjalnego sensu mówić gejowi, że spotkał mężczyznę swoich marzeń, skoro tak naprawdę jesteś dziewczyną... Czy ci ludzie cierpią na przymus udawania kogoś innego? A może naprawdę wierzą, że są osobą, którą stają się on-line? A zresztą... Czy to ma jakieś znaczenie? Jeśli człowiek podszywa się pod osobę innej płci niż jego, albo wskanowuje zdjęcie z magazynu zamiast swojej gęby, komu to szkodzi, jeśli nigdy nie dojdzie do spotkania twarzą w twarz? Być może jest to po prostu nieszkodliwy sposób na eksplorację tych aspektów własnej osoby, których nie ujawniamy nawet przed najbliższymi przyjaciółmi?

Lou bez zapału kliknęła w opcję „back”, by wrócić na główną stronę www.pinaladalovematch, i zawisła kursorem nad opcją przejrzyj oferty. Mężczyźni poszukujący kobiet. Kobiety poszukujące mężczyzn. Kobiety poszukujące kobiet...

Drrrrryńńńń!!!

Sygnal telefonu z powrotem skierował uwagę Lou na sprawy biurowe.

- Lou Capshaw.

- Mówi Ruby.

W jej głosie było zdenerwowanie. Lou momentalnie nastawiła się na najgorsze.

- Co jest grane?

Modliła się, by się nie okazało, że biedna Ruby łudziła się co do Roberta i że mydlana bańka właśnie prysła.

- Mam odpowiedź na moje ogłoszenie - powiedziała Ruby.

- Kolejny właściciel porsche?

- Nie na to ogłoszenie - wyjaśniła Ruby. - Na inne.

List przyszedł w chwili, gdy wychodziła do pracy. Zwykła szara koperta spadła na wycieraczkę, gdy po raz ostatni sprawdzała włosy przed lustrem w przedpokoju. Zobaczywszy nadruk „Timesa”, szybko odwróciła kopertę na drugą stronę i zawahała się chwilę, wstrzymując oddech. Swoje ogłoszenie matrymonialne zamieściła w „Sunday Timesie”. A więc nie była to bynajmniej odpowiedź na tamto ogłoszenie...

Przejęta swoim rozkwitającym romanssem, Ruby prawie zapomniała o dwulinijkowej prośbie, jaką zamieściła tak pośpiesznie tamtej nocy, spędzonej na sofie u Lou. Nawet nie przejrzała gazety w dniu, kiedy ogłoszenie miało się ukazać... Nie sprawdziła, czy wydrukowano tekst słowo w słowo: Ktokolwiek zna miejsce pobytu Géraldine Barker, poprzednio zamieszkałej w Green wick, proszę o kontakt pod nr. skrytki poczt. 6789.

Ruby przysiadła bezsilnie na najwyższym schodku. To niekoniecznie musi być odpowiedź na jej ogłoszenie, powiedziała sobie. Może to być po prostu pokwitowanie za sumę, jaką dotychczas wpłaciła, albo wezwanie do zapłacenia kolejnej... Niemniej nagle stało się tak, jakby trzymała w ręce nie kopertę, a bombę. Bombę z opóźnionym zapłonem.

Prawdę mówiąc, nie potrafiła nawet sama otworzyć tej cholernej koperty. Ktoś musiał przy niej być. A jeśli w środku naprawdę jest list od jej rodzonej matki? Wiem, kim jesteś, ale nie chcę więcej o tobie słyszeć. Nie była to wiadomość, którą Ruby mogłaby znieść w środowy ranek, sama, kiedy musiała iść do pracy.

Tak więc koperta powędrowała do siedziby Hollingworth Public Relations nieotwarta i pozostała w takim stanie na biurku Ruby przez cały dzień. Parokrotnie myślała, że już potrafi ją otworzyć. Parokrotnie robiła sobie słabą, gorącą herbatę z czterema łyżeczkami cukru (w przewidywaniu szoku) i kładła ko pertę na notatniku ze szczerym zamiarem, by ją rozciąć i poznać straszliwą tajemnicę (czy fakturę), jaką zawierała.

Za każdym razem jednak wypijała herbatę, a koperta wciąż pozostawała nienaruszona. O czwartej po południu mdliło ją już od całego tego cukru, jaki zdążyła przyswoić. A o wpół do piątej - najwcześniejsza pora, kiedy mogła wyjść z pracy - ruszyła na spotkanie z Martinem i Lou.

Właśnie o to chodzi w przyjaźni, uświadomiła sobie po raz kolejny, czekając na ich przybycie w tym co zawsze pubie. Niewielu jest ludzi na świecie, których można zaprosić na otwarcie koperty (z wyjątkiem większości klientów Hollingworth, jak często zauważała Liz) i którzy przyjdą z autentyczną przyjemnością. A Martina i Lou było można. A kiedy przyszli, patrzyli na

zwyczajną szarą kopertę z należyтым szacunkiem dla zawartości, jaką przypuszczalnie w sobie kryła.

- Moja kolej - powiedziała Ruby i podniosła się, by pójść do baru.

- Nie, moja. Siedź. - Martin popchnął ją lekko z powrotem na krzesło. Jego zwykły sarkastyczny sposób bycia ustąpił miejsca nienormalnym u niego objawom współczucia. - Podwójna wódka wystarczy, żeby zacząć?

W trzy podwójne wódki później koperta wciąż pozostawała nietknięta.

- To gorsze, niż czekanie na wyniki egzaminu do liceum - powiedziała z nerwowym śmiechem Ruby, szykując się w końcu do jej otwarcia.

- Tak daleko nie sięga moja pamięć - odparła Lou.

- Ty ją otwórz, Lou. Zrób to dla mnie.

- No to dawaj. - Lou wzięła kopertę i jednym zdecydowanym ruchem rozdarła ją.

- Nie! - kwiknęła Ruby mimo woli. - Jeszcze nie jestem gotowa!

- Za późno - powiedziała Lou. - Już to zrobiłam.

- Czy to - Ruby zacisnęła powieki - faktura?

- Nie wygląda na fakturę. W środku jest jeszcze jedna koperta. - Lou wyciągnęła nieco mniejszą kopertę w kolorze bladego błękitu. Błękitu poczty lotniczej.

- Skąd jest znaczek? - Ruby wciąż miała oczy szczelnie zamknięte, w obronie przed czyhającymi na nią rewelacjami.

- Ameryka. Wygląda mi na Kolorado.

- Co? - Ruby gwałtownie otworzyła oczy. - Jak to Kolorado? Moja matka mieszkała w Greenwich.

- Ludzie się przeprowadzają- zauważył Martin.

- Jasne, z Greenwich do Clapham. A nie do jakiegoś cholernego Kolorado!

- Chcesz, żebym otworzyła i tę kopertę? - spytała zniecierpliwiona Lou.

- Tak. To znaczy nie. - Ruby znów zamknęła oczy. - Daj mi jeszcze minutkę, dobrze?

- Ostatnie zamówienia! - zawołano z baru.

- Ruby - powiedziała z naciskiem Lou. - Siedzimy tu i patrzemy na kopertę już prawie pięć godzin. Zawartość będzie taka sama, czy otworzysz ją teraz, czy jutro, czy w ogóle nigdy. Uważam, że powinnaś podejść do tego tak, jak do zrywania plastra z rany. Im szybciej to zrobisz, tym szybciej ból ustąpi. Jeśli w ogóle będzie jakiś ból.

- Ja zawsze musiałam czekać, aż plaster zrobi się tak stary, że sam odpadnie - powiedziała Ruby.

- Ciekawe, dlaczego wcale mnie to nie zaskakuje? - mruknęła Lou. - Liczę do trzech - zaproponowała. - Kiedy doliczę, rozerwę kopertę i od razu przeczytam, co jest w środku, nie zatrzymując się, żeby złapać oddech.

- Lou... - jęknęła Ruby. - Zaczynam odliczać. Raz, dwa, trzy...

Martin wziął Ruby za rękę, tak żeby nie mogła zatkać sobie uszu. Jednym ruchem, niczym rybak patroszący łososia, Lou rozerwała kopertę, wydobyła ze środka cieniutki papier lotniczy, rozpostarła go i zaczęła czytać ściszym, ale równym głosem.

13, Cherry Hills Road

Boulder

Kolorado

Rosalia.Barker@earthlink.net Szanowna Pani lub Panie!

Piszę w związku z ogłoszeniem w „London Times”, dotyczącym miejsca pobytu pani Geraldine Barker, poprzednio zamieszkałej w Greenwich pod Londynem. Niestety, pani Barker nie ma już wśród nas. Ja jestem jej synową, żoną jej syna Nathaniela (Nata), jedyne dziecko, jakie miała.

Od jakiegoś czasu przygotowuję studium na temat drzewa genealogicznego rodziny mojego męża. Ma to być niespodzianka na jego czterdzieste urodziny. Będę wdzięczna za jakiegokolwiek informacje o życiu jego matki w Londynie, zanim wyemigrowała do Ameryki. Można kontaktować się ze mną zarówno pocztą, jak i za pośrednictwem e-maila (adresy jw.).

Z poważaniem Rosalia Barker

Co z tego mam przyjąć najpierw? - pomyślała w oszołomieniu Ruby. Moja matka umarła, ale mam brata... Nathaniel Barker. Nat. Jej jedyne dziecko. Te trzy słowa mogły oznaczać tysiąc rzeczy... Nathaniel Barker nie wie o jej istnieniu. A może wie, że przyszła na świat, ale myśli, że też umarła?

- To nie byle co - powiedział z namysłem Martin, kiedy przeczytał list po cichu jeszcze raz. - Masz brata, Rubes. Wiedziałaś o tym?

Ruby potrzęsnęła głową.

- To się nie trzyma kupy - orzekła Lou. - Mało prawdopodobne, żeby twoja matka przeprowadziła się do Kolorado. Czy umarła. Kiedy oddawała cię do adopcji, sama musiała być młodą dziewczyną. A ta kobieta powiada, że jej mąż ma prawie czterdziestkę. To jak może być twoim bratem? Ty masz dopiero trzydzieści jeden.

- Nie. To ona - powiedziała Ruby z przekonaniem, które zaskoczyło nawet ją. - Nathaniel i Hope. Oba imiona pochodzą z Biblii, nie sądzisz? Być może nie zostałam jednak ochrzczona przez zakonnice...

- O czym ty mówisz? - spytała Lou.

- Po prostu tak mi kiedyś powiedziała pracownica socjalna.

- Nie, ja myślę, że to pomyłka - powtórzyła Lou. - Ta kobieta trafiła do niewłaściwej osoby.

- A ja mam przecucie, że nie. - Ruby powiodła ręką po czole, jakby sprawdzając, czy ma gorączkę. - Jakoś dziwnie się czuję.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytał Martin. To było dobre pytanie.

- Nie wiem - brzmiała odpowiedź Ruby. - To pociąga za sobą całkiem nowy zestaw problemów, no nie? Jeśli moja matka nie żyje i nie może mi wyjaśnić, jak to było z moim przyjściem na świat, to nie wiem, od czego zacząć. Może po prostu powinnam dać sobie z tym spokój?

- Jak to? I nie sprawdzić, czy ten facet naprawdę jest twoim bratem? - spytała z niedowierzaniem Lou.

- Czytałem gdzieś, że rodzeństwo, które zostało rozdzielone w dzieciństwie i było wychowywane w różnych rodzinach, często czuje do siebie niewyjaśniony pociąg, kiedy spotyka się ponownie po wielu latach - powiedział Martin. - Może ci się trafić ognisty romans.

Lou rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

- Nie sądzę - mruknęła Ruby.

- Jasne, że nie. Ale tak jak ja to widzę - powiedziała Lou - powinnaś zrobić przynajmniej jeszcze jeden krok. Po prostu na wszelki wypadek.

- Może nie chce się ze mną spotkać.

- Gdybym ja była twoim bratem, na pewno bym chciała się z tobą spotkać - stwierdziła Lou. - A chociaż wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby ten cały Nathaniel miał z tobą coś wspólnego, to uważam, że powinnaś przyjąć robocze założenie, że ma. Stracił matkę. Myśli, że jest jedynakiem. Możesz być jego jedyną rodziną na tym świecie. Oprócz jego pani. Ta Rosalia...

- Z drugiej strony, może pomyśleć, że czyhasz na połowę jego spadku - podsunął usłużnie Martin.

Ruby patrzyła, strapiona, raz na jedno, raz na drugie. Dlaczego najgorsza wersja scenariusza zawsze wydaje się najbardziej prawdopodobna?

- Co zamierzasz zrobić? - powtórzyła cierpliwie Lou. - Musiałaś myśleć o tym, co zrobisz, jeśli dojdzie kiedyś do kontaktu z matką.

Ruby spuściła oczy i skrzywiła się.

- No jasne, że myślałam. Ale właściwie to myślałam, że spróbuję ją najpierw zobaczyć na odległość. Wydawało mi się, że po prostu dostanę jej adres, pojadę tam i spróbuję wytworzyć sobie jakieś wyobrażenie o niej w ten sposób, że stanę w pobliżu jej domu i poczekam na moment, kiedy będzie wychodziła do pracy.

- Zamierzałaś na nią napaść? - wywnioskował Martin.

- Nie napaść - powiedziała defensywnie Ruby. - Po prostu popatrzeć na nią przez chwilę, zanim podejmę jakąś decyzję. Ale to było wtedy, kiedy myślałam, że mieszka w Greenwich. A nie w jakimś cholernym Kolorado. - Ruby golnęła wielki łyk wódki. - Nie mogę tam kogoś po prostu podesłać. A zresztą ona i tak nie żyje... Moja matka nie żyje - powiedziała powoli i zaśmiała się nerwowo. - Moja matka nie żyje. - Nie brzmiało to jak należy.

Martin instynktownie wziął Ruby za rękę.

- Nie możesz mieć pewności, że nie żyje - powiedział. - Dopóki nie napiszesz do tej kobiety i nie wyjaśnisz, kim naprawdę jesteś i dlaczego szukasz Geraldine Barker. Nie można wykluczyć, że szukasz zupełnie innej osoby... Barker nie jest takim znów rzadkim nazwiskiem. Imię Geraldine też nie jest wyjątkowe. Moja mama ma trzy przyjaciółki o tym imieniu.

Lou też była tego zdania.

- I raczej mało prawdopodobne, że masz brata o tyle starszego niż ty.

- Może i macie rację. - Ruby z powrotem włożyła list do koperty i dokończyła swoją wódkę. - Potrzebuję czasu do namysłu - oznajmiła.

- Cokolwiek postanowisz, jesteśmy z tobą - zapewnił ją Martin.

- I kiedykolwiek będziesz chciała o tym pogadać - dodała Lou.

Ruby spojrzała na nich z półuśmiechem. Oczy miała pełne z wysiłkiem powstrzymywanych łez.

- Naprawdę? - pociągnęła nosem.

- Przecież wiesz.

Lou wzięła ją za drugą rękę w geście solidarności.

- Tylko nie rób nic bez zastanowienia - uzupełniła. - Nie ma potrzeby, żeby się śpieszyć.

- Zwłaszcza że ona i tak już wacha stokrotki od dołu. - Górna warga Ruby zadrżała. Gwałtownie, ze świstem wypuściła z płuc powietrze, jak gdyby uwalniając się od wewnętrznego ciśnienia.

- Co ja wyprawiam? Moja naturalna matka nie żyje, ale przecież i tak nigdy jej nie znałam.

- Mimo wszystko masz prawo do smutku - powiedziała Lou.

- Chcesz zostać na noc u mnie? - spytał Martin. - Nie musisz być dzisiaj sama, jeśli nie masz ochoty. Ja się mogę przespać na sofie. Położę tylko czystą pościel. Mam nawet sok pomarańczowy na jutro rano.

- Brzmi to kusząco - powiedziała Lou. - A ja bym się nie mogła załapać zamiast niej?

Jak za naciśnięciem guzika, twarz Ruby rozbłysła radością.

- Nieczęsto się zdarza, żeby Martin okazywał tyle troski, kiedy zaprasza do siebie dziewczynę - zauważyła Lou.

Ale radość Ruby bynajmniej nie była reakcją na ofertę Martina. Wzrok miała utkwiony w drzwi wejściowe, gdzie wysoki mężczyzna, odgarniając do tyłu ciemne kędziory, takie jakie noszą uczniowie drogich prywatnych szkół, wypatrywał kogoś w tłumie.

- Robert! - zawołała ku niemu Ruby. - A jednak ci się udało!

Upuściła rękę Martina, tak jak upuszcza się do kosza na śmieci zużytą chusteczkę do nosa. Martin i Lou zwrócili się ku intruzowi, który żeglował poprzez tłum, niedbale przerzuciwszy przez ramię elegancką marynarkę w prążki. Robert Simpson. Wytworny garnitur. Koszula z zawiniętymi mankietami. Muśnięta brylantyną fryzura. Wypisz wymaluj mężczyzna z C & A.

- Cześć, mała - Robert cmoknął na powitanie swoją nową dziewczynę gdzieś obok policzka. - Spóźniłem się na ostatnie zamówienia?

- Tak - powiedziała Ruby. - Ale Martin jeszcze nie tknął swojego kufła. Możesz go wypić. Pijesz Special, prawda?

- Jasne - skinął głową Robert.

Martin stłumił odruch protestu, gdy Ruby wzięła jego ostatni kufel i podała swojemu nowemu chłopakowi. Potem wstała z fotela, tak żeby on mógł się wygodnie rozsiaść, przysiadła na poręczy i przytuliła się do niego niczym żoneczka-trofeum.

- Martin, to jest Robert - powiedziała.

Robert poruszył brwiami, patrząc przelotnie w kierunku Martina.

- A to Lou.

Robert pocałował Lou w rękę.

- Przykro mi, że musiałem tak długo siedzieć w biurze, Rubes - wygłosił. - Jestem zmęczony jak cholera. Nie mogę się doczekać, kiedy będę w domu, w łóżku - dodał z wymownym mrugnięciem typu „rozumiesz, co mam na myśli” w kierunku Martina. - No dobrze, to o czym rozmawialiście?

Lou otworzyła usta, żeby mu powiedzieć.

- Nieważne - pośpieszyła Ruby. - Wszystko to było bardzo smutne. Jak ci minął dzień, Robercie? Myślisz, że uda ci się wygrać w tej sprawie, o której mi opowiadałeś? Z tym rzekomym hydraulikiem?

Robert ścisnął Ruby za kolano i zaczął perorować na temat jednego ze swoich klientów, recydywisty, który wycygał od emerytki oszczędności całego jej życia, podszywając się pod hydraulika i dokonując niepotrzebnych napraw w jej systemie centralnego ogrzewania.

- Drań kłamie jak najęty, rzecz jasna - powiedział, zwracając się do Lou i Martina. - Ale chyba uda mi się przekonać sąd, że jest inaczej. Starsza pani nie pamięta, jaki dziś jest dzień tygodnia, a co dopiero mówić o tym, czy upoważniła go do przeprowadzenia remontu za czterdzieści tysięcy funtów... A poza tym, jeśli babcia nie potrafi zadbać o własne pieniądze, to nie ma po co żyć, żeby je nadal wydawać. Nie sądzisz, Martin?

Martin skrzywił się.

- On mi się nie podoba - powiedział Martin do Lou, kiedy Robert wsadził Ruby do swojego porsche boxtera w kolorze nocnego nieba i uwiózł w siną dal, do siebie.

- Czy chodzi tylko o samochód? - spytała Lou.

- Jasne, że nie tylko o samochód - obruszył się Martin. - Chodzi mi o tamtą historię. Ten rzekomy hydraulik i staruszka. On ma wszystko w nosie. Nie przejmuje się, że dzięki niemu facet, który zawinił, pozostanie na wolności.

- Taką ma pracę - zauważyła Lou.

- Wiem... Po prostu nie wydaje mi się, żebym mógł wykonywać pracę, która łączyłaby się z krzywdzeniem niewinnych ludzi. - Martin cmoknął z niesmakiem. - O Boże. Czy to nie brzmi tak, jakbym się wywyższał?

- Nie przejmuj się. Mnie też się nie podobał.

- Trochę to dziwne - powiedział Martin. - To, że ktoś tak cholernie pewny siebie w ogóle potrzebuje zamieszczać ogłoszenie.

- A my? - przypomniała mu Lou.

- Wiem. Ale... my to co innego. On mi wypił piwo - podsumował Martin z niesmakiem.

W drodze do domu usiłował sobie przypomnieć, kogo mu Robert przypomina. Ta postawa manekina. Ten powierzchowny wdzięk. Ta ekstrawagancka, staroświecka galanteria, która nie sięgała jednak tak daleko, by odmówić, kiedy Ruby ustąpiła mu swojego miejsca.

W ciągu dziesięciu minut, które spędził z nimi po swoim nieoczekiwanym chwackim pojawieniu się w pubie niczym wyjątkowo kiepska parodia Zona, zmonopolizował całą rozmowę. Sprytny lis... Pomaga uniknąć sprawiedliwości swoim gównu wartym klientom. Robin Hood na odwyrtkę. A na Ruby tak jakby robiło to wrażenie, nawet jeśli nie robiło na nikim innym. Nawet zaklaskała z radości, kiedy opowiedział o innej swojej wiktorii, którą wprost wyrwał sądowi okręgowemu z gardła za pomocą efektownej mowy... I nie do wiary - choć usta mu się właściwie nie zamykały, zdołał równocześnie wysączyć do dna jego kufel. Nie przyszło mu do głowy, żeby Martinowi podziękować za tę darowiznę mimo woli.

Nagle, gdy tak leżał na wznak, wpatrując się w chiński lampion, który teraz był już raczej szary od kurzu niż biały, coś w jego mózgu zaskoczyło. Tak jak Flett, Robert przypominał mu jego własnego ojca. A Ruby - matkę w obecności ojca. Ćwierkającą, wdzięczącą się, nieustannie orbitującą wokół małżonka niczym krucha, połyskująca gwiazdka. Dopóki ojciec nie uznał, że potrzebuje jeszcze bardziej przekonującego dowodu własnej atrakcyjności i nie zaczął spotykać się ze swoją nastoletnią sekretarką.

Właśnie dlatego z miejsca poczuł antypatię do Roberta. Kiedy Robert skwitował jego obecność jedynie przelotnym spojrzeniem, przypomniało mu to sposób, w jaki ojciec traktował go w obecności innych. Kiedy Martin był mały, wydawało mu się, że jest dla taty centrum wszechświata. Dopiero później zdał sobie sprawę, że ojciec traktował go tylko jako idealną przynętę, kiedy zabierał synka na spacer. Kobiety tak chętnie rozmawiały z mężczyzną popychającym wózek czy niosącym na rękach uroczonego bobasa... A uroczy bobas nie potrafił powiedzieć mamie, co tata robił z nimi w parkowych zaroślach.

Później, kiedy był niemal tak wysoki jak ojciec i, jak twierdziła matka, przystojniejszy niż on, tatuś nigdy nie omieszkał wspomnieć o jego niedociągnięciach, kiedy ktoś go pochwalił. „A zazwyczaj taki z niego niezgraba” - mówił i targał syna lekko za czuprynę, kiedy nauczyciele chwalili go za wyniki w tenisie czy futbolu. Z zewnątrz wyglądało to na szorstką czułość. Martin czuł jednak podświadomie, że nawet wtedy ojciec próbuje mu pokazać, gdzie jest jego miejsce.

To samo robił z matką. Pokpiwał z tego, jak gotuje i jak prowadzi samochód, tak że w końcu bała się zaprosić kogoś na obiad, a Martina odważała się zawieźć do tego czy innego kolegi tylko wtedy, kiedy nie musiała przejeżdżać po drodze przez rondo. W miarę jak rósł, widział, jak matka coraz bardziej gaśnie i traci poczucie bezpieczeństwa w oślepiającym blasku ojcowskiej doskonałości. A wiedział, że kiedyś była inna... W albumie oglądał zdjęcia z czasów, zanim poznali się z ojcem. Zaliczyła z przyjaciółką podróż do Nowej Zelandii na długo przedtem, zanim podróże dookoła świata w okresie między maturą a studiami stały się czymś nagminnym. Była wtedy odważna i pewna siebie. W chwili, gdy ojciec ich opuścił, nie zostało w niej nic z tamtej młodej dziewczyny, która rzuciła się zwiedzać świat. Kiedy do tego doszło, Martin miał osiemnaście lat. Jeszcze w dziesięć lat później matka miała skłonność do przypisywania winy sobie, jeśli coś nie układało się jak należy.

Miał nadzieję, że myli się co do Roberta. Naprawdę.

Może po prostu był zazdrosny o jego sukcesy? Szybki samochód? Ekscytującą pracę? Jakkolwiek niemoralne by się wydawały - starania, by

przestępca nie trafił do więzienia - nie dało się ukryć, że to, co robi Robert, bardzo różni się od życia zwykłych ludzi. A co robił on, Martin? Chałturzył dorywczo w wysyłkowni firmy zajmującej się marketingiem bezpośrednim, gdzie wkładał co trzeba do kopert do spółki z kilkorgiem młodych ludzi z antypodów, o dychę młodszych od niego, którzy mieli tylko jeden cel: zaoszczędzić trochę kasy, żeby móc pojechać na jeszcze jeden piwny festyn na kontynent.

Wspaniały plan Martina, by uniknąć udziału w wyścigu szczurów via niezwykle sukces wydawniczy wydawał się obecnie bardziej śmieszny niż kiedykolwiek. Po utracie bezcennej dyskietki próbował przypomnieć sobie ze swojej książki, ile się da. Zdołał odtworzyć szkic poszczególnych rozdziałów, a nawet całe zdania. Ale to było wszystko. A teraz, patrząc na to, co zdołał ocalić od zapomnienia, nie miał pewność, czy cała reszta warta jest tego, by ją zapamiętać. Kto wie, może oszukiwał sam siebie, że w ogóle ma jakiś talent.

Czek Petunii Daniels wciąż tkwił przyszpilony do korkowej tablicy w rogu sypialni, ale Martin wiedział, że nigdy go nie spieniży. Powieść i tak nie istniała. I nigdy nie będzie istniała. Mógłby co prawda pojechać za te pieniądze w jakieś słoneczne miejsce, myślał czasami. Ale jak by wtedy wyglądał? Petunia

Daniels zarobiła tę kasę jako artystka. Dała mu ją, żeby zrobić z niego balona.
- Niespodzianka!

Andrew miał szczęście, że Lou nie ćwiczyła ostatnio karate. Manipulowała właśnie kluczem w drzwiach, gdy zmaterializował się nagle, wychodząc spod płotu na tyłach domu.

- Co ty tu robisz? - spytała poirytowana, gdy pocałował ją w kark.

- Tęskniłem za tobą - powiedział. - Chyba już nie potrafię spać sam. Za bardzo się przyzwyczailem, że jesteś obok i mogę się w ciebie wtulić...

- To prawda. - Lou odwinęła jego ramiona ze swojej talii i weszła do domu. Andrew też. - Nie masz nawet zamiaru poczekać, aż cię zaproszę do środka? - rzuciła z oburzeniem.

- Czy mogę wejść? - spytał, zamykając za sobą drzwi.

- Wiesz co, naprawdę nie powinieneś przychodzić bez uprzedzenia - upomniała go. - Może się zdarzyć, że nie jestem sama. Mogę być z innym kochankiem. - Uniosła brew.

- Po co ci inny kochanek, skoro masz mnie? - Andrew wsadził jej rękę pod spódnicę. Lou zręcznie uwolniła się z jego chwytu i poszła nastawić czajnik.

- Tęskniłaś za mną? - spytał, stojąc jej nad głową, gdy wrzucała do dwu kubków torebki z rumiankiem.

- Widzieliśmy się wczoraj - przypomniała mu Lou.

- Brakowało mi ciebie.

- To miłe - powiedziała.

Ale nie było miłe. W trzy godziny później Lou, tak samo jak Martin, leżała, wpatrując się w sufit. Andrew spał już głęboko obok niej, z ramieniem władczo przerzuconym przez jej talię. Pozornie stanowili ucieleśnienie młodzieńczych snów o miłości. W rzeczywistości jednak coś naprawdę było nie tak.

Tej nocy, Andrew, zanim odpłynął w sen, powiedział słowo na „M”. Przed chwilą się kochali. Jeszcze leżąc na niej, uniósł się na łokciach, spojrzał jej w oczy i wyszeptał, że ją kocha.

- Kocham cię - powiedział. Po prostu te dwa słowa. Nie „ja cię naprawdę kocham”, rzucone żartobliwym tonem, ani „kocham cię, kiedy to robisz”, ani nawet „myślę, że cię kocham”. Żadnych pochodnych tego zdania, które tak naprawdę osłabiają jego wydźwięk. Po prostu „kocham cię”. Zamrugła wówczas, niepewna, jak zareagować.

A teraz leżała oto i myślała, że chyba wreszcie rozumie opowiadany przez starszych panów dowcip, że lepiej odgryźć sobie rękę, niż przebudzić się obok osoby, z którą się poszło do łóżka. Andrew wyznał, że ją kocha, a mimo to nie chciała, żeby tu był... Co z nią jest nie tak? Miał wszystko to, na czym zawsze jej zależało, jak twierdziła. Był przystojny, inteligentny, wart zaufania. Szalenie jej oddany. Jeśli w ogóle potrafi kogoś pokochać, to kogo, jak nie jego?

W pół godziny później sen nadal nie przychodził. Lou ostrożnie, po cichutku, jakby była złodziejem, uniosła ramię Andrew ze swego żołądka, wyśliznęła się z łóżka i podreptała na bosaka do kuchni. Kiedy zagotowała się woda w czajniku, zalała wrzątkiem torebkę rumianku i włączyła laptopa w salonie. Skoro i tak nie śpi, to równie dobrze może trochę popracować. Ale najpierw sprawdzi pocztę elektroniczną. Pulsująca ikona informował, że coś przyszło.

Od: matchmaker@pinacoladalovematch.com

Do: LC3@hotmail.com

Temat: Znaleźliśmy dla ciebie idealnego kochanka!

Kliknij w poniższy link, a zobaczysz, kto spełnia wszystkie twoje kryteria!

Obejrzawszy się, żeby sprawdzić, czy Andrew nie wstał z łóżka i nie zagląda jej przez ramię, Lou kliknęła.

Chris, 34, czarne włosy, niebieskie oczy. Pracuje jako konsultant do spraw zarządzania. Lubi narty, nurkowanie, teatr. Szuka kobiety, która wie, czego chce od życia...

Ruby, ubrana w jeden z T-shirtów Roberta, usiadła na łóżku i zaczęła mu opowiadać o rewelacjach tego dnia.

- No i teraz - kończyła, przedstawiwszy mu całą historię z ogłoszeniem w „Timesie”, listem i swoimi związkami z Colorado - nie wiem, co robić. Może on i jest moim bratem... Ale może moja matka i nieszczęsna zmarła matka tego faceta mają po prostu takie samo imię i nazwisko? Co o tym myślisz, Rob? Powinnam zapomnieć o całej sprawie? Czy może przyjrzeć się jej dokładniej? Lou uważa, że powinnam przyjrzeć się dokładniej i zastanowić się, czego od nich oczekuję. No i tego właśnie nie wiem. Nie chcę nikogo wystraszyć... I nie chcę być zmuszona do podtrzymywania stosunków z kimś, kogo nie lubię, tylko dlatego że mamy wspólne geny. Nie spodziewałam się, że to tak wyjdzie.. . Myślałam, że moja matka dalej będzie mieszkać w Greenwich. I może rzeczywiście mieszka, jeśli zaszło jakieś nieporozumienie. Od czego mam zacząć?

- Taaa... - Robert prawie już zasypiał. - Rób, co uważasz, malutka. Cały czas trzymaj się tej zasady. Ja bym zrobił tak samo.

- Naprawdę? - spytała Ruby.

- Uhm - mruknął Robert. W chwilę później już chrapał.

RS

ROZDZIAŁ 23

Nazajutrz rano Robert posłał Ruby do pracy z wyjątkowo rzucającą się w oczy malinką. Było za gorąco, żeby wkładać golf, musiała więc podnieść kołnierzyk bluzki. Ogarnęła ją złość, że wygląda jak Sloane Ranger w stylu lat osiemdziesiątych - musiała włożyć dodatkowo sznurek sztucznych pereł, żeby przekłety kołnierzyk nie opadał jak flak - ale po cichu cieszyła ją uwaga, jaką budzi wśród kolegów jej typowa dla nastolatek honorowa odznaka. Zwłaszcza na porannym spotkaniu zespołu marketingu Łóżysk Kulkowych Barringtona.

Za każdym razem, gdy podnosiła oczy znad notatnika, była pewna, że przyłapała Fletta, jak wpatruje się w jej szyję. Tak - mówiła do niego w duchu - mam już innego kochanka i jest on o niebo lepszy, niż ty kiedykolwiek byłeś. Na głos zaś powiedziała:

- Uważam, że pomysł zorganizowania w londyńskich szkołach dnia łożysk kulkowych, podczas którego inżynierowie wyjaśnialiby dzieciom, jak ważne są te mikroskopijne elementy we wszystkich rodzajach wielkich maszyn, to bardzo dobra myśl.

Flett pokiwał głową. Jego zaciśnięte z dezaprobatą usta tworzyły cienką, twardą linię.

- Co tam jeszcze mamy? - ciągnęła z ożywieniem Ruby, gdy wtem spostrzegła, że dotarła do końca notatek.

- Myślę, że to wszystko - powiedział Flett. Wstał i momentalnie zaczął pakować swoje papiery.

- Dobrze wyglądasz - zauważyła Ruby, czerpiąc dziwną siłę z widniejącego na jej szyi nieeleganckiego dowodu nowego statusu, jaki zyskało jej życie osobiste. - Byłeś w jakimś fajnym miejscu?

- Na Majorce - odparł.

- Tak jak Imogen! - wykrzyknęła radośnie Ruby, zupełnie jakby nie wiedziała, że są razem.

Flett popatrzył na nią zmrużonymi oczami.

- Dobra była pogoda? - spytała.

- Fantastyczna - mruknął i po raz pierwszy w życiu Ruby zauważyła, że on naprawdę robi coś dziwnego z językiem, kiedy jest wzburzony. Martin miał rację. To było okropne! Musiała zagryźć wargę, żeby nie roześmiać się na głos.

- Musimy jeszcze spotkać się na parę minut, kiedy przygotujesz wszystko co trzeba do akcji w szkołach - powiedział Flett. - Ładny naszyjnik - dorzucił, idąc w ślad za swoim zespołem do wyjścia.

- Na drzewo - syknęła Ruby przez zęby i, bezpiecznie skryta za szafą z aktami, pokazała mu palec.

- Ruby! Możemy zamienić dwa słowa?

Szybkim krokiem zbliżał się jej szef, Alan Hollingworth. Ruby automatycznie załapała się rumieńcem i zaczęła nerwowo poprawiać swoje ohydne plastikowe paciorki.

- Chcę z tobą pogadać o twoim stylu działania w kampanii Barringtona - ciągnął.

Cała głowa Ruby była momentalnie tak czerwoną, jak malinka na jej szyi.

- Janie miałam zamiaru... - wyjąkała, mając namyśli swój spontaniczny gest. - Ale wiesz, jak to jest... To nieprofesjonalne, wiem, aleja...

- O co chodzi, Ruby? - spytał Alan. Grzebał w pliku papierów, który niósł ze sobą, szukając czegoś, co zamierzał jej dać.

- O nic - zakaszła. Może niczego nie zauważył? Istotnie.

- Chciałem ci po prostu powiedzieć, że jestem pod wrażeniem, jeśli chodzi o twoje ostatnie wyniki - wyjaśnił. - Wiem, że czułaś się zawiedziona, ponieważ nie dostałaś w zeszłym roku kampanii Two-Faced, i pewnie się zastanawiałaś, czemu na Boga masz podnosić wyniki sprzedaży czegoś tak nudnego, jak te małe srebrzyste kuleczki, ale jeśli chodzi o moje zdanie, to poradziłaś sobie znakomicie.

Ruby potrafiła jedynie skinąć głową. - I profesjonalnie - dodał. - Wiedziałem, że podołasz temu wyzwaniu. Potrzebujesz, żeby cię podciągać.

- Dziękuję - zdołała wykrztusić Ruby.

- Rzecz jasna, nie jest dla mnie tajemnicą sytuacja, jaka miała miejsce między tobą a szefem Barringtona - ciągnął Alan.

- Muszę powiedzieć, że odradzałbym wchodzenie w tak ściśle osobiste związki z klientami, ale, biorąc pod uwagę okoliczności, zachowałaś się w tej sprawie z ogromną godnością. (Alana nie było w pracy w dniu, kiedy Ruby, rycząc, ośliniła i osmarkała Liz Hale i praktykantkę). I dojrzałością, która jest dowodem, jak daleko zaszłaś od czasu, gdy przed laty zaczynałaś u nas swoją karierę jako stażystka po studiach.

- Dziękuję - Ruby znów zakaszła.

- Myślę, że pora już, żebyś zaczęła grać w Hollingworth PR jeszcze bardziej znaczącą rolę niż dotąd - oznajmił, wręczając jej w końcu nieco teatralnym gestem papier, którego szukał.

- Ruby, chciałbym, żebyś pojechała do Denver.

- Do Denver?

Papier wyjaśnił jej szczegóły. Międzynarodowa Grupa KFC RPM, do której dołączyła ostatnio firma Hollingworth PR, organizowała doroczną konferencję w Denver, w stanie Kolorado.

- Ja głosowałem za Florydą albo Las Vegas - powiedział Alan. - Ale prezes życzył sobie, żeby konferencja odbyła się na tym zadupiu, bo zaraz potem wyskoczy w Góry Skaliste.

- Denver? - powtórzyła jeszcze raz Ruby.

- Nie będziesz musiała robić nic szczególnego. Po prostu przejedziecie się z Mary. - Alan niesłusznie zinterpretował wyraz przestachu na twarzy Ruby jako tremę zawodową. - Musiałabyś wylecieć do Stanów w sobotę rano. Greta da ci plan konferencji. Po prostu jedź i zrób tak, żebyśmy w Hollingworth byli z ciebie dumni.

Poklepał ją po ramieniu.

- Wśród firmowej starszyny są tacy, którzy uważają, że brakuje ci tego czegoś - powiedział. - Ale ja wiem, na co cię stać. Jesteś naszą wschodzącą gwiazdą, Ruby. A teraz jedziesz do Denver. To jest coś... Sam bym pojechał, ale w poniedziałek rano muszę być w Paryżu. Denver... Pewna różnica w porównaniu z weekendem w Londynie, co? - zapytał i poszedł.

Ruby stała na korytarzu, tam gdzie ją zostawił, usiłując złapać dech.

Denver. O Boże...

Trochę później tego dnia Ruby wpatrywała się w bilety lotnicze, jakie dostała na podróż, jakby to była przepustka w przestrzeń kosmiczną. Plan mającej się odbyć w przyszłym tygodniu konferencji menedżerów Międzynarodowej Grupy KFC RPM Inc. przewidywał codziennie wiele pasjonujących seminariów i warsztatów pracy zespołowej. Z wyjątkiem niedzieli. Grafik niedzieli składał się z dwu słów: Czas wolny.

- Co ja mogę robić w niedzielę? - spytała Ruby Mary.

- Co chcesz - zbyła ją Mary. - Ja pewnie będę leczyć kaca.

- Gdzie jest nasz hotel?

- W samym środku Denver. Możesz wyjść i pozwiedzać to i owo. Poznać jakichś kowbojów...

Ruby nie miała ochoty poznawać żadnych kowbojów. Niemniej okazja spotkania z innymi mieszkańcami Kolorado, którzy zdążyli już się jej przedstawić, nie uszła bynajmniej jej uwagi. Kiedy Mary wyszła z jej pokoju, Ruby otworzyła górną szufladę biurka i wyjęła z niej bladobłękitną kopertę ze znaczkiem Kolorado.

Następnie weszła do Internetu i otworzyła stronę www.mapquest.com. No tak, Boulder leżało w Kolorado i Denver tak samo, ale Ameryka była spora... Z

jakiegoś strzępka informacji zaczerpniętego z cotygodniowego quizu w pubie Ruby wiedziała, że sama Kalifornia ma na długość niemal tyle, co całe Zjednoczone Królestwo, od Land's End do John O'Groats. A Colorado jest większe niż Kalifornia, tak czy nie? To, że Hollingworth wysyła ją do Denver, nie musi automatycznie oznaczać, że będzie jej łatwo dostać się do Boulder, kiedy znajdzie się na miejscu. Czy że w ogóle będzie to możliwe... Obie miejscowości mogą dzielić tysiące mil.

Wstukała adres hotelu, w którym miała odbyć się konferencja, a następnie adres Barkerów w Boulder. W parę chwil później ukazała się strona ze starannie naszkicowaną niewielką mapką, na której naniesione były odległości między poszczególnymi miastami. Ruby zamrużyła ze zdumieniem, nie wierząc własnym oczom. Wprowadziła dane jeszcze raz, żeby sprawdzić, ale pokazał się ten sam wynik. Zaledwie dwadzieścia kilometrów będzie ją dzieliło od człowieka, który jest, być może, jej dawno utraconym bratem... Dwadzieścia kilometrów! W warunkach amerykańskich to tyle co nic. To tak jakby odwiedzić znajomych w Battersea, kiedy mieszkasz w Brixton. Wyprawa na jeden dzień. Albo nawet taka, którą możesz bez skrępowań podjąć, żeby spędzić w czyimś towarzystwie nie więcej niż godzinę.

Tego popołudnia miała przygotować dla Fletta sprawozdanie z zebrania z zespołem Barringtona, ale sprawozdanie poszło w ką, ponieważ myślała o czekającej ją podróży. Czy ten niezwykle zbieg okoliczności to sposób, w jaki siła wyższa daje jej znać, że powinna skontaktować się z Nathanielem Barkerem i jego żoną? Sprawdziła z pół tuzina stron z horoskopami w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Pogryzła w drzazgi plastikowy długopis. Zabazgrała bezmyślnie stos karteczek samoprzylepnych. Spróbowała zadzwonić do Roberta. Nie było go w biurze.

Nie mając nikogo, kto mógłby ją powstrzymać, zaczęła pisać szkic e-maila. Lepiej wyrażać się mgliście, zdecydowała.

Od: Ruby.Taylor@Hollingworthpr.co.uk

Do: RosaliaBarker@earthlink.net

Temat: Geraldine Barker

Droga Rosario!

Dziękuję za list na temat Geraldine Barker, która była przyjaciółką mojej rodziny w czasach, gdy mieszkała w Greenwich. Ja także odtwarzam historię mojej rodziny i liczyłam, że pani teściowa potrafi uzupełnić niektóre istniejące w niej luki. Zdziwiającym zbiegiem okoliczności wyjeżdżam w przyszłym tygodniu na konferencję do Denver. Zamieszkam w Denver Best Hotel od soboty aż do następnego wtorku. Jeśli byłoby to dogodne dla pani i pani męża, chętnie

skorzystałabym z okazji pobytu w waszym stanie i odwiedziła państwa. Może w niedzielę po południu?

Z niecierpliwością czekam na odpowiedź.

Pozdrawiam serdecznie

Ruby Taylor

Przyjaciółka rodziny? To mało wiarygodne... Ruby uznała jednak, że ma cały tydzień na wymyślenie bardziej przekonującej historii na temat powodów, dla których zamieściła ogłoszenie.

Tymczasem Rosalia Barker odpisała jeszcze tego popołudnia, zanim Ruby wyszła z pracy.

Od: RosaliaBarker@earthlink.net Do: Ruby.Taylor@Hollingworthpr.co.uk

Temat: Geraldine Barker Droga Ruby!

Coś takiego! Naturalnie, że z radością się z panią spotkamy. Zapraszamy panią w niedzielę po południu na herbatę. Przyrządzamy ją po angielsku! Nasz dom znajduje się niezbyt daleko od centrum Boulder. Z Denver dojedzie pani bardzo szybko. A może my moglibyśmy przyjechać po panią?

Proszę zadzwonić, gdy tylko zainstaluje się pani w hotelu.

Czekamy z niecierpliwością na spotkanie! Pozdrawiam serdecznie

Rosalia Barker (i Nat - chociaż chciałabym, żeby pani wizyta była dla niego niespodzianką!)

- Niespodzianką? - Lou, przeczytawszy wydruk e-maila, przygryzła wargę. - Och, Ruby... Nie powiedziałaś jej?

Ruby potwierdziła jej domysł i czekała na kolejne westchnienie.

- Robert uznał, że powinnam tak zrobić - dodała łagodząco.

- Czy Robert wie, co tak naprawdę masz zamiar zrobić? - spytała Lou.

ROZDZIAŁ 24

W piątek wieczorem Robert ze znużeniem grzebał widelcem w sałatce, podczas gdy Ruby referowała mu swoje plany i obawy w związku z czekającą ją podróżą.

- Nie smakuje ci? - spytała, kiedy w końcu odsunął talerz na środek stołu.

- Och, nie - powiedział. - Jest cudowna. Po prostu...

- Nie wiem. Może to ta kanapka z krewetkami, którą zjadłem na lunch. Jakoś tak mi gorąco.

- Och, Robercie! - Ruby odruchowo wyciągnęła rękę przez stół, żeby sprawdzić, czy Robert nie ma gorączki, ten jednak uchylił się. - Poprosić kelnera, żeby przyniósł ci szklankę wody?

- Nie... Wiesz co, chyba lepiej pójdę do domu - powiedział.

Ruby miała wrażenie, że zapada się w sobie z rozczarowania.

- Poczekaj... Może mam w torebce tabletkę aspiryny.

- Ruby - Robert przerwał jej gorączkowe grzebanie w podróbce Kate Spade - nie sądzę, żeby mi wystarczyła aspiryna. Muszę pójść do domu i położyć się do łóżka.

Ruby spojrzała na niego spod rzęs i przygryzła kokieteryjnie wargę.

- Sam - dodał. - Tylko tym razem.

- Hm - zachnęła się Ruby. - Aleja wylatuję jutro rano.

- Wiem. Ale jeśli to nie jest zatrucie pokarmowe, tylko coś w rodzaju grypy z objawami żołądkowymi, która krąży od jakiegoś czasu - ciągnął Robert - to bardzo bym nie chciał zarazić cię tej nocy i doprowadzić do tego, że będziesz musiała odwołać lot.

Ruby skinęła głową.

- Co?

- Wiem, jak ważny jest dla ciebie ten wyjazd do Chicago.

- Do Kolorado - poprawiła go Ruby. Naprawdę musiał być chory...

Robert wezwał kelnera.

- Możesz pójść sama do metra? - spytał. - Mam zamiar wskoczyć do taksówki i pojechać prosto do domu.

- Jasne, dam sobie radę - odparła Ruby. - Chyba i ja pójdę dziś wcześniej spać.

- Żeby mieć odpowiednio dużo energii następnym razem. Ruby spłonęła.

Wlokła się markotnie w kierunku Leicester Square. Popatrzyła na zegarek. Jasne, nie jest to winą Roberta, że zachorował, ale tak potrzebowała jego obecności dziś wieczór... Chciała mieć obok siebie kogoś, kto by ją przekonał, że pomysł, by wpaść do Barkerów, nie jest najgorszym pomysłem od czasów

Sinclaira C5, a Robert wydawał się jedyną osobą, która nie miała żadnych zastrzeżeń. Zarówno Martin, jak i Lou odnosili się do tego przedsięwzięcia z powątpiewaniem. No, ale obiecali być z nią, cokolwiek zdecyduje...

Wyciągnęła komórkę i wysłała Lou SMS-a.

Co robisz?

W chwilę później dostała odpowiedź. Lou była w Holborn z kilkorgiem ludzi z biura. Może by Ruby do nich dołączyła? Rzeczywiście, czemu by nie? Zawróciła i ruszyła w przeciwnym kierunku. Po drodze musiała przejść jeszcze raz koło Caruso. Przebijając się przez tłum przechodniów, znów poczuła się lekka od przepelniającego ją szczęścia. Na widok szyldu Caruso powiewającego na wieczornym wietrzyku nie mogła powstrzymać się od myśli, jak to będzie wspaniale, kiedy któregoś dnia opowie swoim dzieciom o tych pierwszych randkach z Robertem.

„Tata i ja poznaliśmy się poprzez ogłoszenie w rubryce samotnych serc. Naszą szóstą randkę spędziliśmy w Caruso. Wiedziałam już wtedy, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Byłam zakochana w jego oczach, ustach, jedwabistych ciemnych włosach, dużych, silnych dłoniach, które...”

...które nawet teraz ścisnęły ręce jakiejś obcej blondynki. Ruby nie dowierzała własnym oczom. Przez chwilę szła dalej, przekonana, że ulega złudzeniu, a następnie stanęła przed ogromną szklaną taflą okna restauracji Caruso i patrzyła. Robert siedział na prawo od wejścia, dokładnie przy tym samym stoliku, który on i Ruby opuścili niecałe dwadzieścia minut temu, i obejmował dłońmi niewątpliwie przepięknie wymanikiurowane ręczki dosyć atrakcyjnej blondynki.

- Robert???

Ruby stała z otwartymi ustami, niczym wyrzucona na piasek ryba. Co robić? Zastukać w szybę? Przejść obok, udając, że niczego nie zauważyła? Przecież podobno był chory... Okłamał ją? Kim na Boga jest ta dziewczyna?

Zanim jednak zdążyła cokolwiek zrobić. Robert zwrócił głowę ku oknu, by podziwiać własne odbicie, i podskoczył niczym Makbet na widok ducha Banka.

- Słuchaj, wiem, że to nie wygląda dobrze - zaczął. Ruby skinęła głową.

- Nie mam zamiaru cię okłamywać.

- Dziękuję - powiedziała. - Rzeczywiście, nie kłam.

- Szedłem do domu, żeby wziąć coś na żołądek - zaczął - ale kiedy dochodziłem już do postoju taksówek, zdałem sobie sprawę, że zaczyna mi być lepiej.

- I...

- Isobel też stała na postoju. To wyłącznie zbieg okoliczności. Nie widziałem jej całe wieki i głupio by było nie wpaść na drinka i nie pogadać, no a w tym czasie znów zdążyłem zgłodnieć, no więc przyszliśmy tutaj.

Ruby skinęła głową.

- Isobel? A więc tak ma na imię... Mogę ją poznać?

Przez cały czas, gdy Robert jej to wszystko wyjaśniał, Isobel patrzyła ze złością na Ruby, jakby to ona z nich dwu była tą, która ma prawo okazywać wściekłość. Kiedy Robert to zauważył, ujął Ruby delikatnie za łokieć i odprowadził nieco na lewo, pod drzwi wejściowe, tak żeby nie było ich widać przez okno.

- Tu przynajmniej nie zmokniemy - powiedział.

- Nie zmokniemy, jeśli wejdziemy do środka - Ruby zakaszła lekko ze zdenerwowania. - Czy ja nie mogę poznać twojej koleżanki? Mogę dołączyć do was na deser.

- Wiesz co, kochanie - zagruchał Robert - może innym razem. Z miłą chęcią poznałbym cię z Izzy, ale w tej chwili ma trochę kiepski humor. Właśnie rozstała się ze swoim narzeczoną. Okropny facet... Zostawił ją dla innej na niespełna miesiąc przed ślubem. Mówimy właśnie o tym, jak mogłaby odzyskać trochę pieniędzy, które zdążyła wydać na przygotowania do wesela. Nie chciałbym świecić jej w oczy naszym szczęściem właśnie teraz... Rozumiesz, prawda?

Co innego mogła zrobić Ruby, niż skinąć głową?

- Przed chwilą płakała i rozmazał się jej makijaż - ciągnął Robert.

- Nie zauważyłam, żeby jej się rozmazał.

- No właśnie - przytaknął gładko Robert. - To samo i ja jej mówiłem. Powiedziałem: „Izzy, wyglądasz naprawdę bez zarzutu. Nikt nie zauważy, że płakałaś”. A ona na to: „Robbo, nie mogę się teraz nikomu pokazywać. Czuję się taka krucha po tym, co zrobił mi Toby”. Ja zaś uważam, że poznawanie nowych ludzi doskonale by jej zrobiło. Ale wiesz, jakie są niektóre kobiety...

- Wiem - znów skinęła głową Ruby.

- To co, zadzwonię do ciebie jutro, dobrze? - Robert pocałował ją w policzek i zaczął się zbierać do odejścia.

- Dobrze - zgodziła się Ruby. - Przed dziesiątą. O dziesiątej mam samolot, pamiętasz? Słuchaj, ale jesteś pewien, że nie powinnam wejść choćby na kawę? Nie chcę, żeby pomyślała, że chodzisz z jakąś lunaticzką. Tak okropnie na nią spoj rżałam, kiedy zobaczyłam was we dwoje przy stoliku... Chciałabym się jakoś wytłumaczyć.

- Ja sam jej wszystko wyjaśnię. I niedługo zorganizuję wam spotkanie w bardziej odpowiednim czasie. Jestem pewien, że świetnie się dogadacie - dodał. - Jak pieseczek z koteczkiem.

- One się raczej marnie dogadują - zauważyła Ruby.

- Wiesz, co mam na myśli. - Robert z niejaką niecierpliwością obejrzał się na drzwi restauracji. - Słuchaj, może lepiej już pójdę. Nie chcę, żeby zaczęła płakać kelnerowi w klapy.

- No jasne - powiedziała Ruby.

- Jesteś księżniczką wśród kobiet - rzekł Robert. - Mało jest dziewczyn, które w podobnej sytuacji byłoby stać na taką wyrozumiałość.

- To prawda - mruknęła Ruby.

- No to dobrze, moja słodka. Zadzwoń. I będę tęsknić za tobą jak cholera, kiedy pojedziesz do Kalifornii.

- Do Kolorado - poprawiła go Ruby po raz kolejny. Robert pocałował ją namiętnie w usta i odszedł.

Ruby stała w drzwiach wejściowych, do których ją przed chwilą doprowadził, i ze zmarszczonymi brwiami myślała o tym, co jej powiedział. To niewątpliwie dosyć dziwny stan rzeczy... Ruby nie uważała, że jest tak wytracona z równowagi, iż nie będzie stać jej na zwykłą uprzejmość wobec partnerki jednego ze znajomych. No, ale może ona rzeczywiście jest wyjątkowa... A choć została zdradzona w każdy najgorszy sposób, jaki tylko można sobie wyobrazić - począwszy od Andy'ego Squiresa w wieku dwunastu lat, który poinformował, że z nimi koniec, całując się na jej oczach z jej najlepszą przyjaciółką na szkolnej dyskotecie, a skończywszy na cholernym niedawnym e-mailu Fletta - nigdy jednak nie została porzucona tuż przed ślubem. Czy można sobie wyobrazić ten ból? To upokorzenie, kiedy trzeba zadzwonić do każdego z zaproszonych gości, żeby powiedzieć, że wesele odwołane? Ten wstyd, kiedy trzeba unieważnić listę ślubnych prezentów u Petera Jonesa?

W takiej sytuacji, musiała przyznać Ruby, też by chyba nie miała ochoty rozmawiać z kimkolwiek oprócz najbliższych przyjaciół. Spójrzmy prawdzie w oczy: pewnie by nawet nie miała siły wstać z łóżka... Robert miał rację - Isobel potrzebuje czasu, żeby wrócić do równowagi. Będą jeszcze miały mnóstwo okazji, żeby się poznać, w ciągu tych wszystkich tygodni - a może i lat, jak skrycie marzyła - jakie mają przed sobą z Robertem.

To prawda. Ale przecież nic się chyba nie stanie, jeśli zajrzy tylko przez drzwi i powie „cześć”? Nie będzie zamawiać kawy. Nawet nie usiądzie... Po prostu nie

chce, żeby Isobel myślała, że jest jakąś superzazdrosną wariatką, która zabrania swojemu chłopakowi widywać się ze starymi koleżankami.

Uspokój się, podpowiadało sumienie. Czy nie zachowujesz się właśnie tak jak superzazdrosne wariatki?

Ale ja nie będę mogła zasnąć, jeśli nie dam jakoś poznać Isobel, że nie jestem na nią zła za to, że spędził z nią trochę czasu. Rzuciłam jej takie ohydne spojrzenie, kiedy zobaczyłam ich razem w knajpie... Muszę jej wyjaśnić...

Robert doskonale może jej to wyjaśnić sam, powiedziało sumienie.

Faceci nigdy nie pamiętają o takich rzeczach, nie rezygnowała Ruby. Nie wyjaśni sprawy jak należy i dziewczyna powźmie o mnie okropne wyobrażenie. Nie chcę, żeby ktokolwiek z jego znajomych mnie nie lubił.

Ona nie ma ochoty się z tobą w tej chwili spotykać.

Aleja wcale się nie będę obnosić z tym, co nas łączy z Robertem, i dołować jej, że znowu jest sama. Przecież byłam w takiej sytuacji tyle razy... Po prostu wejść, przedstawię się i wyjdę. Może nawet rozweseliłoby ją, gdyby usłyszała, w jaki sposób rozstaliśmy się z Flettem? Mogłabym jej opowiedzieć o Pakcie Samotnych Serc. Pewnie by uznała, że to okropnie śmieszne... Ja wiem, jak pocieszyć dziewczynę, którą rzucił chłopak, podsumowała Ruby. Robert będzie pewnie wstawiał jakieś wytarte gadki... A to, czego naprawdę potrzeba porzuconej dziewczynie, to dowody, że to nie koniec jej osobistego życia. Złamane serce goi się po jakimś czasie. Ja jestem tego dowodem.

Skoro naprawdę ci na tym zależy..., powiedział cichutko wewnętrzny głosik.

Wiem, że naprawdę zależy mi na tym, żeby zobaczyć go jeszcze raz przed odlotem do Stanów. Ruby wzięła głęboki oddech i wyszła z cienia. Cześć, Isobel. Tyle o tobie słyszałam! - spróbowała przećwiczyć pierwsze zdanie, jakie wypowie na powitanie. Nie. Oparła się z powrotem o ścianę. To nie tak.

Przez pięć minut ćwiczyła powitalną kwestię, zanim wreszcie odważyła się ponownie podejść do drzwi. Robert i Isobel zdążyli jednak do tego czasu wyjść i pospieszyć w przeciwną stronę, do metra. Kiedy, zajrzawszy do środka, stwierdziła, że już ich nie ma, zobaczyła tylko w ostatniej chwili blond włosy Isobel, gdy znikali z Robertem za rogiem.

Szef sali odwrócił tabliczkę na drzwiach, zmieniając napis z Otwarte na Zamknięte.

Na drugim końcu miasta Lou siedziała wraz z grupą ludzi z pracy w ciemnym, lekko szmatławym nocnym klubie. John Simpson, redaktor, który obudził kiedyś na krótko nadzieje Ruby, że nie wkroczy w trzecią dekadę w stanie wolnym, odchodził z Piper Publishing, by podjąć pracę u konkurencji. Tego wieczoru odbywała się impreza pożegnalna, choć Lou i Erica bynajmniej nie żałowały

jego odejścia. Przeciwnie, nie mogły się już doczekać, która z nich zajmie jego pokój z widokiem na leniwie toczącą swe brunatne wody Tamizę.

Lou z zasady balowała na takich nocnych imprezach, dopóki nie osiągały one punktu, w którym towarzystwo postanawiało pójść do klubu. Prawie nigdy się to nie udawało. Po mękach podzielenia w pizzerii rachunku na dwanaście ktoś zazwyczaj wydawał okrzyk: „Idziemy potańczyć!” i cała grupa zaczynała włączyć się uliczkami Soho niczym potwór o dwunastu głowach, wynajdując powody, by nie iść do tego (za drogo) czy tamtego (jestem w adidasach, nie wpuszczą mnie) klubu. Tego wieczoru jednak jakimś cudem ośmioro ludzi zdołało się porozumieć co do klubu o nazwie Poptarts, mieszczącego się w zionącej stęchlizną piwnicy tuż przy Oxford Street, i pomimo niezbyt modnych kreacji i przybrudzonych adidasów, wszystkich ośmioro jakimś cudem wpuszczono do środka.

W tej chwili Lou była w toalecie, czekając, aż zwolni się kabina. Nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok trzech dziewczyn, które wyszły zza jednych drzwi, ostentacyjnie wycierając nosy. Obserwowała je w lustrze, gdy sprawdzały sobie nawzajem nozdrza na obecność amfy, którą wachały za bojlerem.

- Ale masz białego gluta! - pisnęła jedna z nich. - Nie zmarnuj go - dodała - to jedyny glut, jakiego należy połknąć.

Druga z dziewczyn poszła za radą koleżanki, przy akompaniamencie pełnego obrzydzenia pisku trzeciej.

Wtem Lou zdała sobie sprawę, że nie jest jedyną osobą, która obserwuje trzy dziewczyny, kpiące z własnej demoralizacji. Jej spojrzenie powędrowało ku odbiciu innej, nieco starszej kobiety, o krótkiej blond fryzurze w pasemka, najwyraźniej zrobionej u drogiego fryzjera. Przerwała malowanie ust i przysłuchiwała się bezsensownej paplaninie tamtej trójki. Nie trzeba było wiele czasu, by blondynka uchwyciła spojrzenie Lou. Popatrzyła na Lou dosyć śmiało i uśmiechnęła się w sposób przyjazny, ale równocześnie niemal wyzywający. Lou nerwowo przegarnęła dłonią włosy. Blondynka sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar coś powiedzieć, gdy wtem do toalety wpadła Erica.

- O, jesteś - powiedziała z wyraźną ulgą. - Wszędzie cię szukam. Nie wytrzymam dłużej tego łomotu. To się nazywa muzyka? Ta dzisiejsza młodzież... Czy my się starzejemy, Lou? Może byśmy wzięły do spółki taksówkę, co ty na to? Możemy... - Erica przerwała i z otwartymi ustami odwróciła się powoli niczym czujny jelen, który wyczuwa skradającego się z tyłu drapieżcę. Elegancka blondynka przelotnie spojrzała na przyjaciółkę Lou, wrzuciła szminkę do torebki i, wciąż z lekkim uśmiechem na ustach, tak jakby usłyszała bardzo intymny żart, odwróciła się od lustra.

- Co jej jest? - zapytała półgłosem Erica, kiedy kobieta wyszła z łazienki, stukając nadzwyczaj wysokimi obcasami. - Widziałas, jak na ciebie patrzyła? Słowo daję, wszyscy tu mają nie po kolei w głowie w tym miejscu. Szukają zaczepki. Albo może wpadłaś jej w oko! - Erica wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Bierzemy taksówkę - powiedziała Lou, wznosząc oczy do nieba na tę sugestię.

Kiedy wracały taksówką do północnej części Londynu, Erica była pijana i rozmarzona.

- Jeśli spotykasz kogoś, kto jest ucieleśnieniem twoich snów, twoją połówką jabłka - powiedziała - wówczas jest twoim obowiązkiem iść za nim. Bez względu na koszty. Bez względu na to, co inni mogą o tobie pomyśleć.

- Brzmi to tak, jakbyś mówiła na podstawie własnego doświadczenia - zauważyła Lou.

- Bo tak jest - westchnęła Erica. - Moja najlepsza przyjaciółka z college'u wyszła za człowieka, który był miłością mojego życia.

- Żartujesz.

- Chciałabym, żeby to były żarty... - Nigdy mi nie mówiłaś.

- Bo trudno mi o tym mówić. Dwa lata temu poprosili mnie na chrzestną matkę swojej pierworodnej. W czasie chrztu, mogłam myśleć jedynie o tym, że to ja powinnam mieć jego dziecko.

- I rozstępy, i hemoroidy, i żylaki - dorzuciła Lou.

- Daj spokój. Warto zapłacić taką cenę... Tak czy owak, później jakoś przestaliśmy się kontaktować, no i ostatnio dowiedziałam się, że chodzą do psychologa od terapii małżeńskiej.

- O! - Lou nie wiedziała, co na to powiedzieć.

- Teraz już za późno. Powinnam była mu zrobić kosmiczną scenę, kiedy tylko Shelly powiedziała mi, że się nim interesuje. Oszczędziłabym cierpienia im obojgu. Na świecie pełno jest ludzi, którzy lądują u boku niewłaściwej osoby... Czasami mam ochotę strzelić sobie w łeb, jak pomyślę, że Shelly dostała faceta, za którego ja powinnam wyjść, a w tym samym czasie jakaś nieszczęsna istota w innym punkcie Londynu zaczyna mieć po uszy swojego małżonka, który jest tym prawdziwym wymarzoną mężczyzną Shelly. A wszystkie te happy endy na opak zdarzają się dlatego, że nikt nie ma odwagi powiedzieć, czego naprawdę chce, kiedy przychodzi na to pora. Zaryzykować czyjejs dezaprobaty. Dać szansy miłości...

Obie dziewczyny zapatrzyły się przed siebie, pod wrażeniem wypowiedzianych przez Erikę słów.

- No więc właśnie - podjęła po chwili Erica. - Jeśli znalazłaś kogoś takiego, Lou, to jest twoim obowiązkiem zadbać o to jak należy. Zrobić wszystko, co możliwe, żebyście byli razem. Bo jak nie zrobisz, to możesz skazać na cierpienie i życie bez miłości nie tylko siebie.

- Gloucester Crescent - powiedział mruklawie taksówkarz.

- No, to jesteśmy - Erica otworzyła drzwiczki i niemal wypadła na chodnik. Wepchnęła Lou do ręki dziesięć funtów. - Wystarczy na pokrycie mojego udziału?

- Chyba tak.

- Pamiętaj o tym, co powiedziałam - podsumowała Erica. grożąc Lou palcem. - Jeśli czujesz, że Andrew jest tym jedynym, to na miłość boską, nie zmarnuj swojej szansy. Zaciągnij go przed ten cholerny ołtarz. Dla dobra was obojga.

- Jasne, jasne. Do zobaczenia w poniedziałek - uśmiechnęła się Lou. Znow zapadła w głębie czarnego siedzenia i patrzyła na własne odbicie we wstecznym lusterku, zastanawiając się, co takiego mogła w niej dostrzec blondynka w klubowej toalecie.

RS

ROZDZIAŁ 25

Martin miał nadzieję, że Ruby robi rzecz słuszną. Wysłuchał jej argumentów, dlaczego podejmuje tę pielgrzymkę do Boulder, i wydawał w odpowiedzi należyte pomruki, ale nic nie mógł poradzić na to, że po cichu myślał, iż pewne rzeczy powinny pozostać zamkniętą przeszłością. Trudno mu było sobie wyobrazić, by jego przyjaciółka mogła przywiązać się do kogoś, kogo dotąd w ogóle nie znała, ale równocześnie czuł, że wynik tego spotkania, obojętne jaki będzie, nie minie dla Ruby bez śladu.

Najbardziej martwiło go to, że kobieta, która odpowiedziała na ogłoszenie w „Timesie”, wciąż nie wiedziała, kim Ruby naprawdę jest i dlaczego tak się pali do spotkania z nią i jej mężem. Organizując spotkanie, Ruby użyła mglistego wyrażenia „przyjaciółka rodziny”. W wyobrażeniu Rosalii Barker udział w konferencji public relations był głównym celem podróży Ruby. Herbatka na Cherry Hills Drive miała być zaledwie interesującą wycieczką, dodatkiem do uprzednio zaplanowanej podróży.

Zarówno Martin, jak i Lou wyrazili opinię, że Ruby nie powinna pokazywać się w domu Rosalii, nie napisawszy uprzednio jeszcze jednego listu, w którym wyjaśniłaby bez żadnych niedomówień możliwe związki między nimi. To byłoby bez wątpienia rozsądniejsze, prawda? i uczciwsze. Ale Ruby się uparła.

- To nie jest coś, o czym mogę pisać w e-mailu - tłumaczyła.

Nawet kiedy Ruby zadzwoniła już z lotniska, Martin podjął jeszcze jedną próbę przekonania jej, że powinna działać rozważnie. Może nawet wysłać liścik z hotelu, podsunął pomysł. Ale Ruby była nieugięta. Powtarzała swój pogląd niczym mantrę: „Taką sprawę można załatwić tylko bezpośrednio, twarzą w twarz”. Tak jak zerwanie, pomyślał Martin.

No cóż, podobne rzeczy zdarzają się w filmach. Rozdzieleni od dawna krewni znów po latach padają sobie w ramiona wśród łez szczęścia i radosnych okrzyków niedowierzania... Marnotrawna córka powraca, by spełnić kielich szampana... A jednak nie mógł się pozbyć jakiegoś niepokojącego przeczucia, które stało się jego nieodłącznym towarzyszem od czasu, gdy obiecał, że będzie dbał o pnąca Ruby i życzył jej szczęśliwej podróży z Heathrow. Z rodziną dobrze wychodzi się na zdjęciu... Sam fakt, że ktoś ma takie same geny jak ty, wcale nie oznacza, że będzie cię lubił. Ostatecznie Martin coś niecoś o tym wiedział.

Ruby była w połowie drogi przez Atlantycką, kiedy ją tknęło, że może popełnić jeden ze swoich kolosalnych firmowych błędów. Mary chrapała obok niej w

klasie biznesowej. Bała się latać i zaczęła dudlić szampana jeszcze na lotnisku, w poczekalni.

- Wystarczy zmieszać dobre pół butelki z paroma tabletkami nasennymi - powiedziała - i podróż przez Atlantyki masz z głowy.

Ruby nie skorzystała z jej propozycji, by i ona poczęstowała się paroma głupimi Jasiami. Powiedziała, że chce się cieszyć przygodą i wyglądać przez okno na świat, rozciągający się sześć kilometrów poniżej. Ale zdążyli minąć Grenlandię, a Ruby już pożałowała, że nie poszła za radą Mary. Filmy, jakie wyświetlano w czasie podróży, dawno straciły jakikolwiek urok. Nic nie mogło odwrócić jej uwagi od pełzającego strachu, że robi coś absolutnie niewłaściwego.

Ruby nie pamiętała momentu, w którym rodzice powiedzieli jej, że została adoptowana. Miała wrażenie, że wiedziała o tym od zawsze, tak jak wszystkie inne dzieci w szkole wiedziały, że wyszły mamie z brzucha przez pępek. Dobrze pamiętała jednak dzień, w którym jej klasa poznała prawdę. Wychowawczyni, panna Mayfield, opowiadała im o pewnej szkole w Afryce. Plan był taki, żeby „zaadoptować” tę szkołę, wysyłając biednym dzieciom na Boże Narodzenie stare zabawki i książki. Elaine Roberts spytała, co to znaczy „zaadoptować”, a panna Mayfield, ze znanych tylko sobie powodów, uznała, że najlepiej będzie wyjaśnić to na przykładzie Ruby.

Wszystkie dzieci pootwierały usta ze zdumienia, kiedy panna Mayfield powiedziała, że „prawdziwa mama i tata Ruby” zdecydowali, że nie mogą się nią zajmować, i postanowili oddać ją komuś, kto będzie mógł. I choć bardzo się starała, by wyjaśnić, że teraz Ruby jest „prawdziwym dzieckiem” Taylorów, nie minęło południe, a już Elaine Roberts przezwala Ruby bękartem i powiedziała że tylko patrzeć, a z domu dziecka przyjdą, żeby ją odebrać.

Parę kolejnych dni było piekłem. Ruby marzyła, by rodzice rozwiali jej lęk i zapewnili, że w domu dziecka nie ma dla niej miejsca, ale nie potrafiła poruszyć tego tematu. Na trzeci dzień wieść dotarła do klasy Lindsay. Kieran Pope powiedział Lindsay, że Ruby nie jest jej prawdziwą siostrą. Pięść Lindsay wylądowała na jego szczęce. Obie siostry Taylor zostały odesłane do domu.

Matka posadziła wtedy Lindsay w kuchni przy stole i opowiedziała wszystko co trzeba o adopcji. Stała się ona tak dalece naturalnym faktem z życia państwa Taylorów, że zapomnieli wprowadzić w sprawę swoją starszą córkę.

Ruby czekała w salonie. Nawet wtedy instynktownie spodziewała się odrzucenia przez Lindsay. Sądziła, że starsza siostra odwróci się i powie, że nie chce jej więcej mieć w rodzinie. Ruby była kukułczym jajkiem. Zajmowała

przestrzeń, która się jej nie należała... Ale wszystko potoczyło się zupełnie inaczej.

Kiedy Lindsay przetrwała wszystko, co usłyszała od matki, powiedziała, że po prostu ulżyło jej, że nikt nie przyjdzie i nie odbierze jej siostry. Poszła na górę bawić się swoją lalką Sindy i nigdy więcej nie wspominała o tym incydencie. Ruby była jej siostrą i już. I będzie nią zawsze. I to wszystko, jeśli chodzi o rodzinę Taylorów.

Między innymi z tego powodu Ruby, lecąc teraz przez Atlantyk, czuła się jak śmieć. Tego ranka, oczekując w holu klasy biznesowej na wezwanie do wchodzenia na pokład, zadzwoniła do rodziców z zamiarem powiedzenia im, co ma zamiar zrobić, kiedy będzie na konferencji w Denver. Ale żaden moment nie wydawał się jakoś właściwy. Pani Taylor martwiła się o Lindsay i Lauren. Lauren była przeziębiona i Lindsay z mężem nie spali całą noc. Potem zaczęła mówić o kłopotach pana Taylora z kręgosłupem. Nie mógł z tego powodu grać jak zawsze w golfa. A potem o wyrostku z sąsiedztwa, który, jak sądzili, był autorem zadrapań na ich nowym volvo. Ruby po prostu nie znalazła w ciągu tej trzyminutowej konwersacji ani jednej chwili, by powiedzieć: „A tak przy okazji, mam, to mam zamiar spotkać się z moim rodzonym bratem”.

Wciąż zresztą istniała możliwość, że Nathaniel Barker wcale nie jest bratem Ruby. Nie było raczej sensu martwić matki - matka na pewno by się zmartwiła - gdyby miało się okazać, że między nią a Nathanielem i jego żoną nie istnieje żadne pokrewieństwo. Niemniej Lou uważała, że tak czy owak powinna powiedzieć rodzicom o wszystkim. A przynajmniej o tym, że interesuje się zrekonstruowaniem swojej prawdziwej historii. Ale choć mama i ojciec zawsze utrzymywali, że chętnie pomogą jej odnaleźć naturalną rodzinę, Ruby nie była o tym do końca przekonana.

Tak więc rozmowa minęła bez zakłóceń. Kiedy dobiegła końca, mama życzyła jej bezpiecznej podróży przez Atlantyk i dodała: „Kochamy cię”. Zawsze to i tylko to mówiła, kiedy któraś z jej córek miała lecieć samolotem. Po prostu na wypadek katastrofy, jak przypuszczała Ruby.

Za dużo ma się czasu na myślenie, kiedy leci się z Heathrow do Denver, zdecydowała Ruby. Marzyła, żeby mieć z kim pogadać. Mary aż do chwili lądowania była stracona dla świata... Co nie znaczy, że Ruby chciałaby się przed nią otworzyć. Mary nadal pozostawała jej przełożoną, nawet jeśli Ruby teraz widziała i słyszała, jak tamta chrapie i ślini się przez sen.

Marzyła zwłaszcza o tym, by mieć obok siebie Roberta. Choć spotykali się zaledwie od dwu tygodni, Ruby miała wrażenie jakby Robert znał ją doskonale. Zawsze zdawał się mówić to, co należy. Dzięki niemu zdołała zebrać się na

odwagę, by napisać do Rosalii. Odkąd poznała Roberta, miała wrażenie, jakby skończył się długi łańcuch odrzuceń, prawdziwych czy wyobrażonych, z jakich składało się dotąd jej życie. Jeśli ktoś tak fantastyczny jak on chciał, żeby była jego dziewczyną, to dlaczego Nathaniel Barker miałby nie chcieć jej w charakterze siostry?

Robert, tak jak obiecał, zadzwonił do Ruby rano w dniu odlotu i zapewnił ją, że wszystko ułoży się doskonale, zgodnie z najlepiej pojętym interesem wszystkich osób, których sprawa dotyczy. Powiedział, że dzień i noc będzie pod telefonem - stacjonarnym czy komórkowym - aż do jej powrotu, po prostu na wypadek, gdyby chciała pogadać. Z wyjątkiem niedzieli wieczorem, kiedy to miał się wybrać do siostry - nie sądzi, żeby u niej w domu był zasięg. I poniedziałku, kiedy idzie na spotkanie z kolegami z roku. Ale nawet wtedy cały czas nie przestanie o niej myśleć. Będzie jej przysyłał pozytywne wibracje. Ruby miała nadzieję, że Lou i Martin też o niej nie zapomną...Choć wiedziała, iż oboje uważają, że jest stuknięta.

W dziesięć godzin po starcie samolot dotknął płyty lotniska w Colorado. Port lotniczy w Denver, ze swoimi białymi terminalami w formie namiotów, wyglądał jak flotylla statków żeglujących przez nagą równinę rozciągającą się u stóp Gór Skalistych. Położony był na końcu świata. Podróż do hotelu trwała niemal godzinę. Mary zdołała oprzytomnieć wyłącznie na tę chwilę, kiedy musiała odebrać bagaż. Teraz, gdy mijali przedmieścia Denver, znów chrapała na tylnym siedzeniu taksówki.

Ruby była już raz w Ameryce, jako nastolatka. Pojechali wtedy do Nowego Jorku z mamą, tatą i Lindsay. Mogły to być dla niej wymarzone wakacje, ale miała wtedy szesnaście lat i zamiast chłonać wrażenia, cały czas pochlipywała za chłopakiem, którego zostawiła w kraju. Trudno o coś bardziej różniącego się od betonowych kanionów Piątej Alei, niż rozległe przestrzenie Colorado, ale i tak wydawały się one dziwnie znajome. Czy to dlatego, że podobne budynki, sklepy i billboardy widziała tysiące razy w telewizji? A może, dumiała, jest to jakiś rodzaj plemiennego rezonansu? Może jej matka spacerowała tą alejką? Chodziła do tego kina? Robiła zakupy w tym sklepie?

- Była już pani kiedyś w Colorado? - spytał taksówkarz.

- To zabawne - powiedziała Ruby - ale mam wrażenie, jakbym była.

Wrażenie déje vu utrzymywało się w hotelu, który okazał się dokładnie taki, jak oczekiwała. Nisko zawieszona lampy w holu słały brzoskwiniowej barwy światło, skrywające pożałowania godny stan wyściełanych perkalem sof i tanich drewnianych stolików, zarzuconych ulotkami z turystyczną informacją. Czarna tablica, z literkami przypinanymi za pomocą szpilek, informowała jednym tchem

o mającej się odbyć konferencji oraz o dorocznej potańcówce Stowarzyszenia Mleczarzy Denver. Po wejściu do holu miało się wrażenie, że może to być dowolny hotel w dowolnym mieście na kuli ziemskiej. Ruby zajęła pokój na siódmym piętrze z widokiem na smętnie wyglądający parking.

Pomieszczenie przypominało czworokątne beżowe pudełko. Przy łóżku stał jednak na nocnym stoliku niewielki bukiet róż. W pierwszej chwili Ruby pomyślała, że to hotel przysyła kwiaty wszystkim gościom, albo przynajmniej wszystkim tym, którzy przyjechali na konferencję KFC RPM. Ale dołączona do bukietu karteczka mówiła co innego.

Witamy w Denver - głosiły staranne niebieskie literki. Z niecierpliwością czekamy na spotkanie. Rosalia i Nathaniel Barker.

Kiedy Ruby otworzyła okno, żeby wpuścić trochę powietrza, parking zdawał się wyskakiwać ku niej. Później przychodziło jej do głowy, że być może należało zadzwonić i odwołać tę wizytę. Powiedzieć, że konferencja trwa dłużej, niż zakładano, i nie będzie miała wolnej niedzieli. Mogła nawet wysłać Rosalii e-mail - wzięła ze sobą laptopa - udając, że w ogóle nie wyjechała z Londynu. .. Patrząc na radosny żółcień róż na nocnym stoliku, Ruby wciąż jeszcze trzymała rękę na wieczku puszki Pandory.

ROZDZIAŁ 26

Odpowiedziałbyś na to ogłoszenie? - spytała Lou Martina. Byli na późnym śniadaniu a dem w Cafe Rouge.

- Które? - spytał Martin.

Lou rozpostarła przed nim „Observera” otwartego na rubryce Bratnie dusze i zakreśliła dwulinijkowe ogłoszenie Eriki:

Miłośniczka kotów, wegetarianka (32) szuka mężczyzny o wrażliwej duszy spod znaku Ryb.

Martin zmarszczył nos.

- Koty? Horoskopy? Niewłaściwa strona trzydziestki? No tak. To nie dla mnie.

- Tak też myślałam - stwierdziła Lou. — To Erica z mojego biura. Mam nadzieję, że nie spotka jej rozczarowanie...

- Dlaczego by miało spotkać? Pytałaś o moją opinię. Jest w pełni możliwe, że właśnie w tej chwili jakiś kochający koty wegetarianin z Rybami w zodiaku dzwoni pod numer jej skrzynki - powiedział z przekonaniem Martin.

- Tak, ale czy ona tego naprawdę potrzebuje?

- Proponujesz kolejny pakt? - zadrwił Martin. - Dobrze wiesz, jak się na tym wychodzi.

- Nigdy nie mówiłeś, co tak naprawdę zaszło między tobą a Cindy - uśmiechnęła się Lou. - Jak mi wyszły te swaty?

Martin rozejrzał się nerwowo dookoła.

- Dowiesz się tego z moich memuarów. — Spojrzał na zegarek. - Druga... To znaczy, że w Colorado jest siódma.

- Obliczyłeś różnicę czasu! - wykrzyknęła Lou.

- I tak ją znałem - zirytował się Martin. - O której ona miała do nich pojechać?

- Nie wcześniej niż po południu.

- Jak myślisz, wszystko w porządku?

- Nie dzwoniła... To zawsze dobry znak. No, ale gdyby nie wszystko poszło jak trzeba, to raczej nie sądzę, żebyśmy byli teraz pierwszymi osobami, do których zadzwoni. Podobno Robert powiedział, że może dzwonić do niego w dzień czy w nocy, choćby tylko po to, żeby się wypłakać.

- Jakie to szlachetne z jego strony - zauważył sarkastycznie Martin. - Skoro podobno jest jej chłopakiem...

- Być może on nie jest mimo wszystko półgłówkiem z porsche? Może pod tą zadufaną powłoką kryje się wrażliwe serce?

- Może... - Martin nie wyglądał na przekonanego.

- Boże, mam nadzieję, że spotkała wreszcie swojego pana Właściwego - westchnęła Lou. - Wygląda na to, że odkąd się znamy, ta dziewczyna zawsze albo była w okropnym związku, albo leczyła się z okropnego związku, albo próbowała wejść w nowy związek, równie okropny.

Martin skinął głową.

- No dobra - powiedziała nagle Lou. - Prawda albo fant. Chwila szczerości. Czy ty sam chciałeś kiedykolwiek być z Ru-by? - Przygwoździła go spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

Martin o mało nie trysnął fontanną cappuccino ze zdziwienia.

- Przecież wiesz, że byliśmy razem. W czasie tygodnia pierwszorzoczników.

- Tak, ale co się później wydarzyło? Dlaczego nie zaczęliście ze sobą chodzić po tamtej nocy?

Martin wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru opowiadać Lou, że Ruby odebrała mu dziewictwo, po czym zagroziła, iż jeśli on wspomni komukolwiek choćby słówkiem, co między nimi zaszło, wówczas ona rozpowie, że Martin ma przedwczesny wytrysk.

- Nie wiem - powiedział. - Myślę, że po prostu nie znaleźmy się dostatecznie, żeby to mogło zadziałać.

Lou potrząsnęła głową, nieusatysfakcjonowana.

- No a potem?

- A potem zaprzyjaźniliśmy się i bardzo prędko znaleźmy się zbyt dobrze, żeby to mogło zadziałać.

- Niemożliwe.

- Możliwe. Chciałabyś się przespać z kimś, kto zreferował ci swoje bara-bara z kimś innym?

- Rozumiem. A więc najpierw znałeś ją za słabo, a potem pstryk! - i już ją znałeś za dobrze?

- Na to wygląda. A poza tym, Ruby zawsze mówiła mi, że jestem znakomitym dowodem na prawdziwość powiedzenia: „wszyscy mężczyźni to skurwiele”. Zawsze trzymała stronę każdej mojej eksdziewczyny, kiedy z nią kończyłem. Na pewno by nie zaryzykowała, aby być dla mnie kimś innym niż koleżanką.

- Ale ty byś chciał być dla niej kimś innym niż tylko kolegą? - sondowała Lou.

- Tego nie powiedziałem - zaprotestował Martin.

- W porządku. - Lou złożyła serwetkę. - Chyba na dzisiaj dość, mój chłopcze.

- Co masz na myśli? - spytał z irytacją Martin. - Nic. O popatrz, nadchodzi odsiecz.

Drzwi kawiarni uchylły się i do środka wszedł Andrew w eleganckim granatowym garniturze.

- Cześć, stary - przywitał go Martin. - Nikt ci nie powiedział, że mamy weekend?

- Idziemy z wizytą do moich rodziców - wyjaśniła Lou. - Chociaż naprawdę nie musiałeś posuwać się do tego, żeby aż wkładać garnitur - dodała, zwracając się do Andrew.

- Chciałem zrobić na nich dobre wrażenie - powiedział. - To ważne ze względu na ciebie.

- Nie takie znów ważne - zapewniła go Lou. - Na mamie zrobiłoby dostatecznie duże wrażenie, gdybyś w ciągu ostatnich dwu tygodni raz się umył.

- Mąż ze Stepfordu - zgrzytnął Martin.

- Idziemy? - spytał Andrew. - Nie powinniśmy się spóźnić.

- Na pewno właśnie tego się po mnie spodziewają- zauważyła Lou.

- Ale nie po mnie - powiedział Andrew.

Lou od bardzo dawna nie zapraszała nikogo do rodziców. Prawdę mówiąc, nie zapraszała nikogo od czasów szkolnych, kiedy to każdy chłopak musiał przejść inspekcję mamy i taty, zanim pozwolono mu przekroczyć próg jej pokoju. Poza tym drzwi musiały być uchylone, by rodzice mogli mieć pewność, że córeczka nie dopuszcza się żadnych brzydkich rzeczy. W rezultacie, po latach nasłuchiwania odgłosu rodzicielskich kroków na schodach, u Lou rozwinął się słuch nietoperza, wrażliwy niemal na ultradźwięki. Potrafiła także kochać się absolutnie bezgłośnie.

W tamtych czasach rodzice błagali Lou, by skoncentrowała się na przygotowaniach do egzaminu dojrzałości, a nie na romansach i flirtach. Teraz błagali ją, by skoncentrowała się na swoim życiu osobistym, a nie na karierze. Odkąd skończyła dwadzieścia jeden lat, mówili, że ma „trzydziestkę na karku”... Kiedy więc zadzwoniła do matki, by powiedzieć, że przyjedzie na niedzielny obiad i chciałaby zabrać ze sobą kolegę, ulga w głosie starszej pani była niemal namacalna.

Ale kto wie, być może matka miała rację, że tak jej zależało, by córka się ustatkowała?

Po tamtym zaskakującym wyznaniu miłości ze strony Andrew Lou przekonała sama siebie, że niesłusznie reaguje tak negatywnie. Podkraśla w pracy oprawny w różową okładkę egzemplarz książki o kobietach, które boją się zaangażowania, i przeczytała ją od deski do deski. Choć zawsze marszczyła się z odrazą na widok poradników - odwrotnie niż Ruby, która zwykle czytała rozmaite „Kobiety, które robią zbyt wiele tego czy owego” - musiała przyznać,

że pasuje to jak ulał do tej charakterystyki. Dotychczas w jej życiu roiło się od facetów, którym zdawało się nie zależeć na niej tak, jak jej zależało na nich. To dlatego, wyjaśniała autorka, że tak naprawdę Lou z rozmysłem wybierała mężczyzn, od których powinna się trzymać z daleka. Teraz, gdy spotkała kogoś, kto gotów jest się zaangażować, reaguje tak dziwnie, ponieważ Andrew nieświadomie ujawnił jej prawdziwy problem. Problemem tym jest ona sama, obawiająca się zaangażowania, małżeństwa i wszystkiego, co się z tym wiąże, nie zaś nieosiągalni mężczyźni, których ściga przez całe swoje życie.

A przecież zależało jej na małżeństwie i dzieciach, tak czy nie? W każdym razie czuła, że chce mieć rodzinę. Jako jedynaczka miała idylliczne dzieciństwo. Była centrum wszechświata swoich rodziców. Miała wszystko - od lekcji tenisa, poprzez kucyka na własność, aż do tak ogromnej bezwarunkowej miłości, która o mało jej nie zadusiła. Bez wątplenia dorastała w poczuciu pełnego bezpieczeństwa, ale też i ciężkiej odpowiedzialności za kontynuację rodzinnej linii. Rodzice zakładali, że będzie miała dzieci... I Lou także zakładała, że będzie miała dzieci. Nawet jeśli nie wyobrażała sobie siebie z niemowlakiem na rękach, to niejednokrotnie widziała się w wyobraźni jako matkę starszej nieco, podrastającej córki, podobnej do niej z twarzy, z głosu...

Oczywiście, żeby mieć dzieci, niekoniecznie trzeba być zamężną, ale Lou zdecydowanie nie widziała się w roli samotnej matki. A teraz w jej życiu pojawił się Andrew i od samego początku mówił o trwałym związku... Dotarłszy do końca książki o Kobietach, które Boją się Zaangażowania, Lou pomyślała, że zdiagnozowała swój problem i znalazła rozwiązanie. Miała prawie trzydziestkę. Rzeczywiście pora dorosnąć i założyć rodzinę. Jeśli jedyną osobą, jakiej pozwoli kiedykolwiek zbliżyć się odrobinę do swego serca, będzie nieznamy ideał, na który rzuciła jeden raz okiem w zatłoczonym metrze w godzinie szczytu, to kto wie, czy nie skazuje samej siebie na to, że zestarzeje się w samotności.

Tak więc w końcu strach popchnął Lou do tego, by przedstawić Andrew rodzicom. Strach, że sabotuje własne szczęście, zadzierając nosa, gdy zabiega o nią Pan Absolutnie i Bezdyskusyjnie Właściwy. Bo był właściwy. Może nie?

I, rzecz jasna, wizyta przebiegała fantastycznie. Ale kiedy wracali wieczorem do Londynu, Lou uświadomiła sobie, że zamyka oczy, udając, że śpi, byle nie musiała rozmawiać.

Andrew strasznie się rodzicom spodobał. Rozśmieszał matkę. Obiecał ojcu, że jeszcze tego lata pomoże mu zbudować piec do barbecue. Kiedy matka powiedziała, że stanowią piękną parę, Lou złapała się na tym, że wstawia ich głowy w stosowne miejsca na ślubnym portrecie kuzynki Alice i jej męża.

A potem baśń się urwała, jakby igła gramofonu zgrzytnęła po starej winylowej płycie.

To nie było to i nigdy nie będzie.

Andrew ścisnął ją za kolano i popatrzył na nią tak, jakby była jedyną dziewczyną na tym świecie.

Jak ona, na Boga, ma mu o tym powiedzieć?

RS

ROZDZIAŁ 27

Różnica czasu w połączeniu z nerwami sprawiły, że po przylocie do Denver Ruby od piątej już nie spała. Poprzedniego wieczoru uczestnicy konferencji zebrali się w hotelowej restauracji, zrobionej na ranczo rodem z westernu, na powitalnego drinka, po którym nastąpiła wystawna kolacja. Okazało się, że Ruby ma miejsce obok zajmującego takie samo jak ona stanowisko kolegi z holenderskiego biura Hollingworth. Jako że on mówił po angielsku równie słabo jak Ruby po holendersku, spędzili całe przyjęcie, uśmiechając się głupio i wymieniając uwagi typu: „Przyjemnie tu, prawda?” „Tak, przyjemnie”.

Mary tymczasem zakolegowała się ze swoim odpowiednikiem z niedawno powołanej nowojorskiej agencji reklamowej, która była najnowszym brylantem w koronie Międzynarodowej

Grupy KFC RPM. Ruby przywykła do tego, że jej zwierzchniczka zawsze zachowuje się w biurze niczym lodowa dziewczyna, toteż widok Mary klejącej się do Todda Barnhardta, zupełnie jakby była uczennicą, a on kapitanem szkolnej drużyny futbolowej, wprowadził ją w lekkie zmieszanie. Niemniej Ruby czuła wdzięczność dla Todda, że dzięki niemu Mary nie zauważyła, iż jej podwładna opuściła pole bitwy już przy kawie.

Kiedy jechały na lotnisko Heathrow, co wydawało się w tej chwili odległe o milion lat, Mary, puszczając do Ruby oko, obiecała jej parę „całonocnych sesji”. Ruby, lekko wystraszona, wyobraziła sobie, że będzie musiała siedzieć w hotelowym barze, dopóki Mary nie wypije tyle, że padnie. „Całonocne sesje” z Mary, znanej zarówno ze swoich niezwykłych umiejętności biznesowych, jak i z konsumpcji alkoholu znacznie przekraczającej to, co zwykła pijać dama, wydawały się równie pociągające, jak audiencja u Stalina w czasach, gdy pierwsza osoba, która przestawała go okłaskiwać, dostawała kulkę w łeb. Do uszu Ruby docierały od czasu do czasu krążące po Hollingworth plotki, jak to ten czy ów nie dostał awansu, bo pił sok pomarańczowy, gdy Mary goliła jedną wódkę za drugą.

Dzięki Bogu, Mary nie sprawiała też wrażenia specjalnie zainteresowanej planami Ruby na niedzielę. Powiedziała tylko, że dokądkolwiek chciałyby pojechać, może wynająć sobie samochód czy zamówić taksówkę i wliczyć to w koszty pobytu. „Nawet do Boulder?” - spytała Ruby. Nawet do Boulder, potwierdziła Mary. KFC RPM za wszystko zapłaci.

Tego ranka Ruby zażądała, by przyniesiono jej do pokoju śniadanie tak prędko, jak tylko będzie to możliwe. Choć na przyjęciu prawie nie tknęła steku, jaki przed nią postawiono, dziś nieoczekiwanie czuła wilczy głód. Trudno się

dziwić, skoro dla jej ciała była to pora lunchu... Ciekawe, co tam w domu, pomyślała. Robert pewnie jedzie swoim boxterem do siostry na barbecue. Niewątpliwie poświęcał siostrze sporo uwagi. Odwiedzał ją co najmniej raz w tygodniu, czasami częściej. Raz nawet odwołał randkę, bo musiał piorunem do niej jechać, żeby zająć się jej dzieckiem czy pomóc w jakiejś innej kryzysowej sytuacji... Ciekawe, kiedy ona pozna rodzinę Roberta. Czy polubi ich? I czy oni ją polubią? Czy będzie ich zdaniem dostatecznie dobra dla ich syna, wziętego prawnika?

I czy będzie dostatecznie dobra dla Barkerów?

Kiedy zadzwoniła tego dnia do Rosalii Barker, żeby umówić się na spotkanie, była pod ogromnym wrażeniem ciepła tej kobiety. Ruby powiedziała, że Geraldine Barker mieszkała w sąsiedztwie jej rodziców we wczesnych latach siedemdziesiątych. Chciała się dowiedzieć, czy po Geraldine zostały jakieś zdjęcia jej rodziny. Rosalia nie miała nic przeciwko udostępnieniu rodzinnego albumu Barkerów swojej nowej przyjaciółce.

- Możemy sobie nawzajem wyświadczyć przysługę - powiedziała. - Na tamtych zdjęciach z czasów Greenwich jest sporo osób, których mój mąż nie potrafi rozpoznać. Być może niektórzy z nich to pani krewni?

- Być może - zgodziła się Ruby.

Między piątą a dziesiątą rano, kiedy przyjechała zamówiona taksówka, by zawieźć ją do Boulder, Ruby zaliczyła niemal tyle kolejnych przymiarek i zmian kreacji, ile w przypadku, wyjścia na randkę. Zdenerwowana była jednak znacznie bardziej i do chwili, gdy z recepcji zadzwoniono, że taksówka już czeka, obgryzła sobie do krwi skórę wokół paznokcia na lewym kciuku.

- Miłego dnia - zaczął chłopiec hotelowy, kiedy drobiła pośpiesznie poprzez hol ku wyjściu.

Była tak zdenerwowana, że nawet go nie słyszała.

Lśniący bielą ścian dom Barkerów pod numerem 13 przy Cherry Hills Drive wyglądał jak z filmowego kadru. Z jednego z tych Disneyowskich filmów, w których bliska ideału rodzina przygarnia przemiłego psa czy przybysza z obcej planety i wtedy ich życie staje się pełne.

Ruby poprosiła, by taksówkarz wysadził ją po drugiej stronie ulicy, i stała przez chwilę na chodniku, chłonąc ten obraz. Szerokie, płaskie deski, z których były zbudowane ściany. Zasłonki w różową kratkę, powiewające lekko w otwartych oknach, ciemnoróżowe kwiaty w skrzynkach na parapetach okien i w donicach, stojących w dwuszeregu po obu stronach schodów niczym legion kwiatnych żołnierzyków.

Dom otaczał nawet płot ze sztachetek. Na płocie wisiała metalowa skrzynka na listy z chorągiewką, którą listonosz podnosi, tak żeby mieszkańcy od razu wiedzieli, że przyszedł list. Na furtce przytwierdzono rustykalną drewnianą tablicę w kształcie uśmiechniętego słońca. Witamy w naszym domu - głosił napis. Uwaga, gościu - obwieszczała inna drewniana tabliczka, wetknięta w jedną z doniczek - kiedy tu wejdiesz, już nigdy nie zechcesz wyjść! Ckliwe do niemożliwości, pomyślała Ruby. Ale miłe. Przyjazne. Naprawdę przyjazne... Tak jak Rosalia Barker, kiedy rozmawiały przez telefon.

Wzięła głęboki oddech i sięgnęła do klamki w furtce. Zaledwie to zrobiła, drzwi białego domku otworzyły się. Kobieta, mniej więcej w jej wieku, może trochę starsza, wyszła na ganek z sekatorem w ręce i zaczęła przycinać kipiące wprost pelargonie.

Ruby zamarła, tak jakby przyłapano ją na włamaniu. Ale kobieta w pierwszej chwili jej nie zauważyła. Nucila coś do siebie, fruując lekko od jednej skrzynki do drugiej i usuwając uschłe kwiaty, jak gdyby to była pantomima codziennych czynności, rozpoczynająca balet na temat pielęgnacji ogrodu. Wreszcie, czując na sobie wzrok Ruby, odwróciła się.

- Hej! - krzyknęła na jej widok, wymachując entuzjastycznie rękami. - Hej!

Ruby wyszła z cienia rosnącego obok płotu drzewa. Rosalia Barker, porzuciwszy sekator, już biegła ku niej ścieżką, ściągając po drodze ogrodnicze rękawiczki.

- Ruby, prawda?

Ruby skinęła głową. Rosalia ujęła drżącą z wrażenia rękę Ruby i potrząsnęła nią energicznie.

- Jak się pani ma? - spytała, uśmiechając się tak szeroko, że wydawało się niemożliwe, by nie rozpoznała od razu łączących je rodzinnych związków. - Tak się cieszę, że w końcu panią poznałam! Proszę, proszę! Właśnie porządkowałam kwiaty z okazji pani wizyty. Nie cierpię zwiędłych płatków na moich roślinach - wyjaśniła. - Dom wygląda wtedy tak nieświeżo, nie sądzi pani? Lubi pani zajmować się ogrodem, Ruby?

- Nie mam ogrodu - powiedziała Ruby.

- Co za szkoda! - wykrzyknęła Rosalia. - Mój mąż zawsze mi mówi, że wy, Brytyjczycy, macie najpiękniejsze ogrody na świecie. Wszystko inne, jego zdaniem, jest do kitu, ale ogrody są podobno po prostu prześliczne.

- Chyba rzeczywiście są.

- Chętnie bym odwiedziła Anglię - wyznała Rosalia. - Ale Nathaniel nie ma jakoś ochoty tam wracać.

- Jaka szkoda.

- Pracuję nad nim - zapewniła ją Rosalia. - I przyjedziemy wcześniej, niż się pani spodziewa. Proszę, proszę wejść.

Wprowadziła swego gościa do środka.

Rosalia poszła zdjąć fartuch, a Ruby przysiadła tymczasem w salonie na brzegu białej sofy w wiklinowej ramie, świadczącej, że upodobanie Rosalii do porządku wykracza daleko poza dbałość o rośliny. Kilka numerów „National Geografie” było ułożonych w równiutki stosik na brzegu stolika. Każdy wazon z kwiatami stał na serwetce, dokładnie pośrodku, by nie zniszczyć lakierowanych blatów mebli.

- Napije się pani czegoś? - zawołała Rosalia z kuchni. - Właśnie zrobiłam mrożoną herbatę.

- Mrożona herbata będzie w sam raz - zgodziła się Ruby.

Rozejrzała się po pokoju. Opuszczone żaluzje miały chronić dywan przed zblaknięciem w ostrym słonecznym blasku. Na kominku stał oprawny w ramkę werset z Biblii. Ten o liliach polnych. I parę fotografii. Rosalia z wysokim mężczyzną, oboje w strojach narciarskich. Rosalia w dniu ślubu, z bukietem różowych róż, uśmiechająca się radośnie od ucha do ucha. Rosalia i jej mąż...

Ruby ujęła srebrną ramkę, zajmującą honorowe miejsce na stoliku, i mrużąc oczy, popatrzyła na pana młodego, obejmującego ramieniem talię Rosalii. Miał ciemne włosy. Opaleniznę. Ona nigdy nie mogła się tak opalić... Czy byli podobni? Na pierwszy rzut oka nie. Zbliżyła zdjęcie niemal pod nos, wypatrując podobieństw. W tym momencie weszła Rosalia, wciąż szeroko uśmiechnięta, z tacą załadowaną dzbankiem z mrożoną herbatą i trzema szklankami. Ruby podskoczyła, jakby ją przyłapano na kradzieży.

- Czy ta ramka nie jest słodka? - zauważyła ciepło Rosalia. - To ślubny prezent od matki mego męża. Pamiątka. Od pokoleń jest w rodzinie.

W mojej rodzinie, pomyślała Ruby.

- Łatwo pani do nas trafiła? - spytała Rosalia. Nalała herbaty do dwu szklanek, upewniwszy się, że gość dostał plasterek świeżej cytryny.

- Tak - powiedziała z wahaniem Ruby. - Przyjechałam taksówką. - Wciąż była po rybiemu małomówna.

- I jak się pani podoba nasz piękny stan? - ciągnęła Rosalia.

- Bardzo - powiedziała blado. - Góry są takie wysokie...

- Rzeczywiście, dosyć wysokie - zgodziła się Rosalia. - Zwłaszcza jeśli zjeżdża się z nich na nartach. Mój mąż uwielbia zjeżdżać z najbardziej stromych zboczy, jakie pani kiedykolwiek widziała. Bardzo lubi niebezpieczne sporty.

Ruby skinęła głową. Ona niewątpliwie nie lubiła. Adidasy miała ostatni raz na nogach jeszcze w szkole... Może wcale nie są ze sobą spokrewnieni?

- Wystarczająco słodka? - spytała Rosalia, kiedy Ruby upiła pierwszy łyk.

Ruby znów pokiwała głową. Choć herbata była okropna. Nienawidziła czegoś takiego... Nie mogła zrozumieć, dlaczego Amerykanie zdają się mieć taką awersję do przyrządzania herbaty jak należy, na gorąco i z mlekiem.

- No więc - Rosalia zerwała się z krzesła, jakby miała mrówki w majtkach, i zaczęła grzebać w górnej szufladzie biurka - zanim Nathaniel wróci z Home Depot, pokażę pani, co udało mi się do tej pory zgromadzić na temat rodziny Barkerów. Zaczęłam moje poszukiwania od Internetu - wyjaśniła. - Barker jest chyba dość często spotykanym nazwiskiem w Anglii, ale na szczęście znałam nazwę parafii, w jakiej urodzili się dziadkowie Nathaniela ze strony matki, i okazało się, że tamten proboszcz wrzucił wszystkie parafialne księgi do Internetu. Wyobraża sobie pani, jakie miałam szczęście?

Znów usiadła, tym razem na sofie obok Ruby, i otworzyła teczkę z napisem Drzewo genealogiczne rodziny Barkerów. Literki były równe, starannie wypisane czarnym markerem.

- Zawsze fascynowała mnie historia - ciągnęła Rosalia. - Wiem, że wy, Brytyjczycy, uważacie, iż Amerykanie mają fioła na tym punkcie. Rzeczywiście, zazdrościmy wam. Jesteście w stanie prześledzić historię rodziny generację za generacją, daleko wstecz... Moi dziadkowie przyjechali tu z Europy w czasie drugiej wojny światowej i na tym kończy się moja historia. Ale Nathaniel... zaraz zobaczy pani, co ja tu mam. Wyjęła z teczki fotografię.

- To jest pradziadek Nathaniela. - Podała Ruby czarnobiałe zdjęcie mężczyzny w mundurze marynarza. - A to jego prababka.

Widząc, jak Ruby mruży oczy, wpatrując się w fotografię młodej dziewczyny o falujących blond włosach, Rosalia uznała, że w pokoju jest dla niej za ciemno. Włączyła pstryknięciem lampkę na stole.

- Lepiej? To linia ojca - wyjaśniła. - Nathaniel w ogóle nie jest do nich podobny. Fizycznie... Wszystko wziął po matce.

- Naprawdę? - spytała schrypniętym głosem Ruby.

- O, tak. - Rosalia nie przestawała przekopywać się przez dokumenty. - To po prostu nie do wiary... Zaraz pani pokażę.

Ruby mogła jedynie wpatrywać się z otwartymi ustami, gdy Rosalia, niczym magik wyciągający króliki z kapelusza, pokazywała jej kolejno metryki urodzin, ślubów, zgonów...

- O, to jest metryka urodzenia jego matki - powiedziała, dorzucając niedbale jeszcze jeden papier do stosu, jaki leżał już na stole. Ruby wzięła go do ręki, i przeczytała nazwisko. Takie samo nazwisko było napisane w rubryce „matka” na jej własnym akcie urodzenia... Miejsce urodzenia matki Nathaniela też zgadzało

się z tym, które widniało na kawałku papieru, jaki dostała od Amandy Paczulskiej - Potwór prawie dziesięć lat temu.

- Gdzie ja to mam? - mruknęła Rosalia, nie dostrzegając, jak mocno ściska Ruby w dłoni metrykę Geraldine Barker. - Miałam je przecież przedwczoraj, kiedy chodziłam zrobić te kopie... O, jest. - Rosalia odchyliła się na oparcie kanapy i gestem sztukmistrza wyjęła z niepozornej szarej koperty jeszcze jedno zdjęcie.

- To jest mój mąż jako maluch i jego matka. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata.

Ruby wzięła fotografię w drżące dłonie. Młoda kobieta trzymała dziecko na biodrze. Drugą, wolną ręką robiła gest w kierunku obiektywu, usiłując skłonić synka, by się uśmiechnął.

Nathaniel Barker patrzył podejrzliwie na fotografa. W jednej rączce ściskał za nogę ukochanego misia, drugą uchwycił się pełną garścią matczynej bluzki, zdecydowany, by nie pozwolić jej odejść.

- Ładna, prawda? - powiedziała rozpromieniona Rosalia. Ładna...

Rodzinną twarz. Czarodziejskie lustro. Rodzice Ruby mieli całe tuziny takich jak ta fotografii z jej własnego dzieciństwa. Ona też nie cierpiała robienia zdjęć... Też zawsze patrzyła spode łba na fotografa, tak jak jej brat. I tak samo patrzyła, kiedy miała dwadzieścia trzy lata i wyglądała niemal dokładnie tak jak Geraldine Barker na tym zdjęciu.

- Wie pani co - powiedziała Rosalia, patrząc z aprobatą na Ruby - pani też jest do niej troszkę podobna. Czy to nie zabawne?

Ruby skinęła głową. Oczy miała spuszczone, tak by Rosalia nie dostrzegła, jak lśnią od wzbierających łez.

- Co się jej stało? - spytała. - Kiedy umarła?

- Zeszłej jesieni - powiedziała ze smutkiem Rosalia. - Pod koniec października. Malaria. Uwierzy pani? Pojechała do Bangladeszu z grupą misjonarzy z naszego kościoła i wróciła chora. Myśleliśmy, że to zwykła grypa czy coś... Upierała się, że będzie się zachowywać tak jak zawsze. Jak zawsze zanosila jedzenie samotnym staruszkom, pomagała w szkółce niedzielnej... A potem jednej nocy po prostu dostała zapaści i umarła z powodu niewydolności wątroby. Jakie to typowe dla Geraldine: śmierć ją zaskoczyła, kiedy pracowała ze wszystkich sił dla innych - dodała Rosalia ze smutnym uśmiechem. - No cóż, Bóg zawsze zabiera dobrych do siebie...

- Wygląda na to, że była bardzo miła.

- O, tak - podchwyciła z przekonaniem Rosalia. - Zawsze starała się zrobić coś dla ludzi, którym nie poszczęściło się tak jak jej. Dla starych, dla młodych...

A zwłaszcza dla dzieci. Nie mogła patrzeć na dziecko potrzebujące pomocy, by nie próbować natychmiast czegoś dla niego zrobić. Płakała rzewnymi łzami, kiedy widziała w telewizji te dzieci na Bałkanach... A jak dowiedziała się o dzieciach z tego sierocińca w Bangladeszu, nie było siły, żeby ją zatrzymać. Natychmiast pojechała na ratunek.

Ruby oddała jej zdjęcie. Rosalia wzięła je i głośno pociągnęła nosem.

- Przepraszam. Byłam bardzo blisko z moją teściową - wyjaśniła. - Nie do wiary, jak blisko... No ale - klasnęła w dłonie, jakby próbując rozwiać nastrój smutku - pogadajmy może trochę o pani. Pani rodzice są z tego samego miasta co Geraldine? Czy pani matka знаła ją w czasach panińskich?

- Niezupełnie - zaczęła Ruby. Czy prawda nie jest jeszcze oczywista?

Wzięła głęboki oddech. Odstawiła swoją szklanę z mrożoną herbata.

- Rosalio - zaczęła. - Nie byłam wobec pani w pełni uczciwa.

Wyrzucając z siebie fakty, Ruby miała niemal wrażenie, że opuściła własne ciało i unosi się pod sufitem. Widziała stamtąd siebie samą, jak opowiada o adopcji, i Rosalie, której oczy w miarę opowiadania robiły się coraz większe i większe, tak że o mało nie wyskoczyły jej z orbit.

- O rany - pomrukiwała Rosalia od czasu do czasu. - To okropne.

Zaniemówiła, kiedy Ruby opisywała jej swoje spotkanie z Amandą Paczalską-Potwór ze służb socjalnych i uczucia, jakie towarzyszyły odkryciu imienia i nazwiska swojej naturalnej matki. Po raz pierwszy Ruby tak naprawdę rozmawiała z kimkolwiek na ten temat i była zaskoczona, że to wciąż tak boli. Ten głupi komentarz, że imię nadały jej być może zakonnice, bo matka miała to w nosie... Nie potrafiła powstrzymać łez.

Kiedy skończyła opowiadanie, Rosalia objęła ją ramieniem i przygarnęła do siebie. Gładząc po głowie, szeptała coś łagodnie, uspokajająco, jak kobieta, która od dawna przywykła do zajmowania się dziećmi, choć tak naprawdę nie miała własnych i bardzo za nimi tęskniła.

- Kochanie - powiedziała w końcu - serce mi się wprost wyrywa do pani. Przeżyła pani okropne rzeczy. Ale najwyraźniej zaszło nieporozumienie.

- Co pani ma na myśli? - spytała Ruby.

- Matka mojego męża wyszła za mąż, kiedy miała dwadzieścia jeden lat - tłumaczyła cierpliwie Rosalia. - Miała tylko jedno dziecko, mojego Nathaniela. Jej mąż zginął w wypadku samochodowym, zanim zdążyła urodzić inne.

- Ale proszę popatrzeć.

Ruby otarła nos rękawem i wyciągnęła z torby swoją metrykę.

- Geraldine Barker - powiedziała z naciskiem. - I miejsce urodzenia jest to samo. Niech pani spojrzy... Miejsce urodzenia matki: Sheffield. To samo jest

napisane w metryce urodzenia Geraldine. Chyba nie powie pani, że to zbieg okoliczności?

- Mogłoby się tak zdarzyć - rzekła Rosalia.

- Aleja nawet wyglądam tak, jak ona. - Ruby znów wzięła do ręki zdjęcie Geraldine z małym Nathanielem. - A jak byłam mała - sięgnęła do torebki po swoje zdjęcie z dzieciństwa, zabrane przed paroma tygodniami od rodziców - to byłam też podobna do Nathaniela.

Rosalia gryzła wargę. Podobieństwo między jej mężem, jako małym dzieckiem, a tą Angielką w wieku dwóch lat wydawało się niezaprzeczalne.

- Po prostu nie rozumiem, jak to jest możliwe - wykrzyknęła.

- Ale nie jest niemożliwe - powiedziała Ruby. Rosalia wzruszyła jedynie ramionami.

- No, niech pani sama powie - nastawała Ruby. - Czy może być jakieś inne wyjaśnienie? - Ujęła jej ręce w geście błagania.

- Musi pani porozmawiać z moim mężem. - Rosalia delikatnie wyzwoliła się z uścisku. - Ale dam pani słowo, że Nathaniel nigdy nie wspominał o czymś podobnym, a on zawsze mówi mi o wszystkim.

W tym momencie pod dom podjechała starannie utrzymana furgonetka. Wyskoczył z niej facet w niebieskiej koszuli we wzorek i bejsbolówce, osłaniającej oczy przed słońcem, a za nim duży czarny labrador. Nawet jeśli Nathaniel Barker uważał się kiedykolwiek za Brytyjczyka, był teraz w każdym calu Amerykaninem. Na odgłos przekręcanego w zamku klucza Rosalia rzuciła niespokojne spojrzenie w kierunku drzwi.

- On bardzo kochał matkę - powiedziała cicho. - Proszę uważać, kiedy będzie pani rozmawiała z nim o tym wszystkim.

Labrador, poprzedzając swego pana, wbiegł do salonu.

- Elvis! - wykrzyknęła Rosalia, gdy pies na powitanie skoczył ku niej z jęzorem. - Leżeć, piesku.

Pies natychmiast zainteresował się Ruby.

- Kochanie - zawołała Rosalia do męża, zdejmującego w holu buty. - Mamy gościa. Z Anglii - dodała nieco ciszej.

Ruby pogładziła miękkie uszy labradora. Jego głupia psia mordą dziwnie dodawała otuchy.

- Z Anglii? Czy już się kiedyś spotkaliśmy? - spytał Nathaniel, podając Ruby rękę na powitanie.

- Niezupełnie - powiedziała.

Rosalia nerwowo spoglądała to na męża, to na gościa. Ruby zaczerpnęła tchu, by opowiedzieć całą historię jeszcze raz.

- Pani kłamie.

Nathaniel Barker nie chciał o niczym wiedzieć.

- Bzdury pani opowiada! - wybuchnął.

Nie rozumiał, w jaki sposób jego matka, pełna bojaźni bożej kobieta, praktykująca chrześcijanka i zaangażowana członkini ich kościoła, mogła mieć po śmierci ojca pozamałżeńskie dziecko.

- Nie sądzi pani, że zauważyłbym coś takiego? - spytał rzekomą siostrę. - Miałbym osiem lat w chwili pani przyścia na świat, na litość boską! Wiedziałbym, gdyby miała jeszcze jakieś dziecko.

Nie chciał nawet spojrzeć na metrykę urodzenia Ruby i zamknął oczy, kiedy żona podsunęła mu fotografię matki i usiłowała skłonić go, by przyznał, że istotnie jest podobieństwo między jego ukochaną matką a tą młodą cudzoziemką, która siedziała na sofie.

- Pomyliła się pani - powiedział tylko, wskazując Ruby drzwi.

Obiecany lunch nie nastąpił. Kiedy mąż ruszył do ogrodu, by wyładować swój gniew na żywopłocie za pomocą groźnie wyglądających nożyc, Rosalia zamówiła Ruby taksówkę, która miała ją odwieźć do Denver.

- Przepraszam. Tak mi przykro... Przepraszam - powtarzała wstrząśnięta, rozdarta między małżeńską solidarnością i współczuciem a obowiązkami gospodyni.

- Proszę się nie przejmować. Wszystko w porządku - powiedziała Ruby, niepewna, czy nogi zdołają unieść jej ciężar, kiedy się podniesie.

W niespełna trzy godziny potem była znowu w hotelu. Kiedy dzwoniła na lotnisko z prośbą o połączenie z British Airways, wciąż jeszcze się trzęsła. Okazało się, że samolot do Anglii odlatuje późnym wieczorem. Miała być w Denver jeszcze przez kolejne trzy dni, ale po wybuchu Nathaniela całe miasto wydało się jej nagle odstręczające. Chciała wrócić do domu i znaleźć się w ramionach kogoś, kto ją kocha... Załatwiła wszystko co trzeba, by zmienić lot, i dopiero wtedy zalała się łzami.

Zostawiła Mary (która wciąż jeszcze spała po pełnej trudów nocy, spędzonej na zawieraniu bliższej znajomości ze swoim nowojorskim kolegą po fachu) notkę z wiadomością, że z ważnych powodów rodzinnych musi natychmiast wracać do Londynu. Nie jest to nawet do końca nieprawdziwe, pomyślała. Następnie zadzwoniła do recepcji, by zamówiono jej kolejną taksówkę. Teraz taksówka już czekała na nią pod hotelem.

- Miło spędziła pani czas w naszym mieście? - spytała recepcjonistka, wypisując rachunek.

- Powiedzmy, że nie wszyscy tubylcy są równie życzliwi jak pani.

- Och, przykro mi - powiedziała automatycznie recepcjonistka. - Życzę miłego dnia - dodała, wręczając Ruby rachunek.

Ruby, bynajmniej niepokieszona, pociągnęła swoją walizkę na kółkach przez hol do czekającego na zewnątrz samochodu. Telefon w recepcji znów zadzwonił, ale zanim recepcjonistka skojarzyła, że młoda Angielka, której poszukiwał dzwoniący, to właśnie ta dziewczyna, która przed chwilą opuściła hotel, nie mówiąc nawet „pani również” w odpowiedzi na jej pozdrowienie, taksówka już ruszała.

- To pilne - powiedział Nathaniel Barker.

- Ależ proszę pana, ona już siedzi w taksówce.

- To proszę biec i ją zatrzymać!

- Nie mogę tego zrobić, proszę pana. Nie wolno mi zostawiać recepcji bez opieki.

Nathaniel odłożył słuchawkę.

Pomimo sprzyjającego, tylnego wiatru, powrotny lot z Denver do Londynu zdawał się trwać znacznie dłużej, niż w tamtą stronę. Ruby wzięła miejsce od strony przejścia. Nie chciała tym razem patrzeć z wysokości na Denver. Nie chciała nawet oglądać jeszcze raz Colorado. Noc spędziła, płacząc, w toalecie dworca lotniczego, ponieważ złe warunki atmosferyczne sprawiły, że odlot nastąpił dopiero nad ranem. Kiedy samolot oderwał się w końcu od płyty lotniska, nie czuła nic oprócz ulgi.

Po przeciwnej stronie przejścia siedziała, splótszy ręce, świeżo poślubiona para. „Chciałabym tu zostać na zawsze” - westchnęła młoda żona. Ruby marzyła tylko o tym, by jak najprędzej znaleźć się w domu.

W połowie drogi pokazywano na wideo film, który Ruby chciała obejrzeć, odkąd tylko dowiedziała się z gazety, kto gra główną rolę. Katrina Black, aktorka, która tak poruszająco opisała swoją adopcję i zakończone sukcesem poszukiwanie prawdziwych rodziców, odtwarzała w tym filmie postać cierpiącej na amnezję dziewczyny, która nie potrafi rozpoznać swojego męża.

Kiedy jednak zaczęła się projekcja, Ruby zamknęła oczy i próbowała zasnąć. Była zła na Katrinę. Zazdrosna, że jej historia zakończyła się happy endem, czuła się przy niej nikim. Przyrodni bracia i siostry Katriny z radością powitał i ją w rodzinie, a ich niezadowolone wzbudzał wyłącznie fakt, że musieli tak długo czekać na spotkanie z nią... No jasne, jakżeby inaczej! Katrina Black była słynną aktorką, a Ruby Taylor tylko szeregową pracownicą drugorzędnej agencji public relations. A po powrocie z okropnej podróży służbowej odkryje zapewne, że przestała nią być, skoro uciekła z ważnej konferencji. Katrina okazała się cudownym dzieckiem, które powraca w aureoli sławy. Ona, Ruby, nie przyniosła

ze sobą nic poza niesławą pozamałżeńskiego romansu, którego nikt nie chciał przyjąć do wiadomości.

- Szanowni państwo - przerwał emisję programu rozrywkowego głos kapitana
- z przykrością muszę państwa poinformować, że na skutek wypadku na Heathrow nasz samolot został zastępczo skierowany do portu lotniczego w Manchesterze...

Ruby gwałtownie oprzytomniała.

W Manchesterze?

ROZDZIAŁ 28

Wybrałam! Wybrałam! - z radosnym okrzykiem rzuciła się W Erica na Lou, zaledwie ta pojawiła się w pracy w poniedziałek rano.

- Co wybrałaś? - spytała Lou.

- Partnera! Na randkę! Moje ogłoszenie wyszło w sobotnim dodatku do „Guardiana” i w rubryce Bratnia dusza we wczorajszym „Observerze”, i wieczorem miałam już trzy odpowiedzi!

Lou uniosła brwi.

- Dwie pierwsze mi się nie podobały - ciągnęła jednym tchem Erica. - Były jakieś takie zimne.

- Cóż, Ryby - zauważyła Lou.

- Bardzo śmieszne - cmoknęła ze zniecierpliwieniem Erica. - Ale wiesz, ta trzecia brzmiała znakomicie. Wspaniały głos. Niski, głęboki. Dobra dykcja. Intonacja człowieka wykształconego.

- To super - zgodziła się Lou.

- Oddzwoniłam od razu, kiedy tylko dostałam tę wiadomość, i przegadaliśmy pół godziny. Nie do wiary, jak łatwo się z nim rozmawia... Myślałam, że będzie mi niezręczne, ale on sprawił, że się od razu wyluzowałam. Ma na imię Bob. Pracuje w firmie prawniczej w City, podobno prowadzi sprawy osób ubiegających się o azyl. Powiedział, że bardzo lubi koty - sam też chciał mieć kota, ale właściciel mieszkania, które wynajmuje, mu zabronił - i prawie jest wegetarianinem. No, to znaczy je tylko mięso z hodowli tradycyjnej i wiejskie jajka, a nie te z ferm.

Lou skinęła głową.

- To rzeczywiście dobrze brzmi.

- Idź w cholere, Lou. - Erica trzepnęła ją żartobliwie w ramię. - Powinnaś być podekscytowana tak samo jak ja!

- I jestem. Kiedy się z nim spotykasz?

- Dziś wieczorem - Erica przygryzła wargę. - W Engineer na Primrose Hill. O ósmej, jeśli uda mu się wyrwać na czas z biura.

- Masz stracha?

- Jeszcze jakiego! A jeśli uzna, że nie jestem wystarczająco atrakcyjna?

- Dlaczego miałby uznać?

- On ma taki wspaniały głos... Powiedział, że jest podobny do Richarda Gere.

- I ty mu wierzysz?

- A co mi pozostaje - westchnęła Erica.

- Pewnie miał na myśli, że jest tego samego wzrostu - zasugerowała Lou. - A słyszałam, że Richard Gere to kurdupel.

- Naprawdę?

- Musi wchodzić na stołeczek, jak kręcą scenę pocałunku.

- Ale Julia Roberts...

- Julia też pewnie jest kurduplem. Słuchaj, nie przejmuj się tak. Richard Gere czy nie, na pewno będzie tobą zachwycony.

- Gdybym tak miała czas wpaść do kosmetyczki. - Erica badała ledwie widoczny włos na twarzy w lusterku puderniczki. - Jak to możliwe, że do tej pory nie zauważyłam tego okropnego włosa? Już jest prawie taki długi jak rzęsa! Musiał rosnąć co najmniej od tygodnia.

- Kolejna wielka tajemnica tego świata - stwierdziła Lou.

- No właśnie. Czy twoja przyjaciółka Ruby wróciła już ze Stanów?

- Nie. Będzie dopiero we wtorek wieczorem.

- Miałaś od niej jakieś wiadomości? - spytała Erica. - Nie mówiła, jak jej się udało to spotkanie?

- Ani słówka.

- Brak wiadomości to dobra wiadomość.

- Chyba tak... Jakby się wydarzyło coś naprawdę niedobrego, na pewno by zadzwoniła.

Ruby patrzyła, jak z karuzeli bagażowej wyjeżdża ostatnia walizka. Nie była to jej walizka. Stała teraz kompletnie sama w pustej hali odbioru bagażu. Karuzela, którą obserwowała tak gorliwie, wypatrując swojej niewielkiej niebieskiej walizki na kółkach, wydała przypominający westchnienie odgłos i stanęła.

- Halo! - zawołała Ruby na mężczyznę w roboczym kitlu, który bez zapału wodził sznurkową szczotką po podłodze w przeciwległym końcu hali. - Gdzie jest mój bagaż?

- Co? - Mężczyzna przyłożył rękę do ucha.

- Mój bagaż - powtórzyła Ruby, idąc ku niemu z pustym wózkiem bagażowym. - Nie pojawił się razem z innymi walizkami.

Człowiek w kitlu patrzył na nią bez wyrazu.

- Co się z nim stało?

Mężczyzna wzruszył ramionami i powrócił do sprzątnięcia.

Wszyscy tej nocy mieli okazać się równie pomocni jak on. Kobieta w dziale bagażu zaginionego niedawno podjęła pracę na lotnisku i twierdziła, że nigdy dotąd nie zdarzył się jej podobny przypadek. Nie wiedziała, co robić. Jej kierowniczką wyszła na papierosa. Zanim wróciła, by stwierdzić, że ona też nie

jest w stanie pomóc - Ruby musiałaby skontaktować się bezpośrednio z obsługą linii lotniczych - autobus, który miał odwieźć pasażerów podróżujących do Londynu na Heathrow, zdążył odjechać.

- Niech pani jedzie pociągiem i wystąpi do linii lotniczych o zwrot kosztów - pouczyła ją kierowniczka działu bagażu zaginionego. Ruby wzięła stosowny formularz i poszła na położony obok lotniska dworzec kolejowy. Ale na tablicy informacyjnej nie było żadnych pociągów do Londynu w dającej się przewidzieć przyszłości.

- Kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Londynu? - spytała przechodzącego pracownika stacji.

- Jutro - odparł.

- Żartuje pan, prawda?

- Nie - powiedział kolejarz. - Nie żartuję.

- To co mam zrobić, żeby się dostać do domu? - Trzeba było kupić bilety na samolot, który przylatuje rano - pouczył ją kolejarz. - Albo na taki, który ląduje na Heathrow.

- Mój samolot właśnie miał wylądować na Heathrow - poinformowała go Ruby.

- To co pani tu robi?

- Może pan mi to powie. - Ruby zacisnęła pięści, żeby nie pokazać mu ordynarnego gestu. Zresztą czy to by miało jakieś znaczenie? Po pięciu latach chodzenia po peronie ten człowiek i tak już na pewno zubożał na oznaki braku szacunku ze strony pasażerów.

Wróciła znów do terminalu. Utrata bagażu miała przynajmniej tę dobrą stronę, że nie musiała go wszędzie ze sobą targać. Komórka jej się rozładowała, znalazła więc telefon na karty i wystukała numer Roberta.

Wargi jej drżały, kiedy czekała, żeby podniósł słuchawkę. Wiedziała, że gdy tylko usłyszy jego przyjazny głos, tama zostanie przerwana. Ale chciała usłyszeć głos Roberta. Chciała wiedzieć, że istnieje ktoś, kto uważa, iż Ruby zasługuje na jego uwagę i miłość.

Po pięciu sygnałach włączyła się sekretarka.

Ruby odłożyła słuchawkę, potem podniosła ją ponownie i jeszcze raz wystukała ten sam numer. Wiedziała, że Robert często włącza sekretarkę, chociaż jest w domu, bo pracuje nad czymś, co przyniósł z biura. Jeśli ona zadzwoni jeszcze raz, będzie wiedział, że to coś ważnego i odbierze telefon sam.

Pięć dzwonek. Klik... Znów włączyła się sekretarka.

Był poniedziałkowy wieczór. Dziesiąta. Powinien siedzieć w domu o tej porze... Wiedziała, ponieważ nigdy się z nią nie umawiał na poniedziałek

wieczorem. Poniedziałkowe wieczory były święte, zarezerwowane na przygotowanie się do wtorkowego spotkania w biurze, na którym omawiano postępy spraw.

Powitanie Roberta skończyło się.

- Biiiip.

- Robert, to ja - wyszeptała Ruby, nagrywając się na sekretarkę. - Wróciłam. Jestem na lotnisku w Manchesterze. Lądowaliśmy tu zastępczo, bo na Heathrow zdarzył się jakiś wypadek czy coś... Marzę o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. Wszystko poszło nie tak... Och, kochany, tak strasznie mi Ciebie brak. Tak bym chciała, żebyś był w domu i odebrał ten telefon.

Głośno siąknęła nosem.

- Nie wiem, jak się dostanę do domu - ciągnęła. - Uciekł mi ostatni wieczorny pociąg z Manchesteru do Londynu. Totalna katastrofa... Powinnam była posłuchać Martina i Lou. Och, Robert, ja...

Rozległ się sygnał sekretarki. Czas nagrywania się skończył.

Do kogo by tu jeszcze zadzwonić? Do rodziców nie powinna. Będą chcieli wiedzieć, co się stało, że tak szybko wróciła z Denver, i najłżejszy ślad troski w głosie matki sprawi, że tamy pękną i popłyną łzy. Zadzwoniłaby do Lou, ale nie pamiętała jej telefonu. Tak to jest, jak się wklepuje numery do komórki, zamiast zadać sobie trochę trudu i nauczyć się na pamięć... Lou niedawno się przeprowadziła i Ruby nie miała nawet pewności, czy kierunkowy to 0207 czy 0208. Wiedziała, że Lou nie ma w książce telefonicznej, bo wycofała z niej swoje nazwisko od czasu upiornej przygody z facetem imieniem Magnus, który utrzymywał, że dostaje wiadomości od samego Boga. Została tylko jedna osoba, do której mogła zadzwonić.

- Martin?

- Ruby! Jak ci tam leci? - Sprawiał wrażenie, iż cieszy się z jej telefonu. - U nas jest prawie wpół do jedenastej. A u was?

- Wpół do jedenastej - powiedziała bezbarwnie.

- Aleja myślałem...

- Nie jestem już w Denver. Jestem w Manchesterze.

- To w Colorado jest Manchester? - spytał sennie Martin. Pewnie kimał przed telewizorem.

- Manchester, hrabstwo Cheshire. Jestem z powrotem w Wielkiej Brytanii.

- Co, co? - ożywił się Martin. - Dlaczego? Czy...

- Spotkałam się z Rosalia Barker i jej mężem, ale on mnie nie chce znać! - Ruby usiłowała powstrzymać szloch. Za późno... Zanim Martin zdążył wypowiedzieć choćby słówko na pociechę, Ruby już ryczała w słuchawkę,

smarkając obficie. Łzy płynęły jej strumieniami po twarzy, a łkanie niemal tamowało dech.

- Ruby, Ruby, Ruby - próbował przebić się Martin.

- A teraz jestem w Manchesterze i nie mogę wrócić do Londynu aż do jutra rana! Nie ma żadnego pociągu i będę musiała spędzić noc w hotelu na lotnisku, i nie mogę się nawet dodzwonić do Roberta, i czuję się taka samotna!

- Ruby, jeszcze raz - powiedział uspokajająco Martin. - Gdzie jesteś?

- Na lotnisku. W Manchesterze.

- Nie zwracaj sobie głowy zamawianiem hotelu - powiedział stanowczo. - Za trzy godziny będę u ciebie.

- Co?

- Ustal tylko, na którym jesteś terminalu, i zadzwoń do mnie na komórkę, kiedy się dowiesz. Potem znajdź sobie jakieś mile, spokojne miejsce, zamów kawę i czekaj na mnie. Będę najszybciej, jak się da. Kiedyś udało mi się dojechać w trzy godziny. Tym razem spróbuję nawet szybciej. Chyba nie ma zbyt dużego ruchu.

- Przyjedziesz po mnie? - spytała z niedowierzaniem.

- Chyba powiedziałem, no nie? Słuchaj, Rubes, wszystko będzie dobrze. Opowiesz mi, co się stało, w drodze do Londynu. Postawisz mi tylko kawę na stacji benzynowej, żebym nie zasnął za kierownicą, zanim zdążymy dojechać.

- Martin, ja...

- Zachowaj wyszukane podziękowania na później - przerwał jej.

- Jestem twoją dłużniczką.

- Chyba po to są przyjaciele, no nie?

W chwilę później Martin grzebał w stosie wszelakiego dziadostwa zalegającego kuchenny stół w poszukiwaniu kluczyków, dziwiąc się równocześnie samemu sobie. W co on się pakuje? Była jedenasta w nocy. Zanim dojedzie do Manchesteru, będzie druga. Do Londynu wrócą na szóstą rano... A o dziewiątej miał się stawić w biurze Manpower, by poddać się testom psychometrycznym, które pozwolą młodziej od niego o dziesięć lat panience z działu personalnego dać mu chwilowe zajęcie o tyle poniżej jego umiejętności, że szlag go trafi z nudów już po dwóch dniach.

- Pieprzyć to - powiedział do siebie, równocześnie znajdując klucze i decydując, że oleje tę rozmowę. Jeden dzień w tę czy w tę... Nic się nie stanie, jeśli odłoży na chwilę wznowienie swojej niezbyt olśniewającej zawodowej kariery.

I, o dziwo, fiesta jego siostry, która nigdy nie zapalała od razu, tym razem zaskoczyła natychmiast, po raz pierwszy od niepamięci świata. To musiał być

znak... I tak samo fakt, że na odcinku między Chalk Farm a M1 wszystkie światła zmieniały się na zielone, kiedy się do nich zbliżał. Minęła dosłownie chwila, a już walił autostradą, odhaczając w pamięci kolejne pozbawione wyrazu miasteczka Midland. Trzy godziny szybko zaczęły mu się wydawać szacunkiem pesymistycznym. Jeśli nie zostanie zatrzymany za przekraczanie prędkości, to będzie w Manchesterze za dwie.

Ruby siedziała tymczasem w kącie opustoszałego baru kawowego. Na połowie stolików ustawiono krzesła do góry nogami, tak by sprzątaczkom łatwiej było przemykać się pomiędzy nimi ze szczotką. Od dwu godzin sączyła to samo capuccino. Nie miała nawet pieniędzy, żeby zapłacić za tę jedną filiżankę, zużyła bowiem większość drobnych na kolejne próby dodzwonienia się do Roberta. Minęła północ, pierwsza, w pół do drugiej, a on wciąż nie odbierał telefonu. Kiedy próbowała kupić capuccino za ostatnie osiemdziesiąt pensów, jakie zostały jej przy duszy, kasjerka zlitowała się nad nią i wstukała drogie capuccino jako nieco tańszą puszkę Diet Coke.

- Nie będzie pani miała kłopotów? - spytała Ruby.

- W nosie to mam - powiedziała z obcym akcentem, przeciągając samogłoski. Była Francuzką. - I tak wracam w przyszłym tygodniu do Biarritz. Za mokro tu. Za smutno.

Ruby pokiwała głową na znak, że się z nią zgadza.

- Dobrze się pani czuje? - spytała dziewczyna. Ruby miała zaczerwienione oczy.

- Tak, tak - powiedziała Ruby. - Jestem tylko trochę zmęczona. Długi lot.

- Będzie tu pani całą noc?

- Czekam na mojego przyjaciela z Londynu, żeby mnie zabrał. Już jest w drodze.

- Z Londynu? Kawał drogi... To musi być wyjątkowy przyjaciel - zauważyła dziewczyna.

W tym momencie do terminalu wszedł Martin. Na jego widok Francuzka uśmiechnęła się znacząco.

- Świetny jest - powiedziała półgłosem.

I rzeczywiście wyglądał całkiem, całkiem... Najwyraźniej zmęczony, trochę nawet zaniedbany, ale było mu z tym do twarzy. Zawsze było mu do twarzy z abnegacją.

- Znalazłem cię - powiedział.

- Martin - zaczęła Ruby. - Przepraszam... - Nie zaczynaj od przeprosin. Idziemy.

Objął ją ramieniem. Ruby momentalnie znów zalała się łzami.

- No, no - uspokajał ją Martin. - Już prawie jesteś w domu. Po drodze wszystko mi opowiesz.

Jedną ręką obejmował Ruby w pasie, a w drugiej niósł jej podręczną torbę. Wyszli na parking.

- Ona ma kółka, wiesz - zwróciła mu uwagę Ruby.

- A ty myślisz, że co ja jestem? - oburzył się Martin. - Jakiś słabeusz?

RS

ROZDZIAŁ 29

Ruby - powiedział Martin. - Wiem, że to dla ciebie niewielka pociecha po tym, co przeszłaś, ale chcę, żebyś wiedziała, że myślę o tobie jak o siostrze. To znaczy, niezupełnie jak o siostrze. Ale jesteś mi dokładnie tak samo bliska jak moja rodzona siostra. Gdybym miał łódź ratunkową na cztery osoby, to z pewnością znalazłabyś się w niej razem z mamą i Marie.

Ruby nadal wpatrywała się bez słowa w mknące do tyłu światła odbłaskowe, wyznaczające krawędzie jezdni. Choć zapewnił ją, że może opowiadać o swoich przeżyciach w Colorado, dopóki mu uszy nie spuchną, niewiele się odzywała od chwili, gdy opuścili parking dworca lotniczego. W pewnej chwili Martin pomyślał nawet, że zasnęła, taka była cicha. W końcu, ostatnie trzy dni spędziła przeważnie w powietrzu. Kto jak kto, ale ona miała prawo do zmęczenia spowodowanego różnicą czasu... Ale oczy Ruby, gdy na nią spojrział, były szeroko otwarte. W milczeniu śledziła płynący autostradą strumień aut.

- Nathaniei Barker nie jest ci do niczego potrzebny - spróbował Martin jeszcze raz. - Dotąd dawałaś sobie radę bez niego. Żyjesz na tym świecie od trzydziestu lat i nawet nie wiedziałaś, że masz przyrodniego brata. Wcale ci go nie brakowało.

Ruby nadal milczała.

- To, co on o tobie myśli, i tak nie ma żadnego znaczenia, bo cię w ogóle nie zna - ciągnął Martin. - Jestem pewien, że gdyby cię poznał, to z radością ogłosiłby światu, że jesteście ze sobą spokrewnieni. Byłby z ciebie naprawdę dumny. Gdybym ja odkrył, że mam przyrodną siostrę...

- To jest stały motyw w moim życiu, nie uważasz? - przerwała mu nagle Ruby. - Moja matka oddała mnie do adopcji. Każdy facet, jakiego kiedykolwiek kochałam, puszczał mnie kantem. A teraz nawet mój pieprzony brat nie chce mnie znać. Stale jestem, do cholery, jakimś odrzutem!

Martin był zaszokowany gwałtownością jej nieoczekiwanego wybuchu.

- Na pewno oprzytomnieje i zmieni zdanie - powiedział ostrożnie.

- Dlaczego miałby zmienić zdanie? John Flett nie zmienił zdania, prawda? Księgowy Dave też nigdy nie próbował do mnie wrócić. Odrzucono mnie już tyle razy, że chyba więcej nie jestem w stanie znieść!

- Ja cię nigdy nie odrzucę, Ruby - powtórzył po raz kolejny Martin. - Gdybym nie musiał prowadzić, w tej chwili bym cię objął i uściskał.

- Uhm - prychnęła Ruby. Wyciągnęła z zagraconego schowka puste pudełko po papierosach i zaczęła je drzeć na ohydne confetti.

- Z tobą i Lou wszystko jest okej - ciągnęła. - Ty wiesz, jak to jest, kiedy ktoś cię kocha bezwarunkowo. I nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy leżysz w nocy bezsennie w łóżku i zamartwiasz się, że mama i tata oddadzą cię z powrotem do domu dziecka, bo źle ci poszła klasówka z matematyki. Nie wiesz, jak to jest, kiedy musisz być grzeczną dziewczynką, bo przecież rodzice nie musieli wybrać właśnie ciebie z gromady odrzutów. Wyświadczili ci łaskę. Musisz być im wdzięczna. Przez całe moje życie nic, tylko byłam wdzięczna za jakieś pieprzone okruchy uczucia...

- Ruby, dobrze wiesz, że to nieprawda - powiedział rozsądnie Martin. - Wiesz, że twoi rodzice kochają cię bez względu na to, co byś zrobiła. Twój ojciec co roku na początku zimy jedzie sześć godzin w obie strony tylko po to, żeby ci odpowiedzieć kaloryfery!

- Wiem - warknęła Ruby. - Wiem. Ale jest jakaś cząsteczka mnie, która nie wie. Maleńka cząsteczka, której nie mogę pogrzebać, a która wciąż wypatruje oznak niezadowolenia na ich twarzach i nigdy nie pozwalała mi z nich zażartować czy przedrzeźniać ich, tak jak to robiła moja siostra, bo a nuż im przyjdzie do głowy, żeby mnie oddać z powrotem. I ta maleńka cząsteczka mnie rzuca się na każdy najmniejszy ślad odrzucenia, jakie mnie w życiu spotkało, i karmi się nim tak długo, dopóki nie zaleje wszystkich racjonalnych części mojego umysłu tym swoim przeklętym nieustającym niepokojem!

Chwyciła się za czubek nosa w rozpaczliwej próbie powstrzymania łez.

- O Jezu. Przepraszam - powiedziała. - Akurat tego ci potrzeba. .. Przyjechałeś w środku nocy, żeby mnie zabrać z tego cholernego Manchesteru. Wskoczyłeś z łóżka i spędziłeś trzy godziny za kółkiem, jasny gwint... A ja ci tu w kółko nadaję, jakie okropne jest moje życie i...

- Przestań - powiedział Martin.

- Staram się. - Ruby uznała, że prosi ją, by przestała płakać. - Nie o to mi chodzi. Przestań się usprawiedliwiać. Jakbym nie chciał, to bym po ciebie nie przyjechał. Powiedziałem ci, że możesz mówić, ile zechcesz, i podtrzymuję to. Nie musisz mi być wdzięczna, Ruby. Jesteście z Lou moimi najbliższymi przyjaciółkami. Kocham was bezwarunkowo i czuję się zaszczycony, że mogę coś dla ciebie zrobić.

- Chyba nie mówisz serio.

- Czyżby znowu odezwała się głupsza część twojego umysłu?

Ruby opadła na oparcie fotela.

- Wiesz, co ci powiem? - ciągnął Martin. - Życie rodzinne innych ludzi bynajmniej nie wygląda tak różowo, jak zdajesz się zakładać. Sam fakt, że wychowują cię twoi naturalni rodzice, wcale nie oznacza mniejszej szansy na to,

że zostaniesz zdradzona. Kurczę, czy wiesz, ile razy marzyłem, żeby matka i ojciec powiedzieli mi, że zostałem zaadoptowany. Przynajmniej miałoby to wtedy jakiś sens.

Ruby popatrzyła na niego spod oka.

- Przepraszam - powiedział Martin. - Nie zamierzałem pomniejszać wagi twoich uczuć, ale...

- Rozumiem. Są głupie.

- Nie to chciałem powiedzieć. Chciałem ci uświadomić, że miałaś szczęśliwe dzieciństwo, Ruby. Naprawdę miałaś szczęśliwe dzieciństwo. Byłaś kochana. Naprawdę kochana. I nadal jesteś.

- Wiem, wiem - mruknęła.

- Masz rodzinę. Masz przyjaciół. Masz nawet nowego chłopaka, który sprawia wrażenie porządnego - wydusił z siebie te ostatnie słowa. - Czego jeszcze szukasz, Ruby? Czego ci brakuje, twoim zdaniem?

Ruby wzruszyła ramionami.

- Chyba... chyba chodzi po prostu o to, że przez całe życie usiłuję udowodnić mamie i tacie, że postąpili słusznie, adoptując mnie.

- Każdy, kto cię zna, wie, że tak jest.

- Tak. Ale czy ty nie widzisz, że naprawdę przekonującym dowodem byłoby to, gdyby moi naturalni krewni zaakceptowali mnie taką, jaka teraz jestem, i przyznali, że jestem coś warte i że nie pozbyli się wtedy jakiegoś śmiecia. Chciałam, żeby potwierdzili, że to nie była moja wina.

- Byłaś wtedy niemowlakiem, Rubes. Dlaczego, na Boga wydaje ci się, że to twoja wina?

- Nie wiem. Ale chciałam usłyszeć, że stało się coś, na co ni(mieli wpływu, i że musieli mnie oddać, ale teraz mnie straszni« pokochali. Chciałam usłyszeć, że nigdy by mnie nie oddali, gdyby sprawy ułożyły się inaczej. Myślałam, że na nowo przyjmą mnie do rodziny. A Nathaniel Barker nawet nie chciał mnie słuchać...

- To musiał być dla niego szok - powiedział Martin, przyjmując rolę adwokata diabła. - Kiedy tak cię zobaczył ni z gruchy, ni z pietruchy u siebie w domu... Przecież nawet nie wie dział, że ma siostrę! On też musi przetrwać wiele rzeczy. Pewnie czuje się tak, jakby też został okłamany. Najpierw musi się uporać z zupełnie nowym obrazem matki. A może nawet czuje się winny wobec ciebie, że i jego nie oddała?

- Jeśli czuje się winny, to czemu nie próbował mi tego wy nagrodzić?

- No wiesz, poczucie winy nie zawsze działa w ten sposób Czasami świadomość, że się skrzywdziło kogoś niewinnego powoduje, że po prostu

ucinasz kontakt, żeby go już nigdy ni krzywdzić. Pamiętasz taką jedną praktykantkę z Internationa Mags, z którą umówiłem się raz na randkę?

- Którą? Było ich parę - uśmiechnęła się Ruby. - Tę świetną laskę. Véronique.

- Tę, która nie uległa twoim wdziękom?

- Ona mi wcale nie dała kosza - powiedział obronnie Martin. - Wiem, że tobie i Lou trudno w to uwierzyć, ale fakty a takie, że naprawdę się jej podobałem.

- A ona podobała się tobie, prawda? - No tak, tak. Ale...

- Co ale? Co było nie tak?

Martin odetchnął głęboko i wyjaśnił, jak było naprawdę.

- Powiedziała mi, że ma przetokę jelitową.

Ruby przestała drzeć pudełko i spojrzała na mroczny profil przyjaciela.

- Wiedziałem, że nie powinno to mieć dla mnie znaczenia, ale miało. Po prostu nie chciałem już potem się z nią przespać. Próbowałem udawać, że na razie nie pójdziemy do łóżka, bo chciałbym, żeby to było coś wyjątkowego... A potem zacząłem jej unikać w biurze. A ona, taka śliczna, nie mogła zrozumieć, czemu nie chcę jej widzieć, i wpędziła mnie w takie poczucie winy, że w końcu powiedziałem mojemu szefowi, że zapomniała o jakiejś papierkowej robocie, którą musiałem zrobić za nią sam, i zwolnił ją.

- Martin! Przecież to okropne!

- Tak... Wiem. Ale rozumiesz teraz, o co mi chodziło, kiedy powiedziałem, że poczucie winy wywołuje czasem dziwne reakcje? Powinienem inaczej zachować się wobec Véronique. Może powinienem nawet jej powiedzieć, na czym polega problem. Ale za każdym razem, kiedy widziałem jej twarz, miałem przed oczami dowód mojego własnego gówniarstwa. Mojej niezdolności do tego, żeby zmierzyć się z realnym życiem. Dlatego wszystko zrobiłem nie tak, jak należało. Pewnie twój przyrodni brat tak samo wstydzi się teraz, że wyrzucił cię z domu, jak ja się wstydzę, że doprowadziłem do wyrzucenia Véronique z pracy.

- Nie - powiedziała nieubłaganie Ruby. - Absolutnie nie sędzę, żeby to było to samo. To, co ty zrobiłeś, to po prostu ohydna męska reakcja na niedoskonałość fizyczną. Wyobrażasz sobie, żeby jakaś kobieta nie dała facetowi szansy, bo jest w nim coś lekko nieapetycznego? Co nie znaczy, że przetoka jest nieapetyczna...

Zakryła usta dłonią. Martin pomyślał, że znowu się rozpłacze. Ale Ruby nieoczekiwanie prychnęła śmiechem.

- O Boże... Przepraszam! Biedna dziewczyna... Niewątpliwie stawia to we właściwym świetle mój cellulitis. Nie mogę się już doczekać, żeby powiedzieć Lou.

- W żadnym wypadku - zdenerwował się Martin. - Wystarczy już, że muszę znosić te wszystkie dowcipaski na temat Hermesa... Powiedziałem o tym tylko

tobie, bo myślałem, że zrozumiesz! Myślałem, że dzięki temu poczujesz się trochę lepiej.

- Teraz już wiadomo, dlaczego zawsze twierdzisz, że twoje życie osobiste to jedno wielkie gówno! - wykrztusiła Ruby, tym razem na wpół ze śmiechem, na wpół z płaczem. - Przepraszam, Martin. Przepraszam... Chyba mimo wszystko jestem złym człowiekiem.

- O rany! - jęknął Martin. - Zostawmy to, dobrze? Ruby pokręciła melancholijnie głową.

- Przynajmniej się dzięki temu uśmiechnęłaś - zauważył. - Zmierza pan prostą drogą do piekła, panie Ashcroft. Wiesz o tym, prawda?

- Śmiałaś się - przypomniał jej Martin. - Tobie grozi to samo.

Dotarli do mieszkania Ruby za kwadrans szósta. Kiedy skręcali o brzasku w jej ulicę, minęli mleczarza.

- Drinka na dobranoc? - zaproponowała.

- Dobra. Jednego.

Kiedy szli do wejścia, Martin otoczył Ruby ramieniem.

- Zimno ci? - spytał.

- Teraz już nie.

Na schodach przystanęli na moment. Ruby podniosła ku niemu wzrok. Oczy jej wciąż lśniły od łez, rzęsy były mokre. Nigdy nie osiągnęłyby tak znakomitego efektu za pomocą szczoteczki i tuszu, pomyślał. Uśmiechnął się nieśmiało, patrząc na jej poznaczoną czerwonymi plamami twarz.

- Dzięki - powiedziała, marszcząc nos, by powstrzymać napływające na nowo łzy.

- Za co?

- Za to, że przyjechałeś po mnie do Manchesteru. Za to, że słuchałeś, jak wywlekam moje neurozy i że próbowałeś mnie zrozumieć.

- Zaslugujesz na więcej - powiedział po prostu. - Chciałbym móc zrobić coś, żebyś w to uwierzyła. I oni... - dodał.

Ruby wzruszyła ramionami. Z miejsca wiedziała, kogo Martin ma na myśli.

- A tam. Po co komu dwie rodziny? - powiedziała dzielnie.

- Wystarczający kłopot z jednym zestawem krewnych, kiedy nadchodzi Boże Narodzenie.

- Święte słowa. Za dużo tych krewnych. Za dużo bachorów - podchwycił Martin. - Chociaż oni tam chyba nie mają żadnych bachorów na święta, prawda? Bo jeśli mają, to musiałybyś stawić czoło bachorom aż trzy razy! Dwa Boże Narodzenia i jedno Święto Dziękczynienia!

- Martin - Ruby położyła mu palec na ustach - nie chcę więcej o nich myśleć. Jeśli o mnie chodzi, to Kolorado nie istnieje, jasne? I nigdy nie istniało.

- Jasne.

- Dzięki. - Wciąż nie ruszali się z miejsca. - Za wszystko - dodała Ruby niemal bez sensu. A potem wspięła się na palce, żeby pocałować go w policzek. Tak po prostu, po przyjacielsku.

Ale pocałunek trwał nieco dłużej niż zwykle. Bo kiedy Ruby cmoknęła Martina w policzek, on znów przygarnął ją ramieniem i nagle jej usta znalazły się na jego ustach, niemal je rozgniatając. Kiedy ją puścił, odstąpiła o krok, lekko zmieszana. Niewykluczone, że również zarumieniona.

W pół godziny później Martin odjechał do siebie. Ruby stanęła pośrodku pustego salonu i patrzyła na starą sofę o czyściutkiej tapicerce, na wypolerowany stolik do kawy, na niezmożoną roślinę w doniczce, którą Martin mimo wszystko zapomniał podlewać... Na kominku stało oprawione w ramkę jej zdjęcie z mamą, tatą i Lindsay, zrobione, kiedy przyjechali do niej na uroczystość wręczenia dyplomów. Wzięła je do ręki i czule musnęła rękawem, ocierając z kurzu. Pamiętała, jak matka martwiła się, w co ma się ubrać na tę okazję. Czy powinna włożyć kapelusz? A może to będzie przesada? W końcu to nie nabożeństwo... Było dla niej takie ważne, żeby nie przynieść wstydu swojej młodszej córce! W rezultacie pani Taylor włożyła bladoniebieski kostium, który miała na sobie na weselu Lindsay. Z kapelusza zrezygnowała, co było trafnym wyborem, bo okropnie wiało tego dnia. To Steve, szwagier Ruby, musiał zrobić to zdjęcie... Świetny facet! Lindsay miała szczęście, że znalazła takiego męża. Ruby czuła się wystarczająco szczęśliwa tylko z tego powodu, że był jej szwagrem.

Patrzyła na pełną dumy twarz ojca i poczuła pod powiekami kolejną falę łez. To jest jej prawdziwa rodzina. Nie jakiś facet z Kolorado, który nie chciał przyjąć do wiadomości jej istnienia, tylko te trzy osoby, które otaczają ją na zdjęciu, fantastyczny mężczyzna, który to zdjęcie zrobił, i mikroskopijne niemowlę z noskiem Taylorów, którego w tamtym momencie nie było jeszcze na świecie.

Gdy tylko będzie dostatecznie przyzwoita pora, zadzwoni do matki i siostry. Dowie się, co z siostrzenicą. Kiedy stawiała z powrotem fotografię na honorowe miejsce na kominku, poczuła coś na kształt ulgi. Przynajmniej oszczędzi im bólu, jaki niewątpliwie czuliby, gdyby się dowiedzieli, że pojechała szukać swojej naturalnej rodziny. Dzięki Nathanielowi Barkerowi ten delikatny problem ominął rodzinę Taylorów. Na pewno wyjdzie jej tylko na dobre to, że nie chce jej znać.

W kącie na półce migало światelko automatycznej sekretarki. Ruby odtworzyła nagrania.

— Cześć, malutka. Już wróciłaś? Przepraszam, że mnie nie zastałaś, kiedy dzwoniłaś z lotniska. Siedziałem w biurze - dodał. To dziwne, pomyślała Ruby, w drodze powrotnej z Manchesteru przypomniała sobie, że miał być tego wieczoru na spotkaniu z kolegami ze studiów. - Zadzwoń znów, kiedy tylko zechcesz, moja słodka. Tak długo cię nie widziałem... Strasznie za tobą tęsknię.

Robert.

Czoło Ruby rozpogodziło się. Mimo wszystko ktoś ją kocha.

RS

ROZDZIAŁ 30

Lou z miejsca zauważyła, że Erica ma na sobie ten sam strój, co wczoraj wieczorem, kiedy wybierała się na swoją wielką randkę.

- Chyba nie... - mruknęła z niedowierzaniem.

- Wiem. Wiem. Nie powinnam była. Szóste przykazanie i tak dalej... Ale, na litość boską, Lou. Ja mam trzydzieści siedem lat! Muszę korzystać z okazji, skoro się trafia...

- Myślałam, że masz trzydzieści dwa! - wykrzyknęła Lou.

- Trzydzieści siedem i pół - powiedziała dumnie Erica. - I nie odpowiadam przed nikim, tylko przed sobą samą, więc jeśli mam ochotę spędzić noc z facetem, którego dopiero co poznałam, to, kurczę, wolno mi!

- Zmieniłaś śpiewkę.

- Bo on zmienił moje życie!

- Tak szybko?

- No cóż, właściwie to dosyć wolno - powiedziała Erica z wymownym uśmiechem.

- Erica! Proszę... Dopiero zjadłam śniadanie.

- Wiem! I wiem, że dawniej sama cię krytykowałam, kiedy za szybko łądowałaś u kogoś w łóżku, ale to w pewnym stopniu dlatego, że jesteś taka wrażliwa, Lou. Łatwo cię skrzywdzić.

- Dziękuję.

- No a co do mnie, to wiem, że nie będzie to miało dla mnie żadnego znaczenia, jeśli więcej nie zadzwoni.

- Nie mówisz serio.

Erica zagryzła wargę i nieoczekiwanie przybrała wygląd nastolatki, która dostała ataku tęsknoty za obiektem swojej pierwszej wielkiej miłości.

- No pewnie, że nie! Nie przeżyję, jeśli do mnie więcej nie zadzwoni. Muszę się z nim znów zobaczyć! - Udała, że mdleje.

- Musi być niesamowity - zauważyła Lou.

- No... Od samego początku. Powiedział, że nie chciał, żeby wszyscy od razu wiedzieli, że to randka w ciemno, więc przyszedł nie z goździkiem, tylko z takim ogromnym bukietem róż!

- Tesco Metro? Marks i Spencer?

- A skąd. Z całą pewnością były jak należy z kwiaciarni. Opakowane w bibułkę. Zobacz - Erica sięgnęła do torby i wyjęła kalendarz. Między stronicami, w miejscu, które odpowiadało pamiętnej dacie, widniał starannie ułożony, rozchylający się pączek ślicznej herbacianej róży.

- O Boże, przecież to okropna szmira - powiedziała Lou.

- Wiem. Ale cokolwiek się zdarzy w przyszłości, będę mogła wspominać wczorajszą noc przez resztę mojego nudnego, nieważnego życia. - Erica usiadła przy biurku naprzeciwko Lou i nachyliła się ku niej, tak jakby chciała powierzyć jej jakąś tajemnicę. Lou też się nachyliła, tak że ich głowy niemal stykały się nad blatem biurka.

- Co on, na Boga, z tobą robił? - spytała podekscytowana Lou.

- Nie wiem... Nic takiego. To znaczy wszystko. Nie wiem nawet, jak zacząć... Ale chyba miałam orgazm - rzekła Erica i zakryła usta dłonią, tak jakby wymknęło jej się potworne przekleństwo. Kiedy odjęła rękę, znów nerwowo gryzła wargę.

- No, to chyba dobrze, nie? - zauważyła Lou. - Ale co to znaczy, że „chyba” miałas orgazm?

Erica znów się nachyliła.

- No... po prostu nie wiem, czy to było to, bo nigdy dotąd nie zdarzyło mi się nic podobnego. Kiedyś już myślałam, że miałam, ale po wczorajszej nocy nie jestem tego taka pewna. To było coś takiego... Ojejku, chyba nie powinnam ci o tym opowiadać, Lou.

- Nie mam zamiaru nikomu powtarzać twoich wynurzeń, jeśli o to ci chodzi.

- Wiem, że nie powtórzysz... Nie jestem nawet pewna, czy sama chcesz słuchać. Ale ja muszę komuś o tym powiedzieć. Muszę mieć pewność, że to rzeczywiście był orgazm, a nie jakiś atak.

Lou stłumiła chichot, co dało taki efekt, jakby parsknęła z oburzeniem.

- Co w tym jest takiego śmiesznego? - spytała Erica.

- Nic. - Lou szybko się opanowała. - Opowiedz mi, co czułaś, a ja cię oświecę co do reszty.

- No więc... - Erica wzięła głęboki oddech. - On zaczął schodzić w dół, o tędy, i tego... Wiesz, ja go w ogóle nie prosiłam, żeby to robił. Po prostu nie wierzyłam własnemu szczęściu, kiedy zrobił to z własnej woli...

- Co zrobił? - spytała Lou.

- Nie każ mi wypowiadać tego słowa - powiedziała błaglnie Erica. - No więc, tak czy inaczej, na początku to było tylko jakby łaskotanie w dolnych rejonach, a potem miałam takie wrażenie, jakby mi się zbierało na kichanie, ale nie nosem, tylko tam... - wystękała, wskazując wstydliwie pod biurko. - A potem wydawało mi się, że się zmoczę, a potem nie mogłam się powstrzymać od krzyku.

Lou parsknęła na całe gardło.

- Wszystko w porządku. Miałaś regularny orgazm.

- Dzięki Bogu - westchnęła Erica. - Bo już myślałam, że dostałam ataku padaczki.

Ruby postanowiła przycząć się w domu aż do środy. Na szczęście, kiedy pokazała się w pracy, Alan sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego jej wyjaśnieniem, że z powodu problemów rodzinnych musiała natychmiast wracać.

- Już wszystko dobrze?- spytał tonem dość życzliwym, ale równocześnie takim, z którego jasno wynikało - ku jej wielkiej uldze - że nie zależy mu na szczegółach.

Ruby skinęła głową.

- No to w porządku. Mam nadzieję, że nie przeszkodzi ci to wziąć udziału w piątkowej uroczystości.

Piątkowa uroczystość... Do letniej imprezy integracyjnej pozostały zaledwie dwa dni! Dziewczyny z zespołu Two-Faced Cosmetics prowadziły zakłady o to, która panienka w firmie uwali się dostatecznie, by stracić pamięć i wylądować w łóżku Emlyna „Pantery” Cruickshanka. Zamierzały trzymać to przed nim w sekrecie, ale wybuchy wesołości wokół biurka Imogen - gdyż to w górnej szufladzie jej biurka przechowywana była książka zakładów - i fakt, że śmiech gwałtownie milkł, ilekroć Pantera pojawił się w pobliżu, niechcący poinformowały go o planowanej psocie. Co nie znaczy bynajmniej, że poczuł się urażony. Fakt, że żadna ze stawek nie była większa niż piętnaście do jednego, prawdopodobnie szalenie wzmocnił jego przekonanie o własnej wątpliwej atrakcyjności.

- Na ciebie stawiają jedenaście do jednego - poinformowała Ruby Liz.

- Och, daj spokój... Ja wiem, co ten facet ma w skarpetkach. A zresztą - dodała - jestem przecież zajęta.

Liz uniosła nieprzyjaźnie brwi.

- To co, on jednak przychodzi na imprezę, ten twój nowy chłopak?

- Jasne - skinęła głową Ruby. - A ty jak? Przyrowadzasz kogoś? Może kota?

Liz z irytacją zacisnęła usta. Ruby miała to jednak w nosie. Nie mogła się już doczekać imprezy... Prawie nie potrafiła sobie przypomnieć, jak czuła się zdołowana, gdy pomyślała, że ma w niej wziąć udział niewiele ponad miesiąc temu, kiedy to John Flett wciąż stanowił centrum jej egzystencji. Strząsnęła z siebie sugestię Liz, że coś koloryzuje z tym swoim cudownym Robertem. Był fantastyczny jako chłopak, ale okazał się też prawdziwym przyjacielem, bratnią duszą. Zdawał się dokładnie wiedzieć, czego Ruby potrzebuje... Kiedy opowiedziała mu wczoraj wieczorem o swoim problemie z Nathanielem Barkerem, j mruknął po prostu: „Pieprz go”. No właśnie, pomyślała. „Pieprz go i

tylę". Nie było sensu nawijać w kółko o tym, co się wydarzyło w Kolorado... zwłaszcza że Robert wołał, żeby poszli już do łóżka.

Dzięki jego wsparciu Ruby czuła, że potrafi uporać się z tym ostatnim odrzuceniem i utrzyć nosa Johnowi Flettowi. Zrobił z jej życia jeden bajzel, ale na szczęście na krótko. Och, żeby już wreszcie nadeszła ta letnia impreza w Hollingworth!

Piątkowy ranek w Hollingworth przypominał ostatni dzień odsiadki. W każdym pokoju wisiała z tyłu na drzwiach czyjaś słodka jak cukierek balowa kreacja, czekając na wybicie godziny piątej, kiedy wszystkie dziewczyny rzucają się do toalet, żeby się przebrać.

Kiedy Ruby przyszła tego ranka do pracy, Imogen właśnie przykładała kieckę do siebie, pokazując swojej asystentce i najlepszej koleżance, Janinę, w czym wystąpi wieczorem.

- A do tego to - dodała, podnosząc w ręce coś, co przypominało parę wełnianych getrów.

- Zupełnie jak z Kich from Fame - zauważyła Ruby, przechodząc.

Imogen spojrzała na nią bez wyrazu. Była za młoda, żeby pamiętać.

Nie szkodzi, pomyślała Ruby. Ciekawe, czy Flett „załapie” ten styl retro wzorowany na latach osiemdziesiątych, czy też cofnie go, ku jego przerażeniu, w fazę C & A, którą musiał już całkowicie zostawić za sobą... Zapomnijmy o dowcipnych aluzjach do epoki, która wynalazła suknię-bombkę, pomyślała Ruby.

Ona sama wybrała elegancję ponadczasową. W przerzuconym przez ramię pokrowcu niosła śliczną nową jedwabną sukienkę od Nicole Farhi, o spódniczce równie czerwonej i delikatnej, jak płatki maku. Kosztowała fortunę, ale Ruby nie dbała o to. Czeka ją fantastyczny wieczór. Piękna jak nigdy, spędzi go uwieszona u ramienia oszołamiającego mężczyzny, podczas gdy Flett będzie bez powodzenia próbował sprostać na parkiecie swojej paniencie w stylu nieprawej córki Bananaramy. Będzie widział Ruby łagodną, pogodną i wyrafinowaną wytworną, żywy dowód, że bez niego jest jej o wiele, wiele lepiej. Co nie znaczy, by to, co pomyśli Flett, miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie...

- Ruby, mówi Robert.

- O, cześć - zaczęła Ruby. - Właśnie miałam zamiar za chwilę do ciebie zadzwonić, żeby ci powiedzieć, jakie są plany na dzisiejszy wieczór. Postanowiliśmy, że wpadniemy najpierw na parę koktajli do Amerykańskiego Baru w Savoyu, a dopiero potem pójdziemy na statek. Świetny pomysł, no nie? Pomyśleliśmy, że przyjemnie będzie zacząć wieczór od czegoś odrobinę bardziej

eleganckiego, nawet jeśli o wpół do dziewiątej i tak wszyscy zwalimy się pod stołem. Na statku alkohol będzie gratis całą noc...

- Ruby - przerwał Robert. - Tak?

- Chyba w ogóle nie dam rady przyjść dzisiaj na imprezę. Wyskoczyło mi coś ważnego.

- Co???

- To dotyczy tej sprawy, którą ostatnio prowadzę. Nie sędzę, żeby udało mi się wyjść z biura wcześniej niż o dziewiątej. Chętnie bym powiedział, że dołączę do was później, ale rzecz jasna nie mogę. Chyba że przepłynę Tamizę w pław w wieczorowym garniturze - zaśmiał się lekko.

- Jak to? - spytała z niedowierzaniem Ruby. - To nie ma nikogo, kto mógłby cię zastąpić?

- Nie. Naprawdę. To jest nowy materiał dowodowy na rozprawę, która ma się odbyć w przyszłym tygodniu. Może mieć ogromne znaczenie. Nie chcę ci obiecać, że przyjdę, a potem wystawić cię do wiatru.

Ruby poczuła suchość w ustach.

- Ale dla mnie ma to ogromne znaczenie, żebyś był na imprezie - wyjąkała.

- Tak, Rubes, wiem. Ale i dla mojego klienta ma to ogromne znaczenie. To dla niego oznacza różnicę między wolnością a więzieniem. Nie mogę go zawieść. Ani jego żony. Ani jego dzieci - dodał w charakterze ostatecznego ciosu.

- To może mógłbyś wyskoczyć z nami do Savoya na wczesnego drinka - nie rezygnowała Ruby. - I zaraz potem wróciłyś do biura.

- Ruby, strasznie bym chciał, naprawdę - powiedział kojącym tonem Robert. - Ale aż do siódmej mam umówione spotkania.

- To nie możesz wyjść nawet na pół godziny?

- Nawet na pół godziny. Słuchaj, zadzwonię później - powiedział, żeby ją ułagodzić. - Nigdy nic nie wiadomo... A nuż uda mi się uporać ze wszystkim trochę wcześniej? Co ty na to?

- W porządku. - Ruby powoli odłożyła słuchawkę i spojrzała na wiszącą na drzwiach czerwoną sukienkę. W tym momencie drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich głowa Katherine, jej asystentki.

- Rubes - zaskomliła - mogłabym wyskoczyć na parę minut? Zapomniałam tuszu do rzes i muszę kupić sobie jakiś na dzisiejszy wieczór...

Ruby odprawiła ją machnięciem ręki.

- Rubes - zaczęła znowu Katherine - a tego... Nie wiesz, czy Emlyn przychodzi dzisiaj sam? Co nie znaczy, że mam jakieś szczególne powody, żeby o to pytać... Tylko że niektóre dziewczyny...

- Nie wiem - powiedziała bezbarwnie Ruby. - Ale ty wiesz, że jesteś faworytką w zakładach? Z prawdopodobieństwem dwa do jednego.

- Co?

- Jesteś faworytką, jeśli chodzi o prawdopodobieństwo, że wyskoczysz dla Pantery z gatek - warknęła Ruby. - Postaraj się po prostu zachować trochę godności dziś wieczorem, to wszystko.

Katherine z szeroko otwartymi ustami wycofała się z pokoju. Ruby zbyt była wkurzona, żeby się przejmować. To nie do wiary... Dlaczego on musi pracować do późna akurat dzisiaj?

W piątek wieczorem? W dniu, kiedy ona ma letnią imprezę? Wyśniony romantyczny wieczór na statku pogrążał się w odmętach.

Bo przecież nie pójdzie sama. Miłość do Fletta już jej przeszła, co do tego nie ma wątpliwości... Wiedziała, że nigdy więcej nie zechce się z nim spotykać. Ale wiedziała też, że musi minąć wiele czasu, by zapomnieć, kiedy ma urodziny (miał piętnastego stycznia), by mogła bez bólu patrzeć, jak ściska się z Imogen, w sytuacji gdy ona nie ma się z kim ściskać ani w kogo wtulić, jeśli chce odwrócić wzrok.

- Aaa...! - Ruby wbiła długopis w podkładkę pod mysz. - Dlaczego dziś wieczorem???

Wiedziała, że powinna być wyrozumiała, ale to po prostu nie fair. Potrzebowała, żeby Robert przyszedł na tę imprezę. Zasługiwała na to, po wszystkim, co było w jej życiu nie tak w ciągu ostatnich paru tygodni... A on ją zostawił, żeby siedzieć do późna w biurze z powodu jakiegoś kryminalisty! Jakiegoś dealera narkotyków, szumowiny, oprycha, udającego niewiniątko. A jego śliczna żoneczka pewnie nie może się doczekać, kiedy go wreszcie wsadzą, żeby się mogła spokojnie pieprzyć z jego najlepszym kumplem. A jego niewinne dziateczki i tak już włóczą się po ulicach i rysują ludziom gwoździem samochody.

- Nie, nie, nie, nie! - Ruby przełamała długopis na pół.

- Dobrze się czujesz, Ruby? Do pokoju zajrzała Liz Hale.

- Doskonale. - Ruby odgarnęła włosy do tyłu. - Tylko Robert właśnie zadzwonił, żeby powiedzieć, że źle się czuje. W tej sytuacji nie idę na imprezę. Zajrzę do niego, żeby się nim zająć - skłamała.

ROZDZIAŁ 31

Lou z entuzjazmem odniosła się do pomysłu, by Ruby dołączyła tego wieczoru na mieście do niej i Andrew. - Chociaż będzie troszkę parno - ostrzegła ją żartobliwie. - To znaczy, oprócz ciebie przyjdą same pary. Umówiliśmy się na drinka z Ericą z mojego biura i jej nowym facetem. Nie masz nic przeciwko temu?

- A skąd. Przynajmniej poprawię sobie humor - odparła Ruby. - A poza tym nie przeszkadzają mi spotkania z parami, skoro i ja, praktycznie rzecz biorąc, nie jestem już singlem. Przynajmniej, kiedy zaczniesz opowiadać te swoje zabawne anegdotki o tym, jak się poznaliście i co ci powiedział w zeszłym tygodniu, ja będę mogła mówić o Robercie.

Lou zmarszczyła brwi.

- Przecież ja nie opowiadam żadnych „zabawnych anegdotek” o Andrew. Co ty gadasz?

- No, może i nie - zgodziła się Ruby.

- No. Słuchaj, nie powinnaś się tak bardzo złościć na Roberta. W końcu to, że chcesz zrobić wrażenie na swoim wrednym ekskochanku, niekoniecznie musi być ważniejsze niż to, żeby nieszczęsny klient Roberta nie trafił do pułda. Dla niego samego, dla jego żony, dzieci...

Ruby przewróciła oczami.

- Wyobraź sobie, jak byś się czuła, gdyby ten facet poszedł siedzieć, dlatego że Robert bałował z tobą na imprezie - ciągnęła Lou.

- Najgorsze jest to, że ten łajdak na pewno zasługuje na karę. Robert nigdy nie reprezentuje w sądzie niewinnych... Ale wiem, że masz rację. Tylko że tak na to czekałam... Liczyłam, że będę mogła wejść na imprezę z wysoko podniesioną głową i nie przejmować się, czy Flett jest z Imogen, czy nie, boja bym miała znacznie lepszego faceta.

- Ruby, nie jest ci potrzebny żaden facet, żebyś mogła chodzić z podniesioną głową w obecności Fletta. Czy Imogen. Co ona ma takiego, czego ty nie masz? - spytała Lou.

- Opaleniznę. Szczupłe uda. I mojego ekschłopaka.

Ruby poszła prosto do pubu, w ciuchach, które miała na sobie cały dzień. Była bez makijażu, bo chciała, żeby maseczka, którą zastosowała poprzedniego wieczoru, gdy szykowała się do imprezy, dała jak najlepszy efekt. Czy warto nakładać na twarz tapetę, skoro ma się spotkać z Lou i „poprawną ekologicznie” Ericą? Podobno, jak utrzymywała Lou, Erica powiedziała kiedyś, że makijaż to symbol męskiej dominacji nad kobietą, po czym zgniotła wszystkie swoje

szminki w wielką czerwoną pigułę i uformowała ją na kształt penisa, żeby wyrazić swoją dezaprobatę.

Właśnie dlatego Ruby była tak zaskoczona, kiedy zobaczyła Ericę w pubie i stwierdziła, że ta niewątpliwie ma na wargach szminkę.

- Cześć! - Była też podekscytowana i zdyszana w zdecydowanie dziewczęcym stylu. - Bob przyjdzie za jakieś pół godziny - wyjaśniła wszystkim zgromadzonym, to jest Lou, Ruby i Andrew. - Strasznie dużo pracuje... Ale nie mogę mu mieć za złe, skoro pracuje dla tych biednych azylantów niemal za darmo.

- A co on robi? - spytała Ruby.

- Jest prawnikiem. - Erica nie była w stanie ukryć dumy. - Specjalistą od praw człowieka.

- Coś takiego. Mój chłopak też jest prawnikiem - powiedziała Ruby.

- O, naprawdę?

- Tak, ale pracuje raczej na rzecz kryminalistów.

- Ach tak - powiedziała Erica takim tonem, jakby przez swoją pracę Robert też stawał się jednym z niegrzecznych chłopców.

- Też ciężko pracuje w tej chwili - wyznała Ruby. - Mieliśmy iść dzisiaj na imprezę, ale właśnie dostał jakiś nowy materiał dowodowy, który może uchronić jego klienta od więzienia. Trudno, żebym się upierała, że ma iść ze mną, skoro chodzi o być albo nie być jakiegoś nieszczęsnego typu... Ale powiedział, że zadzwoni później. Może uda mu się do nas dołączyć?

- No, to grozi nam, że będziemy przez cały wieczór słuchać gadania na tematy prawne - zauważyła Lou.

- Albo sportowe - dodał Andrew. - Ponieważ wszyscy mężczyźni zawsze mówią o futbolu.

- A co ty robisz, Andrew? - spytała Erica.

- Z czym? - odpowiedział pytaniem Andrew.

Lou ścisnęła mu rękę pod stołem. Superodpowiedź. Super-facet.

- Wiesz co - powiedziała wspaniałomyślnie Ruby, kiedy nieco później tego wieczoru znalazły się same w damskiej toalecie - chyba się myliłam co do twojej koleżanki Eriki. Ona jest naprawdę w porządku. Całkiem kobieca kobitka.

Lou z rozbawieniem uniosła brwi.

- Nie, naprawdę. Jest kobieca. I tak przyjemnie się z nią rozmawia... Mam nadzieję, że ten jej chłopak okaże się przyzwoitym facetem - ciągnęła Ruby. - Czy nie uderzyło cię, jak mało prawdopodobnie statystycznie jest to, co się nam przytrafiło? Wszystkim nam się niesamowicie poszczęściło z tymi ogłoszeniami.

Najpierw tobie z Andrew. On naprawdę jest fantastyczny, Lou. Powinnaś się go trzymać.

Lou w zamyśleniu pokiwała głową.

- Potem mnie z Robertem. A teraz Ericie z tym jej Bobem. Czyli trzy na trzy. Po prostu po świecie nie chodzi aż tylu przyzwoitych, wolnych mężczyzn... Mam nadzieję, że ten facet Eriki nie okaże się jakimś zbokiem, któremu sprawia przyjemność odpowiadanie na oferty. Albo żonatym, który udaje, że jest wolny. Erica na to nie zasługuje.

- Na ogół jest dość przytomna - stwierdziła Lou. - Myślę, że wyczułaby, gdyby to był oszust. A zresztą, on nie jest żonaty.

- Dlaczego tak uważasz?

- Zaczniemy od tego, że ma ochotę poznać jej koleżanki. Żonaci mężczyźni unikają spotkań z koleżankami, bo może się okazać, że któraś z nich jest wspólną znajomą, i znać jego żonę.

- Aaaa! - Ruby skinęła ze zrozumieniem głową.

- To nawet lepszy wskaźnik stanu małżeńskiego niż biały pasek w miejscu, gdzie zwykle nosi się obrączkę.

- Kiedyś spotkałam faceta, który twierdził, że ma na lewej ręce pigmentacyjną anomalię, która wygląda tak, jakby dopiero co zdjął obrączkę.

- Naprawdę tak było? - spytała Lou.

- A skąd - westchnęła Ruby. - No cóż, dobrze przynajmniej, że Roberta to wszystko nie dotyczy. Przyjrzałam się jego rękom od razu na pierwszej randce i poznałam już ciebie i Martina, a na dzisiejszej imprezie poznałoby mnóstwo moich znajomych, gdyby nie wyszło akurat z tą jego sprawą.

Lou zmrużyła oczy.

- Jesteś pewna, że on musi dziś do późna pracować? - zażartowała.

- No jasne, kurczę blade, że jestem. Przyjdzie na imprezę, jak tylko skończy. No, chyba że nie uda mu się uporać z tym wszystkim przed ósmą, to wtedy nie da rady. Bo impreza jest na statku.

- O której się zaczyna?

- Statek odcumowuje o dziewiętnastej trzydzieści.

- No to przecież mogłabyś jeszcze pójść, tak czy nie? - Nie wiem... - zawahała się Ruby. - Nie mam ochoty iść sama.

- Och, Ruby... A dlaczego nie? Nie potrafię zrozumieć, dlaczego z uporem przekazujesz swoją samoocenę w ręce pierwszego lepszego faceta, który się do ciebie uśmiechnie. No, ale przecież to, że jesteś z Robertem, musiało dodać ci pewności siebie na tyle, żebyś potrafiła się dobrze bawić sama, choć nie jest przy tobie obecny fizycznie?

- Flett nie uwierzy, że on istnieje, jeśli nie będzie go widział.

- A jak myślisz, co pomyśli Flett, jeśli się w ogóle nie pokażesz? „Ach tak, została w domu, żeby się ciupciać ze swoim nowym chłopakiem?” Twoja nieobecność bynajmniej nie przekona go, że rzucając cię, zrobił źle. No, ale jeśli pokażesz się w fantastycznej kreacji i przetańczysz jak szalona całą noc... - Zrobiła kilka pas w charakterze demonstracji.

- Lou, ja wiem, że to brzmi beznadziejnie, ale naprawdę nie mogę. Wypadnę z rytmu, jeśli się zdarzy, że tuż obok mnie na parkiecie Flett będzie się ścisnął z Imogen.

- A nie byłoby fajnie popatrzeć, jak ona walczy z jego totalnym brakiem poczucia rytmu? - zasugerowała Lou.

Ruby uśmiechnęła się słabo. Przypomniała sobie, jak ona sama tańczyła z Flettem na jednej z pierwszych randek. Dobrze, że wcześniej miała okazję poznać i pokochać go za osobowość... Kiedy znalazł się na parkiecie, przypominało to raczej taniec świętego Wita niż gorączkę sobotniej nocy. Choć bardzo zakochana, mogła z nim tańczyć tylko z zamkniętymi oczami, żeby nie widzieć szoku na ludzkich twarzach, jaki wywołał widok eleganckiego biznesmena, rzucającego się w rytm Come On Eileen niczym podłączony do prądu szympans.

- A Robert tańczy bosko - rozmarzyła się. - Przynajmniej o ile mogłam wywnioskować z tego, jak poprowadził mnie krokiem walca od drzwi wejściowych do sypialni.

- Och, przestań - powiedziała Lou. - Gorzej mi się robi, kiedy cię słucham.

- O co ci chodzi? Przecież Andrew cię tak kocha... Masz mnóstwo do zawdzięczenia tamtemu nieznanemu z pociągu.

Lou przerwała na moment nakładanie błyszczyku.

- No. I pomyśleć, że byłam na tyle głupia, żeby uwierzyć, że ktoś, kto uśmiechnął się do mnie w pociągu, może być moją połówką jabłka, co?

- Głupia czy nie, zyskałaś dzięki temu świetnego faceta, z którym teraz jesteś. Myślę, że to dowód, jak mądre bywają wyroki losu.

- Czy Andrew naprawdę był jedyną osobą, która odpowiedziała na ogłoszenie? - spytała Lou.

Ruby skinęła głową. - Uhm.

- Ach tak.

- Lou - rzekła Ruby - nie powiesz mi chyba, że jesteś rozczarowana, bo wylądowałaś u boku Andrew, a nie kogoś, z kim nigdy nie zamieniłaś nawet słowa? Ten człowiek z pociągu z pewnością nie spełniałby twoich oczekiwań,

nawet gdyby odpowiedział na ogłoszenie. Mógł być żonaty... Albo mieć wadę wymowy. Albo upodobanie, żeby kłaść się do łóżka w damskiej bieliznie.

- Kto ubiera się do łóżka w damską bieliznę? - rozległ się grzmiący głos z jednej z kabin, która przez cały czas konwersacji Ruby i Lou była zajęta. Teraz wyłoniła się z niej świeżo upieczona małżonka, Zuzanna Foreman, z trudem dopinając zamek zbyt ciasnych spodni na wylewającej się z nich fałdzie tłuszczu i wygładzając T-shirt (obcisły, czerwony, z napisem Manteaskr, identyczną czcionką co w „Malteser”) na rozkosznie obfitym biuście.

- Tak myślałam, że to wy - powiedziała. - No, to wykładajcie kawę na ławę. Damskie gatki w sypialni?

- Nie ma o czym mówić - stwierdziła Lou. - Jak tam życie małżeńskie?

- Och, wiecie co... Właśnie wróciliśmy z Tanzanii. - Oblicze Zuzanny, wciąż jeszcze czerwone niczym homar, doskonale pasowało do jej kreacji. Pojechali z Winkym na safari. Winky reprezentował typ faceta, któremu jakimś cudem było do twarzy w tropikalnym hełmie.

- Dobrze bawiliście się na weselu? - spytała Zuzanna.

- O, tak - odparły karnie Ruby i Lou.

- Poderwałyście coś?

- Nie. - Dziewczyny pokręciły głowami. - No, chyba nie powiecie, że nie przedstawiłam wam bogatej oferty!

Ruby i Lou uśmiechnęły się na wspomnienie prymitywnych zabijaków i obleśnego dziadka pana młodego.

- Niemniej obie jesteśmy już zajęte - oznajmiła Ruby. - Dzięki ogłoszeniom w rubryce samotnych serc. Tak samo jak ty! - dodała.

Zuzanna walnęła Ruby w plecy, tak jakby właśnie wygrała międzynarodowy mecz rugby.

- W porządku kobita! To się nazywa iść z postępem, jakby się mnie kto pytał. Nie wierzyłam własnemu szczęściu, kiedy poznałam Winky'ego... Chociaż zaczęło się od falstartu.

- Naprawdę?

- No - rzekła Zuzanna. - Teraz mogę się z tego tylko śmiać... Całe zastępy żonatych facetów, szukających czegoś na boku. Dziwadeł, wciąż mieszkających u mamusi.

Ruby skinęła ze zrozumieniem głową.

- Facetów, którzy sprawiali wrażenie całkiem obiecujących na papierze, a potem wychodziło na jaw, że reklamowali się w taki sam sposób, w jaki agent nieruchomości prezentuje szafkę na szczotki do zamiatania jako antyk.

- Mnie niewątpliwie trafił się jeden z nich - rzekła Ruby na wspomnienie Robina.

- No i zaliczyłam jedno naprawdę przykre przeżycie z bardzo dorzecznym facetem, który okazał się ogłoszeniowym nałogowcem.

- To są tacy? - spytała Lou.

- No a jak. Chociaż myślę, że to po prostu łagodniejsze określenie uzależnionych od seksu, którzy żerują na babskiej wrażliwości. Powiedział, że zaprosi mnie któregoś dnia na kolację, ale kiedy tylko zmiotł pierwsze danie, usiłował się mnie pozbyć, żeby móc wypić kawę z inną, też z ogłoszenia. Nawet nie miał na tyle przyzwoitości, żeby ją zaprosić do innej knajpy. Zobaczyłam ich przez okno - siedzieli przy stoliku, kiedy szłam do taksówki. - Zuzanna otrząsnęła się na samo wspomnienie. - No, ale przynajmniej mnie nie zdążył przelecieć. Niewiele brakowało, a dałabym sobie wtedy spokój - wyznała. - Ale Finty - myślę, że poznałyście ją na weselu - przekonała mnie, żeby znowu dać ogłoszenie. I tym razem trafił mi się mój Winky. Lou i Ruby zapały jak należy.

- To znaczy, że ty też masz faceta, którego poznałaś przez ogłoszenie? - spytała Zuzanna Lou.

- Chyba mam.

- Przyjemnie usłyszeć - rzekła Zuzanna. - A mówiłam Winky'emu, że nie jesteście lesbijkami - dodała ku przerażeniu obu dziewczyn. - Słowo daję, faceci uważają że skoro nie masz ochoty dać się obślinać typowi, który przed chwilą zwymiotował skrzynkę browaru, to jesteś lesba. Dzięki tobie wygrałam dyche, Lou.

- Super! - wykrzyknęła Lou.

- Postawię ci drinka, żeby to uczcić. - Czemu nie.

Kiedy wróciły w trójkę do stolika, Erica była podekscytowana i jakby onieśmielona.

- Właśnie zadzwonił, że już jest w drodze - powiedziała, wymachując komórką, jakby to był dowód rzeczowy.

- A skąd jedzie? - spytała uprzejmie Ruby.

- Z okolicy Old Street - odparła Erica.

- O! - zauważyła Ruby. - Firma Roberta też ma lokalizację w tamtych stronach.

- Zadzwoni znowu, kiedy tylko zaparkuje - poinformowała je Erica.

Komórka Eriki grała Dla Elizy, kiedy sygnalizowała, że ktoś dzwoni, ale tym razem, zanim Beethoven miał szansę dotrzeć do końca pierwszej frazy, Erica już odebrała.

- Słucham! - powiedziała energicznie, momentalnie przełączając się na czuły chichocik, kiedy zdała sobie sprawę, że to dzwoni jej nowy mężczyzna. - Gdzie jesteś, ty seksowna bestio?

Ruby i Lou wymieniły spojrzenie typu „aaaa!”, zarezerwowane wyłącznie dla świeżo zakochanych i małych puchatych szczeniactków.

- Dosłownie o trzy minuty stąd? A gdzie zaparkowałeś? Tak, to dobry pomysł. Włączyłeś alarm?

Och, te fascynujące rozmowy, jakie ludzie prowadzą przez komórki, pomyślała Lou. Nic dziwnego, że wszyscy inni zamilkli, by słuchać.

- Jesteś pewien, że nie ma tam pojedynczej żółtej linii? Od szóstej po południu nie obowiązują? No cóż, jesteś przecież prawnikiem, Bob! No jasne, że jestem podekscytowana tym, że cię za chwilę zobaczę. Cały dzień czekam na to spotkanie... Mmmm-yhmmm. Tak, wiem. A gdzie jesteś teraz? Tuż pod knajpą? Widzisz mnie już? Tak, jest strasznie tłoczno, ale jeśli się nie rozłączysz, to mogę cię poprowadzić.

- Niczym kontrola ruchu powietrznego - zadrwił Andrew.

- Jak duży nos ma twój nowy chłopak?

- Nie, nie jestem sama - wyjaśniła Erica swemu rozmówcy.

- To był Andrew. Chłopak Lou. Tak - zaśmiała się. - Powiedziałam mu, że twój nos jest absolutnie perfekcyjny! Najładniejszy nos, jaki kiedykolwiek widziałam. Siedzimy tak trochę z tyłu. Na lewo. Nie, poczekaj.. Na lewo ode mnie, tak że dla ciebie to będzie na prawo, kiedy wejdiesz. Mam na sobie czarny top. No jasne, że cię rozpoznam. Jak mogłabym cię zapomnieć, Bobby?

Lou wsadziła sobie palce w usta, pozorując odruch wymiotny.

- Co to jest? A, to Lou drwi sobie ze mnie, że jestem taka milutka. Tak, jestem tu z Lou cały wieczór. Przyszliśmy prosto z pracy. I spotkałyśmy się tu z jej chłopakiem Andrew i jej koleżanką ze studiów Zuzanną, i... Gdzie jesteś teraz? Musisz być naprawdę blisko! Może wstanę, żebyś mnie łatwiej zobaczył? Co jest? Będziesz musiał zawołać. Chyba tracisz zasięg...

Lou zobaczyła go pierwsza. Na jej twarzy automatycznie pojawił się klasyczny, niczym z kreskówki, wyraz szoku - uniesione brwi, szeroko otwarte usta. Znała te gładkie, regularne rysy, te czarne kędziory, które stanowiły dla nich tak doskonałą

ramę... Nie wiedziała, co robić. Złapać za rękę Ruby i uciekać? Złapać za rękę Ericę i uciekać? Zamachać do niego gwałtownie, tak żeby on uciekł pierwszy? Za późno. Tłum rozstąpił się wokół niego. Erica i Ruby równocześnie odwróciły głowy, by powitać ostatniego uczestnika ich dzisiejszego zgromadzenia. Czworobrywi uniosło się w pełnym zachwyty geście powitania.

- Cześć! - zawołała Ruby. - A jednak ci się udało!

- Kochanie! - zawołała Erica.

- To ty! - zawołała Zuzanna. - Co do...

Robert Ruby, Bobby Eriki i Rob Zuzanny zamarł, z wciąż jeszcze przyciśniętym do ucha telefonem.

- Robert! - Bobby! - Rob!

Odwrócił się na pięcie i ruszył biegiem do wyjścia.

- Wracaj, draniu! - krzyknęła piskliwie Zuzanna. Uzależniony od ogłoszeń ćpun sztachnął się o ten jeden za dużo.

RS

ROZDZIAŁ 32

Winky, ponaglany przez Zuzannę i buzujący odwagą po czterech kuflach Special, gotów był gnać za Robertem i przyłożyć mu jak należy w imieniu wszystkich trzech wyrolowanych przez niego kobiet. Na szczęście, zanim Winky zdołała zleźć ze stołka i wygramolić się z baru, Robert siedział już bezpiecznie w swoim boxterze, niedostępny karzącej ręce sprawiedliwości. Nawet nie usiłował się tłumaczyć. Po prostu momentalnie skończył rozmowę z Ericą i umknął z baru jak szczur którym był, pozostawiając Ruby i Ericę sam na sam z przykrymi faktami, które musiały przemyśleć.

Zuzanna w nader niepochlebnych terminach wyjaśniła im co jej zdaniem Robert w nich widział.

- On jest uzależniony od seksu. Interesują go szybkie nu mery. Bez zobowiązań. Wie, że dziewczyny, które zamieszcza ją ogłoszenia, to wrażliwe, niepewne siebie typy, które nie mają zbyt wiele odwagi w łóżku. Prawdopodobnie liczy, że uda mu się przelecieć panienkę od razu pierwszego wieczoru i że nie będzie potrzebował więcej do niej dzwonić.

Erica i Ruby pozieleniały, przypominając sobie okoliczności swoich pierwszych randek.

W tej sytuacji Lou stwierdziła, że pójscie Ruby na firmową imprezę nie jest takim dobrym pomysłem. Zuzanna jednak nastawała: „Wsiadaj z powrotem na konia, kobito”. I Ruby, nagle odnajdując w sobie bezczelność, której brakowało jej przez całe życie, powiedziała Lou, żeby poszła do diabła, i oznajmiła, że nic nie powstrzyma jej teraz przed pościgiem za statkiem. Przebrała się w toalecie w swoją sukienkę od Nicole Farhi i umalowała się. Erica, zszokowana, wspierała się o automat do tampaksów.

- Ruby - próbowała przemówić jej do rozsądku Lou. - Naprawdę jesteś przekonana, że chcesz iść na tę imprezę?

- Jeszcze pół godziny temu tłumaczyłaś mi, że powinnam.

- Wiem. Ale to było, zanim... Jesteś naprawdę wściekła, Rubes. Jeśli masz ochotę się urznąć i narozrabiać, to lepiej, żebyś to zrobiła tutaj, z nami, a nie na oczach swoich kolegów z pracy.

- Ale tam będzie wódka za friko. Idź, kobito! - Zuzanna miała na wszystko jedną odpowiedź. - Więcej alkoholu.

- Jak ja mogłam być taka naiwna? - jęknęła Erica, tym razem wspierając głowę na suszarce do rąk.

- Jak się czujesz? - Lou przelotnie spojrzała na drugą z poszkodowanych.

- Hej! - zawołała z oburzeniem Ruby. - Podobno jesteś moją najlepszą przyjaciółką, a nie jej!

- Och, przestań, Rubes. Erica też jest ofiarą. Skąd mogła wiedzieć, że jej Bob to twój Robert?

- I mój Rob - przypomniała im Zuzanna. - Musiał odpowiadać dosłownie na każde ogłoszenie, jakie ukazało się w Londynie. Co za pojar! Na pewno jest impotentem.

Na twarzy Eriki i Ruby odmalowała się taka sama boleść. Ruby musiała się zgodzić, iż Erica w żaden sposób nie mogła wiedzieć, że jej nowy chłopak był na wezwanie każdej trzydziestoparolatki, szukającej „przyjaźni, a może czegoś więcej”, w granicach administracyjnych miasta. Nie przyniosło jej to jednak szczególnej ulgi.

- A może bym tak odesłała Andrew do domu? - zaproponowała Lou. - Mogłybyśmy wtedy pójść na damskiego drinka i poużywać sobie na tym skurczybyku, od którego na szczęście udało wam się uciec.

Erica z rezygnacją pokiwała głową.

- Nie mam zamiaru siedzieć i wałkować na okrągło tego gówna - oświadczyła Ruby. - Muszę zdążyć na statek.

- Idź, Ruby - powiedziała Zuzanna. - Walnij sobie szampana i zapomnij o wszystkim.

- Tak właśnie zamierzam postąpić - zapewniła ją Ruby. I z tymi słowy odeszła.

Ruby udało się złapać taksówkę tuż pod pubem, tak że w rezultacie zdołała dojechać na czas nad rzekę. Zdążyła dosłownie w ostatniej chwili, kiedy dwaj majtkowie wciągali już zdezelowany pomost, łączący statek z nabrzeżem.

- Zaczekajcie! - krzyknęła. Przerwali zwijanie lin i pomogli jej wskoczyć na pokład. Wyższy położył jej rękę na plecach by upewnić się, że ustoi na nogach, i uśmiechnął się do niej olśniewająco.

- Już mi lepiej - mruknęła, prostując się i usiłując zalotnie kołysać biodrami, gdy szła do kabiny, gdzie impreza była już w pełnym toku. Niestety, jako że w taksówce wydudliła dwie butelki Metza, potknęła się na pozostawionej w niewłaściwym miejscu linie i o mało co nie wpadła na przyjęcie głową naprzód.

- Miłej zabawy! - krzyknął za nią chłopak, puszczając oko.

- Podam pana do sądu za to, że zostawił pan tę linę, gdzie popadło - odkrzyknęła oburzona.

- Taka ładna, a taka wściekła. Złość piękności szkodzi.

- A prawda. - Ruby wyprostowała się i znów się uśmiechnęła.

Trzy głębokie oddechy. Jeden, dwa, trzy... dziesięć. Wdech. Jeden, dwa, trzy... dziesięć. Wydech. Maniaczkajogi, Liz Hale, powinna być z niej dumna... Stała chwilę na progu, zbierając się do kupy.

- Na co pani czeka? - krzyknął jeden z majtków. - Mamy panią zapowiedzieć czy jak?

- Kretyni - mruknęła, zapominając tym razem o uśmiechu i perskim oku. Wygładziła czerwoną spódniczkę i założyła z jednej strony za ucho swoje równo przycięte włosy. Za drzwiami mogą ją czekać wszelkie możliwe horrory... Może Flettz Imogen już się kleją do siebie w rytm „swojej” piosenki? Jej późne przybycie stanowiło gwarancję, że wszystkie oczy skierują się na nią, kiedy wejdzie.

Rzuciła tęskne spojrzenie ku brzegowi. Być może Lou miała rację... Rzeczywistość zdrady Roberta jeszcze nawet nie zbladła. Jeśli zobaczy Johna Fletta i tę jego panienkę, murowane, że dostanie po łbie tak, jakby walnęła ją jedna z tych żelaznych kul, których używają do wyburzania starych budynków. Możliwe, że Zuzanna i Winky potrafią upijać się na wesoło, ale jej się to nigdy nie udało... Poczwała nagle, przemożne pragnienie, by znaleźć się w domu i schować z głową pod kołdrę. Ale brzeg był już o dziesięć metrów. Za daleko, żeby skoczyć. Za daleko, żeby płynąć. Zwłaszcza w sukience od Nicole Farhi z naturalnego jedwabiu. Nie było wyjścia... Ruby weszła do jaskini Iwa.

- Ruby? A co ty tu robisz? - Pierwszą osobą, na którą wpadła, była Liz Hale. - Myślałam, że nie przyjdiesz, bo przecież Robert...

- Nie muszę być w towarzystwie mężczyzny za każdym razem, kiedy jestem między ludźmi - powiedziała wyniośle Ruby. - Miałabym opuścić imprezę roku tylko dlatego, że nie mam obok siebie istoty z penisem?

- Masz rację - podchwyciła Liz. - Czy nie powtarzałam ci tego od samego początku?

- Wiem. I przepraszam za wcześniejsze.

- Przeprosiny przyjęte.

- Jak już przyszło co do czego, to nie mogłam znieść myśli, że będę siedzieć w domu przed telewizorem i nie zobaczę, jak ten czy ów robi z siebie totalnego idiotę. Kto dzisiaj staje do współzawodnictwa?

- Alice Martin przez całe popołudnie bije wszystkich na głowę. Poszła na lunch z Marielem Cooperem. - Obie dziewczyny przewróciły oczami na dźwięk nazwiska klienta, który miał ogromne udziały w Johnnie Walkerze. - Głowę daję, że góra o dziewiątej wewnątrz Alice będą pływać w Tamizie. - No pięknie - powiedziała sarkastycznie Ruby. - A...

- Jest, jest. - Liz momentalnie wiedziała, kogo Ruby ma na myśli. - Gadał z Alanem parę minut temu, ale nie wiem, gdzie się teraz podział.

- Może wyskoczył przez burzę, kiedy zobaczył, że nadchodzę - zadrwiła Ruby. Liz spojrzała na nią z troską.

- Słuchaj, Ruby. Nie jesteś...

- Spokojnie, nie martw się - powiedziała obronnie Ruby. - Przyszłam tu, żeby się dobrze bawić, a nie okładać pięściami faceta, który dał mi kosza, używając do tego celu e-maila. Mam to już za sobą.

- Widziałaś, co ona ma na nogach? - spytała Liz. - Nosiłam zupełnie takie same getry, kiedy miałam dwanaście lat.

- Stylizacja na lata osiemdziesiąte jest szalenie modna - poinformowała ją Ruby. - Pod warunkiem, że nie pamiętasz, kiedy taka moda panowała za pierwszym razem.

- No wiesz... Ja uważam, że wygląda śmiesznie.

Ruby skinęła głową, marząc, by mogła się zgodzić. Niestety, choćby nie wiem jak chciała, żeby Imogen wyglądała jak uciekiniarka z Flashdance, sprawiała wrażenie, jakby zeszła z poświęconych najnowszym trendom w modzie stronic Vogue. Getry stanowiły pomysłowe uzupełnienie zaskakująco stylowej kreacji. To był styl MTV z lat osiemdziesiątych... Miałaby satysfakcję, gdyby i Flett założył bandankę w stylu kungfu i podwinął rękawy marynarki à la Policjanci z Miami, by wstrzelić się w wizerunek swojej nowej kochanki.

Nie zrobił tego.

Po raz pierwszy tego wieczoru rzuciła okiem na Fletta, kiedy stały z Liz w kolejce do baru po ciepłe białe wino.

- No więc, co się stało, że zmieniłaś zdanie i przyszłaś? - spytała Liz. - Muszę powiedzieć, że naprawdę się cieszę, że wrócił ci rozsądek. Nie powinnaś skazywać się na towarzyską emigrację tylko dlatego, że jeden z twoich klientów...

Ruby szturchnęła ją w zebra. Obok nich przystanął Flett.

- Witaj, Ruby. - Skinął kurtuazyjnie głową.

- Witaj, Jonathanie - odpowiedziała krótko i znów odwróciła się w stronę barmana.

- Masz śliczną sukienkę - powiedział. - Bardzo wyrafinowana. Do twarzy ci w niej.

- Dziękuję - odparła Ruby, nagradzając go półuśmiechem. - A ty masz... świetną koszulkę - powiedziała. Miał na sobie różową koszulkę polo. Znowu! - Do twarzy ci w różowym.

- Johnnie! Masz już dla mnie to wino? - rozdarła się Imogen. - Dosłownie zasycha mi w gardle!

- Pędź, Johnnie, pędź - mruknęła pod nosem Ruby, gdy Flett podążył z powrotem ku swojej nowej dziewczynie.

- Zobaczymy się później? - rzucił na odchodnym.

- Świetnie dałaś sobie radę. - Liz poklepała ją z uznaniem po plecach. - No i jak się czujesz?

- Znakomicie - rzekła Ruby, silniej ściskając mosiężną poręcz, biegnącą wokół baru. - Dlaczego miałabym się czuć inaczej?

- No cóż - zawyrokowała Liz - nawet jeśli Robert nie jest tu dziś obecny, to zdecydowanie ma na ciebie pozytywny wpływ.

- Pozytywny wpływ?

Liz, przerażona, cofnęła się o krok. Wyraz dystygowanej pogody, goszczący dotąd na twarzy Ruby, w jednej chwili ustąpił miejsca masce z tragedii antycznej.

- Och, Liz! Moje życie to jedna katastrofa!

Oczy Liz zrobiły się wielkie jak spodki, gdy usłyszała pierwsze dźwięki tego ogólnie znanego tonu.

- Robert nie przyszedł dzisiaj, bo się umówił z inną! Odpowiedział na ogłoszenie w „Guardianie”, które zamieściła koleżanka z pracy Lou...

- No nie! - powiedziała jak należy Liz.

- Kiedy myślałam, że ma zamiar pracować do późna, zdecydowałam się pójść na drinka z Lou. Mieli być we czwórkę: ona, Andrew i jej koleżanka Erica ze swoim nowym facetem. Okazało się, że jej nowy facet to mój stary facet!

- Ruby, to po prostu okropne!

- Jest uzależniony od ogłoszeń... Moja koleżanka Zuzanna miała z nim do czynienia prawie dwa lata temu...

- Czym mogę służyć? - spytał barman.

- Dwa białe wytrawne - zdołała wykrztusić poprzez zatkany nos Ruby, po czym znowu zalała się łzami.

- Co mu powiedziałaś?

- W ogóle nie miałam okazji nic mu powiedzieć! Zobaczył, że siedzę obok Eriki, i nawiązał, zanim którakolwiek z nas mogła złapać go za koszulę i wydrapać mu... te... jego... cholerne ... gały! - Chwytała kurczowo dech między jednym a drugim słowem, aż wreszcie wybuchnęła rozdzierającym łkaniem, które przyciągnęło uwagę wszystkich w promieniu dziesięciu metrów.

- Proszę, oto pani wino - powiedział nerwowo barman.

- Dziękuję - wykrztusiła Ruby.

- Czy to wszystko?

- Nie - zdecydowała. - Lepiej od razu wezmę dwa następne.

- Ruby! - zaczęła ostrzegawczo Liz. - Nie możesz tak po prostu topić swoich smutków...

- Och, do kurwy nędzy - rzuciła ze zniecierpliwieniem Ruby

- bioreę dwa dla siebie i dwa dla ciebie. Wiesz, jaka będzie później kolejka do baru? Chyba mogę wypić parę kieliszków i nie zmienić się w bełkocący wrak, prawda?

Liz była dostatecznie uprzejma - albo dostatecznie tchórzliwa - by nie mówić jej, że jeśli chodzi o bełkotanie, to zdołała już osiągnąć ten stan bez pomocy Sauvignon Blanc.

- Siądźmy sobie, o tam - Liz wskazała odpowiednio ciemny kąt - i opowiedz mi o wszystkim.

- Nie chcę, żebyś i ty miała zepsuty wieczór - powiedziała Ruby, zapominając o wcześniejszej diagnozie Liz, że jedyną rzeczą, jaka powstrzymuje ją przed popełnieniem samobójstwa, jest fakt, iż nawet jej nieistniejące życie osobiste wydaje się lepsze niż takie, które wiąże się z nieustannymi upokorzeniami, jak w przypadku Ruby.

- Jestem twoją przyjaciółką- zapewniła Liz. - Twoje cierpienie jest moim.

- To miłe - powiedziała Ruby. - To znaczy... to nie jest miłe. Och, wiesz, co mam na myśli.

Barman postawił przed nimi drugą kolejkę białego wina.

- To wszystko? - spytał ponownie, subtelnym uniesieniem brwi odnotowując fakt, że Ruby już zdążyła opróżnić jeden z poprzednich dwu kieliszków.

- Jeszcze po jednym - powiedziała Ruby, podnosząc palec.

- Dla każdej z nas.

- Ruby... - zaczęła Liz. - Naprawdę uważasz, że powinnaś pić kolejne wino?

- Racja - powiedziała Ruby. - Nie powinnam. Barman, dla mnie zamiast wina podwójna wódka.

O nie... W parę miesięcy później Ruby nadal nie była w stanie sobie przypomnieć, co tak naprawdę zdarzyło się tamtej nocy na imprezie w Hollingworth. Nawet w stanie hipnotycznej regresji. Martin i Lou zawsze podśmiewali się z Ruby, że nie potrafi się całkowicie wyluzować pod wpływem alkoholu. Nigdy nie urwał jej się film, tak jak to niemal co tydzień przydarzało się w czasie studiów Lou. Nigdy nie puściła pawia, co doprowadziło Lou do sugestii, iż niezdolność Ruby do tego, by wyrzucić z siebie wszystko, kiedy pije, ma niewątpliwie związek z niezwykle niskim wskaźnikiem orgazmu.

Tej nocy jednak, na pokładzie noszącego całkowicie niestosowne imię „Pierwiosnek” statku, wszystkie dotychczasowe bariery runęły. Dwie butelki Metza, dwa kieliszki wina. trzy podwójne wódki, i wszystko to na pusty żołądek... Niewiele czasu upłynęło, by Liz Hale stała się ciemną rozmytą plamą z wielkimi czerwonymi ustami, które zdawały się poruszać dwa razy szybciej niż słowa, które docierały do uszu Ruby. Alkohol w połączeniu z kołysaniem statku wprawiły jej żołądek w sinusoidalną falę drgawek. Ale przynajmniej rozmyły się i zbladły również jej zmartwienia i smutki.

- Mam ochotę zatańczyć - powiedziała do pomocnego ramienia Liz, w które miała się wypłakiwać.

- Myślę, że powinnaś pozostać na siedząco - odparła rozsądnie Liz.

Ale co tam Liz Hale wiedziała? Ruby pozbierała się do kupy, wstała i ruszyła zygzakami po parkiecie, jakby uciekała przed krokodylem. Imogen i John Flett podrygiwali energicznie w takt klasycznego przeboju Eurowizji Making Your Mind Up. Kiedy w piosence doszło do momentu, w którym dwie blond panienki ostatecznie gubią spódnice, Ruby odkryła nagle, że wychyliła się za bardzo do przodu, by mogła utrzymać się w pionie. Chwyciła garścią to, co miała pod ręką, żeby uniknąć upadku. Rozległ się trzask rozdzieranej tkaniny. Ktoś wrzasnął.

I ciemność...

ROZDZIAŁ 33

Przesyłka polecona - powiedział listonosz, podtykając Martinowi pod nos jakiś druczek. Martin zawahał się instynktownie. Przesyłka polecona mogła oznaczać tylko złe wiadomości. Najprawdopodobniej ten rodzaj złych wiadomości, za które menedżer w jego banku pobierał dwadzieścia funtów od listu. Bankowcy byli jedynymi ludźmi, jacy mogli, w wyobraźni Martina, zawracać sobie głowę, by do niego pisać w ten sposób... Przedwczoraj wieczorem, kiedy wetknął kartę w dziurę w ścianie, naprawdę się modlił, zanim wreszcie machina wypluła trochę gotówki. Do teraz musiał już wyczerpać debet. Przez cały tydzień podpisywał czeki ze świadomością, że mogą się okazać bardziej rozbrykane niż Tygrys z Kubusia Puchatka. Listonosz odchrząknął.

- Bierze pan ten list czy nie? Nie mogę tracić całego dnia.

- Co? A, przepraszam. - Martin skrobął podpis.

- Podpis tutaj - powiedział niecierpliwie listonosz. - Nazwisko trzeba wpisać w te kwadraciki. No dobrze... Może być i tak.

Wręczył mu kopertę i parę innych papierków, cmoknął z niezadowoleniem i ruszył z powrotem ścieżką, zatrzaszkując za sobą furtkę. Ciekawe, kto wpadł na pomysł, że listonosze są weseli, pomyślał Martin. Może to tylko wcześniej rano... Która to godzina? Powieki miał tak sklezione snem, że zaledwie był w stanie dostrzec zegar w kuchni.

Siódma. Popatrzył na zwykłą białą kopertę z jego nazwiskiem i adresem, wypisanymi dokładnie pośrodku w porządnym Times New Roman. Siódma rano. Sobota. Lepiej, żeby to była dobra wiadomość, pomyślał. Ale czy to możliwe? Nikt nie wysyła dobrych wiadomości listem poleconym. No, ale jeśli to bank, to przynajmniej ma plan rezerwowy. Czek Petunii Daniels, wciąż niezrealizowany, tkwił przyszpilony pinezką do wiszącej w sypialni tablicy.

Lepiej wzmocni się, wypijając najpierw filiżankę herbaty, zdecydował. Zanim woda się zagotowała, odsłuchał wiadomości na sekretarce. Pierwsza była od jego siostry. Pytała, czy chce spędzić następny długi weekend z nią i jej rodziną w Bournemouth. „Nie sądzę” - powiedział, wyobraziwszy sobie trzy dni, w czasie których będzie wykorzystywany w charakterze cwałującego konia przez siostrzenicę i siostrzeńca. Druga pochodziła od Webecki. Martin, naprawdę mam nadzieję, że nie siedzisz tam obok, ignorując tę wiadomość...Przeskoczył od razu do następnej.

- Martin, mówi Lou. Tragedia. Możesz uwierzyć, że facet Ruby okazał się również facetem Eriki? Jest jednym z tych seksualnych nałogowców, co to szukają ofiar wśród autorek ogłoszeń. Erica płacze w klapy Andrew, ale Ruby

uważa, że wszystko z nią okej. Poszła sama na imprezę Hollingworth. Ta cholerna Zuzanna Foreman ją zachęciła. Pewnie wszystko w porządku, ale byłabym ci wdzięczna, gdybyś skoczył do niej jutro rano i sprawdził, co i jak. Mieszkasz o wiele bliżej niż ja. Upewnij się, czy nie zrobiła czegoś głupiego. Dzięki, słoneczko. To pa.

Martin odtworzył wiadomość jeszcze raz. Facet Ruby okazał się facetem Eriki? Czy to oznacza, że Ruby i Robert już nie istnieją? Najwyraźniej...

- Tak! - Martin wyrzucił w górę zaciśniętą pięść w piłkarskim geście zwycięstwa. - Tak, tak, tak!

A więc nie wszystkie wiadomości tego ranka były złe... Zaraz pójdzie do Ruby, jak tylko się ubierze. Zabierze ją na kawę. Jeśli jeszcze ma jakieś pieniądze...

- O, szlag by to - zaklął, rozrywając w końcu złowieszczą kopertę. Złe wiadomości nie staną się lepsze przez to, że zostawi je nieprzeczytane.

Doszedł do połowy gęsto zapisanej strony, gdy się zorientował, że to w ogóle nie jest od jego bankowego menedżera. Usiadł przy kuchennym stole i zaczął od nowa. List był wydrukowany na grubym, kremowym firmowym papierze z nadrukiem: Eufemia Gilbert, Agencja Literacka Wilson Gilbert.

Kiedy Martin zaczął pisać swoją powieść, wysłał dwa rozdziały i streszczenie niemal każdemu agentowi, jaki figurował w Roczniku Artystów i Pisarzy. Sądził, że zaliczył już wszystkie rodzaje kopniaków, od: Drogi panie Ashcroft, pan Tyier z żalem zawiadamia, że nie przyjmuje w tym momencie żadnych nowych klientów do: Drogi panie Ashcroft, przykro mi, ale nie mogę firmować swoim nazwiskiem tak mato oryginalnego pisarstwa. Ta ostatnia bolała najbardziej, ale Martin zachował ją na wszelki wypadek, przekonany, że nie upłynie wiele czasu, a tenże agent będzie musiał połknąć swoją własną wyświechtaną gadkę.

Ale Eufemia Gilbert? Nie pamiętał nawet, żeby wysyłał jej swój maszynopis.

Drogi panie Ashcroft,

z zachwytem przeczytałam pański znakomity maszynopis. Trudno mi sobie wyobrazić, by pisarz pańskiego kalibru nie miał jeszcze agenta, który by go reprezentował, ale gdyby istotnie tak było, to zastanawiam się, czy nie zechciałby pan spotkać się ze mną na lunchu w celu omówienia pańskiej przyszłości literackiej. Jakże się cieszę, że potraktowałam serio zapewnienie Petunii, iż ma pan rzadki i niezwykle talent!

Petunia? Martin przetarł oczy. Może się jeszcze mimo wszystko nie obudził? Może to jeszcze jeden okrutny sen, tak jak ten, w którym Cameron Diaz wyznaje mu nieśmiertelną miłość i kupuje mu porsche 911, żeby udowodnić swoje

uczucie? Kto to jest Petunia? Jedyna Petunia, jaką znał, to była Petunia Daniels, która raczej nie zechce wyśpiewywać hymnów pochwalnych na jego cześć... Tak czy nie?

Pozwoliłam sobie wydrukować kopię Pańskiej książki, która jest w trakcie tworzenia, by pokazać ją moim kolegom w biurze - pisała dalej Eufemia. - Kiedy przewiduje Pan ukończenie pracy nad powieścią? Wszyscy są niezwykle podekscytowani perspektywą spotkania z panem, włącznie z Simonem Dunfordem, osobistym agentem Petunii, który chciałby od razu porozmawiać z Panem na temat praw do nakręcenia filmu.

Szczeka Martina z trzaskiem uderzyła w pierś.

Petunia Daniels. Zagubiona dyskietka.

I, rzecz jasna, pośród innych przesylek, które wręczył mu dziś rano „wesoly” listonosz, widniała notka od Petunii Daniels, napisana na jej karcie Smythsona z jej nadrukiem:

Drogi panie Ashcroft,

boję się, że bardzo Pana nie doceniłam. Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan, iż poznając Pana w tak niezwykłych okolicznościach, nie okazałam Panu gościnności i szacunku, na jakie Pan zasługuje. Jestem przekonana, iż zrozumie Pan, że w przeszłości Cindy miała do czynienia z wieloma młodymi ludźmi, którzy spotykali się z nią nie dlatego, że jest tak cudowna istotą, tylko dlatego, że szukali w ten sposób okazji do poznania jej rodziców. Obawiam się, że z góry założyłam co do Pana wszystko co najgorsze - stąd nieco kłopotliwa sprawa kontraktu, a także moja niechęć do przeczytania zawartego na Pańskiej dyskietce materiału.

Zanim jednak dotarłam do końca pierwszego rozdziału, wiedziałam, że ma Pan prawdziwy talent narratorski. Fakt, że zdecydował się Pan nie spieniężać czeku, za pomocą którego próbowałam się Pana pozbyć, był dodatkową racją, by zrewidować moją opinię o Panu. Mogę tylko mieć nadzieję, że nazwisko i adres, jakie podał Pan w naszej śmiesznej, nieistotnej umowie, były prawdziwe, oraz przeprosić, że potraktowałam Pana tak nieładnie. Jeśli ta notka do Pana dotrze, być może zechce Pan umożliwić mi naprawienie niektórych szkód, jakie spowodowałam, przychodząc do nas na kolację w najszybszym dogodnym dla Pana terminie.

Pozdrawiam serdecznie, Petunia Daniels

Martin wypadł z domu bez kurtki. Padało, ale prawie tego nie zauważył. Zupełnie jakby list, który ścisnął w ręce, emitował wystarczająco dużo ciepła, by uodpornić go na działanie żywiołów... Uśmiechał się jak głupi od ucha do ucha i

wiedział o tym. Kiedy mijał starego kloszarda, który zawsze siedział pod stacją metra, dziadek wznosił w toaście puszkę Special Brew:

- Dzień dobry, młody dżentelmenie.

- To rzeczywiście fantastyczny dzień - rzucił, mijając go, Martin. Po czym zatrzymał się. I po raz pierwszy od niepamięci świata zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych, które mogłyby dać bezdomnemu. A przynajmniej miał zamiar to zrobić. Dowód rzeczowy, że stoi w obliczu wielkiej szansy, wciąż ścisnął w spoczonej dłoni. Mógł sobie pozwolić na odrobinę wspaniałomyślności.

Natrafiał na jakiś paperek. Wyciągnął go, sądząc, że to banknot. Była to jednak znaleziona w drzwiach notka od sąsiadów z góry, że basy w jego stereo nastawione są zbyt głośno. Oprócz tego w kieszeni miał tylko pięćdziesięciopensową monetę.

- Akceptuję karty American Express - powiedział z nadzieją kloszard.

- A drobne? - spytał Martin.

Kloszard wzruszył ramionami i przyjął pieniądze.

- Przepraszam - powiedział Martin. - Naprawdę chciałem dać ci więcej. I dałbym, tylko że nie mam przy sobie w tej chwili żadnej gotówki. Właśnie dostałem agenta.

Kloszard popatrzył na niego bez wyrazu.

- Agentą dla mojej powieści. Chce mnie reprezentować Eufemia Gilbert z agencji Wilson Gilbert. Reprezentuje najlepszych ludzi w Wielkiej Brytanii.

Kloszard skinął głową.

- To znaczy, że chcesz sprzedać dom?

- Nie - zniecierpliwiał się Martin. - Książkę. Słuchaj, po prostu zapamiętaj tę twarz. Jak dostanę nagrodę Bookera, wrócę tu z całą skrzynką Special Brew. Patrzysz na wschodzącą gwiazdę - zapewnił menela.

Uśmiechał się przez całą drogę do West London. Kiedy dojechał do Hammersmith, zajrzał do kiosku z gazetami, który spełniał również rolę monopolowego, i kupił butelkę chłodzonego szampana. O mało co nie kupił musującego Chardonnay. Ale tylko o mało co. Chardonnay był tańszy, to prawda, ale to przecież jak dotąd największy dzień w jego karierze. Dzień jego wielkiej szansy... I ostatni dzień, w którym musi myśleć o przyszłości, kiedy wydaje na bełta trzydzieści funtów, a nie dziesięć, i w rezultacie pod koniec miesiąca może być skazany na żywienie się wyłącznie pieczoną fasolą.

Był tak podniesiony na duchu, że zanim dotarł do mieszkania Ruby, kupił jej nawet bukiet kwiatów w sklepie na rogu. Tak naprawdę kupił dwa bukiety, a potem musiał pozbyć się połowy kwiatów, bo najwyraźniej stały w zielonym

wiadrze przed sklepem niemal od tygodnia. Nawet te, które uratował, sprawiały wrażenie, jakby miały dotrzeć tylko do wieczora... Ale liczyła się sama myśl. I był pewien, że jego nowiny okażą się dla jego najukochańszej, najwspanialszej przyjaciółki o wiele bardziej ekscytujące niż róże.

Niecierpliwie zadzwonił domofonem. Nie mógł się doczekać, żeby jej powiedzieć. Nie mógł się doczekać, żeby jej powiedzieć. .. To powinno wybić jej z głowy tego idiotę Roberta. Gdzie ona jest?

Po upływie trzydziestu sekund, w czasie których Ruby nie wykazywała żadnych oznak, że może za chwilę pojawić się w drzwiach, wcisnął dzwonek jeszcze raz.

- No, szybciej - mruknął. - Otwieraj.

Nacisnął brzęczyk trzykrotnie, po czym odstąpił od drzwi i spojrzał w górę, w okna Ruby, z uśmiechem, który jego zdaniem był wyjątkowo zachęcający. Gdzie są przyjaciele, kiedy człowiek chce jak najszybciej zarzygać im dobrymi wiadomościami cały śniadaniowy stół?

- Ruby! - wrzasnął.

- Ciszej, do pioruna! - dobiegł głos z otwartego okna po przeciwnej stronie ulicy. - Niektórzy jeszcze usiłują spać!

Martin spojrzał na zegarek. Dopiero minęła ósma. Wcześniej, jasny gwint, jak na sobotę... Ale...

- Ruby! - zawołał jeszcze raz, wyzywająco głośno. I rozejrzał się ukradkiem, czy jakiś atletyczny mieszkaniec Hammersmith nie szykuje się, by cisnąć mu czymś ciężkim w łeb. Żadnych oznak... No to jeszcze raz, ostatni: - Ruby! Otwórz, dobra? To ja, Martin!

Mała chmurka niepokoju przepłynęła przez jego umysł. Może naprawdę zrobiła coś głupiego, skoro została wyrolowana po raz drugi w ciągu miesiąca... Może leży tam, zimna, na podłodze w kuchni, bo popiła dwadzieścia aspiryn jakimś płynem do szorowania posadzek?

- Ruby!!!

I zabębnił pięściami w drzwi. Może nie dojdzie do tego, że będzie musiał je wyłamywać...

W końcu usłyszał, że w oknie od sypialni otwiera się lufcik, z takim rżeniem, jakby zamknięte okno pomalowano w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim i od tego czasu go nie tykano. Z lufcika wyłoniła się głowa Ruby, niczym żółw po długiej zimie spędzonej wewnątrz skorupy. Zamrugła, pomimo ewidentnego braku słonecznego blasku - wciąż trwało brytyjskie lato - i przysłoniła oczy ręką, żeby móc zobaczyć, kto to wrzeszczy.

Martin uniósł wiązanekę.

- Wszystkiego najlepszego z okazji soboty! - zaświergotał radośnie. - To dla ciebie. I to! - wznosił butelkę szampana. - Próbowałem złapać Lou, żebyśmy mogli zjeść śniadanie w trójkę, ale musiała już pójść do Wotsifs. Nie mogę się do niej dodzwonić. Mogę wejść?

- Co? A...

Ruby obejrzała się za siebie, jak gdyby oceniając stopień szkód w sypialni.

- Ja... uhm... chyba tak.

- Ojejku, nie musisz się aż tak cieszyć z mojego przyjścia.

- Zaczekaj - powiedziała. - Otworzę drzwi.

Ruby cofnęła głowę do nory i w parę sekund później odezwał się brzęczyk przy wejściu, sygnalizując, że można wchodzić. Martin rzucił się w górę po wysłanych wytartym chodnikiem schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zaraz zagarnie ją w ramiona i uściśnie na powitanie...

- Spójrz ty ko na siebie, jak ty wyglądasz - powiedział, kiedy Ruby otworzyła mu drzwi do mieszkania. - Rzeczywiście, impreza musiała być super... Wyglądasz, jakby ktoś jeździł na tobie całą noc i zostawił całą w pianie - dodał, robiąc perskie oko.

Ruby stanęła w pąsach.

- Lou powiedziała mi o Robercie - ciągnął Martin. - Nie ma co zawracać sobie nim głowy, wiesz... Wyświadczył ci łaskę, że zniknął z twojego życia, i za rok o tej porze będziesz się z tego śmiać. A poza tym wiadomość, jaką mam dla ciebie, od razu cię rozweseli. Pamiętasz tamtą...

- Martin - powiedziała Ruby, wykonując gest w kierunku postaci, która pojawiła się właśnie za jej plecami - to jest... hm... to jest Emlyn Cruickshank.

- O? - Martin odruchowo uściśnił wyciągniętą powitalnie rękę Emlyna. Emlyn Cruickshank nie był szczególnie dużym mężczyzną, ale i tak za dużym jak na frotowy szlafrok Ruby, różowy w paski, który, rozchylony z przodu, ukazywał wzorzyste bokserki od Wylie Coyote.

- Emlyn, kolega z pracy - uściślił Pantera. - Na pewno dużo o mnie słyszałeś.

- O, tak - powiedział Martin. - Słyszałem o tobie wszystko. - Po czym rzucił kwiaty na stół Formica, który Ruby zamierzała zastąpić innym, odkąd tylko kupiła to mieszkanie, i dodał: - Nie będę przeszkadzać... Przyjdę później.

- Nie ma mowy. Wcale nie przeszkadzasz. Jasię już zabieram - powiedział Emlyn i momentalnie zabrzmiało to w uszach Martina zbyt władczo. „No, to ja się zabieram”... Zupełnie jak weterynarz, który żegna się po operacji wymion jakiejś nieszczęsnej krowy.

- Nie zostaniesz na filiżankę herbaty? - spytała Ruby. Desperacko, wydało się Martinowi. Co do diabła ten facet tu robi?

- Może jakieś śniadanie? Tost? - ćwierkała nadal Ruby. - Nie mam w domu żadnego bekonu, ale jeśli chwilkę poczekaasz, mogę skoczyć na dół do sklepu i kupić. Jaki wolisz, tłusty czy chudy?

- Nie trzeba - powiedział Emlyn. - Umówiłem się z chłopakami w Sług na oglądanie rugby. Ale może lepiej najpierw wrzucę coś na siebie, co?

I wycofał się do sypialni.

- Czy to ten? - spytał Martin.

- Nie mów tego, Martin - ostrzegła Ruby, zamykając oczy, żeby nie widzieć malującej się na jego twarzy złości.

- Ten z grzybicą stóp, prawda?

- Chyba już ją wyleczył - powiedziała błagalnym tonem.

- Skąd wiesz? Przecież nie zdjął skarpetek. - Nie?

- Chcesz powiedzieć, że nawet nie zauważyłaś?

Martin zdawał sobie sprawę, że i jemu przytrafiło się parę razy w życiu wyglądać koszmarnie, ale nigdy, przenigdy nie zdarzyło się, by inny mężczyzna oglądał go w puchatym babskim szlafroku i popielatych podkolanówkach, z których każda miała dziurę na wielkim palcu.

- Bardzo się zalałaś wczorajszej nocy? - spytał.

- Nie bardzo - skłamała Ruby.

- Przecież dopiero co dowiedziałaś się o Robercie i Erice.

- Nie chcę o tym mówić - ostrzegła go Ruby.

- Lou tak się o ciebie martwiła... No cóż, będę musiał jej powiedzieć, że najwyraźniej przechodzisz przedłużony okres żałoby.

Ruby aż się zwinęła. Zanim jednak zdołała powiedzieć coś na swoją obronę, w drzwiach kuchennych znów pojawił się Emlyn. Garnitur leżał na nim niewiele lepiej niż szlafrok.

- Trochę to kłopotliwe, że muszę iść do Sług w biurowych ciuchach - powiedział. - Chłopaki będą się zastanawiać, co takiego mi się przydarzyło.

- Na pewno z przyjemnością zreferujesz im wszystko z detalami - powiedział ostro Martin.

Być może zabrzmiało to odrobinę bardziej sarkastycznie, niż zamierzał, niemniej patrzył Emlynowi prosto w oczy, tak jakby naprawdę spodziewał się bójki. Emlyn wpatrywał się w niego niczym przygłupi labrador, który nie potrafi odczytać poszczególnych słów przekazu, ale wie, że pan jest zły.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział w końcu do Ruby. Po czym pocałował ją w czubek głowy i wyszedł.

- Martin! - jęknęła Ruby, kiedy tylko zatrzasnęły się drzwi za jej najnowszym mężczyzną. - Dlaczego musiałeś to powiedzieć?

- A co, może nie będzie gadał? - prychnął z gniewem Martin. - Pójdzie prosto do pubu i powie wszystkim swoim kumplom, że się z tobą przespał tej nocy. Może nawet da im palce do powąchania. Żeby sprawdzili, na ilu został twój zapach...

Usta Ruby uformowały się w pełne zgrozy O.

- Ja cię po prostu nie rozumiem. Jeszcze wczoraj cała byłaś za Robertem. Robert to. Robert tamto. Robert jest miłością twojego życia. A kiedy okazuje się, że Robert to gnojek - od razu wskakujesz do łóżka innemu palantowi! Nic dziwnego, że nie możesz złapać faceta i go utrzymać. Jesteś szybsza niż Speedy Gonzales, jeśli chodzi o wyskakiwanie z majtek! Uważasz, że dzięki temu zasługujesz na szacunek? „Cześć, jestem Ruby Taylor. Przeleć mnie”.

Ostre słowa zawisły między nimi niczym oddech w mroźnym powietrzu.

- Spieprzaj - powiedziała nagle Ruby. - Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?

- Ruby, przepraszam. - Martin, jakby przebudzony z transu, niemal natychmiast powrócił do tonu przyjacielskiej troski.

- Spieprzaj - powtórzyła. - Odkąd tak cię podnieca obrażanie mnie?

- Ruby, ja nie chciałem cię obrazić. - Martin rozpaczliwie usiłował odzyskać stracony grunt. - Po prostu nie rozumiem, dlaczego uważasz, że jest ci potrzebny tego typu koleś. Przecież zarzekałaś się, że ten facet budzi w tobie fizyczną odrazę! Co się dzieje w twojej głowie, że wydaje ci się, że coś zyskasz, wpuszczając do łóżka podobnego idiotę, który zdążył wydymać połowę twojego cholernego biura?

- Zabieraj się stąd - nastawała Ruby. - Zostaw mnie w spokoju.

- Aleja ci przyniosłem ten bukiet.

Wyciągnął ku niej rękę z kwiatami, ale Ruby odtrąciła je. - Nie potrzebuję twoich pieprzonych kwiatów. Zjeżdżaj.

- Ruby, ja przyszedłem do ciebie, bo chciałem ci powiedzieć...

- Zjeżdżaj, i to już. Nie mam ochoty słuchać, co masz mi do powiedzenia. Ty nie wiesz, jak to jest... Nie rozumiesz, co to znaczy być mną.

W trzy kwadranse później Martin z powrotem wypadł ze stacji metra w Chalk Farm. Tym razem nie miał uśmiechu dla nikogo. A już zwłaszcza dla kloszarda.

- Wszystko w porządku, kolego? Sprzedałeś w końcu ten dom?

Martin upuścił kwiaty, kupione na cześć Ruby, na kolana kloszarda.

- Wolałbym szampana - powiedział tamten.

- Na drzewo - syknął Martin. - Sam se kup.

W swoim mieszkaniu Martin usiadł przy własnym stole Formica, odgarnął łokciem zgromadzoną w ciągu tygodnia kupę ulotek z rabatami i reklam pizzy i z

łomotem postawił butelkę szampana na swoim superważnym liście od Eufemii Gilbert.

- Szlag by to - powiedział. Ruby nie dała mu nawet szansy, żeby opowiedział jej swoje nowiny! Przeczytał parę pierwszych linijek poprzez zniekształcającą zieloną soczewkę butelki. Nie wydawały się już tak podniecające jak poprzednio... Był naprawdę wkurzony. Wkurzony jak cholera. I właściwie nawet nie wiedział, dlaczego tak mu źle. A może i wiedział... Tylko nie chciał się do tego sam przed sobą przyznać.

Na przeciwległym końcu miasta Ruby padła z powrotem na niezasłane łóżko. Prześcieradło z gumką zjechało z materaca podczas nocnych zapasów. Przez jakiś czas leżała na plecach, wpatrując się w sufit. Zakurzony różowy papierowy klosz na lampie. Żółknący plastik prastarej oprawki. Dosyć to przygnębiające... Przewróciła się na bok i podciągnęła kolana pod brodę do pozycji embrionalnej. Nagle poczuła coś dziwnego, jakby grząskiego i przelewającego się pod łydką. Sięgnęła ręką, by sprawdzić, na czym leży. Okazało się, że trzyma w ręku prezerwatywę, starannie zawiązaną w węzełek, żeby zapobiec wyciekowi.

- Wszystkiego najlepszego z okazji soboty, do cholery - mruknęła do siebie. Wstała i wpatrywała się z niesmakiem w prezencik Emlyna. Jak to się stało, że wylądowała w łóżku z Panterą? Jak przez mgłę pamiętała, że trzymał ją za włosy, kiedy wymiotowała do rzeki tak, że o mało nie wywróciła się na lewą stronę, w chwili gdy statek przybijał do przystani. Wzięli razem taksówkę, a potem?...

Ujęła końcówkę prezerwatywy w dwa palce, naciągnęła ją jak katapultę i wycelowała w kosz na śmieci. Kondom przeleciał ciężko parę metrów i wylądował na stoliku, strącając na podłogę małego porcelanowego pieska, którego odziedziczyła po prababci, kiedy miała sześć lat. Nawet nie patrząc, wiedziała, że się stłukł.

- Pieprzone życie! - niemal krzyknęła. I wybuchnęła płaczem.

ROZDZIAŁ 34

Andrew spał jeszcze, kiedy Lou się obudziła. Słońce lało się strumieniami przez zwiewne białe zasłony zdobne w symbole Zen, które wybrała jako motyw przewodni, kiedy urządziła swoje wnętrze. Wyglądało to fantastycznie, ale było cholernie niepraktyczne, jeśli chodzi o ochronę przed światłem, nawet podczas brytyjskiego lata. Poruszając się superpowoli, ostrożnie, tak by nie przebudzić mężczyzny pogrążonego obok niej w głębokim śnie, Lou wysliznęła się z łóżka i ruszyła do łazienki.

Jak to możliwe, że można być z kimś, a równocześnie czuć się tak skrajnie samotną? Jak to możliwe, że można spotyka się z kimś tak fantastycznym, ciepłym, miłym jak Andrew, a równocześnie zastanawiać się, czy kiedykolwiek odnajdzie miłość?

Ale przecież miłość odnalazła ją, jak nieustannie przypominali jej Ruby i Martin. Nie było rzeczy, której nie zrobiłby Andrew, by uszczęśliwić Lou... I nie chodziło tylko o kwiaty, eleganckie restauracje, wszystkie te oczywiste rzeczy, które należą do przywilejów i obowiązków chłopaka. Parę dni temu, kiedy skarżyła się, że nie ma czasu na wyjście do miasta, bo ma kupę pracy i domowej, i biurowej, Andrew uparł się, że zrobi za nią prasowanie, a ona w tym czasie przeczyta maszynopis, który dotarł do wydawnictwa z opóźnieniem.

Nie miała wątpliwości - Andrew był najwspanialszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Lou weszła pod prysznic i pozwoliła, by strumienie lały się jej na głowę tak długo, dopóki gorąca woda się nie skończyła, para zniknęła, a ona omal nie zaczęła drżeć. Mimo to nie miała ochoty wyjść ze swego schowka. Nie miała ochoty wracać do sypialni, dopóki nie będzie miała pewności, że Andrew wyszedł. A wiedziała, że prawdopodobieństwo, iż zdecyduje się zabrać swoje rzeczy i zniknąć ze sceny niczym przepełniony poczuciem winy jednonocny kochanek, to było zero absolutne. Nul. No właśnie, już stukał w drzwi łazienki.

- Siusiu mi się chce - zawołał. - Dobrze się czujesz? Siedzisz tu już całe wieki...

I choć Lou miała wrażenie, że raczej wyskoczy oknem, niż otworzy drzwi i uśmiechnie się do niego, zdołała to zrobić.

- Musiałam splukać zapach dymu z włosów - powiedziała. I nawet uszczypnęła go w pośladek, kiedy przeciskali się obok siebie w drzwiach. Nie dlatego, żeby chciała, by zareagował na ten gest erotycznej kokieterii... Po prostu zasługiwał na czułość. To wspaniały facet i wiedziała, że powinna być za niego wdzięczna losowi, i może któregoś dnia pozwoli sobie uwierzyć, że ktoś tak

fantastyczny naprawdę jest przeznaczony dla niej, wróci do przytomności i odtąd będą żyli długo i szczęśliwie, tak jak Zuzanna i Winky...

- Szlag by to.

Bo tak właśnie powinna wyglądać miłość. Zuzanna i Winky, obśliniający się nieustannie, jakby on był jeleniem, a ona solną lizawką. Oplatający się nawzajem kończynami, niczym powój i drzewo jabłoni. Zdolni stracić jedno drugie z oczu co najwyżej na tyle, ile wymaga pójście do kibelka. Prawdziwa miłość nie przegląda gorączkowo poczty elektronicznej, kiedy druga połowa jest w łazience, żeby sprawdzić, czy nie ma wiadomości od kogoś, kogo się poznało poprzez szmatławą agencję matrymonialną on-line. Prawdziwa miłość nie powinna być rozczarowana, kiedy Chris, Konsultant do spraw Zarządzania, pisze w e-mailu, że na scenie z powrotem pojawiła się jego dawna dziewczyna.

Wciąż owinięta wilgotnym ręcznikiem kąpielowym, Lou opadła na łóżko.

- Szlag by to.

Nie mogła dłużej tego robić. Nie mogła nadal udawać. Ani jednego dnia.

Żaden moment nie jest właściwy, by złamać komuś serce. Każdy, kto ma w sobie choćby mikrogram wrażliwości, będzie się zastanawiał nad wyborem tej chwili całe wieki. I zawsze znajdzie się jakiś powód, by nie unieszczęśliwić drugiej osoby. Dzień, w którym się z kimś zrywa, jeśli związek ten w ogóle coś znaczył dla nieszczęśnika, którego rzecz dotyczy, staje się datą równie pamiętną i ważną, jak rocznica ślubu czy urodziny.

To oczywiste, że przeciętny człowiek nie ma ochoty dawać kopniaka komuś, kogo niegdyś kochał, gdy osoba ta przeżywa trudny moment. Zaczyna się to wcześnie. W szkole nie dajemy kosza komuś w momencie, gdy przygotowuje się do ważnego egzaminu. Później nie chcemy dokładać mu zmartwień, bo czeka z niepokojem na wyniki. No a kiedy wynik jest znany i człowiek wpada w depresję, czujemy się zobowiązani, by trwać przy nim, dopóki nie zda poprawki...

Ale nie tylko sytuacje, kiedy ktoś czuje się nieszczęśliwy, utrudniają nam odejście. Pomijając okresy żałoby, bezrobocia i ogólnego zdołowania, również te okoliczności, które skądinąd są radosne, mogą stwarzać przeszkody dla ochoczego porzucacza in spe. Boże Narodzenie, urodziny, Wielkanoc... Wykluczone. Bystra osoba, która ma wrażliwego partnera i czuje, że nie jest on już tak zaangażowany jak dawniej, może przez całe lata odsuwać to, co nieuniknione, umiejętnie rozstawiając te kluczowe daty.

Co zdawał się robić obecnie Andrew. Ilekroć dzwonił do Lou do pracy, zdawał się kłaść kolejny kamień milowy, który, wiedziała, musi ominąć, zanim będzie mogła się od niego uwolnić bez poczucia, że obróciła jego życie w ruinę.

- Mój szef zaprosił nas na kolację. - Oto jaki był ten najnowszy.

- Jak to? Nas oboje? - Lou nie sądziła, że przyjęcia u szefa zdarzają się jeszcze gdziekolwiek indziej poza sitcomami z lat siedemdziesiątych. Z pewnością nie zdarzały się w jej firmie. - Kiedy?

Andrew wymienił datę, odległą o prawie miesiąc.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciw temu - powiedział - ale już tak jakby wyraziłem zgodę w twoim imieniu. Oczywiście jeśli nie chcesz iść, to zawsze mogę zadzwonić i powiedzieć, że masz inne sprawy, ale oni tak strasznie chcą cię poznać. Pewnie dlatego, że tyle o tobie słyszeli...

Lou poczuła nagłą falę mdłości, jaka zwykle towarzyszy świadomości, że ktoś nas zrobił na szaro. A przecież nie powinna się tak czuć. Każdy z przyjemnością usłyszałby, iż partner uwielbia go do tego stopnia, że nawet w pracy nie potrafi zamknąć paszczki na jego temat, tak czy nie?

Przeprowadziła błyskawiczną kalkulację. Jeśli przyjmie zaproszenie na kolację i zerwie z Andrew po jakimś przyzwoitym okresie od tej daty, wówczas będzie musiała widywać się z nim jeszcze niemal trzy miesiące, zanim mu powie: „Nie wyszło nam”.

- Nie sądzę, żebym miała jakieś sprawy - odparła niechętnie - ale wolałabym, żebyś mnie najpierw zapytał.

- Wiem - powiedział Andrew. Słyszała jednak uśmiech w jego głosie i wiedziała, że nie zdaje sobie sprawy, jak dalece jest niezadowolona. To tyle, jeśli chodzi o jej inny wspaniały pomysł, który polegał na tym, że po prostu będzie coraz bardziej na dystans, aż w końcu to on zrezygnuje z ich związku. Oszczędziłby jej w ten sposób poczucia winy, a sobie zapewnił maksimum godności, jako że technicznie rzecz biorąc, to on byłby stroną, która dokonuje cięcia.

Nie ma sensu pytać Ruby czy Martina o radę w tej sprawie. Ruby nigdy w życiu nikogo nie porzuciła. Nigdy chyba nie spotykała się z żadnym facetem na tyle długo, by się nim znudziła, zanim on znudzi się nią. Albo też, jeśli znudziła się pierwsza, zawsze za bardzo się bała, że nie trafi się następcę, by ryzykować życie w pojedynkę na własne życzenie... Martin też nie miał szczególnych sukcesów, jeśli chodzi o sztukę odprawiania. Ciągnął się za nim sznur dziewczyn, które nie mogły uwierzyć, że z nimi skończył, i przez całe miesiące od zerwania nadal do niego wydzwaniały, aż wreszcie znów lądował z nimi w łóżku albo zmieniał numer telefonu. A co na to powiedziałyby matka, Lou wiedziała aż nadto dobrze: „Nie wiesz, co jest dla ciebie dobre, Louiso Capshaw!”

No właśnie, pomyślała Lou. Otręby są dla nas dobre. Jabłka są dla nas dobre. Ale są nudne. Andrew to był emocjonalny błonnik. A Lou Capshaw potrzebowała kogoś, kto by ją przyprawił o atak serca.

Kiedy Andrew w końcu poszedł, żeby pograć z kolegami w nogę, Lou natychmiast przystąpiła do zorganizowania konferencji z własnymi przyjaciółmi.

- Cześć, Martin. Co robisz? - spytała, kiedy odebrał telefon.

- Śpię - odparł.

- W takim razie mówisz przez sen. Możesz przyjść na śniadaniobiad ze mną i Ruby?

Usłyszała, jak Martin ze sieknięciem przewraca się w łóżku, tak jakby bolały go wszystkie kości.

- Ciężka noc? - spytała. Martin prychnął.

- Jesteś sam?

- Jak najbardziej - odparł. - Jesteś chory?

- Po prostu serce mnie boli.

- Co jest, Szekspirze? Nie przyjdiesz, żeby zjeść śniadanie z dziewczynami?

- Chyba sobie daruję - powiedział Martin i odłożył słuchawkę.

Lou wystukała numer Ruby.

- Słucham - powiedziała Ruby łamiącym się głosem.

- Ty też?

- Co ja też? O co ci chodzi?

- Dobrze się bawiłaś wczorajszej nocy?

- Okropnie!

- Tak myślałam. Spotkajmy się - zaproponowała Lou. - Ja też chyba potrzebuję, żeby mnie ktoś dziś pocieszył.

- Nie jestem w stanie się podnieść.

- Co się z wami dzieje? Przed chwilą takie same bzdury usłyszałam od Martina.

- Zapytaj Martina - prychnęła Ruby, i też odłożyła słuchawkę.

Lou włożyła dzinsową kurtkę i ruszyła do stacji metra. Miała zamiar pojechać do Ruby i wyciągnąć ją z łóżka przemocą. Martina, jak dobrze wiedziała z długoletniego doświadczenia, lepiej zostawić samego, kiedy ma kaca. Ale Ruby chyba jest pogrążona w smutku po Robercie, a jedynym lekarstwem na to był dwudziestoczworogodzinny seans jęczenia. Już widziała siebie, jak wisi prędzej czy później na drugim końcu druta... Równie dobrze mogły załatwić to od ręki. No i zapomni na jakiś czas o problemie Andrew.

W pół godziny później sunęła ruchomymi schodami na przystanku Leicester Square, by przesiąść się na Piccadilly Line w kierunku zachodnim. Mijała

kolejne plakaty, na których każde zdjęcie atrakcyjnej modelki przyozdobione było brodawkami uformowanymi z gumy do żucia. Gapienie się na nie dostarczało niejkiej rozrywki. Zrezygnowała już z przepatrywania tłumów w poszukiwaniu swojego idealnego kochanka. A w każdym razie tak sobie mówiła... W rzeczywistości działała, być może, zgodnie z zasadą, według której jeśli przestanie szukać, wówczas nieznajomy ideał odnajdzie ją sam. Wariacja na temat frazesów, jakimi karmiła ją matka, kiedy Lou była nastolatką: że nie powinno się poszukiwać miłości zbyt gwałtownie.

Była już prawie na dole, kiedy to się stało. Gdzieś za sobą usłyszała okrzyk. Zanim jednak zdołała na dobre się odwrócić, żeby zobaczyć, kto to usiłuje przyciągnąć jej uwagę, schody nagle zatrzymały się z szarpnięciem i jakiś facet w średnim wieku, który niewątpliwie przyswoił w ciągu życia znacznie więcej hamburgerów niż otrąb, całym swoim obezwładniającym ciężarem zwałił się na nią. Lou gruchnęła z ostatnich trzech schodków w dół.

Kieran Dunmore doznał pierwszego, lekkiego ataku serca, który wstrząsnął nim na tyle, że leżąc tej nocy na szpitalnym łóżku, ślubował gruntowną zmianę stylu życia. Lou Capshaw, która tak skutecznie zahamowała jego upadek, a nawet prawdopodobnie uratowała mu życie, również miała czas, by poważnie przemyśleć to i owo. Nic innego nie miała do roboty, kiedy czekała na przyjazd przepracowanego zespołu pogotowia, żeby zbadał jej paskudnie skręcone kolano.

W rezultacie to Andrew przyjechał, żeby dotrzymać jej towarzystwa, zanim zdążył to zrobić jakikolwiek doktor. Przyleciał pędem ze stacji metra i o mało sam nie skończył jako pacjent, kiedy przejechał na butach po wypolerowanej podłodze poczekalni niczym po ślizgawce, by wylądować u jej boku.

- To dla ciebie - powiedział, całując ją na powitanie i wręczając jej stos magazynów.

- Dziękuję - Lou z wdzięcznością przyjęła nowy materiał czytelniczy. Pochłoneł już cały istniejący w poczekalni zapas obszarpanych numerów „Reader's Digest”. - A co mi przyniosłeś?

- „Marie Claire”. „Cosmopolitan”. „Time Out”.

ROZDZIAŁ 35

Martin! - zaniósła się trylem Petunia Daniels. - Tak się cieszę, że pan zadzwonił! - Chciałem tylko podziękować, że przekazała pani mój tekst tej swojej agentce - powiedział.

- Strasznie jest podekscytowana - rzekła Petunia. - Mówi, że jest w panu coś z młodego Martina Amisa, mój drogi.

- O! - Martin miał nadzieję, że to komplement. Nigdy tak naprawdę nie przeczytał ani jednej książki tego autora, wyłącznie wywiady na temat ekstrawaganckich zabiegów stomatologicznych, jakim się poddał.

- No, to kiedy zamierza pan przyjść na kolację, tak bym mogła zrekompensować panu, że byłam dla pana taką wiedźmą, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem? Cindy też bardzo pragnie pana zobaczyć.

- Naprawdę? - Martin był zaskoczony.

- Tak! Zrobił pan spore wrażenie na nas obu. A jakby tak dziś wieczorem? Zaprosiliśmy paru znajomych na taką nieoficjalną kolację... Może chciałby pan do nas dołączyć?

Martin wahał się przez chwilę. Dziś wieczór zamierzał iść do kina z Ruby i Lou. Ale pewnie po raz drugi podobnego zaproszenia nie dostanie.

- Jeśli jest pani pewna, że nie będę przeszkadzał? - zapytał.

Być może uderzenie w głowę, jakiego doznała Cindy Daniels, przyniosło trwały efekt? Martin z trudem rozpoznawał jej dawny obraz w tej kwiecistej różowej sukience na ramiączkach, w jakiej otworzyła mu drzwi. Nawet włosy Cindy miały nieoczekiwanie kolor, jaki można spotkać w naturze, a nie na głowie plastikowego potworka, zwisającego ze wstecznego lusterka w fordzie eskortie... W miejscu ściętych dredów widniała teraz grzeczna blond czuprynka w stylu Mii Farrow.

- Cindy? - spytał Martin, po prostu żeby się upewnić, że to nie jest jej mniej szatańska bliźniaczka.

- Cześć, Martin - powiedziała, spuszczać oczy ku podłodze, co wydało mu się oznaką zażenowania. Po czym spojrzała na niego spod rzęs tym swoim wzrokiem księżniczki Diany na kwasie i już wiedział, że nie została podmieniona. Pod dziwną powłoką od Laury Ashley kryła się wciąż ta sama Cindy Daniels, gotowa wymierzyć kopniaka jakiemuś nieszczęsnemu facetowi.

- Ładna sukienka - powiedział, nie mogąc wymyślić nic lepszego.

- To Chloe - powiedziała.

- Słucham?

- Chloe, projektantka. Ten styl nazywa się „Dobre życie”. Bazuje na sitcomie z lat siedemdziesiątych pod tym samym tytułem. Taki szyk z przymrużeniem oka, można powiedzieć.

- Jasne. - Martin skinął głową, tak jakby łapał, o co chodzi.

- Co tam u ciebie? - spytała.

- Wszystko super - odparł.

- Bardzo mi się podoba twoja książka - powiedziała. - Lubię artystów.

- Wydawało mi się, że cię nudzą.

- Tobą raczej nie miałam okazji się znudzić, prawd©? Spojrzała mu znacząco w oczy.

- Martin! - Petunia Daniels pojawiła się w holu w samą porę, zanim jej córka zdążyła rzucić się na gościa i zedrzeć z niego ciuchy. - Proszę! Proszę! - zapiała.

- Tak się cieszę, że pana widzę!

Ucałowała go serdecznie w oba policzki. Trudno o bardziej odmienne zachowanie w porównaniu ze sposobem, w jaki odprawiła go ostatnim razem...

- Kochany, tak strasznie jesteście podekscytowani tym, że mamy dziś pana między nami. Mnóstwo ludzi umiera z niecierpliwości, by pana poznać. Czy zna pan Andrew Greenwooda?

- Tego reżysera? - Martinowi zaparło dech.

- Tak, to on. - Osobiście nie.

- Jest też Fenella Anderson. - Petunia wymieniła nazwisko aktorki, która od początku jej kariery była jej największą rywalką. - Ale, mój drogi - zniżyła głos do szeptu - nie musi pan zwracać na nią większej uwagi. Jest zaledwie od pół godziny, a już zdążyła wysączyć prawie całą butelkę Bombay Sapphire, którą otworzyłam dziś rano.

- Tak, i połowę wypić przy lunchu - mruknęła Cindy. Petunia zdecydowała się zignorować córkę.

- Proszę, proszę dalej. Wszyscy czekają. Może wezmę pański płaszcz... Tędy, Martinie. A teraz głęboki oddech - poinstruowała go, tak jakby miał wyjść na scenę, by otworzyć uroczystość.

Posłuchał jej. I dobrze zrobił, bo niemal zupełnie go zamroczyło, gdy Petunia wprowadziła go do pokoju i przedstawiła czterem osobom, które do tej pory widywał tylko w telewizorze. (Także ojcu Cindy. Martin naprawdę starał się nie pamiętać okoliczności, w jakich się ostatnim razem widzieli).

Fenella Anderson poklepała puste miejsce obok siebie na ogromnej miękkiej sofie.

- Witaj, młody człowieku - zamruczała niczym kot, błyskając bielą zębów. - Może usiądzie pan tutaj?

- Albo tutaj, jeśli się pan obawia - skomentował zgryźliwie Andrew Greenwood. Jawnie homoseksualny reżyser błysnął ku

Martinowi drapieżnym uśmiechem, nie mniej przerażającym niż uśmiech Fenelli.

Manda Prost i jej mąż Christian Lovegrove, para najgłośniejszych londyńskich aktorów, popatrzyli z rozbawieniem z czerwonej aksamitnej kanapy, na której siedzieli. Martin sięgnął dłońmi do podbródka, żeby sprawdzić, czy się nie ślini. Ostatnim razem widział Mandę Prost, kiedy po dziale reklamy International Mags krążył egzemplarz sygnałny najnowszej okładki „Satyra”. Manda Prost ucharakteryzowana od dołu na lisa to było coś, na czym warto zatrzymać oko, ale bez wątpienia - pomyślał, patrząc, jak założyła nogę na nogę i pozwoliła, by szyfonowa spódniczka odsłoniła dobre pół kilometra ud - bez puszystego rudego ogona wyglądała chyba jeszcze lepiej.

- Zna pan Mandę i Christiana, jak sądzę? - spytała Petunia.

- Tak - wychrypiał Martin.

- Cześć, Martin - powiedział Christian Lovegrove. - Szalenie mi się podobała twoja książka. To jest Buszujący w zbożu XXI wieku.

- Fantastyczna - zgodziła się Manda. - Ostrzeżliśmy Eufemię, że jeśli nie zaproponuje nam jako pierwszym praw do jej sfilmowania, wykreślimy ją z listy gości na Boże Narodzenie.

Martin mógł jedynie na nią patrzeć. Mówienie czegokolwiek wydawało się niewłaściwe. Wobec tylu słynnych twarzy, które znał z ekranu, miał wrażenie, że jest raczej członkiem widowni na małym kameralnym przedstawieniu, niż gościem na tym samym przyjęciu.

- Ja też będę pobierać dziesięć procent - zapowiedziała głośno Cindy. - Bo gdyby nie ja, to nikt z was nie miałby okazji poznać tego fascynującego mężczyzny.

- Jak się poznaliście? - spytała ciekawie Manda. Martin spojrział nerwowo w kierunku Benjamina Danielsa, którego twarz pokryła się nagle chmurą. Na szczęście Petunia wybrała ten moment, by klasnąć w ręce i zawołać:

- Wszyscy do jadalni! Kolacja na stole.

Gdy Petunia Daniels krzątała się wokół gości, podając gazpacho, które sama przyrządziła tego popołudnia, Martin zdał sobie sprawę, że przeżywa jeden z momentów typu „gdyby oni mogli mnie teraz widzieć”. Siedział pomiędzy Mandą Prost i Fenellą Anderson, naprzeciwko Cindy, która wpatrywała się w rudego intensywnie. Rzucił okiem w dół, na lewo. Długa czarna spódnica Fenelli miała sięgający ud rozporek i teraz jej lewa noga była odsłonięta tak, że niemal widział francuskie majteczki.

Manda Prost, z prawej strony Martina, również nie kryła swoich nóg. Wprawdzie okrywała je szyfonowa spódniczka, ale pozostawiała niewiele pola dla nadaktywnej wyobraźni Martina... Linia stringów Mandy była doskonale widoczna poprzez przejrzystą czerwoną tkaninę. Mimo to przy drugim daniu aktorka najwyraźniej uznała, że jest jej za gorąco w tej zwiewnej kreacji, i odgarnęła spódniczkę, odsłaniając nawet więcej niż Fenella.

Petunia podawała szparagi. Martin patrzył skonsternowany na warzywa, które przed nim postawiono. Coś tam pamiętał o tym, jak należy jeść szparagi... Podobno palcami? Ale to chyba niemożliwe... Białe włócznie ociekały masłem.

- O co chodzi? - spytała Cindy, zauważywszy, że nie je. - Nie lubisz szparagów?

- Siuśki po nich śmierdzą - zauważył Christian.

Martin rozejrzył się zaniepokojony, ale nikt z gości się nie śpieszył, by zacząć jeść i pokazać mu, jak się to robi. Po chwili Manda wzięła jedną z wiotkich łądyg, włożyła jednym końcem do ust, a następnie wyciągnęła ją spomiędzy swoich pełnych czerwonych warg, oblizując z nadmiaru masła. Mrugnęła przy tym wyjątkowo lubieżnie do Christiana.

Martin zagryzł wargi. Manda wzięła szparaga palcami, ale wyglądało na to, że jej sposób jedzenia więcej ma w sobie z gry wstępnej niż z manier... A poza tym Manda jest gwiazdą. Ona mogła sobie pozwolić na złe maniery, bo była seksowna.

Za chwilę to samo zrobiła Fenella. Oblizwała masło z jednego ze swoich szparagów niczym francuska metresa, z którą chciałby stracić dziewictwo każdy uczeń szkoły publicznej. Prawdę mówiąc, wyglądało to nieco komicznie. Martinowi przyszło do głowy, że być może próbuje ona dorównać Mandzie. Przynajmniej nie puściła oka... Inaczej niż Cindy, która, czując, że jej prawa do Martina mogą być zagrożone przez inne obecne przy stole damy, zabrała się do swoich szparagów, jakby brała udział w zawodach o tytuł Miss Głębokiego Gardła.

Fenella położyła wiotką dłoń na udzie Martina. Spoczywała ona tam w sposób całkiem naturalny, podczas gdy jej właścicielka kontynuowała rozmowę z Benjaminem. Nie straciła wątku ani przez moment, gdy dłoń popęzła powoli ku klejnotom Martina.

- Kawy, Fenello? - spytała Petunia.

Fenella zdjęła rękę z krocza Martina, by wziąć od gospodyni maleńką filiżankę doskonałej espresso. Manda tymczasem, której lewa ręka nagle znów była wolna, skończyła bowiem palić papierosa, złożyła dłoń na jego prawym

kolanie. Ona także nie przestawała rozmawiać z zajęciem z gośćmi z przeciwnej strony stołu, gdy dłoń niepostrzeżenie pełzła ku rodowej biżuterii Martina.

- Nie sądzisz, Martin? - spytał nagle Christian.

- Słucham? - Martin momentalnie wrócił do rzeczywistości.

- Marlowe jest bardziej namiętny i mocniejszy niż Szekspir. Jego Edward Drugi...

- Rozgrzany do czerwoności pogrzebacz - powiedziała Fenella. - Dosłownie szok.

Prawie taki jak ten, którego doznała Fenella, kiedy ponownie położyła rękę na kroczu Martina i odkryła, że ubiegła ją Manda... Na moment palce obu kobiet niemal się splotły, nim uświadomiły sobie, co zaszło, i gwałtownie cofnęły ręce. Dzięki Bogu, obie były na tyle profesjonalnymi aktorkami, że nikt nie zauważył na ich twarzach nawet najłżejszego drgnienia.

Martinowi tymczasem robiło się coraz bardziej gorąco. Lekki rumieniec, który wystąpił mu na twarz, gdy Fenella po raz pierwszy dotknęła jego kolana, przybrał barwę ćwikłowego buraka, zupełnie jak w przypadku jego matki, kiedy cierpiała na uderzenia gorąca w czasie menopauzy. Upił łyk wody, żeby się ochłodzić, przy czym na obrus spłynęło dość nieelegancko parę kropel wody, gdy Benjamin spytał go o opinię na temat portretu Piersa Gavestona, jaki stworzył pewien aktor telewizyjny.

- Nie widziałem tego - zdołał wykrztusić Martin.

- Szkoda - rzekł Benjamin. - Nieprawdopodobnie erotyczne.

Tak samo jak wrażenia, jakich doświadczał obecnie Martin... Nie ośmielił się spojrzeć w dół, by sprawdzić, kto tym razem masuje jego nabią. Ściągnął tylko bardziej obrus, tak by osłaniał mu podolek. Starał się też skoncentrować na konwersacji, jaka toczyła się wokół niego. Cindy, siedząca po przeciwnej stronie stołu, zsunęła się nieco niżej na krześle. Spojrzenie Niebezpiecznej Diany ustąpiło na jej twarzy miejsca jawnie bezwstydному uśmiechowi. Kiedy popatrzył na nią, oblizwała wargi i szepnęła: „Też tak mi rób”. I w tym momencie Martin zdała sobie sprawę, że ręka, która masuje go tak fachowo, to w rzeczywistości goła stopa Cindy. Zrzuciła swoje hippisowskie klapki-japonki i zaczęła igrzać z jego intymnymi częściami za pomocą różowo wymanikiurowanych paluszków u nóg.

- Może przejdziemy do drugiego pokoju, panie i panowie? - zaproponowała Petunia.

Wszyscy zgodzili się, że to świetny pomysł. Cindy zsunęła stopę z podółka Martina i podniosła się, by ruszyć w ślad z matką. Martin jednak nie mógł wstać.

- Co tam? - spytał Benjamin, zauważywszy, że nie podąża za innymi.

- Po prostu delektuję się kawą. Świetna - odparł bezradnie Martin.

- Niech pan ją zabierze ze sobą - poradził Benjamin.

Martin zdołał przywlec się do pokoju, gdy wszyscy już tam byli. I, rzecz jasna, jedyne wolne miejsce, jakie zostało do tego czasu, to by ta luka między Mandą a Fenella na wielkiej, miękkiej sofie. Kiedy podszedł, niezręcznie osłaniając marynarką krocze, obie kobiety uśmiechnęły się jak para kotów, które właśnie zdały sobie sprawę, jak otworzyć drzwiczki do klatki z ptaszkiem. Cindy tymczasem patrzyła ze swego krzesła niczym rozpieszczona kotka abisyńska, czekająca w ogrodzie, czy biedna ptaszyna zdoła uniknąć pazurów dwóch syjamskich bliźniaczek

- Proszę pozwolić, że wezmę pańską marynarkę - rzekła Petunia.

Martin wydał bolesny skrzek, gdy rzuciła się na jego jedyne porządne okrycie. Trzy wiedźmy wymieniły znaczące spojrzenia.

- Chodź ze mną, Martin - powiedziała nieoczekiwanie Cindy. Podniosła się z szezlongu, na którym spoczywała dotąd w leniwej pozie, i poprowadziła go do holu. - Pomożesz mi przy nieść stół do kart.

- W co gramy? - spytała Fenella.

- Rozbierany poker! - zaproponowała Manda.

- Czemu nie - zgodził się Andrew.

W holu Martin poczuł, że oblewa go pot.

- Chyba już na mnie pora - powiedział, nie patrząc nawet na zegarek. - Ostatnią kolejkę mam o wpół do jedenastej.

- Weźmiesz taksówkę - zaproponowała Cindy. - Albo zostań na noc. W moim pokoju jest mnóstwo miejsca.

- Ja... ja...

- Obiecuję, że nie będzie powtórki z rozrywki - zapewniła, tak jakby tylko to jedno miał w głowie. A tymczasem istniał też problem siłowni, na której nie pojawił się od miesiąca. Spójrzmy prawdzie w oczy, regularnie uczęszczał na nią jedynie przez dwa tygodnie, kiedy miał dziewiętnaście lat... Po drugie, kwestia bielizny. Wiedział, że jego garnitur jest w porządku, ale to co pod spodem! Od miesięcy miał zamiar kupić sobie nowe gatki, ale rzecz jasna zaniedbał to. Prawdę mówiąc, już niemal uwierzył w dziewczynski przesąd, zgodnie z którym im bardziej ohydną masz na sobie bieliznę, tym bardziej ochoczo zechcą ją z ciebie zrywać przedstawiciele przeciwnej płci. Było to Prawo Murphy'ego w zastosowaniu do randek, podobnie jak zasada, by nie golić nóg przed pierwszą randką (dotycząca dziewczyn, rzecz jasna).

- No, chodź - zachęciła Cindy, przyciskając go do aksamitnej, wytłaczanej tapety (nie takiej jak w hinduskich knajpach, ma się rozumieć). - Fantastycznie dziś wyglądasz...

- Cindy, czy nie zechciałabyś robić tego u siebie w sypialni? - Petunia cmoknęła z dezaprobatą, mijając ich z tacą pełną drobnych ciasteczek z migdałami i orzechami. „Robić tego"... Zabrzmiało to w jej ustach tak, jakby Cindy miała pięć lat i organizowała swoim lalkom sportowe zawody na podłodze holu.

- Och, jak mi się podobasz! - wykrzyknęła Cindy.

I z tymi słowy przystąpiła do ataku. Przycisnęła usta do ust Martina i za pomocą języka zmusiła go, by je rozchylił. Po wstępnym szoku, który przypomniał mu pierwszą próbę oddychania przez maskę, kiedy uczył się nurkowania, nie pozostawało mu nic innego, niż rozluźnić się i poddać się tej czynności.

Tyle że ilekroć zamknął oczy, za każdym razem widział twarz Ruby.

- Zapomnij o niej - powiedział sobie. Z Ruby to by nigdy nie zadziało.

Cindy była porąbana, to nie ulegało wątpliwości. Ale z nią przynajmniej nie będzie nudno.

ROZDZIAŁ 36

Ruby nie miała najmniejszej ochoty powracać do najnowszego rozdziału jej życia osobistego. Nie przejęłaby się, gdyby nigdy więcej nie zobaczyła Emlyna Cruickshanka. Prawdę mówiąc, nie chciało jej się w ogóle iść do pracy. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić i nie powiedzieć, że jest chora. Ale to by było zbyt grubymi nićmi szyte... Wobec tego przywlokła się późno i weszła tylnymi drzwiami, skazując się na wchodzenie po schodach na siódme piętro. W ten sposób zdołała dotrzeć do swojej kanciapy bez konieczności mijania po drodze kogokolwiek z kolegów czy koleżanek.

Co za potworny weekend miała za sobą... Jeśli czuła się źle w sobotę rano, to niedziela okazała się jeszcze gorsza. Z miejsca poleciała do Lou, żeby poużalać się nad jej zabandażowanym kolanem i opowiedzieć jej wszystko, co się zdarzyło o chwili, gdy Robert ostatecznie rozbił wtedy w knajpie w drzazgi świat jej fantazji. Ale Martin ją ubiegł. O ścianę stał oparty jego rower. Lou spoczywała na sofie w charakterze niepełno sprawnej, więc to on otworzył drzwi, kiedy Ruby zapukał. Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby przyszła sprzedać m ścierkę do naczyń.

- Martin - powiedziała błagalnie, idąc za nim korytarzem - przepraszam za wczorajsze.

- Nieważne - uciął krótko Martin. - Już o tym zapomniałem. - Nie zawracał sobie nawet głowy, by z powrotem usiąść razem z obiema dziewczynami, po prostu zdjął kurtkę z wieszaka i oznajmił, że musi się zbierać, bo idzie na lunch.

- Nie uwierzysz, z kim będzie jadł ten lunch! - powiedziała z ożywieniem Lou, gdy tylko zatrzasnęły się za nim drzwi. - Pamiętasz tamtą dziewczynę, z którą umówiłam go na randkę w ciemno? Właśnie wydało się, że to córka Petunii Daniels! Wczoraj wieczorem Martin był u nich na kolacji. Przysięga, że Manda Prost próbowała go macać pod stołem!

Zreferowała w skrócie przygody Martina od chwili, gdy opuścił Suave z córką Danielsów w dredlokach, poprzez niezwykle wydarzenia w łazience, aż do listu z agencji literackiej, który upadł na wycieraczkę.

- Możesz uwierzyć, że ten dureń nie powiedział nam, kim jest Cindy, ponieważ się bał, że polecimy z tym do gazet i będzie miał do czynienia z sądem?

Ruby potrząsnęła głową. Chociaż, biorąc pod uwagę wczorajszy wybuch wściekłości u niej w kuchni, było jasne, że istniało mnóstwo rzeczy, których nie wiedziała o Martinie.

- I nic więcej nie mówił o wczorajszym dniu? - spytała nagle.

- Na przykład?

- A, nic.

Kiedy Martin zareagował tak okropnie na obecność Emlyna w jej mieszkaniu, Ruby pozwoliła sobie na małą fantazję, że tak naprawdę mógł być zazdrosny. Ale najwyraźniej nie o to szło. Dlaczego miałyby mieć ochotę spotkać się z nią, skoro maca go pod stołem sama Manda Prost? Skoro umówił się na lunch z Cindy Daniels? Jej mógł tylko współczuć. Wszedł między bogatych i sławnych, a dzięki powieści - o której nie wspomniał choćby słowem - sam też niedługo stanie się sławny.

- No to co, masz zamiar mi w końcu opowiedzieć, co się zdarzyło na imprezie? - spytała Lou pełnym troski głosem.

- Sorry. - Ruby była o setki mil stąd. Nie z Flettem. Nie z Robertem. Nie z Emlynem. - Szczerze mówiąc, już nie pamiętam.

Na nieszczęście dla Ruby, mnóstwo osób tłoczyło się w kolejce, by opowiedzieć jej szczegółowo, co się zdarzyło, odkąd weszła na parkiet na statku „Pierwiosnek”. Pamiętała tylko, że straciła równowagę, kiedy wpadła na Fletta i Imogen, usłyszała też odgłos rozdierania...

- To nie była suknia Imogen? - spytała, osłaniając dłońmi twarz i patrząc przez palce na Liz, tak jakby mogło to ją ochronić przed czymś okropnym.

- Moja - powiedziała beznamiętnie Liz. - Próbowałam wejść pomiędzy was. Myślałam, że masz zamiar jej przywalić.

- A potem?

- Emlyn odciągnął cię na bok. Zarzygałaś mu całą marynarke. Przypuszczam, że to dlatego czułaś się zobowiązana, żeby go zabrać do siebie do domu.

- Wszyscy widzieli? - spytała Ruby.

- Wszyscy - potwierdziła Liz.

Katherine, asystentka Ruby, która od dawna podkochiwała się w Panterze, prawie się do niej nie odzywała.

Kiedy Ruby włączyła komputer, okazało się, że jej skrzynka e-mailowa pęka w szwach, tak jest naładowana wiadomościami. Parę przysłał Emlyn, opatrując je tak dyskretnymi tytułami, jak „Przedwczorajsza noc” czy „Byłaś wspaniała”. Ruby z miejsca je wymazała. On jednak przez całe przedpołudnie nadsyłał nowe.

Ping! Kolejny e-mail.

Od: Emlyn.Cruickshank@Hollingworthpr.co.uk

Do: Ruby.Taylor@Hollingworthpr.co.uk

Temat: Czy ty mnie ignorujesz? No właśnie, ignorujesz mnie?

Ruby westchnęła. To był dwunasty e-mail, jaki przysłał od dziewiątej rano. Czy ona go ignoruje? Dlaczego go ignoruje?

Ostrożnie wyjrzała znad swojego peceta w kierunku przeszklonego pokoju Emlyna. Stał przy biurku, odbierając telefon. Od dawna już tak naprawdę na niego nie patrzyła... Właściwie to chyba wcale nie wyglądał tak fatalnie. Był wysoki. Nie brakowało mu włosów. Dość ładnie się uśmiechał i miał niebrzydkie, równe zęby. Nietypowo niska linia włosów nad czołem, mogła wydawać się dziwna i to sprawiało, że czasem ze szczególnym okrucieństwem mówiła o nim per Neandertalczyk, ale przynajmniej dawało mu to dobrą pozycję startową, jeśli chodzi o łysienie. Kiedy stuknie mu pięćdziesiątka, będzie prawie w porządku.

Zjedźmy razem lunch — błagał w kolejnym e-mailu.

Spotykamy się w Pret A Manger - odmailowała Ruby. - Ty wychodzisz z biura o dwunastej, a ja w dziesięć minut później.

Trochę było za późno na tego rodzaju środki ostrożności, ale dzięki nim poczuła się nieco lepiej. Do diabła z Flettem. Do diabła z Robertem. Do diabła z Martinem. Utnie sobie romans z Emlynem Cruickshankiem. I o dwunastej czterdzieści czuła się niemal podekscytowana, wymykając się z biura do baru przekąskowego. Może to od początku było nieuniknione? Może ona i Emlyn byli sobie przeznaczeni? Dopóki nie dokonała odkrycia na temat grzybicy stóp, zdecydowanie uważała, że ten facet może się podobać.

Uśmiechnęła się niemal nerwowo, kiedy usiadł przy jej stoliku.

- Jak się dziś czujesz? - spytał.

- Doskonale - odparła. - Nawet taki kac nie może trwać wiecznie.

- Przepraszam, że wyszedłem tak nagle w sobotę. Tamten facet, który przyszedł... Czy to...

- Nie - powiedziała zdecydowanie Ruby. - To był tylko przyjaciel.

„Był”. Oto właściwe słowo, pomyślała. - A więc... - powiedział Emlyn.

- A w ięc... - powtórzyła Ruby.

- A więc możemy chyba spokojnie powiedzieć, że cel, jaki miała piątkowa impreza, to jest nawiązanie ściślejszych więzi w zespole, osiągnęliśmy w dwustu procentach. - Emlyn roześmiał się z własnego dowcipu. - Byłaś wspaniała - powiedział, nagle zupełnie serio.

- Naprawdę? - Ruby zarumieniła się i zaczęła się nerwowo bawić pasemkiem włosów. - No cóż, dziękuję. Myślałam, że na statku raczej zrobiłam z siebie idiotkę...

- Hm... - Emlyn nie mógł temu zaprzeczyć. - Miałem na myśli to, co działo się później.

- Oczywiście...

- Chociaż kiedy wpadłaś na parkiet, to myślę, że wszyscy mieli nadzieję, że Flett dostanie, co mu się należy.

- Naprawdę???

- Ten facet to dupek, Ruby - powiedział Emlyn. - Wierz mi, wszyscy ci kibicowali. Nawet Imogen.

- Imogen? Ale ona...

- Jeszcze tej samej nocy, trochę później, zerwała z nim. Po raz pierwszy widziała, jak tańczy, i uznała, że nie może sypiać z mężczyzną, który tańczy jak jej dziadek.

- Żartujesz.

- Tak powiedziała dziś rano Alice. Chodziło jej o to, jak tańczy, i o to różowe polo, w którym chodzi non stop. Wyznała, że to tak, jakby chodzić z tatusiem Nicka Faldo.

- Różowe polo! Tak! - Ruby nie potrafiła ukryć radości.

- A w dodatku - zaczął Emlyn, po czym zagryzł dolną wargę, tak jakby ten stan miał się okazać zaraźliwy - ona nie może znieść tej dziwnej rzeczy, jaką on robi językiem.

- Jakiej rzeczy?

- Takiej. - Emlyn spróbował dotknąć językiem nosa. - Za każdym razem, kiedy jest poruszony albo wydaje mu się, że powiedział coś ciekawego.

- Tak! - Ruby zacisnęła pięści. - A więc Bóg istnieje! Przepraszam - dodała w odpowiedzi na raczej zatroskane spojrzenie Emlyna.

- A więc... - Emlyn zrobił pauzę. - Zastanawiałem się...

- Tak?

- Słuchaj, Ruby, zdaję sobie sprawę, że ten piątkowy wieczór był dla ciebie dość emocjonujący i może nie powinienem w takiej chwili do ciebie przychodzić, skoro czułaś się taka zraniona, i może sobie pomyślałaś... - Zawahał się. - Słuchaj, jeśli powiesz nie, obiecuję, że nie będę miał ci tego za złe, ale zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś... - odchrząknął - ...zrobić tego kiedyś jeszcze raz?

Ruby milczała dostatecznie długo, by wpadł w panikę.

- Mam na myśli nie tylko seks - dodał pośpiesznie. - Ale moglibyśmy gdzieś razem wyjść. Jak należy. We dwoje. Na randkę. Moglibyśmy pójść do kina. Chciałbym zobaczyć L'Appartement. Widziałaś ten film? Idzie w Riverside Studios. Z napisami. To francuski film, rozumiesz... Ale jeśli nie lubisz z napisami, to możemy iść na coś innego.

- Tak - powiedziała Ruby.

- To znaczy: tak, nie lubię z napisami?

- Nie, to znaczy: tak, chcę pójść z tobą na randkę. Jeśli nie prosisz mnie o to, dlatego, że czujesz się zmuszony. Jeśli nie prosisz mnie, bo czujesz, że powinienes to zrobić, na wypadek gdybym uważała że jednorazowe przespanie się jest dla mnie upokarzającej...

Emlyn wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Ruby - powiedział szczerze. - Chciałem umówić się z tobą na randkę od pierwszego dnia, kiedy zacząłem pracować w Hollingworth.

- Mówisz serio? - spytała.

- Nie pamiętasz, jak próbowałem już kiedyś nieudolnie poderwać cię podczas lunchu?

Ruby skinęła głową. Czy powinna mu teraz powiedzieć, jaki był prawdziwy powód tego, że zdołała mu się wtedy oprzeć?

- Bardzo zazdrościłem Flettowi, kiedy się dowiedziałem, że zaczęłaś się z nim spotykać. I czułem zaniepokojenie - dodał. - Słyszałem, że to babiarz, a nie chciałem, żeby cię ktoś zranił. Kiedy z tobą skończył, o mało nie wrzasnąłem z radości na całe biuro, ale uznałem, że pewnie byś tego nie doceniła. Miałem zamiar poczekać, dopóki ci nie przejdzie, a wtedy zaprosić cię do siebie na kolację i zobaczyć, czy coś z tego wyjdzie. Ale zanim ja byłem gotów, żeby otworzyć usta, zaczęłaś chodzić z tym Robertem...

- No cóż, okazało się, że to znajomość na krótką metę. - Ruby pociągnęła nosem.

- Czy mogę spytać, co się stało?

- Postaw mi obiad, to się zastanowię.

- Wobec tego - Emlyn uśmiechnął się szeroko - kiedy idziemy na naszą pierwszą randkę?

- Może dzisiaj? - zaproponowała Ruby.

- Zazwyczaj gram w nogę w poniedziałek - rzekł Emlyn - ale tym razem chłopaki mogą się obyć beze mnie. Ale L 'Appartement dziś nie idzie. Musimy pójść na coś innego. Albo może zagramy w kręgle? Co ty na to? Grałaś w to kiedy?

- W kręgle? Nie. Nigdy.

- W takim razie idziemy dziś do kręgielni. Zobaczysz, że ci się spodoba. Świetna rozrywka. A ja jestem w tym niezły, jeśli wolno mi tak powiedzieć o sobie samym... - Spojrzał na zegarek. - Chyba powinniśmy już wracać do pracy. Jesteś gotowa?

- Myślę, że tak. Może lepiej wracajmy oddzielnie, co? Lepiej żeby o nas nie gadali.

- Troszkę na to za późno - zauważył Emlyn. - Zarobiłem dziś w zeszycie Imogen trzydzieści funtów.

- Co?!

- Żartowałem. O, psiakrew - mruknął.

- Co się stało?

- Zapomniałem pójść do apteki. Może mogłabyś zrobić to za mnie, kiedy będziesz wracała? Masz w zapasie dziesięć minut.

- Jasne - zgodziła się Ruby. - Co ci jest potrzebne? Emlyn wstydliwie spuścił oczy. Ruby czekała, że powie „prezerwatywy”.

- Chyba wiem - uprzedziła go, zachwycona własną dojrzałą odwagą. - Odpowiada ci Featherlite?

- Słucham? - Emlyn spojrział na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Durex. Featherlite?

- Och, nie. To znaczy tak... Jeśli chcesz. Ale tak naprawdę chciałem cię prosić o to.

Podał jej skrawek papieru, na którym widniała, nagryzmołona odręcznie, nazwa środka przeciwwgrzybicznego.

- To na moją grzybicę stóp. Duża tuba, jeśli będą mieć. Wycisnął jej mokry pocałunek na ustach i poszedł. Ruby ze zgrozą odsunęła od siebie resztki awokado z orzeszkami piniowymi.

Trzymała paperek w dwóch palcach, tak jakby mogła zarazić się za jego pośrednictwem. Grzybica stóp... Miał ją - jeżeli od ich pierwszej rozmowy na ten temat nie zdarzały się okresy remisji - przez prawie trzy lata! Wróciła pamięcią do piątkowej nocy. Czy Martin miał rację? Czy on rzeczywiście poszedł do łóżka w skarpetkach? O, nie... Pamięć Ruby wyświetliła nagle bardzo wyrazisty obraz Emlyna Cruickshanka w jej szlafroku i w popielatych tenisowych skarpetkach na nogach. Pomyślała o czekającej ją dziś randce. Kręgle! Co będzie się wiązało z koniecznością wypożyczeniem w szatni butów do gry. Butów, które przed chwilą mógł mieć na spoconych nogach ktoś, kto cierpi na drugi z kolei najcięższy w Londynie przypadek grzybicy...

Fatalny defekt! Ruby pociągnęła łyk herbaty i opanowała odruch wymiotny. Nie, nie jest w stanie dzielić z kimś butów.

I zdecydowanie nie może spać z kimś, kto później może zapragnąć zawlec swoją grzybicę stóp do jej łazienki... Jak ona, na Boga, ma się teraz z tego wykręcić? Udać, że umarła?

- Przed chwilą dzwoniła Ruby - powiedziała Liz Hale do Pantery w parę minut później. - Mówi, że potwornie boli ją żołądek. Podobno struła się czymś

podczas lunchu. Raczej nie ma sensu, żeby w tej sytuacji i wracała do pracy, i idzie prosto do domu. Mówiła, że zrozumiesz.

W tym samym czasie na drugim końcu miasta Lou też miała status osoby chorej. Ona jednak nie musiała udawać. Kiedy Ruby po przyjściu do domu oddała się lekturze „Hello” i wpatrywaniu się we własny pepek, Lou znów siedziała w poczekalni u lekarza. Tym razem u swojego lekarza rejonowego, który odtąd miał nadzorować rehabilitację jej kolana.

Andrew był gwiazdą, to jasne. Niosąc Lou na rękach, nie bacząc na jej pięćdziesiąt dziewięć kilo, pokonał trzy piętra po schodach, kiedy w końcu wrócili wtedy z ostrego dyżuru. Następnego dnia zrobił jej zakupy, napełniając wózek nie tylko tymi wszystkimi pospolitymi rzeczami, o które go prosiła, ale również różnymi ekstrawaganckimi dobrami, by pocieszyć biedną inwalidkę. Powiedział, że jest non stop pod telefonem i w razie potrzeby może siedzieć przy jej zabandażowanej nodze co noc, obierając pomarańcze.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Lou starała się usilniej niż kiedykolwiek wpasować go w swoją wizję własnej przyszłości. Właśnie dlatego nawet nie spojrzała na rubrykę Zagubiony ślad w numerze „Time Out”, który Andrew przyniósł jej w dniu wypadku. Zostawiła magazyn nietknięty dla następnego nieszczęsnego pacjenta A & E. Fantazja się skończyła. Tak musiało się stać. Koniec z wypatrywaniem w tłumie pasażerów jej ideału. Koniec z surfowaniem po sieci w poszukiwaniu innego. Musi radzić sobie z tym, co zostało jej dane w realnym świecie.

Była zaskoczona, że ta decyzja momentalnie przyniosła jej ulgę. Ale w parę godzin później po uldze nie zostało ani śladu. Znów chciała być sama i nie wiedziała, jak to zrobić. Co za ironia, że Andrew pojawił się w jej życiu jako wynik żartu, a pozbycie się go okazywało się sprawą tak poważną!

Lou nie lubiła sprawiać ludziom zawodu - oto jaka była istota problemu. Kiedy spojrzała wstecz na swoje poprzednie związki i przyjrzała się im dokładniej, zdała sobie sprawę, że ma niemal równie znakomite wyniki jak Ruby, jeśli chodzi o wybieranie nieodpowiednich partnerów i nieumiejętność skutecznego radzenia sobie z sytuacją. Tak jest, zwykle to ona zrywała znajomość pierwsza, ale nigdy w dorosły sposób. Nigdy nie znalazła w sobie odwagi, by powiedzieć po prostu: „To nie działa”. Brnęła natomiast w rozmaite: „To nie przez ciebie, to przeze mnie”.

Kiedy rozstawała się z Porąbanym Magnusem, psycholem, którego przez pomyłkę wzięła za typ kreatywny, tak długo przekonywała go, iż to ona jest niezrównowazona umysłowo, żeby nie było mu przykro, że ją traci, że stało się to aż tak śmieszne. Magnus, który widywał na przystanku anioły i utrzymywał,

że potrafi zobaczyć zwierzęcych krewniaków jakiejś osoby, jeśli tylko dostatecznie długo popatrzy w jej oczy, nadal dzwonił od czasu do czasu i proponował Lou, by odwiedziła jego terapeutę.

Lou uważała, że chłopakowi jest źlej, kiedy słyszy: „Mam zamiar zostać zakonnica”, niż: „Po prostu mi się nie podobasz”. Ale problem polegał na tym, że to pierwsze rozwiązanie pozostawiało przestrzeń dla nadziei. Który mężczyzna oparłby się pokusie, by spróbować odebrać dwudziestoparoletnią kobietę Jezusowi? Albo przekonać dziewczynę, która utrzymuje, że nie jest pewna swojej seksualności, iż owszem, potrzebuje ona mężczyzny?

Dotychczasowa metodologia zrywania, jaką praktykowała Lou, przypominała próbę uratowania z sieci pająka muchy ze złamanym skrzydłem. To nie miało sensu. To było okrutne.

Tego popołudnia wizyty u chirurga zostały przesunięte prawie o czterdzieści minut. Lou kręciła się na niewygodnym plastikowym krześle, jakie wybrała, bo stało najdalej od mężczyzny, który przerażająco kaszłał. Przeczytała już wszystkie numery „Womaifs Own” o pozawijanych rogach, jakie leżały na stoliku. Nie miała nastroju na czytanie maszynopisu, który niemal od tygodnia nosiła ze sobą w torbie. (Niewątpliwa oznaka, że nie powinna sugerować, by wydali to w Piper's).

- Doktor Rushdie prosi pana Edwardsa - rozległo się przez interkom.

Młody człowiek, który siedział obok Lou, podniósł się i ruszył do gabinetu. Odchodząc, upuścił na stosik magazynów na stoliku egzemplarz „Time Out”.

Lou wahała się całe trzydzieści sekund, zanim wyciągnęła rękę po gazetę. Była stara. Prawie przed miesiącem. To był numer, który ukazał się bezpośrednio po tym, w którym ona i Ruby zamieściły swoje pamiętne ogłoszenia w Zaginionym śladzie. Lou z bijącym sercem zaczęła przerzucać zaczytane, wystrzępione stronicę.

Nazajutrz w pracy otworzyła kalendarz, przekartkowała trzy tygodnie do przodu i narysowała wielką czerwoną gwiazdę. Do końca miesiąca będzie wolna.

ROZDZIAŁ 37

Erica szybko pogodziła się z rzeczywistością po odkryciu nienasyconego apetytu Tego Skurwiela Roberta na samotne damskie serca i bez większych problemów powróciła do życia w pojedynkę. W miesiąc po tamtym upokarzającym wieczorze w knajpie potrafiła się szczerze z tego wszystkiego śmiać.

- Cóż, musi nieustannie trenować, żeby był taki dobry w łóżku - powiedziała z westchnieniem. - No a ja przynajmniej wiem, że wciąż jestem na chodzie. Tak samo jak moja sąsiadka piętro niżej. Niedawno stukała w sufit, bo mój wibrator robił za dużo hałasu.

- O jasny gwint - zdziwiła się Lou.

- No. Kiedy spotkałam ją na korytarzu, powiedziałam, że to pralka musiała za głośno chodzić przy wirowaniu, bo uderzała o lodówkę.

- Nadmiar informacji! - roześmiała się Lou.

- Możesz to przeczytać? — Erica upuściła maszynopis na zawałone szpargałami biurko Lou. - Przysłała go wczoraj Eufemia Gilbert. Jest olśniewający! Przeczytałam za jednym posiedzeniem. Eufemia próbuje zorganizować aukcję i do piątku 'chce mieć opinię na jego temat.

- A o czym to jest? - spytała Lou.

- Trochę jak Cztery wesela i pogrzeb, tylko bez smutnych kawałków. Komedia romantyczna z punktu widzenia mężczyzny. W jednym miejscu tak się śmiałam, że o mało się nie udławiłam hobbem, którego jadłam przy czytaniu.

- To dobry znak - zgodziła się Lou.

- No jasne! Człowiek zaczyna wierzyć, że są jeszcze na świecie fajni faceci, kiedy przeczyta coś takiego... Szkoda tylko, że to fikcja literacka - dodała.

- Kto jest autorem?

- Nazywa się Matthew Carter. Podobno młody, przystojny i niezajęty. To znaczy, chodzi z jakąś dziewczyną - westchnęła - ale od dosyć niedawna.

- Chyba się w nim nie zakochasz z powodu tego, co tu napisał? - Lou wiedziała aż nadto dobrze, że autorzy porywających tekstów często okazują się wyjątkowymi draniami.

- Mam nadzieję, że to weźmiemy - zakończyła Erica i wyszła.

Lou przerzuciła parę stron w poszukiwaniu lepszych kawałków.

Ruthie uśmiechnęła się odrobinę smutno, ale to był dopiero początek. Uśmiech. Któregoś dnia, pomyślał Mark, powiem jej, jakie to dla mnie trudne - widzieć ją tak poharataną przez miłość... Któregoś dnia powiem jej, jak marzę o tym, żeby podbić ślepią każdemu facetowi, dla którego traci głowę. Mam

nadzieję, że mi uwierzyła, kiedy powiedziałem, że wiem, co dla niej dobre. Zawsze gna za jakimś palantem, a przecież to, czego potrzebuje, ma tuż obok, w zasięgu ręki...

Nieszczerólnie to zabawne... Niemniej było jakieś miłe i świeże. Westchnęła. Naciągnęła na maszynopis dwie elastyczne taśmy, żeby kartki się nie rozleciały, i włożyła do torby na później.

- Dryń! - wyrwał ją z rozmyślań dzwonek telefonu.

- Słucham, Lou Capshaw.

- Cześć, Lou. Mówi Andrew. Co robisz dziś wieczorem? Wiem, że jest środa i zwykle idziesz na ten cały quiz do pubu, ale...

- Nigdzie nie idę - powiedziała Lou. Pubowo-quizowy gang już nie istniał. Ruby i Martin zarzekali się, że nic do siebie nie mają, ale wciąż zdawali się starannie unikać swego towarzystwa. Ruby twierdziła, że musi pracować dwa razy więcej, żeby zatrzeć plamę, jaką dała wtedy na imprezie. Martin też za każdym razem utrzymywał, że musi pójść gdzieś indziej. Cindy Daniels знаła okropnie dużo ludzi, którzy organizowali mnóstwo imprez i przyjęć.

- Przyjdę dziś do ciebie i zrobię ci kolację - zapowiedział Andrew. Upewnij się tylko, czy zdołam dotrzeć do zlewu poprzez te kupy naczyń, których nigdy nie masz czasu pozmywać.

- Andrew - zaczęła Lou z zamiarem zaprotestowania.

- Żadnych ale - przerwał jej. - Chcę, żeby to był dla ciebie naprawdę wyjątkowy wieczór.

- Robisz dzisiaj coś szczególnego? - spytała Liz Ruby.

- Nic - uśmiechnęła się melancholijnie Ruby. Na korytarzu, tuż obok jej boksu, Emlyn pomagał nowej praktykantce odblokować kopiarke. Szybko wrócił do formy po utracie kobiety, na którą podobno czekał tak długo... Ruby cmoknęła z przyganą.

No, ale przynajmniej nie musiała już żyć ze świadomością, że inna dziewczyna z pracy sypia z Flettem. Emlyn mówił prawdę: Imogen rzeczywiście ogłosiła koniec ich związku. A właściwie to poprosiła, żeby odtąd wszystkie zebrania zespołu Łóżysk Kulkowych odbywały się poza biurem, tak żeby nie musiała się na niego natykać. Po cichu spotykała się z Evanem Flandersem, niemożliwie bogatym i przystojnym szefem Two-Faced. Na razie miało być cicho sza, jako że Flanders przeprowadzał właśnie rozwód z żoną, swoją ukochaną ze szczenięcych lat, ale zdjęcie nowej szczęśliwej pary zamieściły w tym tygodniu wszystkie kolorowe pisma.

- Nie rozumiem, skąd oni się dowiedzieli, że mamy zamiar jechać do Ivy - wzdychała Imogen do swojej przyjaciółki z działu aktualności „Daily Mail”.

Zaraz po imprezie integracyjnej i po tym, jak dostał kosza od Imogen, Flett zaczął zawzięcie bombardować Ruby e-mailami. Błagał, żeby poszła z nim na kolację, aby mogli pogadać o kampanii Barringtona. Lou przestrzegła Ruby, żeby nie wychodziła poza lunch na odległość splunięcia od biura.

- Myślisz, że chce, żebym do niego wróciła? - spytała Ruby.

- Jasne, że tego chce. Imogen dała mu kopniaka.

Ruby pozwoliła sobie na uśmiezek na myśl o tym, ale była zaskoczona, jak niewiele uciechy dostarcza jej podobna perspektywa. Żołądek najwyraźniej nie miał już ochoty fikać koziołka na dźwięk nazwiska Fletta, tak jak zwykł to robić dotychczas. Ziejąca pustką wyrwa, jaką, sądziła, po sobie pozostawił, najwyraźniej okazała się nie tak wielka, jak jej się wydawało... Co do Roberta, to był po prostu plugawym portem, do którego zawinęła podczas ciężkiego sztormu. Jej noc z Emlynem to aberracja. Nawet wspomnienie tamtego niedzielnego popołudnia w Denver nie bolało już teraz tak mocno... Odkąd przyszedł list.

Kiedy Ruby zobaczyła kopertę ze znaczkiem Kolorado, poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Co jest tym razem w środku? Kolejny traktat na temat zła trapiącego rodzaj ludzki, podobny do tego, jaki wcisnął jej do ręki Nathaniel, kiedy eskortował ją ze swojej posiadłości? O mało nie podarła tamtego przekłętą kawałka papieru, nie zwracając sobie głowy czytaniem.

Droga Ruby - brzmiał początek listu. Tym razem nie był to porządny charakter pisma Rosalii.

Od czasu, gdy opuściłaś miesiąc temu mój dom, wiele myślałem na temat nowin, jakie ze sobą przyniosłaś. Obawiam się, że zachowałem się irracjonalnie, odpowiadając cię wtedy z nienawiścią, gdy powinienem był powitać cię w rodzinie jako zaginioną dawno siostrę, którą jesteś.

Twoja matka jest także moją matką, Ruby. Pamiętam dzień w którym przyszedłaś na świat. Mieszkaliśmy wtedy koło Portsmouth, ale na czas ostatnich miesięcy ciąży przeprowadziliśmy się z mamą do jej siostry, do Greenwich, gdzie mieszkała, zanim wyszła za męża. Dzięki temu mogła cię urodzić tak, i żeby nikt w naszym mieście się o tym nie dowiedział.

Jak wiesz, mój ojciec zmarł, kiedy miałem zaledwie pięć lat. W trzy lata później nasza matka poznała innego mężczyznę, który obiecał, że się z nią ożeni. Ale był problem - ja. Samemu człowiek nie miał ochoty odziedziczyć cudzego dziecka. Poznał inną kobietę, bez podobnego bagażu, i szybko ożenił się z tamtą. Krótko potem matka odkryła, że jest z nim w ciąży. Próbowwała mu o tym powiedzieć, ale on o niczym nie chciał słyszeć.

Odtąd zaczęły się ciężkie czasy. Nie mieliśmy pieniędzy. Ja miałem już osiem lat i mogłem przebywać w szkole, kiedy matka szła do pracy, ale gdyby zatrzymała ciebie, straciłaby zajęcie. Straciła już męża - mężczyznę, którego kochała. Potem spotkał ją kolejny cios - odejście kochanka. Bała się, że nie da rady wychowywać samotnie nas dwoje i podjęła decyzję, że odda cię do adopcji, tak by zajął się tobą ktoś lepiej do tego przygotowany.

Ale nasza matka była odważna i pełna miłości. Wiem, że cię kochała, i jestem pewien, że gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, wychowywalibyśmy się przez cały czas razem. Zrobiła to, co wydawało jej się najlepsze dla nas obojga. Klimat wstydu, jaki przypominam sobie z czasów twoich narodzin, Ruby, nie miał nic wspólnego z moralnością naszej matki czy jej brakiem, tylko z ignorancją ludzi, którzy nigdy nie czytali przypowieści o tym, kto pierwszy ma rzucić kamieniem.

I ja sam też o niej zapomniałem, kiedy przed paroma tygodniami przyjechałaś do mojego domu. Winilem cię za to, że nasza matka była nieszczęśliwa. Widziałem, jak nikła w oczach w czasie ciąży i po tym, jak zostawiła cię w szpitalu. Jedynym sposobem na to, żeby uciec od wspomnień, wydawała jej się emigracja do Ameryki. W rezultacie musiałem pozostawić za sobą jedyny znany mi dotąd sposób życia. Nienawidziłem cię za to. Ciebie obwinałem o to, że musiałem porzucić szkołę, kolegów, nawet kraj. Ale przecież ty byłaś niemowlęciem. To hipokryzja brytyjskiego społeczeństwa sprawiła, że nasza matka była do tego stopnia nieszczęśliwa, iż nie potrafiła pozostać w kraju.

A zatem taka jest prawdziwa historia. Mam nadzieję, że będziesz umiała wybaczyć mi to, że się jej wypierałem i że potraktowałem cię tak fatalnie w tamtą niedzielę. Naszej matce nie było dane nigdy więcej cię spotkać, choć wiem, że marzyła o tym przez całe życie. Mogę się tylko modlić, żebyś dała jeszcze jedną szansę przynajmniej mnie. Rosalia już prawie skończyła nasze drzewo genealogiczne. Jest na nim miejsce dla ciebie. Wierzmy, że napiszesz do nas od razu, jak tylko otrzymasz ten list.

Ściskam cię serdecznie twój brat, Nat.

Siedząc z listem w ręce przy kuchennym stole, Ruby czuła się jak rozbitek wyrzucony w końcu na brzeg, miotany naprzemiennymi falami ulgi i niewypowiedzianego smutku. Przeczytała list jeszcze raz i złożyła arkusik, zanim łzy sprawiły, że litery zaczęły jej się rozmywać przed oczami. Zadzwoń do Nata Barkera, gdy tylko w Denver będzie odpowiednia pora. I zadzwoń też w jakimś momencie, wiedziała, do rodziców i Lindsay, i Steve'a, i opowie im o wszystkim, co zaszło w ciągu ostatnich paru miesięcy. W tej chwili jednak siedziała z telefonem w ręce i trzymała kciuk nad przyciskiem „on”, na wyświetlaczu zaś widniał numer Martina.

Martin był jak dotąd jedyną osobą, która знаła całą historię ze szczegółami. Ruby miała ogromną ochotę opowiedzieć mu, co napisał Nathaniel. Ale nie mogła. Nie rozmawiała z Martinem prawie od miesiąca. Lou też mówiła, że Martin prawie do niej nie dzwoni... Poszedł naprzód, zostawiając ich przyjaźń za sobą. Chyba już ich więcej nie potrzebuje. I quiz w pubie też już dla Martina nie istniał.

Gdzie był tego wieczoru? Na randce z Cindy Daniels i jej przyjaciółmi, latoroślami sław?

O trzeciej po południu Cindy Daniels wciąż chrapała, leżąc na wznak. Do końca miesiąca miała napisać pracę magisterską. W czasie wolnym od snu wciągała kokę i denerwowała się, że nie zdąży skończyć pracy. To, by po prostu usiąść i zabrać się do roboty, najwyraźniej nie powstało jej w głowie.

Martin też się denerwował. Upłynęły zaledwie trzy dni, odkąd Eufemia Gilbert wysłała jego maszynopis do czterech najważniejszych londyńskich wydawnictw. Uprzedziła go, że nie powinien się spodziewać natychmiastowego oddźwięku, niemniej za każdym razem, ilekroć dzwonił telefon, Martin myślał, że z podniecenia wnętrzości wypadną mu na dywan. Każdego, kto telefonował, Martin załatwiał krótko i zwięźle, nawet matkę - aczkolwiek wytłumaczył jej, że musi mieć wolną linię na wypadek, gdyby dzwoniła Eufemia Gilbert.

Teoretycznie miał kogoś, kto mógł dotrzymywać mu towarzystwa podczas tych niekończących się godzin oczekiwania, ale nie pragnął obecności Cindy. Chętnie spędzałby ten czas z Ruby i Lou. Gdyby wiadomości okazały się dobre, wówczas Cindy byłaby, jak sądził, odpowiednią osobą, by wypić z nią szampana. Ale gdyby okazały się złe...

Seks z Cindy Daniels stał się spełnieniem wszelkich marzeń Martina z dodaniem paru rzeczy, o których nawet mu się nie śniło. Ale kiedy wychodzili z łóżka, przebywali na różnych planetach. Fakt, Cindy zabierała go na mnóstwo snobistycznych imprez, ale Martin szybko odkrył, że noc w najmodniejszym londyńskim klubie może być bardziej nudna niż w Psie i Zającu, jeżeli obecni tam ludzie, znani byli z okładek pism, są dla ciebie obcy. Zaczynało go to nużyć, że dziewięć na dziesięć osób, które przedstawiła mu Cindy, to byli jej ekskochankowie - zarówno mężczyźni, jak i kobiety. I Martin nie miał wątpliwości, że jeśli chodzi o tych eksów, to Cindy wyznaje zasadę „nigdy nie mów nigdy”. Jej telefon komórkowy nieustannie wibrował od wiadomości tekstowych, które wymagały odpowiedzi. Martin wiedział, że jest tylko kwestią czasu, kiedy Cindy dopisze nowy numer na swojej karcie SIM.

Zadzwoił telefon. Martin dał nura z łóżka, by złapać słuchawkę, po drodze niechcący kopnąwszy Cindy w zadek.

- Martin! - zagruchała Eufemia. - Piper Publishing interesuje się twoją książką! Rozmawiałam z redaktorką, niejaką Lou Capshaw. Myślę, że ją polubisz. Bardzo miła dziewczyna.

Odgadnięcie, jaka jest geneza powieści, zajęło Lou parę minut. Mark i Ruthie... Martin zmienił tylko imiona bohaterów oraz autora. Matthew Carter to był pseudonim literacki. Ale, Bogu dzięki, Erica miała rację. Opowieść bardzo się Lou spodobała. I to nie tylko dlatego, że znała parę nieszczęśliwych kochanków, o których chodziło.

Jako że grafik prac Eriki na tę jesień był już wypełniony aż nazbyt ściśle, dziewczyny zdecydowały, że redaktorem powieści będzie Lou, i zadzwoniły do Martina z zaproszeniem na spotkanie. Lou niecierpliwie czekała na chwilę, kiedy zobaczy go u siebie w biurze i wreszcie mu powie, że jest pod wrażeniem jego talentu. Ale najpierw musiała zorganizować inne, o wiele ważniejsze spotkanie.

RS

ROZDZIAŁ 38

Na pół godziny przed terminem wielkiej randki Ruby przerwała nakładanie makijażu i spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

- Wyglądasz beznadziejnie - powiedziała do siebie. Bynajmniej nie polepszył efektu fakt, że kiedy umalowała jedno oko i besztowała się, że wygląda okropnie, zamrugła i na kości policzkowej pojawił się niewielki, równiutki półksiężyc wilgotnego czarnego tuszu.

- Szlag.

Zaczęła wycierać plamę wacikiem na patyczku, ale osiągnęła jedynie tyle, że równy rząd pionowych kreseczek zmienił się w ciemną smugę, która wyglądała jak blizna wojenna... Rozmowy w pubie, w czasie których ona, Lou i Martin przekonywali się nawzajem, że nie wyglądają ani o dzień starszej niż wtedy, kiedy się poznali, wydały się jej teraz śmieszne. Wyglądasz na swój wiek, powiedziała sobie, nagle bardziej niż kiedykolwiek niezadowolona ze swojej cery, włosów i głupich, nietwarzowych ciuchów. Kiedy szła ostatnimi czasy ulicą, była niewidzialna dla całego pokolenia ludzi. Czuła się bliższa studentom, którzy tłoczyli się wokół jej ulubionej księgarni, niż ich profesorom, ale studenci nawet jej nie zauważali. Dla nich była osobą dojrzałą. Może pora zacząć zachowywać się właśnie w taki sposób.

Ruby dała sobie spokój z makijażem i położyła się na łóżku.

Zadzwoił telefon. Lou.

- Ruby? A co ty tam jeszcze robisz?

- Siedzę na łóżku.

- No przecież nie zdążysz! Masz być w Battersea. Wiesz, w tej knajpce.

- Jaki to ma sens? - spytała Ruby.

- Jak to, jaki to ma sens? O co ci chodzi?

- Lou, ja nie mam zamiaru iść na tę randkę w ciemno - powiedziała zdecydowanie. - Postanowiłam, że muszę dać sobie spokój z tym całym randkowaniem i zająć się uporządkowaniem własnego głupiego życia.

- Naprawdę? Uporządkowaniem życia? - powtórzyła jak echo Lou. - To super, Rubes. Szalenie się cieszę, że to słyszę, naprawdę. Ale dziś nie masz na to czasu. Jesteś ubrana?

- No jasne, że jestem ubrana.

- Co masz na sobie?

- Dżinsy. Czarny podkoszulek.

- Na litość boską... To nie jest strój na randkę. Wkładaj coś seksownego, ale już. Włóż tę czarną sukienkę, którą lubisz. Tę z dekoltem w łódkę.

- Lou. Czy ty słyszysz, co do ciebie mówię? - spytała Ruby. - Nie idę na żadną randkę.

- Ależ tak, idziesz, do cholery. - Nie zmusisz mnie.

- Założymy się?

- Lou, po prostu zapomnij o tym. Wiem, że jesteś przekonana, iż działasz w moim najlepiej pojętym interesie, i jestem ci wdzięczna, że się tak starasz, ale...

Bim-bom.

- Ojejku - powiedziała Ruby z ulgą - ktoś dzwoni do drzwi. Muszę iść. Pogadamy później.

Odłożyła słuchawkę. Dzwonek ją uratował. Ten jeden raz z radością powita Świadków Jehowy. A kiedy pozbędzie się naprawiaczy świata, wyciągnie wtyczkę telefonu z gniazdka i...

- Ruby, jak ty wyglądasz!

Na progu stała Lou. Przecisnęła się obok Ruby i wparowała do mieszkania tak szybko, jak tylko pozwalało jej nie do końca wykurowane kolano.

- Wiedziałam. Wiedziałam, że mi to zrobisz. To ja stoję na głowie, żeby ci znaleźć idealnego chłopaka, a ty sobie siedzisz w dżinsach, kiedy za piętnaście minut masz się znaleźć na drugim końcu miasta! Wkładaj czarną kieckę. Dzwonię po taksówkę.

- Lou, ja... - Ruby usiłowała trzymać się swojego planu.

- Idziesz i już. Po prostu zrób to. Ten jeden raz. Zaufaj mi, Ruby. Znalazłam ci mężczyznę twoich marzeń. Masz z tym facetem tyle wspólnego! Jest rewelacyjny. Seksowny. Przystojny...

- Skąd wiesz, że jest przystojny?

- Wskanował swoje zdjęcie do ostatniego e-maila.

- Mogę je zobaczyć? - spytała rozsądnie Ruby.

- Zapomniałam zabrać ze sobą - powiedziała Lou. - Słuchaj, wskakuj w tę kieckę. Kończ makijaż. Nic nie szkodzi, jeśli się odrobinę spóźnisz. Zrobiłam ci taką reklamę, że facet na pewno gotów jest siedzieć i czekać na ciebie całą noc.

Ruby stała bez ruchu w przedpokoju.

- Lou, ja mówię serio. Zmieniam moje życie. A pierwsza fundamentalna zmiana, jakiej muszę dokonać, to mój stosunek do mężczyzn. Przestaję polować na miłość. Moje desperackie poszukiwania przynoszą mi tylko kłopoty. Muszę się nauczyć żyć bez miłości, i wtedy nie będzie takie ważne, czy ją kiedykolwiek znajdę, czy nie. Muszę odnaleźć pełnię w samej sobie. Nie potrzebuję żadnych podpórek.

- Och, do jasnej Anielki. Dlaczego musisz szukać tej cholерnej pełni właśnie teraz? - Lou ścisnęła głowę dłońmi. - Nie rób mi tego, Ruby. Nie dzisiaj... Daj mi jeszcze jedną szansę. Wkładaj sukienkę.

Były teraz w sypialni. Lou przetrząsała gorączkowo szafę Ruby.

- Lou, ja cię proszę, idź sobie. Czy ja cię prosiłam, żebyś zamieszczała to ogłoszenie? Sądziłam, że po doświadczeniach z Robinem i Robertem okażesz się mądrzejsza. Nie mam zamiaru znowu wpakować się w coś podobnego. - Potrząsnęła głową. - Zostaję.

- Nie mogę ci na to pozwolić.

Lou złapała za dół podkoszulka Ruby i zaczęła go jej ściągać przez głowę.

- Lou!

- Nie wiesz, co jest dobre dla ciebie!

- Właśnie że w końcu wiem! I o to właśnie chodzi! Zostaw mój podkoszulek...

Ruby obciągnęła T-shirt z powrotem na biodra.

- Jeszcze tylko ten jeden raz. Rubes... Ja sobie zadałam tyle trudu, żeby zamieścić to ogłoszenie! Całe tygodnie myślałam, jak to sformułować, żeby było w sam raz. I tak się starałam przy selekcji ofert...

- No cóż, dziękuję ci bardzo, ale to naprawdę nie mój problem - powiedziała twardo Ruby. - Nie wrobisz mnie w poczucie winy, Lou. Jestem autonomiczną jednostką i żyję dla siebie. Sama potrafię o siebie zadbać.

- Ktoś inny też może o ciebie zadbać. Ten jeden raz. Ostatni. - Lou padła przed nią na kolana. - Błagam, Ruby. Błagam... Auu!

- Uważaj na kolano... Boże świąty - westchnęła Ruby, pomagając przyjaciółce podnieść się z klęczek. - Można by pomyśleć, że umówiłaś mnie z George'em Clooneyem.

- Jest lepszy od Clooneya. Przysięgam. Jest idealny. A Clooney to podobno kawał drania. Ruby potrząsnęła głową.

- Za późno. Urządziłaś na mnie zasadzkę, kiedy wracam z Damaszku, Lou. Nareszcie zobaczyłam prawdę o sobie samej.

- Patrzysz na życie przez czarne okulary - zareplikowała Lou. - Och, Ruby... Wiem, że te parę ostatnich miesięcy to była katastrofa. Poznałaś kilku okropnych facetów, zaliczyłaś całe to zawracanie głowy z naturalną rodziną, pokłóciłaś się z Martinem... Ale to nie znaczy, że masz zostać zakonnica. Masz trzydzieści jeden lat, na litość boską. Twój biust wciąż opiera się grawitacji i nie jesteś jeszcze gotowa, żeby hodować kota. Najbardziej nieatrakcyjną cechą, jaką może mieć człowiek, jest brak nadziei, dziewczyno. Jedyna rzecz, dla której warto żyć, to miłość. Przecież to twoja maksyma.

- Lou - westchnęła Ruby. - Skończ już z tą filozofią z Dawson Creek...
Rozmawiałaś z nim?

- Tak jest.

- Jaki ma głos?

- Sam miód! - przekonywała zachwycona Lou. Ruby miękła jak masło w słońcu. - Dzwonię po tę taksówkę dla ciebie. Wkładaj kieckę.

- Uważasz, że powinnam iść w czerni?

- Wyglądasz w niej jak milion dolarów... - Lou gorączkowo wybierała numer sieci taksówkowej, żeby zdążyć, zanim Ruby będzie miała szansę się rozmyślić.

- Halo? Tak. Czy mogę prosić o taksówkę na Blandfield Avenue numer siedemnaście? Ostatnie piętro.

- Nie mogę uwierzyć, że ja to robię - powiedziała Ruby, znikając w sypialni.

- Tak, dziesięć minut. Będzie gotowa. - Lou odwiesiła słuchawkę. Kiedy ostatecznie zobaczyła Ruby w małej czarnej, ucisnęła ją impulsywnie, po czym odsunęła na odległość ramienia, żeby móc lepiej ocenić całość.

- Bomba - powiedziała. - Padnie na twój widok, dziewczyno, zobaczysz.

- No, jeśli ta bomba okaże się niewypałem, to przechodzisz do historii starożytnej, droga Lou.

- Nie okaże się.

- Może wejdiesz i usiądziesz przy stoliku razem ze mną? - zaproponowała Ruby.

- Żartujesz? Nie zamierzam być intruzem.

Klimat ekscytacji, jaki wytworzyła Lou podczas jazdy do Battersea, wyparował, ustępując miejsca chłodnemu, lepkiemu lękowi, kiedy Ruby wchodziła samotnie do knajpki. W środku było prawie pusto. Egzemplarz Mandoliny kapitana Corellego, który trzymała pod pachą w celach identyfikacyjnych, zdawał się nagle krzyczeć: „Ta dziewczyna przyszła na randkę w ciemno!” Śmieszne, próbowała powiedzieć sobie Ruby. Mnóstwo ludzi w Londynie nosi ze sobą książki... Nigdy nie wiadomo, czy nie przyjdzie ci na przykład jechać metrem. Trzeba mieć coś, co człowieka rozerwie i pomoże przetrwać takie puste chwile.

Ale nikt inny w knajpce nie miał ze sobą książki. Co więcej, żaden inny gość nie siedział sam... Klientela restauracji składała się z trzech par oraz grupki pięciu dziewczyn, które najwyraźniej przyszły prosto z pracy, żeby uczcić urodziny którejś z nich, upijając się do nieprzytomności.

- Czym mogę służyć? - spytał wesoło barman.

- Hm... jeszcze nie wiem, czy w ogóle tu zostanę - powiedziała beznadziejnie Ruby. - Czy... czy nie widział pan tu takiego człowieka z tomikiem pod pachą?

Barman przechylił głowę na bok. - A jak wyglądał?

- Tak. - Ruby wyciągnęła rękę z książką. - W biało-niebieskiej okładce. Właściwie to dokładnie tak samo...

- Mam na myśli mężczyznę - uśmiechnął się barman. - Jak on wygląda?

- Och... - Ruby zalała się rumieńcem. - Ja nie... No wie pan, tak przeciętnie.

Barman pokiwał ze zrozumieniem głową, co przekonało Ruby, że dobrze wie, co jest grane.

- Może się spóźnia - zasugerował.

- No tak. Być może ma pan rację. No to chyba wezmę... hm... sok pomarańczowy.

Przysiadła na brzeżku wysokiego stołka. Barman postawił przed nią szklanekę i zamienił jej pięciofuntowy banknot na dwie monety pięćdziesięciopensowe.

- Cztery funty? - spytała z niedowierzaniem Ruby.

- Świeżo wyciśnięty - wyjaśnił barman. Ruby czuła się tak, jakby to ją wyciśnięto.

Spojrzała na zegarek. Lou mówiła, że randka została wyznaczona na wpół do ósmej. Była już prawie za dziesięć ósma... Drzwi wejściowe otworzyły się, wpuszczając na moment uliczny zgiełk. Weszły dwie roześmiane dziewczyny. Jedna z nich uniosła tylko brew ku barmanowi, który rzucił się, by podać jej to co zwykle - wódkę z sokiem żurawinowym. Obie dziewczyny zajęły miejsca tuż obok Ruby i nachyliwszy się nad barem, wdały się z barmanem w konwersację na temat „wczorajszego wieczoru”. Barman strzelał oczami ku dziewczynie od soku żurawinowego i wyczyniał sprytne sztuczki z shakerem, żeby zrobić na niej wrażenie. Ruby, czując, że nieoczekiwanie znowu jest niewidzialna, wzięła swoją szklanekę i przeniosła się do stolika pod ścianą.

W dziesięć minut później miała już za sobą pięćdziesiąt spojrzeń na zegarek. Ósma. Ile może na niego czekać? Już i tak czeka za długo, tak czy nie? Wystawił ją do wiatru. Wydała dychę na taksówkę, piątała na sok pomarańczowy, zarobiła coś trudnego do zidentyfikowania, ale lepkiego na spódniczce swojej ulubionej czarnej kiecki, i po co to wszystko? Została wystawiona do wiatru.

Wyciągnęła komórkę i wystukała SMS-a do Lou.

Lou, zostałam wystawiona do wiatru. Jesteś martwa.

Siedź i czekaj - odpisała Lou. - On jest wysoki, ciemnowłosy, przystojny i garbi się jak wielbłąd. Tak powiedział.

W tym momencie mężczyzna o wyglądzie pasującym do tego opisu (a przynajmniej do trzech pierwszych określeń) wszedł do knajpki i rozejrzał się dookoła, jak gdyby w poszukiwaniu kogoś, kogo mógłby rozpoznać wyłącznie na podstawie trzymanej pod pachą powieści.

Ruby momentalnie poczuła, że policzki jej różowieją. Był cudny. Wyglądał na sympatycznego. Sprawiał wrażenie niemal tak zdenerwowanego jak ona, co wydało się jej niesłychanie ujmujące. Kiedy po paru minutach rozglądania się po wnętrzu knajpki wciąż jeszcze jej nie zauważył, Ruby zaryzykowała gest dłonią.

Nieznajomy patrzył gdzieś poza nią.

Może jest krótkowzroczny? Lekkie mrużenie oczu sugerowało, iż rzeczywiście potrzebne mu są okulary, ale jest zbyt próżny, by je nosić. Wzięła do ręki książkę i otworzyła ją ostentacyjnie. Mężczyzna usiadł na stołku przy barze i sięgnął do torby po egzemplarz „Evening Standard”. A jego książka to była... tak! Mandolina kapitana Corellego!

Ruby odwróciła się, by po raz ostatni rzucić na siebie okiem w wiszącym za nią lustrze. Sprawdziła włosy na okoliczność łupieżu, zęby na okoliczność resztek szpinaku. Co nie znaczy, by choć raz w życiu jadła szpinak.

Tymczasem mężczyzna, który, była pewna, jest tym, na kogo czekała, przerzucał strony książki, od czasu do czasu podnosząc wzrok, gdy otwierały się drzwi. Ruby siedziała w bardzo ciemnym kącie. Umówiony niewątpliwie z nią mężczyzna wziął do ręki menu i mrużąc oczy, zaczął je przeglądać. Nie było rady - najwyraźniej musiała pierwsza do niego podejść. Inaczej jej randka się nie odbędzie.

Wzięła głęboki oddech, wstała i ruszyła ku barowi. Kiedy podeszła nieco bliżej, uśmiechnęła się, jakby rozbłysło w niej tysiąc megawatów. Lou miała rację: ten facet był aniołem! Jego oczy mogły pozostać bezużyteczne, jeśli chodzi o widzenie na odległość, ale czyż nie były cudownie błękitne? Cynizm i totalny brak złudzeń, które jak chmura gradowa gromadziły się przez cały dzień nad jej głową, momentalnie zniknęły bez śladu.

Kiedy stała już o pół metra od niego, rzucił okiem na książkę, którą trzymała przed sobą niczym chłopiec z kościelnego chóru Biblię, po czym spojrzał jej prosto w oczy. Ruby wycisnęła ze swojej latarni jeszcze parę kilowatów.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć - odparł nieznajomy.

- Mandolina kapitana Corellego - rzekła Ruby, podsuwając mu książkę niemal pod nos.

Nieznajomy cofnął gwałtownie głowę, po czym przyjrzał się książce, jak gdyby sprawdzając, czy istotnie taki ma tytuł, i skinął głową. Ruby tymczasem z zapalem sprawdzała jego prezencję. Grzywka seryjnego mordercy? Nie, skąd. W ciągu paru sekund, jakie zajęło nieznajomemu przeniesienie spojrzenia z książki z powrotem na jej twarz, zyskała pewność, że tym razem jej się uda. Miłość

warta była jeszcze jednego strzału. Prawdę mówiąc, zdecydowała, miłość warta jest, by rzucić się temu mężczyźnie do nóg. Te oczy, te usta, te włosy...

Uśmiech nieznajomego stał się lekko pytający.

- Uhm... - powiedział.

- Tak? - podchwyciła ochoczo Ruby.

- Czym mogę panu służyć? - spytał barman.

Ruby spojrzała na niego wyczekująco, spodziewając się, że najpierw ustali jej preferencje. Białe wino czy sok pomarańczowy? Co powinna zamówić? A jeśli on nie pije? Nie chciała, żeby ją wziął za pijaczkę... Ale szprycer z wody sodowej i białego wina bez wątpienia może sobie wziąć. Musi się troszkę wyluzować... A Ibo może teraz sok pomarańczowy, a szprycer za drugim razem, zależnie od tego, czy on weźmie dla siebie coś mocniejszego, czy też pozostanie przy napojach bezalkoholowych.

- Poproszę dwie butelki Becka - powiedział.

Ruby wydłużyła się nieco twarz. Była pod wrażeniem, że jest on typem mężczyzny, który lubi brać na siebie ciężar decyzji, ale nie cierpiała Becka. I czy nie jest to odrobinę zarozumiałe z jego strony, z góry zakładać, że ona w ogóle ma ochotę na jakiś alkohol? A, lepiej tym razem nic nie mówić, zdecydowała. Nie chciała, by wziął ją za kobietę, która lubi utrudniać... Ale nie, chwileczkę. Może jednak powinna zająć jasne stanowisko w tej sprawie. Pierwszy kontakt z kimś często nadaje ton późniejszej relacji. Kto jak kto, ale ona to wiedziała... Gdyby od początku tak się nie paliła do tego, by sprawiać przyjemność Flettowi, gdyby nie godziła się tak ochoczo na wszystko, co proponował, byle tylko mu się podobać, to być może stanowiłaby dla niego jakieś wyzwanie i podobałaby mu się bardziej?

Zagryzła wargę, gotując się, by mu powiedzieć.

- Przepraszam... Ja właściwie nie lubię Becka.

- Naprawdę? - spytał nieznajomy. - Naprawdę. Wolę białe wino.

- Lou.

- Tak jest. Zawsze wolałam.

- Aha. - Przeniósł wzrok z Ruby na piwo i z powrotem. Barman już otworzył butelki.

- No dobrze, tym razem niech będzie Beck - poszła na ugodę Ruby.

- W porządku - rzekł krótkowzroczny. - I tego... miłej lektury - dodał, po czym wstał, zabrał piwo i dołączył do swojej przyjaciółki, która w końcu przysłała i zajęła stolik obok drzwi.

Wystarczyła nanosekunda, by popłynęły łzy.

Zostawiając cholernego Kapitana Corellego w kałuży piwa, Ruby rzuciła się do drzwi. Ogólna suma jej konfuzji momentalnie wzrosła, gdy pchnęła ciężkie szklane drzwi, zamiast, jak należało, pociągnąć je, ale w końcu wypadła wreszcie na ulicę. I walnęła głową w czyjaś pierś, zwałając go z nóg, tak że padł jak długi na trotuar.

Niemal równocześnie telefony Ruby i Martina zaćwierkały, informując o nadejściu nowej wiadomości.

Czy lubisz pina coladę? - tak brzmiał SMS, który Lou wysłała do obojga.

RS

ROZDZIAŁ 39

Lou chodziła tam i z powrotem po pokoju. Popelniła błąd, godząc się, by Andrew przyszedł do niej. Powinna była się upierać, by spotkali się na neutralnym gruncie. Ale, rzecz jasna, nie mogła się upierać, bo wówczas Andrew chciałby wiedzieć, dlaczego tak jej zależy, żeby nie widzieć go u siebie w kuchni. Próbowwała zaproponować: „Chodźmy gdzieś na drinka”. Andrew jednak nie ustępował: „Chcę coś dla ciebie przyrządzić”. Wiedziała, iż nie może mu powiedzieć przez telefon, że nie chce, by coś dla niej przyrządził, nie mówiąc dlaczego. Ani za pośrednictwem faksu. Ani e-maila. Przez cały długi dzień pracy rozważała wszystkie te opcje.

Teraz, na dziesięć minut przed jego przyjściem (absolutnie na czas, rzecz jasna) z torbą pełną produktów, które miał przekształcić w smakowitą i wonną ekspresję swoich uczuć, Lou robiła próbę generalną swojego wystąpienia. Czy powinna poczekać, dopóki nie skończy gotować? Nie, oczywiście, że nie. Musi powiedzieć mu, zanim zacznie, inaczej już na zawsze będzie dziewczyną, która zjadła romantyczną kolację, żeby dać mu kosza przy kawie. Chociaż wątpliwe, by w ogóle była w stanie coś przełknąć wobec ciężaru zadania, jakie ją czekało.

- Andrew - zaczęła - muszę ci coś powiedzieć. Usiądź. - Zgarnęła rzeczy z fotela, tak by mogła na nim usiąść, gdy on usiądzie na sofie. - Chcę ci po prostu powiedzieć, jak wspaniałe by to te parę miesięcy, które z tobą spędziłam.

- To nie przez ciebie - zaryzykowała. - To przeze mnie.

O Boże, nie - zganiła siebie samą. Nie wolno jej użyć tego tekstu... Choć naprawdę ona była wszystkiemu winna, dla każdego stawało się jasne, że słowa te w rzeczywistości oznaczają: „To nie przeze mnie. To bezwzględnie przez ciebie”.

Jakaś jej część wciąż jej podpowiadała, że absolutnie nie powinna tego robić. W Andrew było wszystko, czego potrzeba, aby stworzyć idealne życie. Miała oto przed sobą dojrzałego, przystojnego, wypłacalnego mężczyznę, o dobrym sercu i z gestem, który ją uwielbiał nawet wtedy, gdy, wiedziała o tym, wyglądała jak młodsza siostra potwora z Loch Ness i na dodatek miała okropny humor. Nie musiała specjalnie wysilać imaginacji, by zobaczyć Andrew, jak stoi przed ołtarzem i z uśmiechem szerokim jak kanał La Manche patrzy na idącą ku niemu Lou. Z łatwością mogła go sobie wyobrazić, jak maluje na żółto dziecienny pokój; jak popycha wózek z dwojgiem ślicznych ciemnowłosych bliźniąt (chłopcem i dziewczynką); jak wręcza jej pierścionek w piątą rocznicę ślubu, jak odprowadza bliźniaki do szkoły, jak uczy je grać w piłkę podczas długich, słonecznych wakacji w Toskanii, jak przekazuje komuś córkę na jej własnym

weselu, jak tuli się do Lou na werandzie ich nienagannego domu, kiedy przyjdzie dla nich czas zasłużonego spoczynku... Długi, prosty szereg doskonale zaplanowanych, dostatnich i nieustająco słonecznych dni.

- O Boże! - Lou naląła sobie wódki z tonikiem. Tego wieczoru wyprawiała Martina i Ruby, by odnaleźli swoją idealną przyszłość, a sama siedziała oto, przygotowując się do przekreślenia własnej...

Przypomniła sobie, co powiedział kiedyś jej dawny chłopak. Chłopak, od którego nie zamierzała w owym czasie odchodzić: „Jedna osoba nie może być szczęśliwa za dwoje”. I w tym tkwiło sedno. Nieważne było, jak wspaniały jest Andrew ani ile wysiłku wkłada w ich związek. Jeśli ona nie czuje tak samo jak on, jego miłość jest jak budowanie wieży bez fundamentów.

Musi to zakończyć i musi to zrobić dziś wieczorem. Nawet jeśli będzie musiała to zrobić, kurczę, bez pomocy jakiegokolwiek gotowca.

- Spróbuj. - Andrew podszedł do niej z łyżką pełną sosu, który przygotował z takim oddaniem. Osłaniał ją od dołu dłonią, żeby ani jedna kropla nie upadła na podłogę, i nawet podmuchał, by mieć pewność, że Lou się nie oparzy.

Lou potrząsnęła głową.

- Spróbuj - zachęcił ją Andrew. - Jest rewelacyjny, zobaczysz. Lou zmusiła się do uśmiechu i wzięła łyżkę do ust.

- No i?

Był troszkę za ostry. Piekł w język. Skinęła jednak głową. - No... Świetny.

- No a jak - powiedział. - Przecież włożyłem w niego całą moją miłość. - Patrzył na nią z napięciem, gdy oblizywała szczypiące wargi. - Och, do diabła z tym, Lou - wybuchnął nagle. - Nie mogę czekać ani chwili dłużej. Muszę ci to powiedzieć.

- Co? - Lou zmartwiała.

- Szaleję za tobą. Szaleję od pierwszego dnia, kiedy cię poznałem. Już po paru sekundach czułem się tak, jakbym cię znał od zawsze. I chcę być z tobą na zawsze, Lou. Na zawsze.

- O Boże! - Tym razem nie zdołała ukryć wyrazu przerażenia. Andrew jednak źle go zinterpretował.

- Widzę po twojej minie, że i ty czujesz to samo - zaśmiał się, biorąc jej przerażenie za radosny szok. - No więc, czemu byśmy nie mieli tego zrobić?

- Czego? - spytała Lou. Aczkolwiek obawiała się, że i tak wie... Błagam, niech on mnie nie poprosi teraz, żebym za niego wyszła, skamlał cichutki głosik wewnątrz niej. Błagam, nie. Błagam, nie. Błagam, nie... Sekunda milczenia, jaka nastąpiła, rozciągnęła się niczym przeklęty Wielki Kanion.

- Przeprowadź się do mnie - zaproponował w końcu.

No cóż, przynajmniej nie powiedział tego drugiego słowa na M... Lou poczuła, że jej ciało zapada się z ulgi. Padła na sofę, zamknęła oczy i ścisnęła dłońmi głowę.

- Lou? Co z tobą? - Andrew odłożył łyżkę, ostrożnie, żeby nie poplamić kuchennego blatu, i pośpieszył z powrotem do niej. Lou nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, czy go uściskać, czy stłuc, czy co tam jeszcze.

- Chyba nie myślałaś... - zaczął. - Och. Lou... Czy ja cię rozczarowałem? Sądziłaś, że chodzi mi o... - Okazało się, że nawet Andrew nie może wymówić tego słowa na M. - No cóż, jestem pewien, że tak się stanie - zapewnił. - Któregoś dnia. Chodzi po prostu o to, że... Znamy się od dość niedawna. Pomyślałem sobie, że rozsądniej będzie najpierw razem zamieszkać, tak czy nie? Zobaczyć, jak nam idzie. To znaczy, traktuję cię absolutnie poważnie, Lou, ale wiesz... - utknął. - Nigdy wcześniej nie proponowałem dziewczynie, żeby się do mnie wprowadziła.

Lou potrząsnęła głową.

- Och, daj spokój, Lou! - wykrzyknął Andrew, wciąż sądząc, że czuje się urażona tym, iż nie padła inna propozycja. - Nie możesz oczekiwać...

- Andrew - przerwała mu. - Ja nie chcę wychodzić za ciebie za męża.

- No i bardzo dobrze - powiedział, ujmując obie jej dłonie. - Ale zamieszkajmy razem, dobrze? U ciebie czy u mnie?

- Andrew - przerwała ponownie Lou. - Zamieszkać razem też nie chcę.

- Dlaczego?

„To nie twoja wina, tylko moja” - wyświetliło się na ekranie jej umysłu. Albo może lepiej „Kocham cię, ale nie jestem w tobie zakochana”? Kolejny korek. „Nie jestem jeszcze gotowa do trwałego związku”... „Zostałam kiedyś zraniona i po prostu boję się zobowiązań”... W końcu nie wybrała żadnego z tych tekstów.

- Chcesz powiedzieć, że nie chcesz w ogóle ze mną być? - uprzedził ją Andrew. - Chcesz powiedzieć, że między nami skończone?

Lou skinęła głową. - Tak. Bo jestem lesbijką.

Uwierzył? Nigdy się tego nie dowie... Andrew nie czekał bynajmniej, że będzie go przekonywała. Włożył płaszcz wprost na kuchenny fartuch i wypadł z mieszkania, miotając przekleństwa. Lou przez jakąś minutę nawet nie mrugnęła okiem. Poszedł? Naprawdę?

Dziwne, pomyślała, siedząc na sofie i patrząc na spływający ze ściany sos pomidorowy (cisnął rondlem o podłogę w salonie), że nawet nie próbował nakłaniać jej, by się zastanowiła. Pomimo że parę sekund wcześniej powiedział, iż chce z nią być, aczkolwiek na razie na próbę, nie poprosił, by przedstawiła mu dowody, wyjaśniła rzecz jak należy czy spróbowała zmienić orientację.

Dosłownie zrobiło mu się czerwono przed oczami i złapał za rondel. Teraz ona miała czerwono przed oczami, kiedy patrzyła na swoje niegdyś nieskazitelnie białe wnętrze w stylu zen.

Lou pociągnęła z kieliszka łyk wina i zaśmiała się. Przez cały czas szukała w nim jakiejś skazy, jakiegoś fatalnego defektu, i nie mogąc znaleźć nic takiego, była w kropce, bo po prostu nie potrafiła wymyślić żadnego powodu, dla którego miałyby się rozstać z Andrew. Teraz miała taki powód. Kto by pomyślał, że idealny mężczyzna potrafi urządzić taką scenę?

Nieważne... Nigdy więcej nie będzie musiała tego znosić. Gdyż w końcu Lou uciszyła nareszcie pewien dokuczliwy głos. Cichy głosik w jej głowie, który powtarzał, że jedyną opinią, z jaką powinna się liczyć jest to, czego ona naprawdę oczekuje od partnera. Nie jest istotna opinia rodziców, przyjaciół czy koleżanek z pracy. Ani opinia starszej pani z naprzeciwka, która powiedziała: „Ma pani szczęście, moja droga, że trafiła pani na takiego mężczyznę”, kiedy Andrew pomógł jej wnieść zakupy na piętro. Wciąż słyszała w sobie ten głos i wreszcie postanowiła działać zgodnie z nim. Andrew nie był dla niej odpowiedni z jednego fundamentalnego powodu: nigdy nie stanie się nieznanym z pociągu.

Środa rano, maj. Northern Line. Ty, w szarym kostiumiku, pokazujesz język facetowi czytającemu FT. Ja, w granatowym garniturze, puszczam do ciebie oko. Czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy?

Lou odnalazła swój zagubiony ślad tamtego popołudnia u lekarza, kiedy przyszła na wizytę kontrolną ze skreślonym kolanem. Przez cały dzień czytała wciąż na nowo te dwie linijki tekstu, na wypadek, gdyby miała to być halucynacja. Teraz, pewna, że Andrew poszedł w końcu do domu i przekonana, że może spokojnie włączyć z powrotem wtyczkę telefonu do gniazdka, bo nie będzie dzwonił z pytaniem, czy naprawdę jest tak, jak powiedziała, Lou wystukała towarzyszący ogłoszeniu numer.

- Halo - powiedziała, kiedy telefon został w końcu odebrany - Dzwonię w związku z ogłoszeniem w „Time Out”. W rubryce Zaginiony ślad.

- O, cześć - odparła dziewczyna na drugim końcu linii. - To w takim razie dzwonisz nie do mnie, tylko do mojego współlokatora. Mana imię Alex! Alex! - Zasłoniła słuchawkę dłonią, ale mimo to Lou rozróżniała przytłumione słowa. - Dzwoni kobieta, która twierdzi, że odpowiada na ogłoszenie w Zaginionym śladzie] - Odsloniła słuchawkę. - Mam nadzieję, że to ty - powiedziała konspiracyjnie, zniżając głos. - Mieliliśmy tu już telefony od wszelkich możliwych pokręconych istot. Nie masz pojęcia, ilu ludziom się wydaje, że

rozpoznają w ogłoszeniu siebie... Uważam, że to błąd, zamieszczać w ogłoszeniu numer telefonu. Już prawie byliśmy gotowi się poddać. Minęło już sporo czasu...

- To na pewno ja - przerwała Lou.

- W takim razie wiesz, co robisz, prawda? - spytała dziewczyna. - Pamiętasz Aleks?

- O, tak - powiedziała Lou. - Na pewno doskonale pamiętam.

Alex... A więc na imię ma Alex.

- A jak ty masz na imię? - spytała z ożywieniem jego współlokatorka.

- Lou. Zdrobnienie od Louisy.

- No, to miło cię poznać, Lou. Ja się nazywam Hanna, na wypadek, gdyby rzeczywiście doszło do tego, że się spotkamy. Mam nadzieję, że tak się stanie! Strasznie jestem ciekawa, za kim tak tęskni Alex od paru miesięcy. No, to na razie, Lou. Masz swojego marzenie!

Lou ścisnęła w dłoni telefon, nasłuchując odgłosu przekazywania słuchawki innej osobie.

- Halo?

Lou milczała przez chwilę, pozwalając, by dźwięk głosu Aleksa pieścił jej ucho po tych wszystkich tygodniach czekania. Lekki północny akcent... Nie spodziewała się tego.

- Halo? Jesteś tam? - powtórzył Alex.

- Jestem - powiedziała Lou.

- Czy to ty jesteś dziewczyną, która wylądowała na kolanach tego faceta z FT?

- Tak, to ja.

- Mam nadzieję, że nie pomyślałaś, że śmieję się z ciebie - ciągnął Alex. - Śmiałem się do ciebie, rzecz jasna.

- Wiem - rzekła Lou.

- Żałowałem, że się wtedy do ciebie nie odezwałem.

- Ja też żałowałam, że się do mnie nie odezwałeś - mruknęła Lou.

- Ale to nie zawsze jest łatwe - powiedział Alex. - Wiesz, jak to jest... Nigdy nie wiadomo, jak to zostanie odebrane, kiedy zagada się do nieznajomego w pociągu.

- Wciąż o tobie myślałam - rzekła Lou. - Zamieściłam nawet sama ogłoszenie w Zaginionym śladzie.

- Ja w ogóle nie słyszałem o tej rubryce. Dowiedziałem się dopiero parę tygodni temu. Hanna mi powiedziała, ale nie myślałem, że to da jakiś efekt. Nie masz pojęcia, ile kobiet już zadzwoniło, twierdząc, że to one.

- Hanna mi mówiła.

- Myślę, że one po prostu próbowały. Zawsze to jakaś odmiana niż odpowiadanie na zwykłe ogłoszenia... Ale szybko się wycofywały, jak tylko usłyszały mój głos.

- Masz piękny głos - powiedziała Lou.

- Dziękuję. Ale nie trzeba było wiele czasu, żeby zdały sobie sprawę, że nie jestem mężczyzną, o jakiego im chodziło.

- Że w ogóle nie jesteś mężczyzną - powtórzyła jak echo Lou.

- A tobie to odpowiada?

- Mnie to odpowiada - powiedziała Lou. - Nareszcie.

RS

ROZDZIAŁ 40

Czy lubisz pinacoladę? Martin, którego dorastaniu nieustannie towarzyszył w charakterze ścieżki dźwiękowej Barry Manilow (zawdzięczał to matce), musiał wyjaśnić Ruby znaczenie tego żartu. Jadąc do knajpy, czuł, że prawdopodobnie Lou wciąga go w jakąś intrygę, ale mimo to zdecydował się w to zagrać. Teraz, gdy Cindy zainteresowała się Lousem, rzeźbiarzem z owłosionymi plecami, i tak nie miał wieczorami nic szczególnego do roboty.

Udał, że zirytował go kawał, jaki zrobiła im Lou, ale naprawdę był zachwycony, kiedy Ruby zgodziła się zostać z nim na jeszcze jednego drinka. Jeden drink przekształcił się w cztery i kiedy barman ogłosił, że zamyka knajpę, Ruby i Martin wciąż jeszcze tam siedzieli.

Wyrwani ze swoich wygodnych krzeseł, postanowili, że pójdą piechotą, dopóki nie uda im się znaleźć taksówki, która zawiezie ich na północny brzeg rzeki. Ale po stronie południowej nie było żadnych taksówek, które mogłyby ich zabrać. Każdy czarny wóz, jaki przejeżdżał, miał wygaszone światelko, a jeśli nawet napis „wolne” był podświetlony, to okazywało się, że kierowca zjeżdża z trasy, wraca do domu, do Peckham, i nie ma ochoty znów jechać w kierunku północnym.

- Okropnie bolą mnie nogi - jęknęła Ruby. Maszerowali przed siebie, tracąc coraz bardziej nadzieję, że kiedykolwiek pojawi się jakaś taksówka.

- Zdejmij buty - zaproponował Martin.

- W życiu. Na ulicy może się trafić jakieś świństwo. Psia kupa. Rozbita butelka...

- Możesz patrzeć pod nogi - zasugerował Martin.

- Jakbyś był dżentelmenem, wziąłbyś mnie na rękę. - Niewątpliwie wziąłbym - zapewnił ją - Gdybyś ty była damą. Ruby, ślaniając się, powlokła się dalej.

- Auć! - wykrzyknęła, kiedy doszli do Tamizy i wejścia na most Alberta. - Chyba sobie obtarłam piętę. - Opadła na ławkę. - Dalej już nie mogę. Ani kroku.

- Kiedy musimy przejść na północny brzeg - zauważył Martin. - Tam będziemy mogli złapać taksówkę.

- Nie ruszam się z miejsca - powiedziała. - Ty idź po taksówkę i wrócisz tu po mnie.

- Nie bądź śmieszna - Martin usiadł obok niej. - Daj, zobaczę, co się dzieje z twoją nogą.

Ruby wyciągnęła ku niemu stopę i pozwoliła, by zdjął jej pantofelek. Kopciuszek na odwyrtkę... Nawet w pomarańczowym świetle ulicznych latarni

widać było, że cienkie paseczki z imitacji wężowej skórki, wpijając się w stopę, pozostawiły na niej purpurowe ślady.

- Leci mi krew? - spytała żałośnie.

Martin ujął w dłonie jej piętę. Z tyłu, na wysokości kostki, rzeczywiście noga była wilgotna od krwi.

- Po cholerę kupujesz takie debilne pantofle? - spytał, zirytowany.

- Żeby ładnie wyglądać - odparła. - Żeby podobać się facetom.

- Kobieta w adidasach, która jest w stanie iść o własnych siłach, jest o wiele bardziej atrakcyjna, niż słaniająca się kobieta na szpilkach.

- No. Masz rację.

- Wiesz co - Martin zaczął rozsznurowywać własne adidas - włożysz moje, a ja pójdę na bosaka.

- Będą na mnie za duże - zaprotestowała Ruby.

- Masz stopę jak złodziej - przypomniał jej Martin. - Prędzej będą za małe.

Chcesz też skarpetki?

- Żarty sobie robisz? - na samą myśl Ruby zmarszczyła nos.

- Ja nie mam grzybicy - zaznaczył, czytając w jej myślach.

- Nie to miałam na myśli - skłamała.

- Bierz, wkładaj moje buty i przejdźmy wreszcie przez tę rzekę. Już bym chciał być w domu.

Ruby z wahaniem założyła pumy Martina. Tak jak się obawiała, wciąż były rozgrzane wewnątrz... Ale Martin, w skarpetkach, z jej sandałkami ze skóry węża w ręce, był już w połowie mostu. Ruby zawiązała sznurowadła tak ciasno, jak tylko mogła, i ruszyła za nim. Wreszcie się zrównali.

- To co, znaczy, że znów jesteśmy przyjaciółmi? - spytała, kiedy znów szli noga w nogę. Cały wieczór minął im na żarcikach i złośliwostkach. Wszystko działało się dokładnie tak, jak wtedy, kiedy rzeczywiście byli przyjaciółmi, ale Ruby chciała mieć pewność.

- No pewnie - powiedział krótko Martin. Nie chciał się wdawać w całe to psychologizowanie. - Wiesz, że jeśli dostatecznie dużo ludzi idzie mostem dokładnie noga w nogę - spróbował zmienić temat - może to spowodować sinusoidalną falę, która przełamie most na pół? Właśnie dlatego przed wejściem na most żołnierze dostają rozkaz, żeby zmieszali krok.

- Naprawdę zdarza się coś takiego? - spytała Ruby.

- Boja wiem? Chodź, spróbujemy. Raz, dwa, trzy, cztery... Wzięli się za ręce i ruszyli. Ciekawe, co myślą o nas ludzie,

którzy mijają nas samochodami, pomyślała Ruby. On w skarpetkach, trzymając w ręku parę damskich sandałków. Ona w adidasach tak wielkich, że

można było odnieść wrażenie, iż ma sztuczne stopy na końcu swoich chudych nóg. - Au!

Martin zgubił nagle krok i podskoczył na lewej nodze. Marszcząc z bólu brwi, strzepnął z podeszwy kawałek żużlu.

- Boli - mruknął. Było to słabo powiedziane.

- Oddać ci buty? - spytała.

- Nie. Ty ich potrzebujesz bardziej niż ja.

- Nie. Ty ich potrzebujesz. Ja mogę pokuśtykać w sandałach.

- Nie możesz pokuśtykać w sandałach - powiedział ze złością Martin. - Idź. Ja cię dogonię.

- Bardzo to po dżentelmeńsku z twojej strony.

- Po prostu zachowuję się jak przyjaciel.

- Zawsze zachowywałeś się wobec mnie jak przyjaciel - powiedziała Ruby, nagle spoważniała. - Nawet kiedy wydawało mi się, że traktujesz mnie okropnie, to teraz widzę, że się po prostu o mnie martwiłeś. Niesłusznie traktowałam cię jak pewniaka - dodała. - To znaczy... biorąc pod uwagę to, jak się poznaliśmy, dziwię się, że w ogóle chciałeś kiedykolwiek być moim przyjacielem.

- Co masz na myśli? - spytał Martin podejrzliwie.

- No wiesz... Byłam dla ciebie okropna wtedy, po tej nocy, kiedy przespaliśmy się w czasie tygodnia pierwszoroczników. Nie wiem, czemu się tak zachowałam... Chyba po prostu dlatego, że się wstydziłam. Nigdy wcześniej nie spałam z nikim, a ty byłeś taki pewny siebie... Sądziłam, że wszystkim rozpowiesz i po prostu próbowałam się zabezpieczyć przed drwinami, i...

- Co takiego? - zapytał Martin. - Coś ty powiedziała?

- Myślałam, że zaczniesz się ze mnie wyśmiewać, jeśli odkryjesz, że byłam dziewczyną.

- Ale dla mnie to też był pierwszy raz - wyrzucił z siebie osłupiały Martin.

- To czemu mi nie powiedziałaś?

- Wyglądało na to, że dobrze wiesz, co robisz.

- Bo pozwalałam ci się prowadzić!

- Możliwe, że oboje po prostu zachowywaliśmy się naturalnie - zaśmiał się Martin.

- A ja wariowałam z powodu tamtej nocy przez całe trzy lata!

- Trzy lata? Ja wariuję do tej pory!

- Pomyśleć tylko, jaki poziom mogliśmy osiągnąć, gdybyśmy ćwiczyli - zadumała się na głos Ruby.

Martin pokiwał głową.

- Jak twoja noga? - spytał.

- Trochę lepiej. Stańmy tu na moment. Odpocznę.

Martin oparł się o poręcz mostu i popatrzył na falującą w dole wodę. Jego powieściowi bohaterowie, Mark i Ruthie, stali ramię w ramię dokładnie w tym samym miejscu... Świetlne słupy o barwie landrynek, migocące nad głowami Martina i Ruby, wyglądały w wodzie jak miliony iskier z fajerwerków. Ich własne odbicia patrzyły na nich z dołu niczym dwoje obcych. Dwoje obcych, którzy znają się za mało, by mogli się w sobie zakochać.

- Dziwnie wyglądamy, prawda? - zauważyła Ruby.

- To ty jesteś dziwna - powiedział Martin i uszczypnął ją lekko w ramię.

Odwrócili spojrzenia od rzeki i popatrzyli sobie w oczy.

I nagle było tak, jakby nie mieli za sobą dziesięciu lat znajomości. Jakby nadal pozostało wiele do odkrycia, do odnalezienia różnych fascynujących rzeczy, wartych, by się w nich zakochać.

Martin delikatnie ujął Ruby za podbródek i unióśł jej twarz ku sobie.

- Miałaś kiedykolwiek ochotę mnie pocałować? - spytał.

- A muszę odpowiadać na to pytanie?

- Wiesz, w mojej książce jest taki kawałek, w którym bohater pyta dziewczynę, czy miała kiedykolwiek ochotę go pocałować, a ona odpowiada, że tak, ale on za bardzo jest wystraszony, żeby coś z tym zrobić - powiedział Martin. - No i nic się między nimi nie dzieje, i oboje kończą u boku partnerów, którzy tak naprawdę im się nie podobają.

- No to szkoda - zauważyła Ruby.

- Mam zamiar to wyciąć - rzekł Martin. - Dać zamiast tego szczęśliwe zakończenie.

- A możliwe jest szczęśliwe zakończenie? - spytała. - Jeśli oboje tego zechcemy - powiedział.

Ruby poczuła, że wychyla się ku niemu. Zamyka oczy. Nadstawia usta...

EPILOG

Z drogi dziewczyny! - zawołała Ruby. - Wieżdza wielka paka!.

Lou i Zuzanna rozstały się, by zrobić w toalecie miejsce zarumienionej pannie młodej.

- Wspaniała suknia, Ruby - zauważyła Zuzanna.

- Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o mojej. - Lou ujęła w dwa palce spódnicę swego brzoskwiniowego cacka.

- Druhá zawsze zawróci komuś w głowie na weselnym przyjęciu. - Za plecami Lou pojawiła się Alex i wycisnęła pocałunek na jej obojczyku.

- Tylko nie w obecności moich krewnych, proszę - powiedziała Ruby.

- A co? Nowocześni chrześcijanie z Kolorado? - spytała Alex.

- Nie... Rosalia i Nat to ludzie o wyjątkowo szerokich horyzontach - wyjaśniła Ruby. - Chodziło mi o starsze ciocie ze strony mojego męża. Bo się za bardzo podnieca - dodała, puszczając oko.

- Erica kogoś zarwała - szepnęła Alex. - To ten gość od ciebie z pracy. Emlyn Cruickshank, zdaje się?

- O nie - jęknęła Ruby. - Powiedzcie jej, żeby dopilnowała, żeby nie zdejmował w łóżku skarpetek.

- Skarpetek? - nie zrozumiała Zuzanna. - Nie pytaj.

- Jak się czujesz? - zmieniła temat Lou. - Czy to jest wszystko, czego chciałaś?

Ruby powiodła wzrokiem po otaczających ją kobietach.

Pomyślała o ludziach, którzy byli z nią tego popołudnia w kościele. O matce i ojcu. O Lindsay, Stevie, Laureen. O Rosalii i Nacie. Pomyślała o mowie, jaką na jej cześć wygłosił na przyjęciu ojciec. Była tak pełna bezwarunkowej miłości, że Ruby popłakała się w swój kieliszek szampana. Pomyślała o siostrze męża, Marie, która pełniła obowiązki jego drużby i potrafiła być dowcipna bez uciekania się do pieprznych kawałów. Pomyślała o Lou, która uparła się, że jako pierwsza druhá też wygłosi mowę i zrekompensuje ten totalny niedostatek pieprzu.

A potem pomyślała o swoim świeżo poślubionym mężu. Martin... Uśmiechał się jak głupi, kiedy szła ku niemu do ołtarza. Ocierał ukradkiem łzę, kiedy ostatecznie składali ślubną przysięgę. Mówił na głos wobec wszystkich zgromadzonych na weselu gości, że kochają od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył.

- Wszystko i jeszcze więcej - powiedziała.

Podziękowania

Dziękuję mamie, tacie, Kate i Lee. Kocham was. Dziękuję wszystkim w wydawnictwie Hodder, zwłaszcza Carolyn Mays i Sarze Hulse, które nie zażądały zwrotu pieniędzy po przeczytaniu pierwszego szkicu powieści. Dziękuję Antowi i Jamesowi z Antony Harwood Limited, Sally Riley i Joannie Kaliszewskiej z Aitken Associates oraz Sheryl Petersen z Diverse Talent Group za nieustające wsparcie. Ryanowi Lawowi i Jenn Matherly za to, że są takimi wiernymi przyjaciółmi. I wreszcie Robowi Yorke'owi, na którym znowu wszystko się skrupiło. Słuchaj, przecież mówiłam ci, że powinieneś pojechać na ryby!

RS